iMAGAZiNE

07/2026 (187) / ISSN 2082-3630 / imagazine.pl



tapnij by przejść do menu/spisu treści



PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Audio Pro A15 W – nie tylko do salonu

Multiroom kojarzy się ze sprzętem rozmieszczonym w domu na stałe, ale są od tego wyjątki. Audio Pro A15 W można używać bowiem mobilnie, dzięki czemu muzyka będzie towarzyszyć nam tam, gdzie głośnik może gościć jedynie tymczasowo.

przejdź do Twittera autora

przeciągnij w prawo





Px8 S2. Usłysz prawdę.

Doświadcz porywającego brzmienia i niezrównanego komfortu dzięki najbardziej luksusowej konstrukcji, jaką kiedykolwiek zaprojektowaliśmy.

Bowers & Wilkins

Salony firmowe Bowers & Wilkins: www.tophifi.pl



(Prawie) wszystko o... czyli Kontrola rodzicielska w Apple po nowemu.
Dominik Łada



Z Cupertino na szlak. Jak Peakme zamienia górskie wyprawy w cyfrową przygodę
Dominik Łada



Między niedźwiedziami a Drakulą. Rumuński city break, którego nie da się zapomnieć
Dominik Łada



Audio Pro A15 W – nie tylko do salonu
Paweł Hać

Galeria iMagazine

11 ALEKSANDRA LECHAŃSKA | @sowazmokotowa

Aktualności

25 Aktualności

Wywiad

38 Z Cupertino na szlak. Jak Peakme zamienia górskie wyprawy w cyfrową przygodę | Dominik Łada

Podróże

47 HelRiders Festival 2026 – kiedy benzyna miesza się ze słoną wodą | Wojtek Pietrusiewicz

57 Między niedźwiedziami a Drakulą. Rumuński city break, którego nie da się zapomnieć | Dominik Łada

Productivity

72 Czy japońskie jest lepsze? Technologia, kultura, perfekcja... | Michał Śliwiński

Lifestyle

81 Lifestyle | Dominik Łada

WWDC 2026

92 (Prawie) wszystko o... czyli Kontrola rodzicielska w Apple po nowemu. Wreszcie konfiguracja, której nie trzeba się bać | Dominik Łada

107 AI na Macu, czyli komputer znowu staje się osobisty | Dominik Łada

119 Apple Intelligence w aplikacjach. Piękne demo przyszłości, której w Polsce nadal dostaniemy tylko kawałek | Dominik Łada

132 Siri AI w systemach 27. Największy skok od lat, którego w Polsce oficjalnie nie będzie | Dominik Łada

147 Nie jedna Siri, a pięć modeli AI. Jak działa nowe Apple Intelligence od środka? | Dariusz Hałas

153 Czego nie pokazano podczas WWDC 2026 | Krzysztof Kołacz

154 Apple ogłosiło zwycięzców Apple Design Awards 2026. Wśród laureatów znalazł się polski akcent | Dominik Łada

Audio

161 Audio Pro A15 W – nie tylko do salonu | Paweł Hać

Sprzęt

166 Tak trochę zmiażdżył iPhone'a – Vivo X300 Ultra Photography Kit | Wojtek Pietrusiewicz

167 Roborock RockMow S1 – nowa era koszenia, „robotycznego" koszenia | Paweł Okopień

176 Sprzątanie bez kompromisówPrzegląd robotów ECOVACS DEEBOT | Dariusz Hałas

186 Logitech Mobi Fold – mysz EDC | Paweł Hać

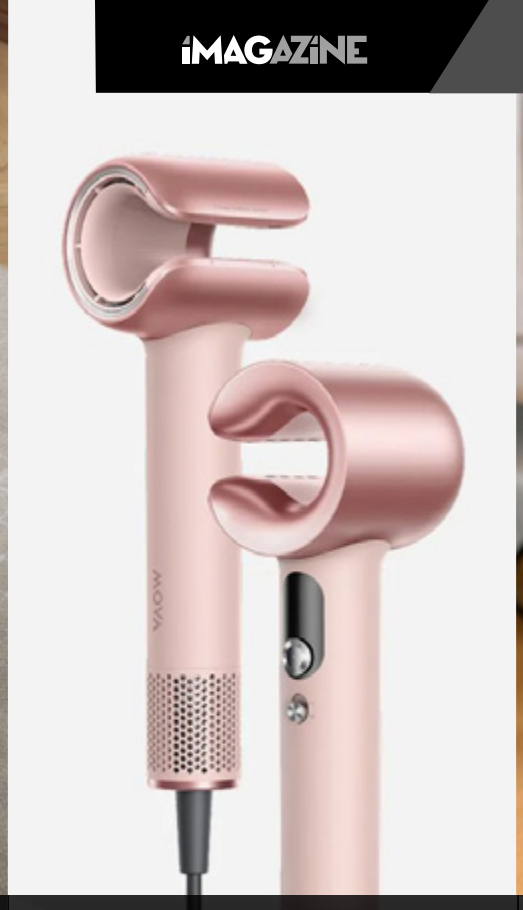
192 Zens Charging Cable USB-C C Pro 3 – jeden kabel do ładowania całego ekosystemu Apple | Dominik Łada

196 Anker Nano 45W Smart Display – pierwsza ładowarka, która „zna" twój iPhone | Dominik Łada

200 Brompton G Line – składak, który wreszcie przestał przepraszać za to, że jest składakiem | Napoleon Bryl



Sprzątanie bez kompromisówPrzegląd robotów ECOVACS DEEBOT
Dariusz Hałas



MOVA Aero C. Szanuje czas... i włosy
Agnieszka Serafinowicz



Krups Coffee CrushKawiarnia na piętnastu centymetrach
Agnieszka Serafinowicz



Pierwsze jazdy Volvo ES90 – Szwedzki azyl na jurajskich szlakach
Dariusz Hałas

207 MOVA Aero C. Szanuje czas... i włosy | Agnieszka Serafinowicz

215 Krups Coffee CrushKawiarnia na piętnastu centymetrach | Agnieszka Serafinowicz

TV

226 Haier idzie mocniej w telewizory | Paweł Okopień

Mobilność

231 Maserati MCPURA – Duch w maszynie | Dariusz Hałas

241 Volkswagen ID. Polo Anatomia rewolucji na platformie MEB+ | Dariusz Hałas

253 Volkswagen Passat R-Line Plus 2.0 TDI – oaza spokoju na długie dystanse | Dariusz Hałas

261 Pierwsze jazdy Volvo ES90 – Szwedzki azyl na jurajskich szlakach | Dariusz Hałas

268 5 dni z przedprodukcyjnym Cayenne Turbo Electric | Wojtek Pietrusiewicz

275 Brompton G Line – składak, który wreszcie przestał przepraszać za to, że jest składakiem | Napoleon Bryl

Software

282 Choclift zamienia iPhone'a w dodatkowy interfejs do pracy z Makiem | Dominik Łada

Gry

285 Mixtape | Paweł Hać

Porady

290 Jak ogarnąć kable USB-C | Maciej Skrzypczak

Higiena Cyfrowa

293 Co mówi nam pierwsza encyklika Leona XIV? | Krzysztof Kołacz

Felietony

299 Co dla Apple znaczy AI? | Krzysztof Kołacz

303 Echo WWDC 2026 | Krzysztof Kołacz

307 Maszyna predykcyjna i algorytm mistrza | Dariusz Hałas

315 Myśliwce F-35 „nie nadają się do walki"? | Dariusz Hałas

320 Wypadek na wakacjach? Za złamaną rękę dziecka dostaniesz pieniądze z czterech różnych polis naraz | Agnieszka Serafinowicz

323 „Pyk" czy „klik"? O tym, jak trudno rozstać się z tradycją | Piotr Wdowiak

Film

327 Rodzina do wynajęcia | Jan Urbanowicz

334 Czy mnie słychać? | Jan Urbanowicz

340 Premiery streamingowe lipiec 2026 | Jan Urbanowicz

Muzyka

342 Algorytm nie ma gustu. Ma tylko dane | Paweł Winiarski

Podcasty

346 Podcasty | Dominik Łada

Makowa kuchnia

349 Lody o smaku szarlotki | Małgorzata Łada

WYBIERZ SWÓJ KSZTAŁT, ZAUFAJ TECHNOLOGII.
Znajdź swój fit: Flex, Beam lub Buds. Każdy model zapewnia dźwięk JBL i adaptacyjną ciszę True Adaptive NC 2.0.

LIVE BUDS 4

LIVE BEAM 4

LIVE FLEX 4







BLUE CHAMPAGNE ORANGE BLACK GREEN LAVENDER WHITE

LUKSUS, KTÓRY SŁYCHAĆ W JAKOŚCI HI-RES!

ODETNIJ SIĘ OD HAŁASU W PRACY, PODRÓŻY I CZASIE WOLNYM.

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ



Za nami jeden z najciekawszych tygodni w roku – WWDC26. Kilka dni spędzonych w Cupertino, w Apple Park, wystarczyło, by przekonać się, że Apple wreszcie dowiozło wiele rzeczy, na które użytkownicy czekali od lat. Co więcej, większość z nich działa zaskakująco dobrze już w pierwszych betach. To coś, czego dawno nie widziałem.

Największe wrażenie zrobiły na mnie nowe funkcje AI oraz Siri AI, która wreszcie zaczyna przypominać asystenta, jakiego Apple obiecywało od samego początku. Jest bardziej naturalna, bardziej pomocna i – co najważniejsze – naprawdę użyteczna. Pojawiły się nawet pierwsze oznaki wsparcia dla języka polskiego. Niestety, jest też druga strona medalu. W tle trwa spór między Apple a Komisją Europejską i dziś wygląda na to, że jego największymi przegranymi jesteśmy my – użytkownicy. Wiele najciekawszych funkcji nie będzie dostępnych nie tylko w Polsce, ale i w całej Unii Europejskiej.

Na szczęście nie wszystko jest stracone. W UE otrzymamy część nowych funkcji, w tym bardzo udane narzędzia do edycji zdjęć, a Apple Intelligence powinno działać na komputerach Mac. Szczegółowo opisujemy to wszystko w kilku materiałach poświęconych nowościom z WWDC26.

Polecam również wywiad z Łukaszem Lechem, twórcą aplikacji PeakMe, która pokazuje, że świetne pomysły mogą powstawać wszędzie, nie tylko w Dolinie Krzemowej.

Poza tym w numerze znajdziecie mocną motoryzację, sporo interesującego sprzętu – w tym całą armię robotów – bardzo ciekawą aplikację Choclift, podróże i wiele innych tematów, które idealnie sprawdzą się podczas wakacyjnego odpoczynku.

Zapraszam do numeru!

Dominik Łada

SENNHEISER

MOMENTUM 5 Wireless

Odkryj nowy wymiar dźwięku



Dźwięk, który nie tylko słyszysz, ale naprawdę czujesz.

Dźwięk, który pobudza emocje, inspiruje i pozwala odkrywać muzykę na nowo. To właśnie charakter Sennheisera – legendarne brzmienie i perfekcja w najczystszej formie.

Przygotuj się na zupełnie nowe doznania.

www.sennheiser.pl/momentum5

WSPÓŁPRACA


Paweł Okopień


Krzysztof Kołacz


Paweł Hać


Dariusz Hałas


Jan Urbanowicz


Michał Śliwiński


Maciek Skrzypczak


Małgorzata Łada


Gracjan Pietras


Napoleon Bryl


Agnieszka Serafinowicz


Ania Gabryś


Ela Różalska


Thomas Voland


Piotr Wdowiak


Paweł Winiarski

Teksty, grafiki oraz inne treści opublikowane na łamach „iMagazine" są chronione prawami autorskimi wydawcy magazynu „iMagazine", ich autorów lub osób trzecich. Znaki towarowe i wszelkie inne oznaczenia o charakterze odróżniającym, umieszczone w „iMagazine" podlegają ochronie prawnej na rzecz wydawcy magazynu „iMagazine" lub innych uprawnionych osób trzecich. Używanie bądź korzystanie z utworów, znaków towarowych lub oznaczeń, o których mowa wyżej, jest zabronione bez uzyskania uprzedniej pisemnej zgody właściwego podmiotu uprawnionego, z wyjątkiem wykorzystania ich zgodnie z prawem dla celów prywatnych i niekomercyjnych.

Redakcja nie zwraca niezamówionych tekstów i fotografii oraz zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania nadesłanych materiałów. Zdjęcia z zasobów Apple dzięki uprzejmości Apple Inc. Pozostałe zdjęcia z zasobów autorów lub redakcji. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń.

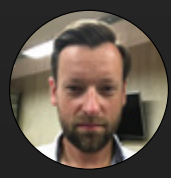
Nasz magazyn monitorowany jest
przez Instytut Monitorowania Mediów IMM

IMM O mediach wiemy wszystko.

iMAGAZINE

WYDAWCA
Mac Solutions Dominik Łada,
Nalewki 8/79, 00-158 Warszawa
NIP: 118-135-60-13

REDAKCJA
redakcja@imagazine.pl

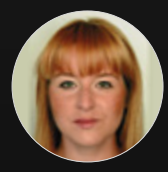


REDAKTOR NACZELNY
Dominik Łada
+48 501 055 988 | d.lada@imagazine.pl

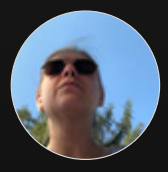


ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO
Wojtek Pietrusiewicz
w.pietrusiewicz@imagazine.pl

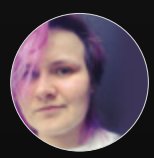
REKLAMA
reklama@imagazine.pl



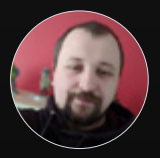
KOREKTA
Malwina Wadas



KOREKTA
Ania Gabryś



WEBMASTER
Angelika Borucka



WEBMASTER
Krzysztof Stambuła



PROJEKT GRAFICZNY I SKŁAD
Mateusz Gileta
m.gileta@imagazine.pl

PROJEKT OKŁADKI:
Mateusz Gileta
fot. Dominik Łada

ELVES
BIKES POLSKA

LUKSUS W PRZYSTĘPNEJ CENIE!



Niesamowite ramy, koła i kompletne zestawy z włókna węglowego

Dostępne niektóre modele od ręki lub z szybką dostawą!



ALEKSANDRA LECHAŃSKA

@sowazmokotowa | lechanska.wordpress.com

Aleksandra Lechańska to malarka, która w swojej twórczości łączy pozornie przeciwstawne żywioły – porządek i chaos. Jej obrazy wyróżniają się intensywną kolorystyką, bogatą ornamentyką oraz wyrazistą formą, będąc efektem starannie przygotowanych koncepcji i szkiców. Inspiracje czerpie m.in. z secesji, art déco oraz twórczości Tamary Łempickiej, Bolesława Biegasa i Zofii Stryjeńskiej.

Artystka chętnie pracuje w zamkniętych cyklach tematycznych. W najnowszej serii „Nowe Ludowe" prowadzi dialog z polską tradycją, sięgając po motywy stylu zakopiańskiego i ludowych wycinanek, które interpretuje we współczesnym, graficznym języku malarskim. Przygotowywany cykl „Towarzysze" poświęcony jest psom – ukazanym jako symbol lojalności, bliskości i relacji człowieka ze zwierzęciem.

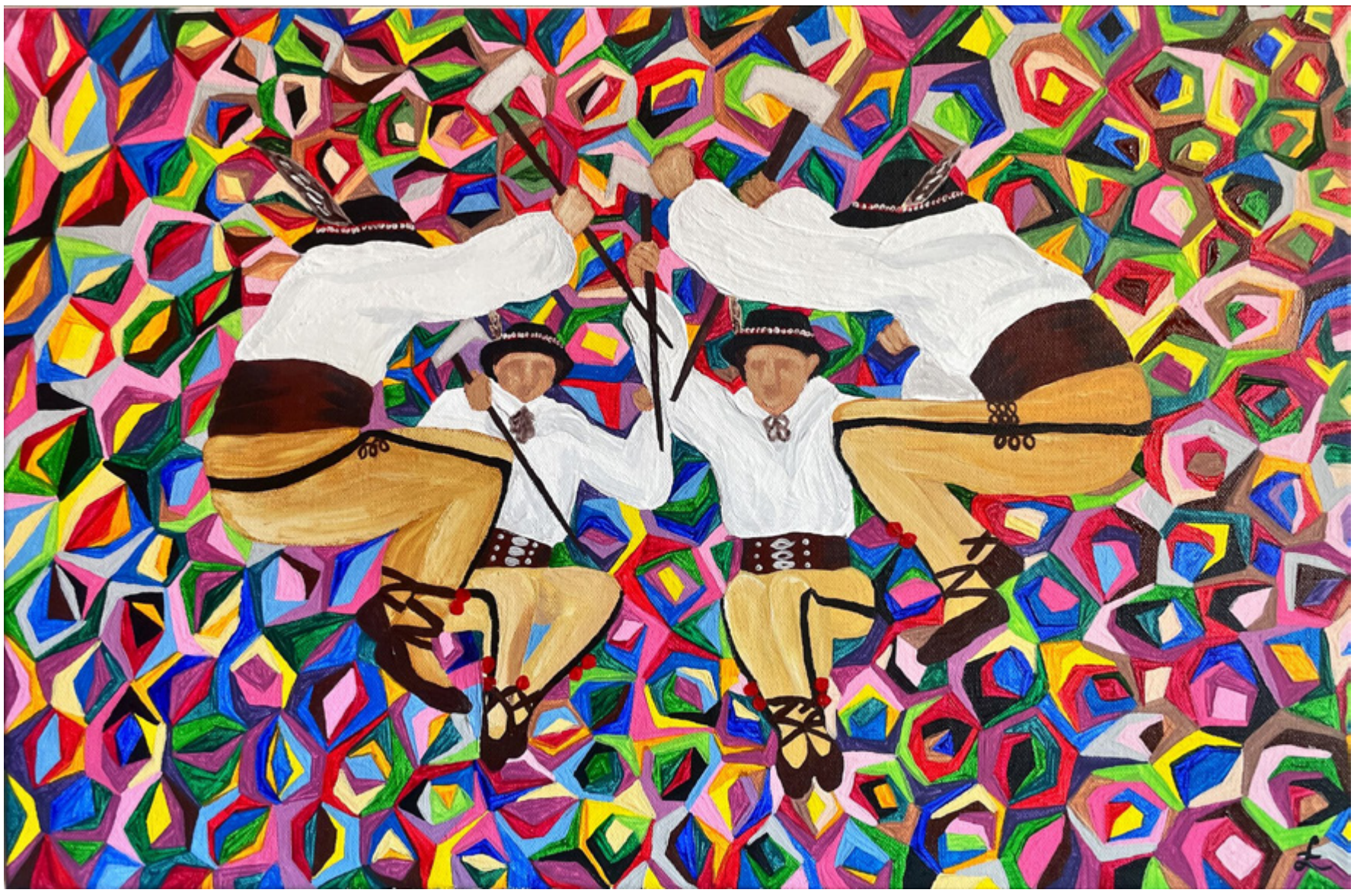
Twórczość Aleksandry Lechańskiej zyskuje coraz większe uznanie. Jej prace były prezentowane m.in. w warszawskim Teatrze Druga Strefa, przestrzeni kulturalnej Pół na Pół oraz art café STRH w Zakopanem.











Nowe systemy – iOS 26.5.1 i macOS 26.5.1



Czytaj dalej....



Nowe firmware dla AirPods Pro 2, AirPods Pro 3 i Beats Studio Buds

Czytaj dalej....

Rząd USA blokuje najpotężniejszą sztuczną inteligencję. Anthropic zmuszony do wyłączenia modeli Fable 5 i Mythos 5

Czytaj dalej....

ANTHROP\C



Apple kontra UE: kto naprawdę odpowiada za brak Siri AI w Europie?

Czytaj dalej....

Apple po cichu i drastycznie podnosi ceny w Polsce. Sprzęt podrożał z minuty na minutę nawet o 2500 złotych

Czytaj dalej....



Valve wskrzesza Steam Machine. Konsolowy pecet kosztuje majątek, a do zakupu musisz mieć... szczęście w losowaniu

Czytaj dalej....



Eddy Cue odebrał nagrodę na Cannes Lions i zapowiedział sequel „F1”

Czytaj dalej....



AirPort Utility znika z App Store – koniec epoki routerów Apple

Czytaj dalej....



Apple Watch z 21% wzrostem sprzedaży w Q1 2026 – Samsung traci grunt

Czytaj dalej....

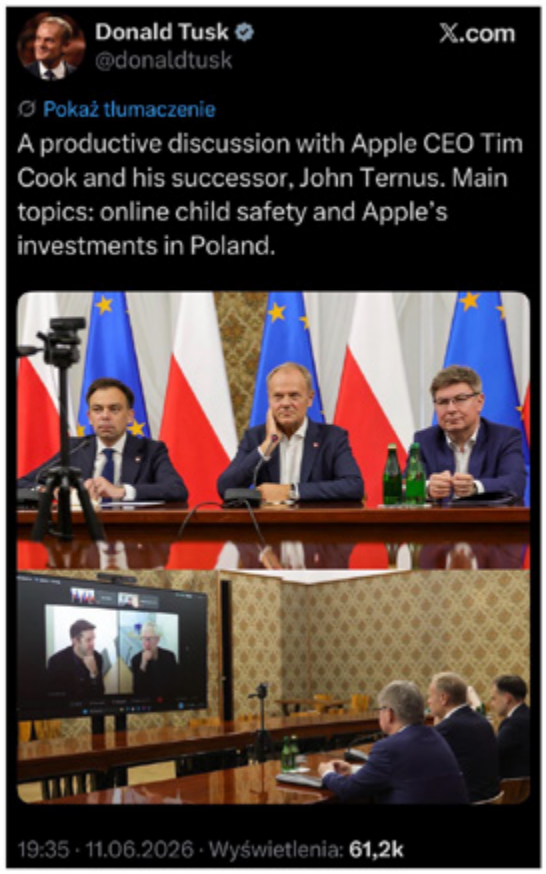


Trump potwierdza: Apple i Intel razem produkują chipy w USA

Czytaj dalej....

Donald Tusk rozmawiał z Timem Cookiem. Wśród tematów inwestycje Apple w Polsce, bezpieczeństwo dzieci i polska Sifi

Czytaj dalej....





MacBook Neo sprzedał się lepiej niż każdy inny Mac – w trzy tygodnie

Czytaj dalej....

AirPods Pro 3 dokładniejsze od smartwatchy Garmin, Google i Samsunga w pomiarze tętna

Czytaj dalej....





Bob Iger zdradza: Apple i Disney rozmawiały o fuzji, ale Apple nie było zainteresowane

Czytaj dalej....

Jak nakręcono najdłuższy koncert immersive dla Vision Pro

Czytaj dalej....





Muzyka gra, a dziecko słyszy wszystko wokół. Otwarte słuchawki JBL Junior Free dbają o bezpieczeństwo

Zakończenie roku szkolnego i nadchodzące wielkimi krokami wakacje to czas długich podróży – samochodem, pociągiem czy samolotem.

Dla wielu dzieci nieodłącznym elementem takich wypraw (a często i jedynym ratunkiem dla uszu rodziców) są słuchawki. Firma JBL zaprezentowała właśnie model Junior Free, który rozwiązuje największy problem tradycyjnych słuchawek dla najmłodszych: całkowite odcięcie od otoczenia.

Słuchasz, ale wciąż słyszysz

Największą innowacją w modelu JBL Junior Free jest zastosowanie technologii JBL OpenSound i otwartej konstrukcji. Słuchawki nie wchodzą do kanału słuchowego ani nie zakrywają całkowicie uszu. Dzięki temu dzieci, słuchając muzyki, podcastów czy grając w gry edukacyjne, nadal słyszą, co dzieje się wokół nich. To kluczowe rozwiązanie dla bezpieczeństwa



– pozwala na stały kontakt z dzieckiem podczas spaceru, jazdy na hulajnodze czy na rowerze.

Podwójna kontrola głośności

Oprócz otwartej konstrukcji, projektanci JBL zadbali o fizyczną i programową ochronę rozwijającego się słuchu.

JBL Safe Sound: słuchawki posiadają wbudowaną blokadę, która ogranicza maksymalną głośność do 85 dB, poziomu często wskazywanego przez producentów elektroniki jako bezpieczny dla młodych użytkowników..

Aplikacja dla rodziców: słuchawki są w pełni kompatybilne z aplikacją JBL Headphones. Z poziomu smartfona rodzic może nie tylko sprawdzić stan baterii, ale też monitorować czas spędzany w słuchawkach, ustalać dzienne limity użytkowania oraz dodatkowo dostosowywać poziom głośności.

Edukacja i wygoda

JBL Junior Free wyposażono we wbudowany mikrofon, co sprawia, że sprzęt nadaje się nie tylko do słuchania bajek, ale też do uczestnictwa w lekcjach językowych czy do rozmów wideo np. z dziadkami.



Urządzenie ma formę elastycznego, silikonowego pałąka opierającego się na karku, co zapobiega gubieniu słuchawek przez najmłodszych i zapewnia stabilność podczas zabawy. Całość waży zaledwie 24,6 grama i oferuje do 10 godzin pracy na baterii. Z kolei 10-minutowe, szybkie ładowanie dostarczy energii na kolejne 3 godziny słuchania. Zadbano również o podstawową odporność na zachlapania (norma IPX4).

Cena i dostępność

Słuchawki dostępne są w radosnych, pastelowych kolorach (m.in. fioletowym i błękitnym), a w zestawie znajduje się komplet naklejek pozwalających dziecku na personalizację gadżetu. Sugerowana cena detaliczna modelu JBL Junior Free wynosi w Polsce 319 zł.



Apple wycofuje etui podróżne Vision Pro z większości rynków

Czytaj dalej....

Google obniża prowizje w Play Store – Apple pod coraz większą presją

Czytaj dalej....



Siri AI wprost odmawia streszczania stron internetowych na podstawie URL-a

Czytaj dalej....



Apple Watch w World Surf League – jak profesjonalni surferzy korzystają z zegarka

Czytaj dalej....



Apple przejmuje Swift Package Index – wyszukiwarka paczek pozostaje open source

Czytaj dalej....



Nowe Apple TV i HomePody potwierdzone w kodzie tvOS 27

Czytaj dalej....



20 produktów Apple do końca 2027 roku – pełna lista Bloomberga

Czytaj dalej....

Standard Matter 1.6 oficjalnie zaprezentowany

Czytaj dalej....



Pixel podsłucha każdą rozmowę. Google szykuje funkcję „Audio Memory", ale w Europie to prawny koszmar

Czytaj dalej....



Sennheiser ACCENTUM Clip wkraczają do Polski. Otwarte słuchawki TWS z Bluetooth 6.0 i LDAC

Sennheiser rozszerza swoją ofertę słuchawek w pełni bezprzewodowych (True Wireless) o zupełnie nowy format.

Model ACCENTUM Clip to słuchawki o konstrukcji otwartej, zakładane na małżowinę w formie klipsa. Oferują naturalną świadomość otoczenia bez konieczności korzystania z elektronicznych trybów przepuszczania dźwięku, a na pokładzie znalazł się m.in. najnowszy standard Bluetooth 6.0.

Nowy model niemieckiego producenta to odpowiedź na rosnącą popularność słuchawek o budowie otwartej, które pozwalają na jednoczesne słuchanie muzyki i pełne monitorowanie dźwięków z otoczenia (np. w biurze czy na dworcu). W przeciwieństwie do dokanałówek z trybem „transparency", klipsy Sennheisera nie zatykają kanału słuchowego.

Przetworniki 12 mm, LDAC i Dynamic EQ

Z technicznego punktu widzenia producent wyposażył słuchawki w mocne podzespoły, które mają zrekompensować ewentualne braki w basie, charakterystyczne dla konstrukcji otwartych:

Sercem ACCENTUM Clip jest 12-milimetrowy przetwornik dynamiczny, posiadający certyfikat Hi-Res Audio. Za transmisję bezprzewodową odpowiada moduł w nowym standardzie Bluetooth 6.0. Urządzenie wspiera płynną łączność multipoint (podłączenie do kilku urządzeń jednocześnie) oraz pozwala na niezależne korzystanie z każdej słuchawki osobno.

Na pokładzie znalazła się obsługa kodeków SBC, AAC oraz wysokiej rozdzielczości LDAC. Sprzęt obsługuje również szybkie parowanie Google Fast Pair. Oprogramowanie wykorzystuje funkcję Dynamic EQ, która automatycznie kompensuje straty pasm (zwłaszcza niskich tonów) przy cichym słuchaniu. Zwiększanie głośności systematycznie ogranicza tę korekcję, by uniknąć zniekształceń.

6,8 g wagi i do 36 godzin na baterii

Słuchawki zostały zaprojektowane z myślą o wielogodzinnym użytkowaniu. Waga pojedynczej słuchawki wynosi zaledwie 6,8 g. Utrzymanie sprzętu na uchu powierzono elastycznemu, silikonowemu pałąkowi. Obudowa spełnia normę szczelności IP54, co oznacza odporność na kurz oraz pot, pozwalając na korzystanie ze słuchawek podczas treningów.

Na zewnętrznej stronie zaimplementowano teksturowane panele dotykowe do sterowania muzyką i połączeniami. Inżynierowie zastosowali również wewnętrzny system tłumienia, który ma zapobiegać „wyciekaniu" muzyki na zewnątrz i przeszkadzaniu osobom obok.

Same słuchawki pozwalają na 9 godzin nieprzerwanego odtwarzania. Dołączone do zestawu, kompaktowe etui ładujące (z portem USB-C) magazynuje energię na trzy dodatkowe pełne cykle, co daje łącznie 36 godzin pracy z dala od gniazdka. Sprzęt wspiera szybkie ładowanie – 10 minut pod kablem przekłada się na 2 godziny grania.

Za jakość rozmów telefonicznych odpowiada system dwóch mikrofonów (w każdej słuchawce), który współpracuje z algorytmem redukcji szumów opartym na sztucznej inteligencji, izolującym głos od hałasów tła. Do precyzyjnego zarządzania sprzętem służy aplikacja Sennheiser Smart Control Plus, wyposażona w 5-pasmowy korektor graficzny.

Cena i dostępność w Polsce

Sennheiser ACCENTUM Clip trafią do regularnej sprzedaży w Polsce w drugiej połowie lipca 2026 roku. Klienci będą mieli do wyboru dwie wersje kolorystyczne: czarną (Black) oraz kremową (Cream). Oficjalna cena katalogowa na polski rynek została ustalona na 769 zł. Producent zaznacza również, że opakowanie urządzenia jest całkowicie pozbawione plastiku.





Kolejny wyciek danych z LastPass – tym razem przez partnera zewnętrznego

Czytaj dalej....

Ternus przywróci design na szczyt hierarchii Apple

Czytaj dalej....



Nowy iOS 27 wreszcie cywilizuje SMS-y z Androidem. Szkoda, że w Polsce ta funkcja to wciąż fikcja

Czytaj dalej....

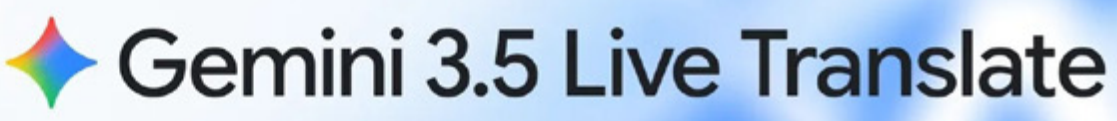




Amazfit Helio Strap Pro zapowiedziany. Nowa opaska ma dokładniej analizować trening HYROX

Czytaj dalej....

Google wprowadza Gemini 3.5 Live Translate ze wsparciem dla ponad 70 języków



Czytaj dalej....



Jedna Siri na wszystkich urządzeniach i pięć nowych aplikacji Apple

Czytaj dalej....



Włoski regulator wszczął pierwsze postępowanie DMA przeciwko Apple

Czytaj dalej....



macOS 27 ostatecznie odcina wsparcie dla Time Capsule. Społeczność znalazła jednak sposób na ratunek

Czytaj dalej....

Apple zaostrza wytyczne App Store

Czytaj dalej....



Apple znów ma maskotkę. Lil Finder Guy gwiazdą pierwszych godzin WWDC 2026

Czytaj dalej....

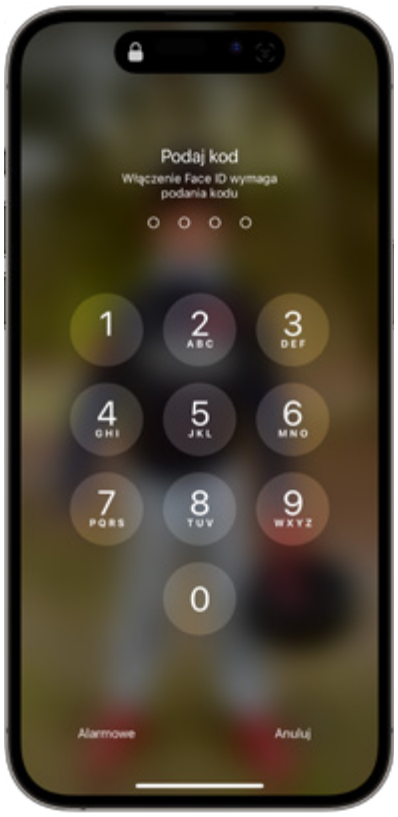
Ternus odwołał Apple Vision Pro 2 – firma stawia na okulary, nie na headset

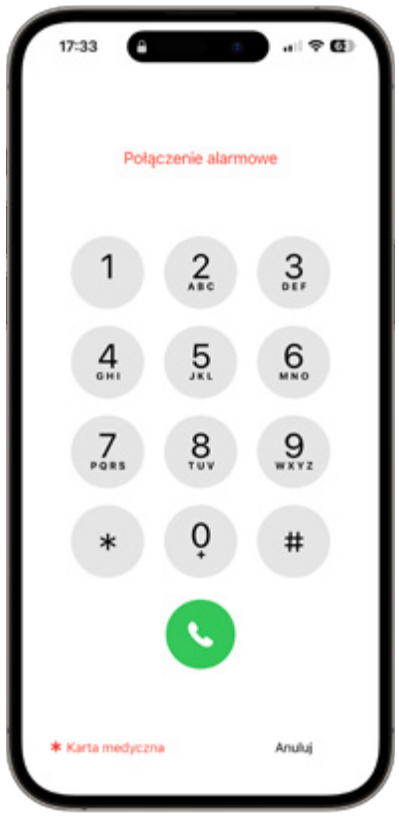
Czytaj dalej....

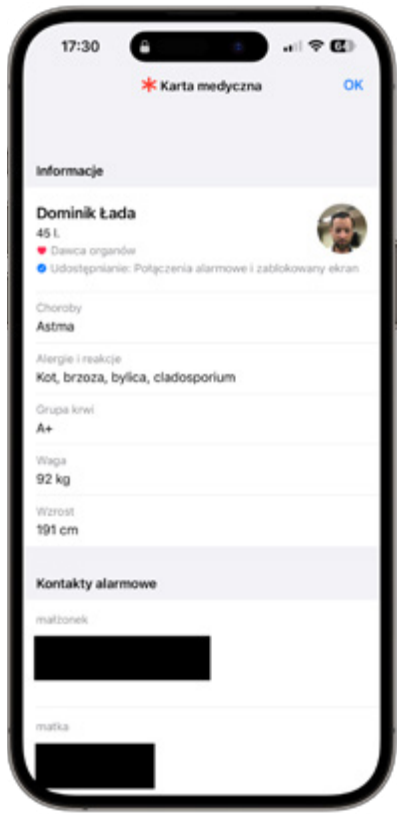


Amazfit Balance Ultra i Balance 3 – nowa generacja zegarków dla fanów treningu hybrydowego i HYROX

Czytaj dalej....







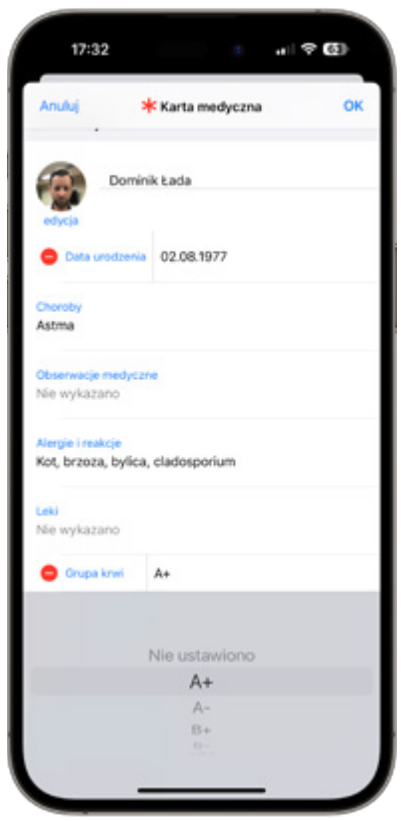
JAK ODCZYTAĆ
Z ZABLOKOWANEGO EKRANU

KARTA MEDYCZNA W iPHONE

UZUPEŁNIJ / ODCZYTAJ Z ZABLOKOWANEGO EKRANU





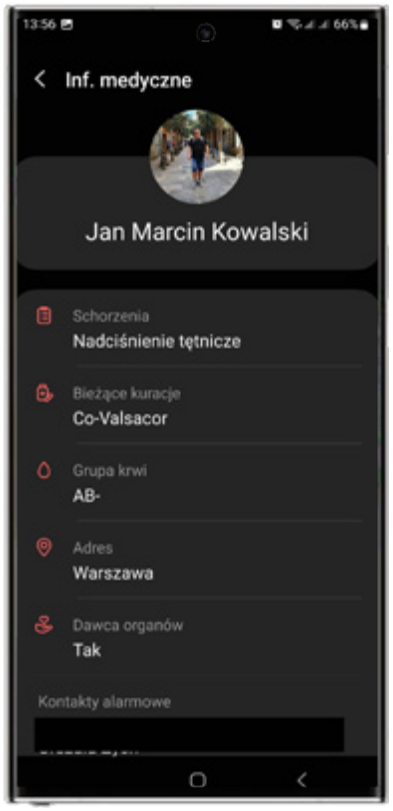


JAK UZUPEŁNIĆ

iMAGAZiNE

JAK ODCZYTAĆ
Z ZABLOKOWANEGO EKRANU

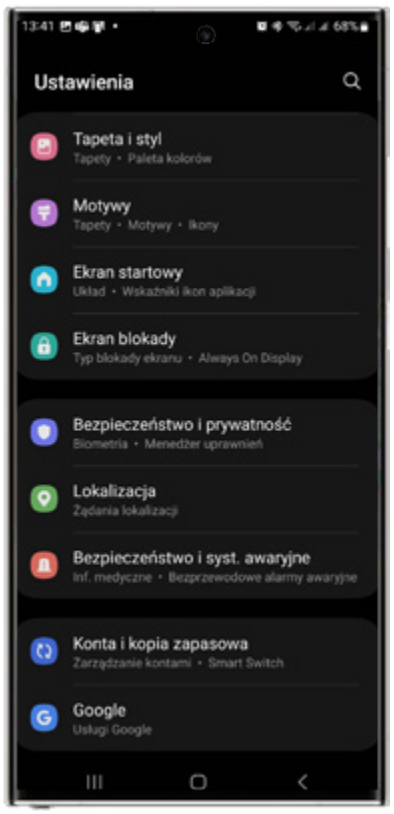


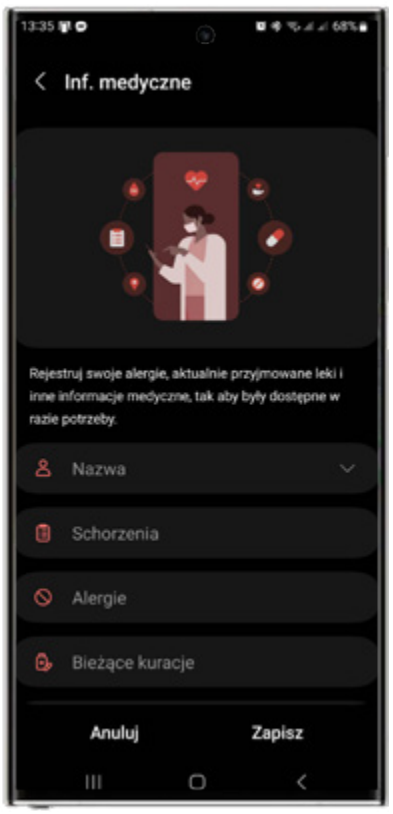


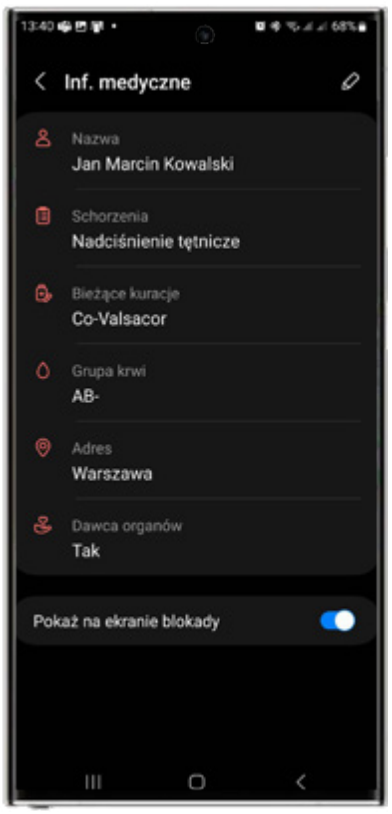
INFORMACJA MEDYCZNA W ANDROIDZIE

UZUPEŁNIJ / ODCZYTAJ Z ZABLOKOWANEGO EKRANU

JAK UZUPEŁNIĆ







SAMSUNG

iMAGAZiNE

RETRO ROCKET NETWORK

iMAGAZiNE



NADGRYZIENI

nie tylko ROZMOWY O TECH

Wojtek Pietrusiewicz, Thomas Voland, Michał Śliwiński i inni rozmawiają o wydarzeniach nie tylko ze świata technologii.

Słuchaj w Apple Podcasts

Subskrybuj przez RSS

Słuchaj w Overcast FM

Słuchaj na Spotify

Słuchaj w Pocket Casts

Słuchaj w Castro



DOMINIK ŁADA
@dominiklada

Z Cupertino na szlak.
Jak Peakme zamienia górskie wyprawy w cyfrową przygodę

Spotkaliśmy się na WWDC26, ale rozmowa szybko zeszła z Apple Intelligence, Xcode'a i nowości systemowych na... góry. Łukasz Lech, polski programista iOS, przyjechał do Cupertino po raz pierwszy jako uczestnik konferencji Apple. Przy okazji opowiedział mi o **Peakme** – aplikacji stworzonej przez grupę przyjaciół, która pozwala kolekcjonować zdobyte szczyty, śledzić postępy w górskich wyzwaniach i automatycznie wykrywać zdobyte wierzchołki na podstawie danych z zegarka czy aplikacji treningowych.

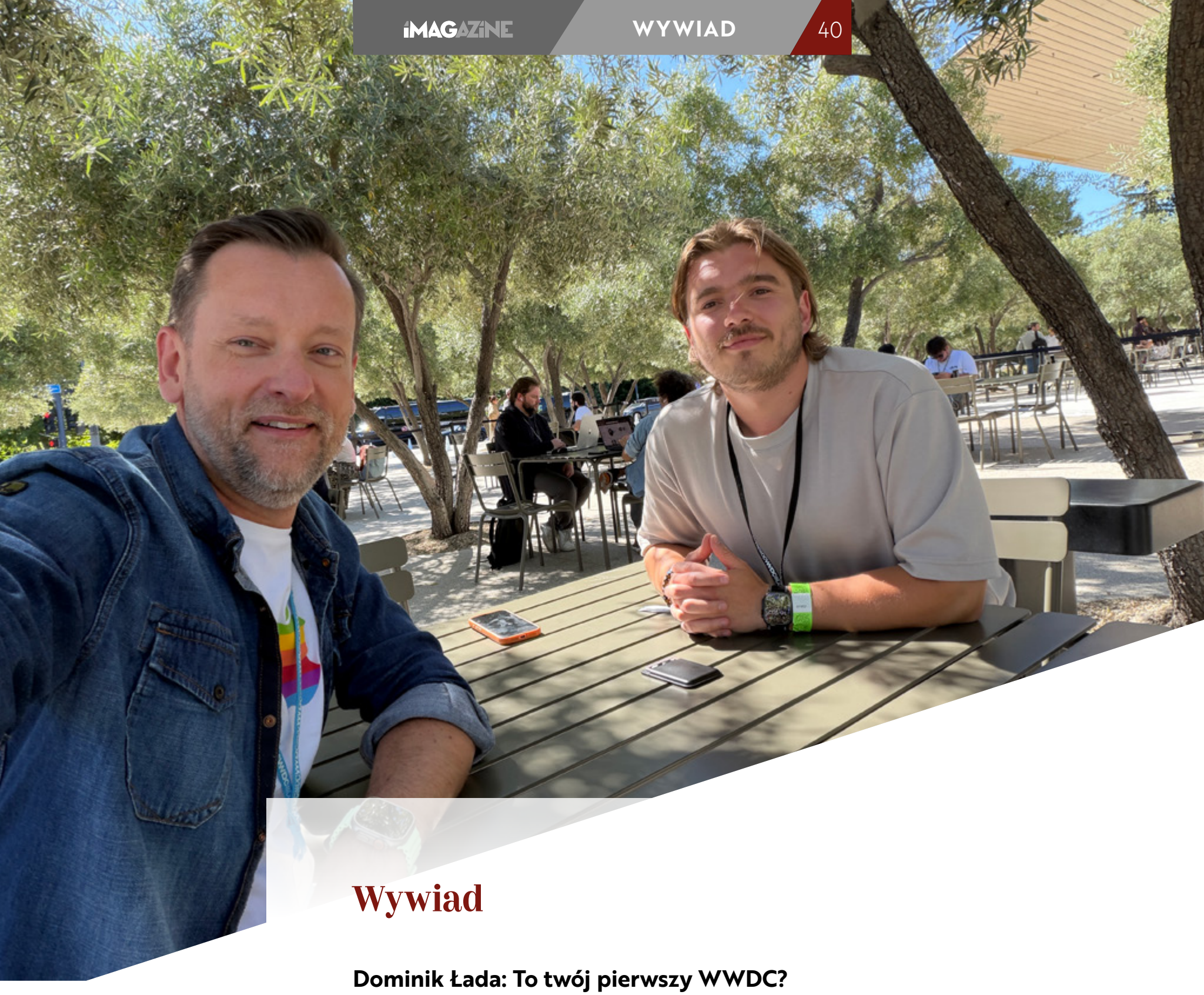
Górska książeczka XXI wieku

Peakme powstało z bardzo prostego pomysłu: przenieść tradycyjne książeczki do zbierania pieczątek za zdobyte szczyty do świata smartfonów. Aplikacja agreguje popularne „Korony" i inne projekty górskie, automatycznie analizuje zapisane treningi z HealthKit, Stravy czy Suunto, a wkrótce również Garmina, i sprawdza, jakie szczyty udało się zdobyć.

To jednak coś więcej niż cyfrowy dzienniczek. Peakme rozwija funkcje społecznościowe, planowanie tras, rankingi i rekomendacje kolejnych wypraw. Co ciekawe, za projektem stoi zaledwie czteroosobowy zespół, który rozwija aplikację po godzinach, traktując ją nadal jako hobby.

Podczas WWDC26 w Cupertino porozmawiałem z Łukaszem Lechem o narodzinach Peakme, wyzwaniach związanych z analizą danych GPS, integracjach ze Stravą i Garminem oraz o tym, jak wygląda tworzenie ambitnej aplikacji z pasji do gór.





Wywiad

Dominik Łada: To twój pierwszy WWDC?

Łukasz Lech: Tak, pierwszy raz udało mi się wylosować złoty bilet. Jestem zachwycony. Wszystko przerosło moje oczekiwania. Już od niedzielnego odbioru identyfikatorów w Infinite Loop było czuć wyjątkową atmosferę. Networking, spotkania z deweloperami z całego świata, później Apple Park, a dziś sesje na żywo. Udało się też spotkać sporą grupę Polaków, nawet dwóch inżynierów Apple z Polski. To naprawdę niesamowite doświadczenie.

DŁ: A Apple Park?

ŁŁ: Robi ogromne wrażenie. Najbardziej zaskoczyło mnie to, jak bardzo cały kampus jest wtopiony w naturę. Jest mnóstwo zieleni, zwierzęta dosłownie spacerują między budynkami. Co ciekawe, nawet będąc tuż obok, nie zawsze ma się świadomość, że znajduje się obok jednej z najbardziej rozpoznawalnych siedzib technologicznych na świecie.

DŁ: Przejdźmy do Peakme. Skąd wziął się pomysł?

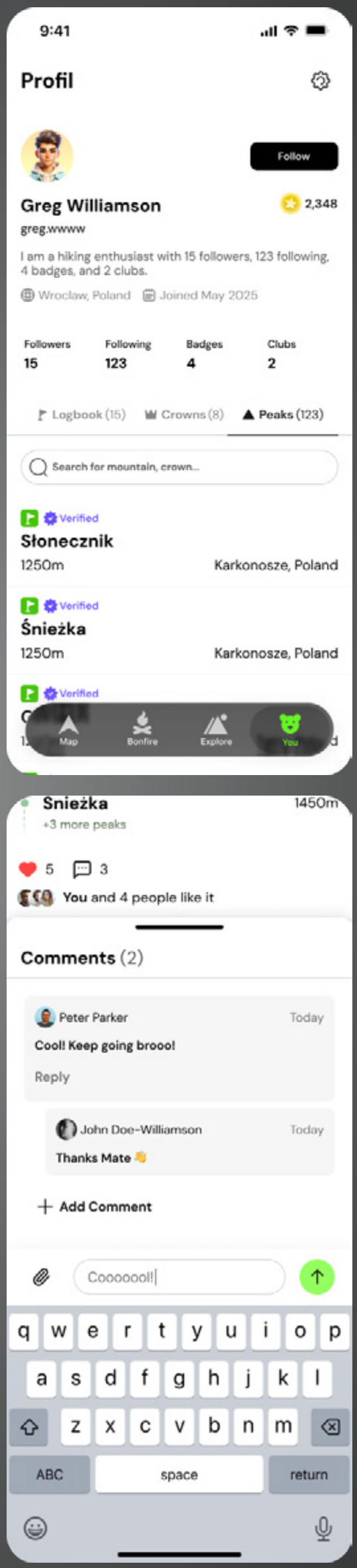
ŁŁ: To był pomysł mojego najlepszego przyjaciela jeszcze z czasów studiów. Od zawsze dużo chodził po górach i marzył o aplikacji, która byłaby odpowiednikiem książeczki do zbierania pieczątek za zdobyte szczyty. Tylko nie jednej książeczki, ale wielu jednocześnie.

Mamy przecież Koronę Gór Polski, ale poza nią istnieją dziesiątki innych projektów, odznak i klubów. Chcieliśmy zebrać je wszystkie w jednym miejscu i jednocześnie dodać coś od siebie – nasze ulubione szczyty, trasy i rekomendacje.

Pierwsze podejście do projektu kilka lat temu się nie udało. Odłożyliśmy go na bok, ale w ubiegłym roku wróciliśmy z nową energią i tym razem doprowadziliśmy sprawę do końca.

DŁ: Kto tworzy Peakme?

ŁŁ: Cztery osoby. Ja i mój przyjaciel jesteśmy programistami iOS. Dołączyła do nas również jego żona, która zajmuje się frontendem oraz marketingiem, a czwartą osobą jest designer. Łączy nas wspólna pasja do gór.



DŁ: Przyznam, że aplikacja zrobiła na mnie bardzo dobre wrażenie. Dwa tygodnie temu byłem w Tatrach, połączyłem Peakme z HealthKit i aplikacja automatycznie odnalazła moje wcześniejsze wyprawy. Wszystko pojawiło się od razu.

ŁŁ: Właśnie na tym bardzo nam zależało. Od początku wiedzieliśmy, że sama możliwość ręcznego zaznaczania zdobytych szczytów to za mało. Chcieliśmy, aby aplikacja sama rozpoznawała, gdzie użytkownik był.

Od początku wiedzieliśmy, że sama możliwość ręcznego zaznaczania zdobytych szczytów to za mało. Chcieliśmy, aby aplikacja sama rozpoznawała, gdzie użytkownik był.

Stworzyliśmy więc algorytm analizujący treningi. Bierze pod uwagę pozycję GPS, odległość od szczytu, wysokość oraz dane zapisane przez zegarek lub telefon. Staramy się, aby działało to możliwie wiarygodnie.

DŁ: Zdarzają się pomyłki?

ŁŁ: Oczywiście. Największym problemem są zakłócenia GPS. Jeden z użytkowników zgłosił nam na przykład, że aplikacja nie zaliczyła wejścia na Kazbek. Po przeanalizowaniu śladu zobaczyliśmy bardzo dziwne skoki pozycji GPS, prawdopodobnie wynikające z zakłóceń sygnału. Są sytuacje, których po prostu nie da się wyeliminować w stu procentach.

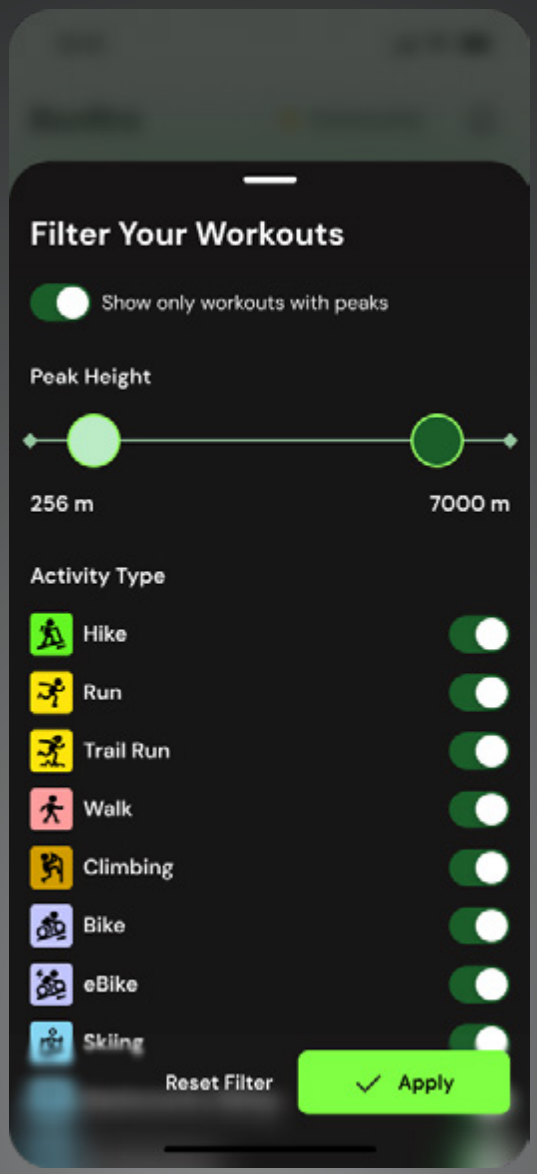
Jednocześnie nie chcemy, aby algorytm był zbyt liberalny i zaliczał szczyty, których ktoś faktycznie nie zdobył.

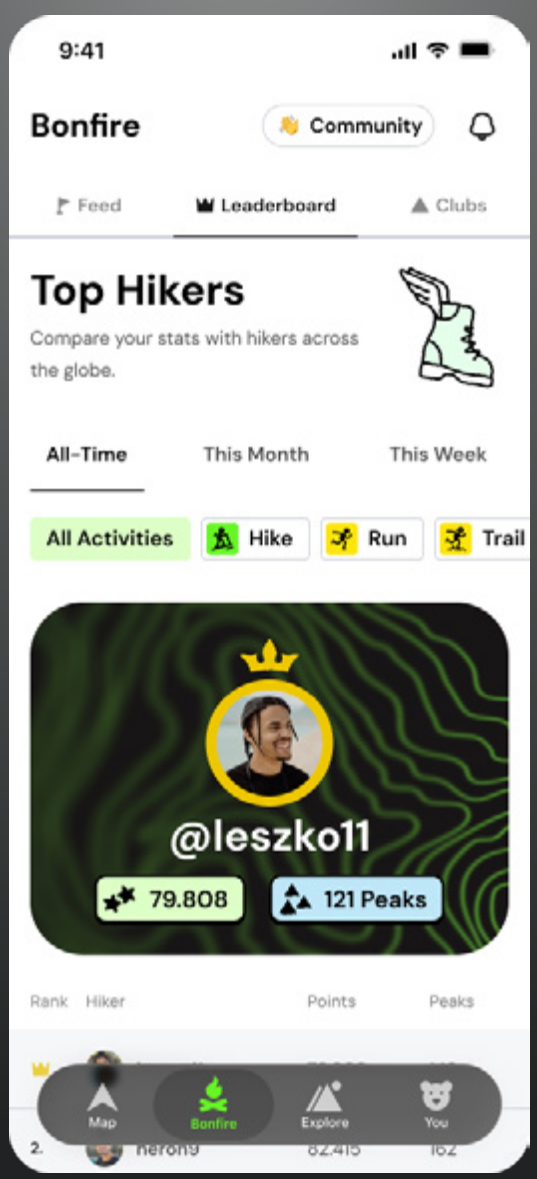
DŁ: Jak długo Peakme jest dostępne?

ŁŁ: Około roku. Trzeba pamiętać, że to nadal projekt rozwijany po godzinach. Każdy z nas ma normalną pracę zawodową. Są okresy, kiedy pracujemy nad aplikacją bardzo intensywnie, a są też takie, kiedy obowiązki zawodowe biorą górę.

DŁ: Jakie integracje są obecnie dostępne?

ŁŁ: Działamy z HealthKit, Stravą i Suunto. Jesteśmy również bardzo blisko pełnej integracji z Garminem. Mamy już dostęp do ich API, które wymaga osobnej akceptacji i procesu weryfikacji.





Przy okazji integracji ze Stravą musieliśmy przebudować sporą część architektury aplikacji. Analiza treningów, która wcześniej odbywała się wyłącznie na urządzeniu użytkownika, została przeniesiona na serwer.

DŁ: Co dalej?
ŁŁ: Bardzo mocno rozwijamy funkcje społecznościowe. Powstają profile użytkowników, możliwość obserwowania znajomych, komentarze, reakcje i rankingi.

Mamy już działające leaderboardy podzielone według różnych aktywności. To nie tylko piesze wędrówki, ale również biegi górskie, skitury, narciarstwo biegowe czy rower.

Pracujemy też nad algorytmem, który będzie podpowiadał osoby o podobnych zainteresowaniach górskich.

DŁ: Czyli Peakme zaczyna przypominać społeczność dla ludzi kochających góry?
ŁŁ: Dokładnie taki jest plan. Chcemy, aby aplikacja pomagała nie tylko rejestrować zdobyte szczyty, ale również poznawać ludzi i planować kolejne wyprawy.

DŁ: A co z planowaniem tras?

ŁŁ: To jeden z naszych najważniejszych kierunków rozwoju. Chcemy pomagać użytkownikom odpowiadać na pytanie, gdzie pojechać w góry w najbliższy weekend?

Jeżeli aplikacja wie, jakie korony zdobywasz, które szczyty już masz zaliczone i gdzie mieszkasz, może zasugerować najbardziej optymalny kierunek wyjazdu oraz trasę prowadzącą przez brakujące punkty.

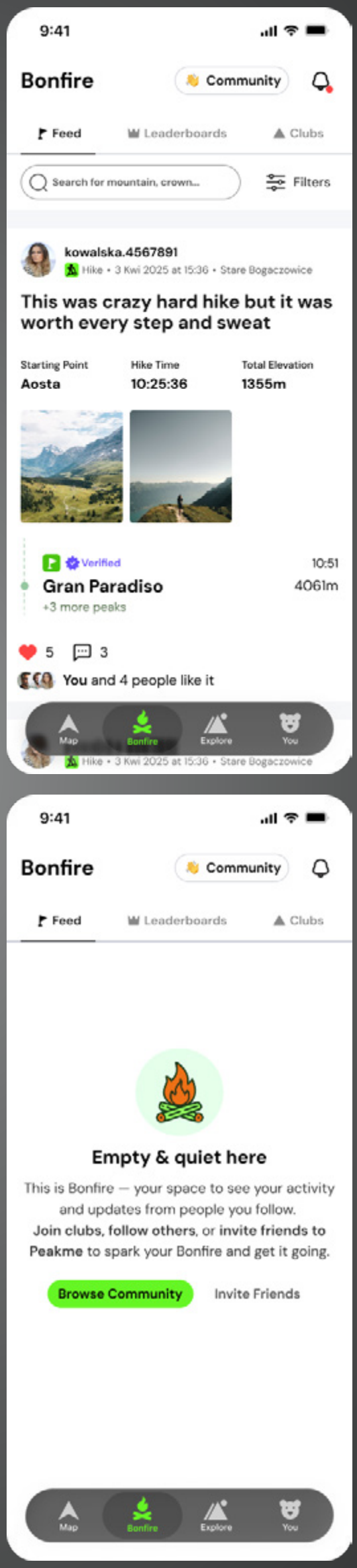
DŁ: Apple Watch?

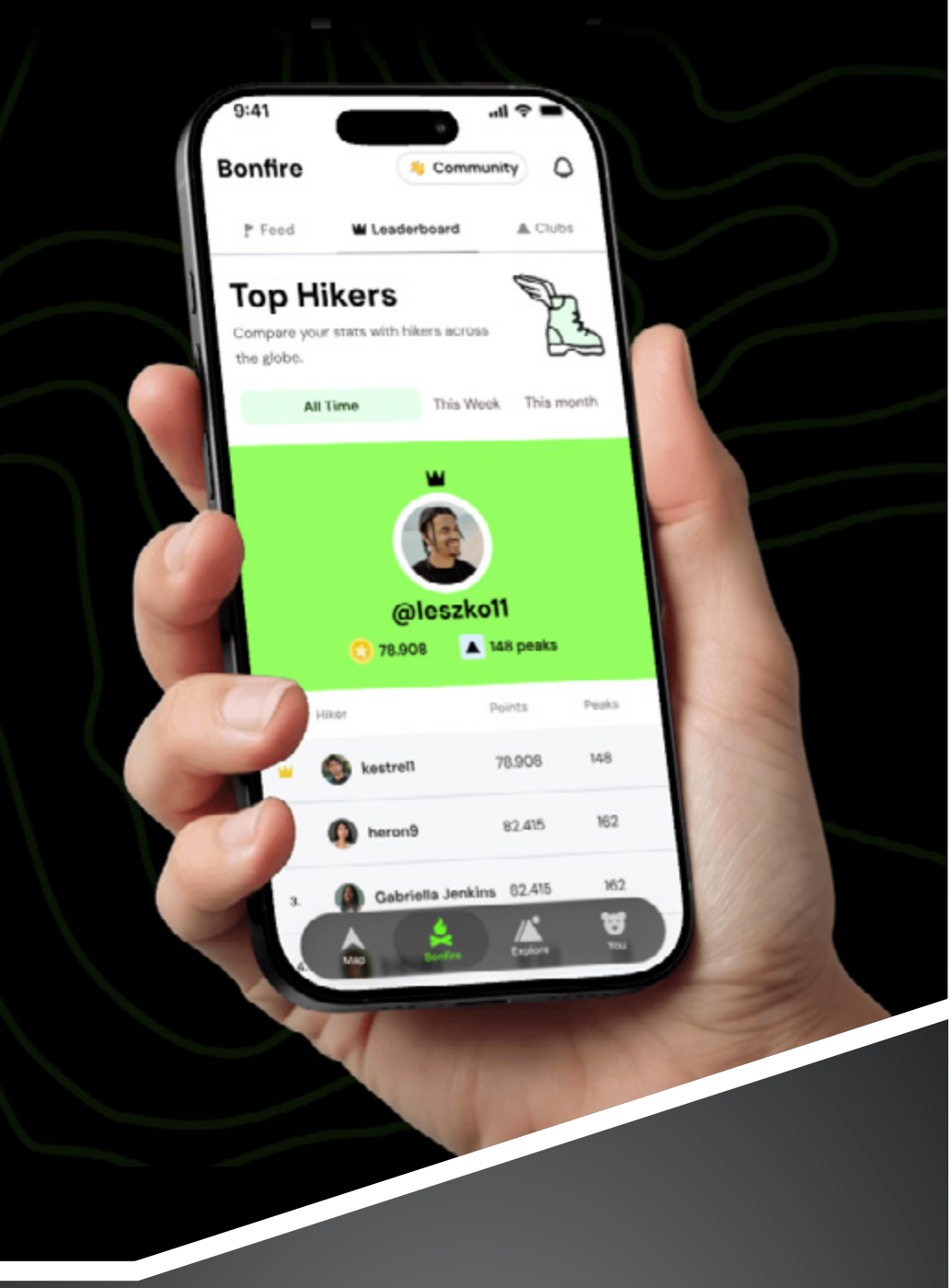
ŁŁ: Jeszcze nie, ale jest na roadmapie. Najpierw chcemy ukończyć planowanie tras. Docelowo użytkownik będzie mógł przygotować wycieczkę w Peakme, przesłać ją na zegarek i nawigować wyłącznie przy jego pomocy.

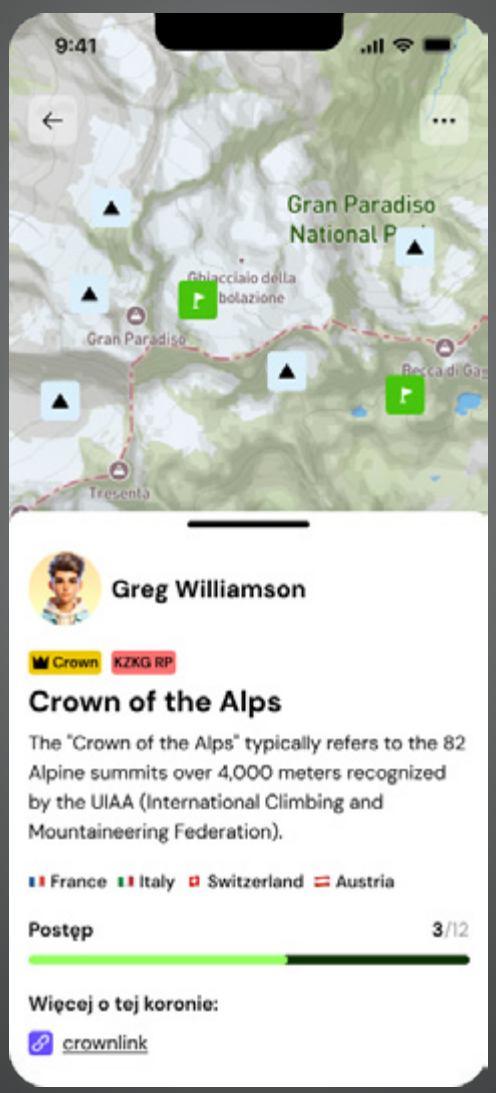
Pracujemy również nad pierwszymi rozwiązaniami dla urządzeń Garmina.

DŁ: W aplikacji jest wersja darmowa i płatna. Czym się różnią?

ŁŁ: Darmowa wersja pozwala przetestować automatyczne wykrywanie zdobytych szczytów. Użytkownik otrzymuje podgląd pierwszych dziesięciu treningów, w których wykryliśmy szczyty.







Dodatkowo może dodawać jedno zdjęcie do wpisu.

Wersja płatna usuwa te ograniczenia i pozwala dodawać większą liczbę zdjęć.

DŁ: Filmy również?
ŁŁ: Na razie tylko zdjęcia. To i tak było dla nas spore wyzwanie od strony technicznej i kosztowej. Musimy rozsądnie zarządzać przestrzenią dyskową i kosztami przechowywania danych.

DŁ: Mam wrażenie, że Peakme wygląda jak projekt dużo większej firmy.
ŁŁ: Bardzo mi miło to słyszeć. Właśnie dlatego od czasu do czasu występuję na konferencjach deweloperskich. Opowiadam nie tyle o sukcesie, co o samej drodze.

Często słyszymy historie ludzi, którym udało się stworzyć wielkie biznesy. Ja chciałem pokazać coś innego – że można mieć pomysł, kilka razy się potknąć, wrócić do projektu po latach i mimo wszystko doprowadzić go do publikacji.

Po takich wystąpieniach podchodziło do mnie mnóstwo osób, które miały własne pomysły schowane gdzieś w szufladzie. Jeśli nasza historia pomaga im zrobić pierwszy krok, to dla mnie ogromna satysfakcja.

DŁ: Powiem szczerze: gdybym znał Peakme przed wyjazdem w Tatry,

korzystałbym z niej od pierwszego dnia. Po instalacji aplikacja od razu zaimportowała moje wcześniejsze treningi i wciągnęła mnie na dobre.
ŁŁ: I właśnie o to chodziło. Ludzie chodzą po górach od lat. Nie chcieliśmy zmuszać ich do zaczynania od zera. Te dane już istnieją w HealthKit czy Stravie, więc naszym zadaniem było znaleźć sposób, by wykorzystać je do budowania górskiej historii każdego użytkownika.

Rozmawialiśmy podczas WWDC26 w Cupertino. Patrząc na tempo rozwoju Peakme i energię zespołu, mam wrażenie, że to dopiero początek tej historii. A jeśli sami lubicie góry, warto dać tej aplikacji szansę – szczególnie zanim wyruszycie na kolejny szlak.







WOJTEK PIETRUSIEWICZ
@moridln

HelRiders Festival 2026
– kiedy benzyna miesza się ze słoną wodą

Kemping Chałupy 6 od lat jest mekką ludzi, którzy po prostu cenią dobre życie. Ale kiedy dorzucisz do tego samochody (głównie) marki Porsche, deski surfingowe, deskorolki, rock'n'rolla oraz grupę pasjonatów, dostajesz HelRiders Festival. To polski odpowiednik... wróć! Nie ma czegoś takiego na świecie!



To bezdyskusyjnie najbardziej wyjątkowe wydarzenie tego typu, które już w tym roku zaczęło przyciągać pierwszych fascynatów z zagranicy. Dla mnie stało się obowiązkową pozycją w kalendarzu i każdemu polecam chociaż raz w życiu się tam udać.

Jak?

Większość naprawdę świetnych rzeczy na tym świecie powstaje, bo komuś czegoś brakuje. Dokładnie tak było w tym przypadku. Półwysep Helski od zawsze przyciągał surferów, kitesurferów i ludzi uciekających przed „betonozą" miast. Z drugiej strony, w Polsce z roku na rok rosła w siłę scena motoryzacyjna, szczególnie klasyczna. Problem polegał na tym, że te dwie potężnie nacechowane stylem subkultury rzadko miały okazję oficjalnie zbić piątkę w jednym miejscu.

Twórcy festiwalu, mocno zakorzenieni w środowisku skupionym wokół kultowego kempingu Chałupy 6, postanowili to zmienić. Zapatrzeni w zachodnie festiwale, łączące zapach spalin z kalifornijskim luzem, stwierdzili: robimy to u nas. Bez ogromnych, napompowanych budżetów na start, za to z potężnym ładunkiem pasji i genialną miejscówką.



Kto?

Za każdym sensownym projektem stoją konkretni ludzie z krwi i kości, a nie bezduszne arkusze w Excelu. W przypadku HelRiders mówimy o zgranej ekipie, która z jednej strony doskonale ogarnia logistykę i klimat Chałup 6, a z drugiej ma wysokooktanową benzynę w żyłach. Założyciele i partnerzy festiwalu to pasjonaci, którzy potrafią spędzić zimę. dłubiąc w garażach przy starych, chłodzonych powietrzem silnikach, a latem rzucają wszystko, żeby łapać fale. To właśnie oni nadali temu wydarzeniu duszę. Nie ma tu miejsca na wszechobecny dziś plastik i sztuczność. Liczy się autentyczność.

To właśnie po to się tutaj przyjeżdża – dla ludzi, pasjonatów i pozytywnych świrów. Dla klimatu, plaży, chillu, pięknych samochodów, świetnego jedzenia i muzyki.

Co?

Tegoroczna edycja HelRiders zaczęła się już w piątek od 19:00, kiedy to przejęty został teren Lunaparku Sowiński. To było iście mistrzowskie posunięcie – porozstawianie modeli Porsche, starych, chłodzonych powietrzem i nowych, chłodzonych wodą, pomiędzy atrakcjami. Ale nie ot tak sobie – zrobione zostało to tematycznie! Porsche Carrera GT (tak, HelRiders doczekało się CGT!) stało pod atrakcją Król, wyjątkowy Ruf pod Extreme, a Cayenne pod Straszny Dwór. Więcej przykładów znajdziecie na zdjęciach. A jak już zapadł zmrok i zapaliły się światła, było iście bajkowo i tak niesamowicie klimatycznie, że nie potrafię znaleźć odpowiednich słów, które oddałyby to, co czułem, będąc w tak wyjątkowym miejscu. A kiedy myślałem już, że nie może być lepiej, to trzech skoczków w podświetlonych wingsuitach

z warkoczem iskier ciągnących się za nimi w powietrzu wyskoczyło z helikoptera i wylądowało na terenie lunaparku.

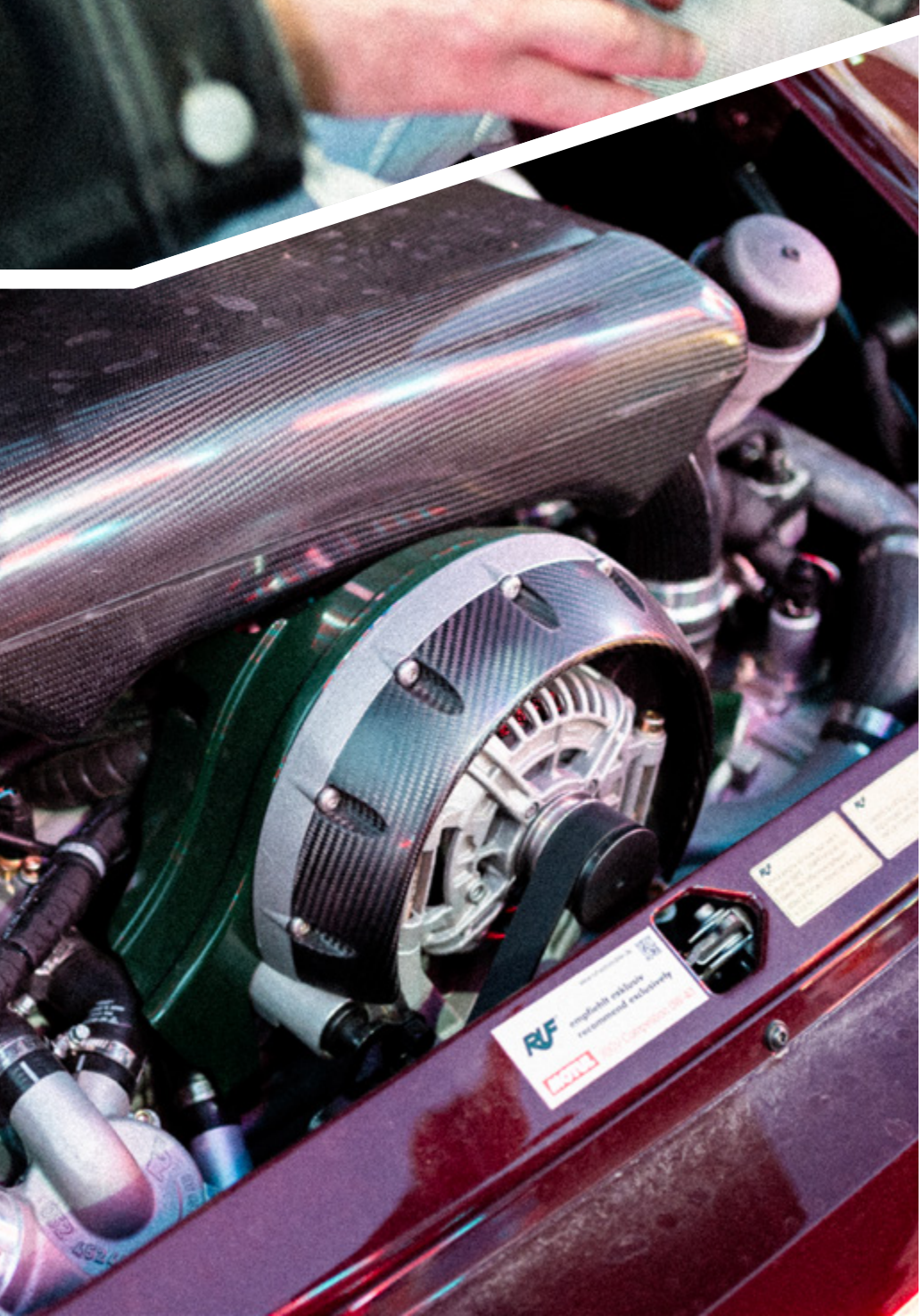
Sobota była przede wszystkim chillowa. Świetne jedzenie w Karmie na terenie Chałup 6, panele dyskusyjne po drugiej stronie ulicy na głównym parkingu, offroadowe zmagania na terenie żwirowni, szkolenia surfingowe i paddle boardowe, turniej wiedzy o Porsche, zawody deskorolkowe na plaży, gdzie najlepsi zawodnicy z całej Polski skakali nad Porsche 928 Surfari... A wieczorem kolejny pokaz lotniczy, kino motoryzacyjne oraz koncerty: Smolik/Kev Fox, Bokka i Weronika Drybs.

To właśnie na niedzielę został przeniesiony w tym roku Kaszëbë Rally – rajd dla uczestników, którzy podążali wyznaczonymi trasami z Chałup 6 do hotelu Zamek Łeba na obiad, deser oraz czas spędzony wspólnie.

Dzień i cały festiwal został zwieńczony wspólnymi przekąskami w restauracji Karma.







Z kim?

Porsche współpracuje z HelRiders przy tworzeniu całej imprezy i dzięki temu każdego roku ściągają z Porsche Muzeum wyjątkowe auta, które stoją wyeksponowane, aby każdy mógł na nie popatrzeć. Obok nich są oczywiście samochody uczestników. W tym roku spotkać mogliśmy absolutnie wszystko, od pierwszych G-modeli aż po najnowsze 911 992.2 w najprzeróżniejszych wariantach, z i bez dachów. Perełkami tegorocznymi niewątpliwie była przepiękna polska Carrera GT oraz wyjątkowy Ruf w barwie ciemnego fioletu. Wyróżniał się również Cayman na zawieszeniu Air Ride, absolutnie cudowne 964 Turbo 3.6 oraz miętowe (z palety PTS) 911 GT3 Touring. To są auta, które akurat mnie wpadły w oko, ale każde Porsche na miejscu było wyjątkowe.

Chciałbym tutaj osobiście podziękować wszystkim partnerom, którzy brali udział



w tworzeniu tego festiwalu – odwaliliście kawał dobrej roboty i stworzyliście coś, za czym tęsknię już dzień po powrocie do domu.

Kiedy?

A kiedy ty przyjedziesz na kolejną edycją HelRiders? Przypominam, że impreza stoi pod hasłem Speed, Skate, Surf. Otwarta jest zatem dla pasjonatów nie tylko samochodów, ale również sportów wodnych. Ponieważ jest to festiwal wyjątkowy na skalę światową, naprawdę warto go zobaczyć. Daleko nie jest, a wrażenia zapamiętacie do końca życia.




PORSCHE
DW 3GV23
SMY 4W
PO 77
WI 4964U


ELEMENT
BOARDRIDERS
G-SHOCK
PORSCHE
SPEED · SURF · SKATE
G-SHOCK

Sorry

Na koniec chciałem przeprosić za absolutny chaos w przekazywaniu moich myśli. Głównym powodem jest właśnie szaleństwo w mojej własnej głowie. Mam tysiące myśli na sekundę i nadal wspominam wszystkie wyjątkowe chwile z tych trzech dni (a było ich ogrom!). Tegoroczny event był jeszcze lepszy niż przed rokiem. Chciałoby się rzec, że perfekcyjny... i taki też pozostanie w mojej głowie.

Mniam!

Na deser zapraszam do trzech 60-sekundowych reelsów na moim IG: **dzień 1 w lunaparku**, **dzień 2 na plaży** i **dzień 3 na rajdzie**. Więcej informacji znajdziecie oczywiście **na stronie HelRiders** oraz **na ich profilu na IG**. Na koniec jeszcze chciałbym osobiście pogratulować **LANGE & LANGE** za stworzenie brandingu dla HelRidersów – iście mistrzowska kreacja (stali czytelnicy wiedzą, jak lubię dobry design!). Tak, to ekipa, która również ubrała zwycięskie bolidy (w Le Mans 2026) Inter Europol. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Gustaw!



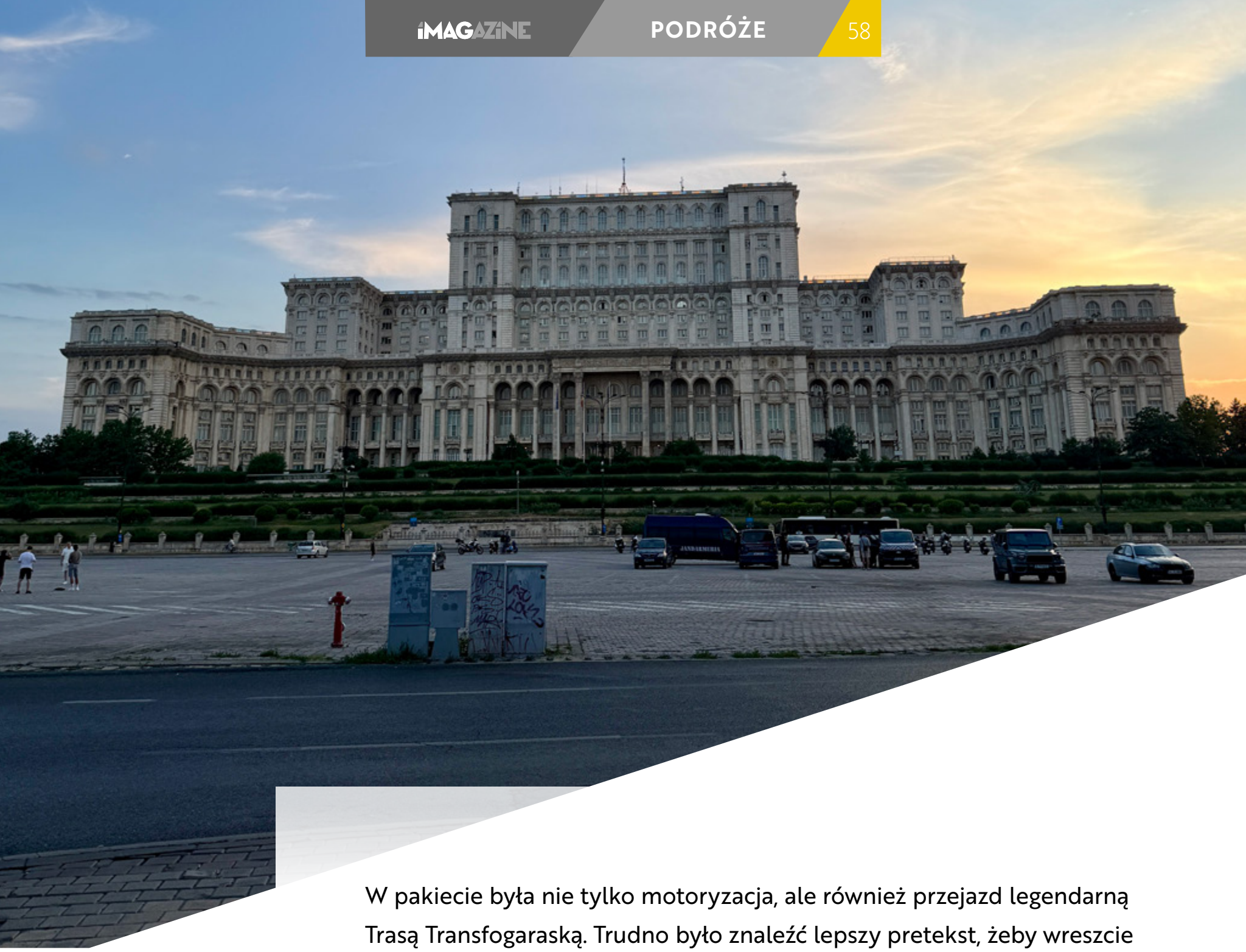




DOMINIK ŁADA
@dominiklada

Między niedźwiedziami a Drakulą. Rumuński city break, którego nie da się zapomnieć

Przyznaję bez bicia – do Rumunii wybierałem się od lat. Zawsze jednak pojawiało się jakieś ale: brak czasu, inne plany, kolejny lot w inną część Europy. Tym razem los zdecydował za mnie. Kiedy w redakcji pojawiło się zaproszenie od Dacii na jazdy testowe nowych modeli i prezentację napędów hybrydowych, a Darek nie mógł polecieć, natychmiast zgłosiłem się na ochotnika.



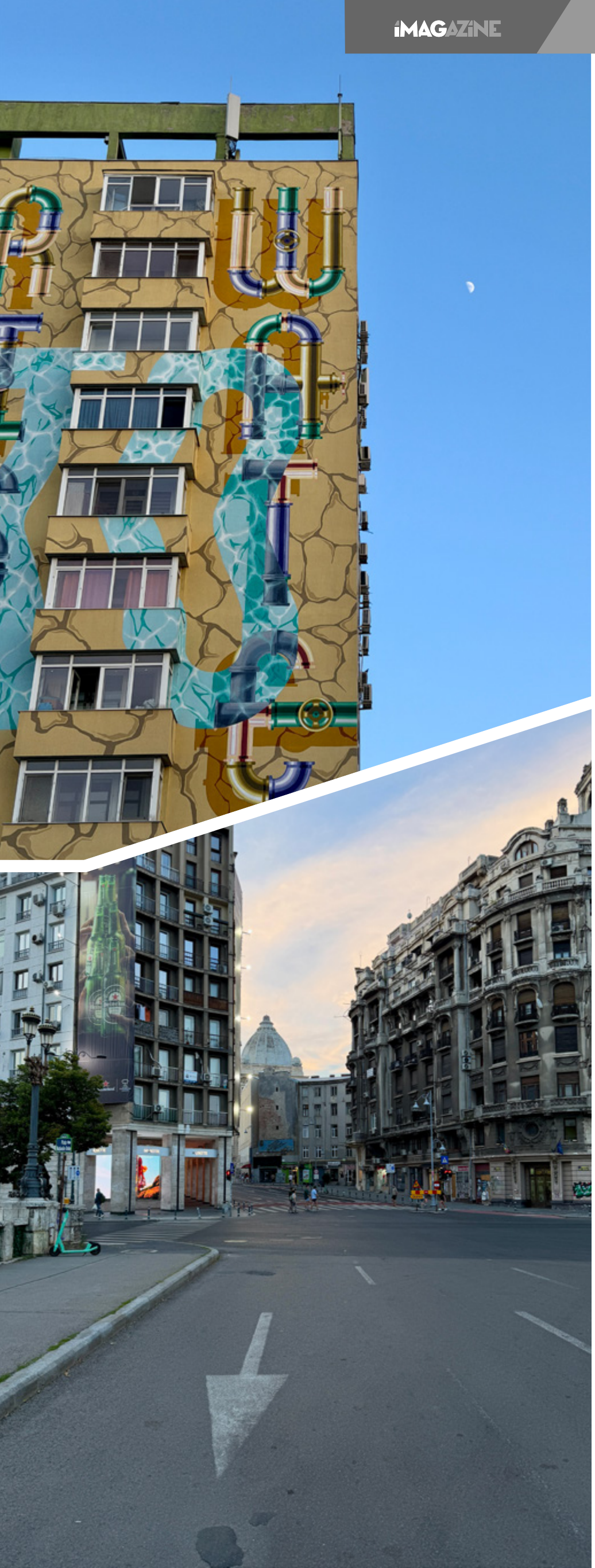
W pakiecie była nie tylko motoryzacja, ale również przejazd legendarną Trasą Transfogaraską. Trudno było znaleźć lepszy pretekst, żeby wreszcie odwiedzić kraj, który okazał się znacznie ciekawszy, niż się spodziewałem.

Perspektywa kilku dni w Rumunii, przejazdu słynną Trasą Transfogaraską i poznania kraju, który dla wielu Polaków wciąż pozostaje nieco egzotyczny, była wystarczającą zachętą. Nie spodziewałem się jednak, że wrócę z przekonaniem, iż to jeden z najbardziej niedocenianych kierunków na szybki city break w Europie.

Bukareszt – miasto kontrastów

Podróż rozpoczęła się w Bukareszcie. Do stolicy Rumunii bez problemu można dolecieć z Warszawy i Modlina. Połączeń jest sporo, latają tam zarówno LOT, Ryanair, jak i Wizz Air, więc znalezienie dogodnego terminu nie stanowi większego problemu.

Bukareszt często określany jest mianem Paryża Wschodu. Niektórzy widzą w nim także coś z włoskich miast. Po kilku godzinach spaceru można



zrozumieć, skąd te porównania. Miasto jest niezwykle różnorodne. Obok eleganckich bulwarów stoją modernistyczne kamienice, brutalistyczne bloki i monumentalne budynki z czasów komunizmu.

Największe wrażenie robi oczywiście Pałac Parlamentu, znany również jako Dom Ludu. To jeden z największych budynków administracyjnych świata, wzniesiony z rozkazu Nicolae Ceaușescu. Żeby zrobić dla niego miejsce, wyburzono sporą część historycznej dzielnicy miasta. Sam budynek ma około 60 metrów wysokości, ale równie imponująca część ukryta jest pod ziemią. Mówi się o tysiącach pomieszczeń, własnej infrastrukturze technicznej, a nawet planach budowy stacji metra pod kompleksem.

To pomnik megalomanii dyktatora, który jednocześnie fascynuje i przeraża. W środku funkcjonuje dziś Parlament Rumunii, część ministerstw, a także przestrzenie wystawowe i kulturalne.

Kilka kilometrów dalej znajduje się zupełnie inny świat. Eleganckie dzielnice willowe, ambasady, szerokie aleje i łuk triumfalny wzorowany na tym paryskim. Bukareszt jest zielony, pełen parków i zaskakująco zachęcający do spacerowania.

Wieczorem warto zajrzeć do Centrul Vechi, czyli historycznego centrum miasta. To właśnie tutaj koncentruje się życie



nocne, restauracje i kawiarnie. Kuchnia rumuńska nie należy może do najbardziej wyrafinowanych w Europie, ale ma swój charakter. Dominują grillowane mięsa, różnego rodzaju pasty do chleba i zupy. Najbardziej charakterystyczna pozostaje ciorbă de burtă, czyli rumuńska wersja flaków. Nie każdemu przypadnie do gustu, ale będąc na miejscu, warto spróbować. Na deser koniecznie zamówcie papanași – tradycyjne rumuńskie pączki serowe podawane z kwaśną śmietaną i konfiturą, najczęściej wiśniową. Wyglądają jak duża oponka z małą kulką ułożoną na wierzchu i są jednym z tych lokalnych specjałów, dla których warto zrobić wyjątek nawet podczas najbardziej restrykcyjnej diety. Po pierwszym kęsie łatwo zrozumieć, dlaczego dla wielu turystów stają się kulinarnym symbolem Rumunii.





W drogę. Kierunek Karpaty

Prawdziwa przygoda zaczęła się jednak dopiero następnego dnia.

To właśnie wtedy odebraliśmy samochody i ruszyliśmy na jedną z najbardziej spektakularnych tras Europy. Za kierownicą czekała na mnie nowa Dacia Bigster wyposażona w nowy napęd hybrid-G 150 4×4 – rozwiązanie, które łączy hybrydę, instalację LPG oraz napęd na cztery koła. To pierwsza taka konstrukcja na rynku.

Brzmi jak inżynierska ciekawostka? Na papierze może tak. W praktyce okazała się idealnym kompanem na rumuńskie drogi.

Nowy układ wykorzystuje benzynowy silnik 1.2 turbo wspierany przez instalację LPG oraz elektryczny napęd tylnej osi. Łączna moc wynosi 154 KM, a dzięki dwóm 50-litrowym zbiornikom można przejechać nawet około 1500 kilometrów bez tankowania.

Najciekawsze jest jednak to, jak ten napęd zachowuje się w górach. Podczas jazdy po krętych drogach Karpat bardzo dobrze było czuć natychmiastową reakcję elektrycznej osi tylnej. Szczególnie przy wyjazdach z ciasnych zakrętów czy na stromych podjazdach.

I właśnie takie warunki miały za chwilę nadejść.

Transfogaraska – droga, która stała się legendą

Trasa Transfogaraska nie bez powodu regularnie pojawia się w rankingach najpiękniejszych dróg świata. Ogromną popularność przyniósł jej również odcinek programu „Top Gear", którego prowadzący nazwali ją najlepszą drogą samochodową na świecie.

Powstała w latach 70. z polecenia Ceaușescu po interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji. Dyktator chciał mieć możliwość szybkiego przemieszczania wojsk przez Karpaty. Efektem była droga licząca około 150 kilometrów, przecinająca najwyższe partie Gór Fogaraskich i wspinająca się na wysokość ponad 2000 metrów nad poziomem morza.

Dziś jest jedną z największych atrakcji Rumunii.





Każdy kolejny zakręt odsłania nowe panoramy. Raz jedziemy przez gęsty las, chwilę później otwiera się widok na monumentalne zbocza Karpat. Co kilka kilometrów znajdują się punkty widokowe, wodospady i miejsca, w których chce się zatrzymać choćby na kilka minut.

Przez całą trasę towarzyszą motocykliści. Wielu z nich przyjeżdża do Rumunii właśnie po to, aby przejechać Transfogaraską. Patrząc na te serpentyny, trudno się dziwić.

Jako rowerzysta patrzyłem na tę drogę również z innej perspektywy. Teoretycznie to raj dla kolarzy. W praktyce ruch samochodowy jest tak duży, że widziałem zaledwie jednego śmiałka na rowerze.

Jest jeszcze jeden powód.

Niedźwiedzie.

Google Maps pokazuje korki. Wiadomo, że są misie

Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego.

Znaki ostrzegające przed niedźwiedziami pojawiają się przy drodze niemal bez przerwy. Rumuńskie służby apelują, by nie dokarmiać zwierząt, nie podchodzić do nich i nie zatrzymywać samochodów.

Oczywiście większość turystów robi dokładnie odwrotnie.

Podczas jednego przejazdu naliczyłem kilkanaście niedźwiedzi. Niektóre spacerowały poboczem, inne siedziały niemal na środku jezdni. W miejscach, gdzie pojawiały się zwierzęta, natychmiast tworzyły się korki.

Najzabawniejsze było to, że można było wręcz przewidzieć obecność niedźwiedzi, patrząc na Google Maps. Jeśli nagle na środku lasu pojawiało się spowolnienie ruchu, niemal pewne było, że kilkaset metrów dalej stoi grupa ludzi fotografujących misia.

Co więcej, na telefonach regularnie pojawiały się alerty bezpieczeństwa. Powiadomienia trafiały jednocześnie na smartfony, smartwatche, CarPlay. Wszystko zaczynało głośno alarmować o obecności niedźwiedzi w okolicy lub zagrożeniu gwałtownymi opadami i lokalnymi powodziami.



Momentami przypominało to trochę Mierzeję Wiślaną i ostrzeżenia przed dzikami. Tyle że tutaj zwierzę waży często ponad 300 kilogramów.

Drakula naprawdę mieszkał tutaj

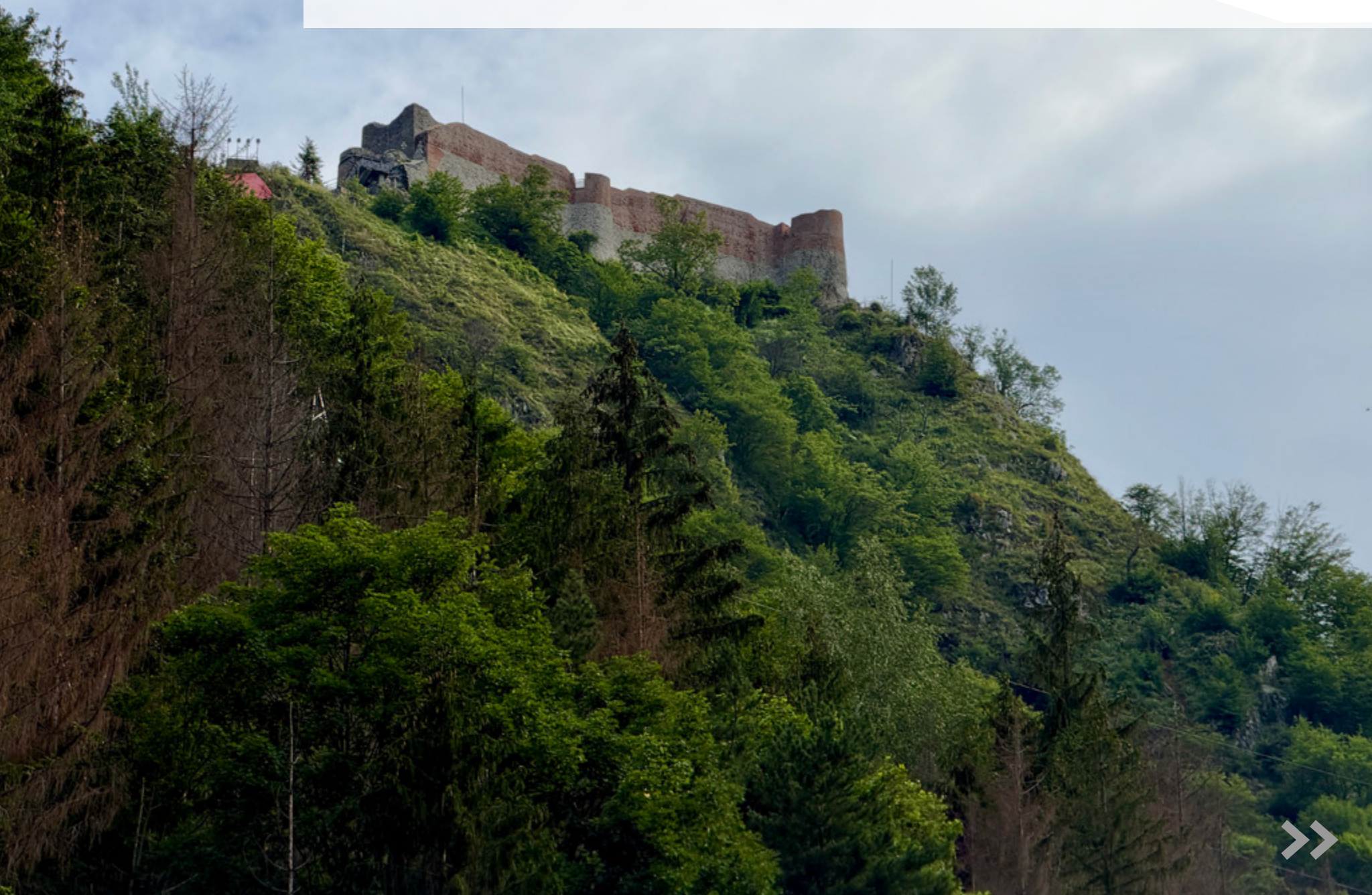
Jednym z obowiązkowych przystanków jest Twierdza Poenari.

To właśnie ten zamek uznawany jest za prawdziwą siedzibę Vlada Palownika, czyli historycznej postaci będącej inspiracją dla Drakuli.

Nie jest tak widowiskowy jak słynny zamek Bran, ale za to znacznie bardziej autentyczny. Problem polega na tym, że trzeba się do niego dostać.

Do pokonania jest około 1500 schodów.

Widok z góry wynagradza jednak wysiłek. Twierdza położona jest wysoko nad doliną rzeki Ardżesz i pozwala zrozumieć, dlaczego była praktycznie nie do zdobycia.





Tama Vidraru i krajobraz jak z filmu

Kolejnym punktem na trasie jest tama Vidraru. To jedna z największych budowli hydrotechnicznych Rumunii. Kiedy ją odwiedzałem, zbiornik znajdował się w trakcie remontu. Poziom wody był obniżony o kilkadziesiąt metrów względem normalnego stanu.

Widok był przez to jeszcze bardziej surrealistyczny. Na skałach wyraźnie było widać linię dawnego poziomu jeziora. Lokalni przewodnicy mówili, że całkowite napełnienie zbiornika po zakończeniu prac może potrwać nawet półtora roku.

W okolicy znajduje się kilka punktów widokowych, które warto zaznaczyć na mapie: Belvedere Lacul Vidraru, Panorama Transfăgărășan, Capra Waterfall czy Cascada Transfăgărășană. Każdy z nich oferuje nieco inną perspektywę na góry i wijącą się serpentynami drogę.



Owce, mgła i najwyższa przełęcz

Im wyżej wspinaliśmy się w kierunku Bâlea Lac, tym bardziej zmieniała się sceneria.

Las ustępował miejsca surowym górskim krajobrazom. Pojawiały się stada owiec pilnowane przez pasterzy, a pogoda zmieniała się dosłownie z minuty na minutę.

Chwilami jechaliśmy w pełnym słońcu, by po kilku kilometrach znaleźć się w gęstej mgle.

W takich warunkach doceniłem charakter Bigstera. To samochód, który idealnie wpisuje się w filozofię współczesnej Dacii – ma być praktyczny, rozsądny cenowo i gotowy na przygodę. Marka od kilku lat konsekwentnie buduje wizerunek związany z aktywnym stylem życia i outdoorowymi podróżami.

I właśnie tutaj, na rumuńskich serpentynach, ten przekaz przestaje być marketingowym sloganem.




DACIA
DUSTER
DACIA
EXPLORERS
CLUB
2026



Titu – miejsce, gdzie rodzą się nowe Dacie

Przed powrotem na lotnisko udało mi się jeszcze odwiedzić centrum techniczne Dacii w Titu.

To miejsce fascynujące dla każdego fana motoryzacji. Powstają tutaj kolejne generacje modeli Dacii, ale również mniejszych samochodów Renault. Co ciekawe, testowane są tam także konstrukcje Alpine.

Ogromny kompleks badawczo-rozwojowy pokazuje, jak bardzo zmieniła się Dacia przez ostatnie dwie dekady. Marka, która kiedyś była synonimem taniego samochodu, dziś sprzedaje setki tysięcy aut rocznie i coraz śmielej wchodzi do wyższych segmentów rynku.

Rumunia? Zdecydowanie tak

Wracałem do Polski z poczuciem, że odkryłem jedno z najciekawszych miejsc na krótki europejski wyjazd.

Bukareszt oferuje historię, architekturę i klimat dużej stolicy. Karpaty dostarczają spektakularnych widoków. Transfogaraska jest dokładnie tak piękna, jak mówią o niej wszyscy motoryzacyjni entuzjaści. Do tego dochodzą niedźwiedzie, zamki Drakuli, monumentalne budowle z czasów komunizmu i bardzo przystępne ceny.

Rumunia przez lata pozostawała trochę w cieniu bardziej popularnych kierunków. Tymczasem wystarczy kilka dni, żeby przekonać się, że to błąd.

A jeśli dodatkowo traficie tam za kierownicą samochodu stworzonego właśnie z myślą o takich drogach, cała podróż staje się jeszcze ciekawsza. Nieczęsto zdarza się bowiem city break, podczas którego jednego dnia ogląda się jeden z największych budynków świata, a następnego stoi kilka metrów od dzikiego niedźwiedzia siedzącego na środku górskiej drogi. Rumunia potrafi zaskakiwać. I robi to wyjątkowo skutecznie.





MICHAŁ ŚLIWIŃSKI
@MSliwinski

Czy japońskie jest lepsze?
Technologia, kultura, perfekcja...

Niedawno wybrałem się do Japonii – po raz pierwszy od 12 lat. Zauważyłem mnóstwo rzeczy, które w Japonii są inne niż u nas w Europie, a bardzo często... po prostu lepsze. Co przypomina mi słowa jednej z moich ulubionych piosenek Placebo – „Pure Morning" – w której pada wers: My Japanese is better... („mój japoński jest lepszy").



Tak czy inaczej, oto rzeczy, które rzuciły mi się w oczy podczas pobytu w Japonii. Wiele z tych rzeczy omówiliśmy z Wojtkiem i Tomkiem w 586 odcinku podcastu „Nadgryzieni", a tych, którzy nie słuchali, ale ciągle myślą o wyciecze do Japonii, mam nadzieję, że poniższy tekst zainspiruje.

Kwitnąca wiśnia sprawia, że wszystko wygląda pięknie

Kwiaty wiśni w Japonii są niesamowite. To w końcu Kraj Kwitnącej Wiśni. Jeśli odwiedzisz Japonię pod koniec marca, kwiaty wiśni zobaczysz dosłownie wszędzie. Sprawiają, że wszystko nabiera barw, a każde zdjęcie wygląda lepiej, gdy są na nim kwiaty wiśni. Tak, noclegi i loty potrafią być wtedy nieco droższe, ale warto. Naprawdę warto.

Nawet kiedy patrzysz na zielone lasy w Japonii, nie są one całkiem zielone, wszędzie porozrzucane są kwitnące drzewa wiśni.

Więc kiedy jechać do Japonii? Właśnie na wiosnę na przełomie marca i kwietnia. Jeśli jednak jesteś fanem złotej polskiej jesieni, to Wojtek podczas naszej dyskusji w podcaście próbował mnie przekonać, że jesień w Japonii jest jeszcze ładniejsza. Także możesz rozważyć też opcję jesienną.

Latem też można Japonię odwiedzić, ale ja bym odradzał. Kiedyś byłem w czerwcu i wilgotność była na poziomie ponad 90%, wszystko się lepiło i nie dało się spacerować.

Sklepy całodobowe/osiedlowe (ang. convenience stores) [przyp. kor. jp. konbinil

Family Mart, Seven Eleven i Lawson to wiodące sieci sklepów osiedlowych w Japonii. Mają wszystko: produkty jak w supermarkecie, świeże jedzenie, świetną kawę, bankomat, czystą toaletę – i zwykle są otwarte 24/7.

To coś takiego jak nasza Żabka, ale podkręcone do poziomu mistrzowskiego. Japonia zaczęła od skopiowania pomysłu z USA, po czym wymyśliła go na nowo. Do tego stopnia, że marka 7-Eleven należy dziś do japońskiej firmy Ito-Yokado, która początkowo była tylko jej franczyzobiorcą. Kiedy rezerwujesz nocleg w Japonii, postaraj się, żeby był blisko takiego sklepu, a będzie dobrze.

Wynajem samochodu w Japonii

Normalnie po Japonii podróżuje się superszybkimi pociągami Shinkansen, ale jeśli z jakiegoś powodu musisz wynająć samochód, koniecznie weź kartę ETC (Electronic Toll Collection), dzięki której wjedziesz na wszystkie autostrady i automatycznie za nie zapłacisz.

Żeby prowadzić w Japonii, musisz wyrobić w Polsce międzynarodowe prawo jazdy w Konwencji Genewskiej, ważne tylko przez rok. Pamiętaj, że jeżdżą tam po niewłaściwej stronie drogi, czyli obowiązuje ruch lewostronny, jak w Wielkiej Brytanii. Mój samochód z wypożyczalni – najnowsza Toyota Prius – miał nie tylko kierownicę po niewłaściwej stronie, ale też kierunkowskazy przełożone na prawą stronę, więc przez pierwsze kilka dni, zmieniając pas, odruchowo... czyściłem przednią szybę.

Family Mart, Seven Eleven i Lawson to wiodące sieci sklepów osiedlowych w Japonii. Mają wszystko: produkty jak w supermarkecie, świeże jedzenie, świetną kawę, bankomat, czystą toaletę – i zwykle są otwarte 24/7.

Jeśli chodzi o nawigację, to miałem duży problem z aplikacjami Waze i Google Maps, bo upierały się, aby pokazywać mi znaki nie po angielsku, ale po japońsku. Wbrew pozorom najlepiej mi się nawigowało za pomocą Apple Maps. Bardzo dokładne mapy i kierunkowskazy po angielsku.

Higiena i toalety myjące pupę!

W Japonii darmowe publiczne toalety potrafią umyć ci pupę! Mają wbudowany elektroniczny bidet, który spryskuje i czyści tylną część ciała. I są dostępne nie tylko w pokojach hotelowych, ale też w większości toalet publicznych. Byłem zdumiony, jak czyste i nowoczesne są darmowe toalety publiczne, a kiedy myją ci pupę, czujesz się bardzo odżwieżony.

Byłem zdumiony, jak czyste i nowoczesne są darmowe toalety publiczne, a kiedy myją ci pupę, czujesz się bardzo odżwieżony.

Zainspirowany tym, zamontowałem dwie takie toalety u siebie w domu. Pierwszą kupiłem po poprzedniej podróży do Japonii 12 lat temu, a rok temu postanowiłem zaszaleć i wymienić toaletę w moim domowym biurze... i jest cudownie.

Polecam zainteresować się tematem i poszukać takiego „ekobidetu" w Polsce. Jest wiele firm, które takie wynalazki sprzedają i często wystarczy wymienić tylko tak naprawdę klapę od toalety i zostawić wszystko inne. Trzeba tylko mieć blisko podłączenie do prądu i dodatkowe źródło wody.

Buty w Japonii

Kiedy jesteś w Japonii, będziesz dużo chodzić i w wielu miejscach będziesz proszony o zdejmowanie i zakładanie butów. Znowu chodzi o higienę i o to, żeby nie wnosić brudu do domu, muzeum czy restauracji. Dlatego tak ważne jest, żeby nosić wygodne buty, w których czujesz się świetnie.

Polecam zaopatrzyć się w wygodne buty bez sznurówek. Takie lepsze mokasyny, bo wtedy nie trzeba ich ciągle zawiązywać i rozwiązywać. Lub wymienić sznurówki na takie elastyczne. Osobiście w każdej parze butów już nie mam zwykłych sznurówek, ale właśnie elastyczne i nie muszę już wcale zawiązywać butów.

Jeśli chodzi o internet – wziąłem pakiet 25 GB na miesiąc za jakieś 25 dolarów, wyłączyłem dostęp do sieci kilku aplikacjom i działało świetnie. Korzystałem z eSIM od Airalo.

Zakupy bez podatku. Zarejestruj się albo miej przy sobie paszport

Zanim wyjedziesz do Japonii, polecam zarejestrować się na rządowej stronie Visit Japan, żeby po przylocie nie wypełniać dodatkowych formularzy, a przy zakupach tax-free móc użyć specjalnego kodu QR do weryfikacji paszportu.

W Japonii kody QR są teraz na wszystko. I musisz mieć aktywne połączenie z internetem, żeby z nich korzystać, bo nie pozwalają robić ich zrzutów ekranu, trzeba załadować żywą stronę z aktualnym czasem, by potwierdzić, że twój kod QR jest autentyczny. Przydarzyło mi się to, gdy kupiłem całodniowy bilet na autobus, zrobiłem zrzut ekranu, a kierowca krzyczał na mnie: no screenshot!

Jeśli chodzi o internet – wziąłem pakiet 25 GB na miesiąc za jakieś 25 dolarów, wyłączyłem dostęp do sieci kilku aplikacjom i działało świetnie. Korzystałem z eSIM od Airalo. Jak fajnie, że dodawanie eSIMów do iPhone-'ów jest teraz takie łatwe.

Kartę transportową możesz dodać do Apple Wallet

To mnie zaskoczyło. Zamiast wyrabiać fizyczną kartę transportową na metro, mogłem po prostu wejść do Apple Wallet, dotknąć „dodaj nową kartę", przejść do „kart transportowych" i wybrać najpopularniejszą – Suicę. Później mogłem ją doładowywać bezpośrednio przez Apple Pay.

Taka karta nie tylko przydaje się podczas podróżowania transportem publicznym, ale także można przy jej pomocy płacić w miejscach, które nie akceptują kart kredytowych. Wbrew pozorom w Japonii ciągle jest dużo miejsc, gdzie przyjmują tylko gotówkę, ale właśnie dzięki karcie transportowej udało mi się zapłacić bezgotówkowo.



Marie Kondo mają zakodowaną w DNA

Kiedy odwiedzasz w Japonii muzeum albo zamek, widzisz, że ich pomieszczenia są bardzo... zen. Prawie nie ma tam mebli ani rzeczy... wszystko jest czyste i uporządkowane. Po użyciu odkładają przedmioty do zamykanych szaf lub szuflad, a każda z nich ma swoje wyznaczone miejsce.

Dlatego ich bestsellerowa autorka „Magii sprzątania", Marie Kondo, tak naprawdę niczego nie wymyśliła. Po prostu skodyfikowała japoński sposób porządkowania w książce przystępnej dla zachodniego czytelnika. Polecam tę książkę i jej metodę sprzątania. Japońską metodę.

Ubrania Uniqlo i inne marki – też bardzo zen

Ubrania, które tam mają, są świetne. Wysoka jakość, brak logo, bardzo zen, bardzo praktyczne, bardzo dobry i wygodny materiał, a do tego sam proces zakupu jest banalnie prosty: wrzucasz ubrania do koszyka, a kasa automatycznie zlicza całość.

I znowu – ta suma nie jest wysoka. Uniqlo ma bardzo konkurencyjne ceny, a w Japonii, przez korzystny kurs i zakupy bez podatku, kupowanie ubrań uzależnia. Połowa mojej szafy to teraz Uniqlo!

Jedyny salon tej marki jest w Warszawie i polecam tam się wybrać, ale w Japonii jest tego znacznie więcej i dużo taniej.

Obcinaczki i nożyczki

W Japonii dawne fabryki, które specjalizowały się w wytwarzaniu mieczy samurajskich, produkują dziś również znakomite obcinaczki do paznokci, nożyczki czy pincety.

I znowu – ta suma nie jest wysoka. Uniqlo ma bardzo konkurencyjne ceny, a w Japonii, przez korzystny kurs i zakupy bez podatku, kupowanie ubrań uzależnia. Połowa mojej szafy to teraz Uniqlo!

Dostałem obcinaczki do paznokci od firmy Green Bell i są niesamowite. Tną paznokcie jak mistrz samurajski. Wziąłem też mniejsze, od firmy Kai.

W ogóle w kontekście higieny i kosmetyków polecam mega sklepy takie jak Donki, gdzie można znaleźć nie tylko te obcinaczki, ale też mnóstwo bardzo dobrych kosmetyków (m.in. takich marek jak Shiseido).

Japońscy przyjaciele są na zawsze!

Na koniec mała prywatna anegdota. W 2011 roku byłem w Japonii podczas największego trzęsienia ziemi. Było to bardzo mocne przeżycie. Zaprzyjaźniłem się wtedy z Kurazono Keizo. To autor pierwszej książki o mojej aplikacji Nozbe po japońsku. Przeszliśmy wtedy razem naprawdę wiele.

Spotkaliśmy się ponownie w 2014 roku, a teraz, po 12 latach – znowu. Było to bardzo wzruszające i bardzo fajne. Cieszę się, że nasze misje

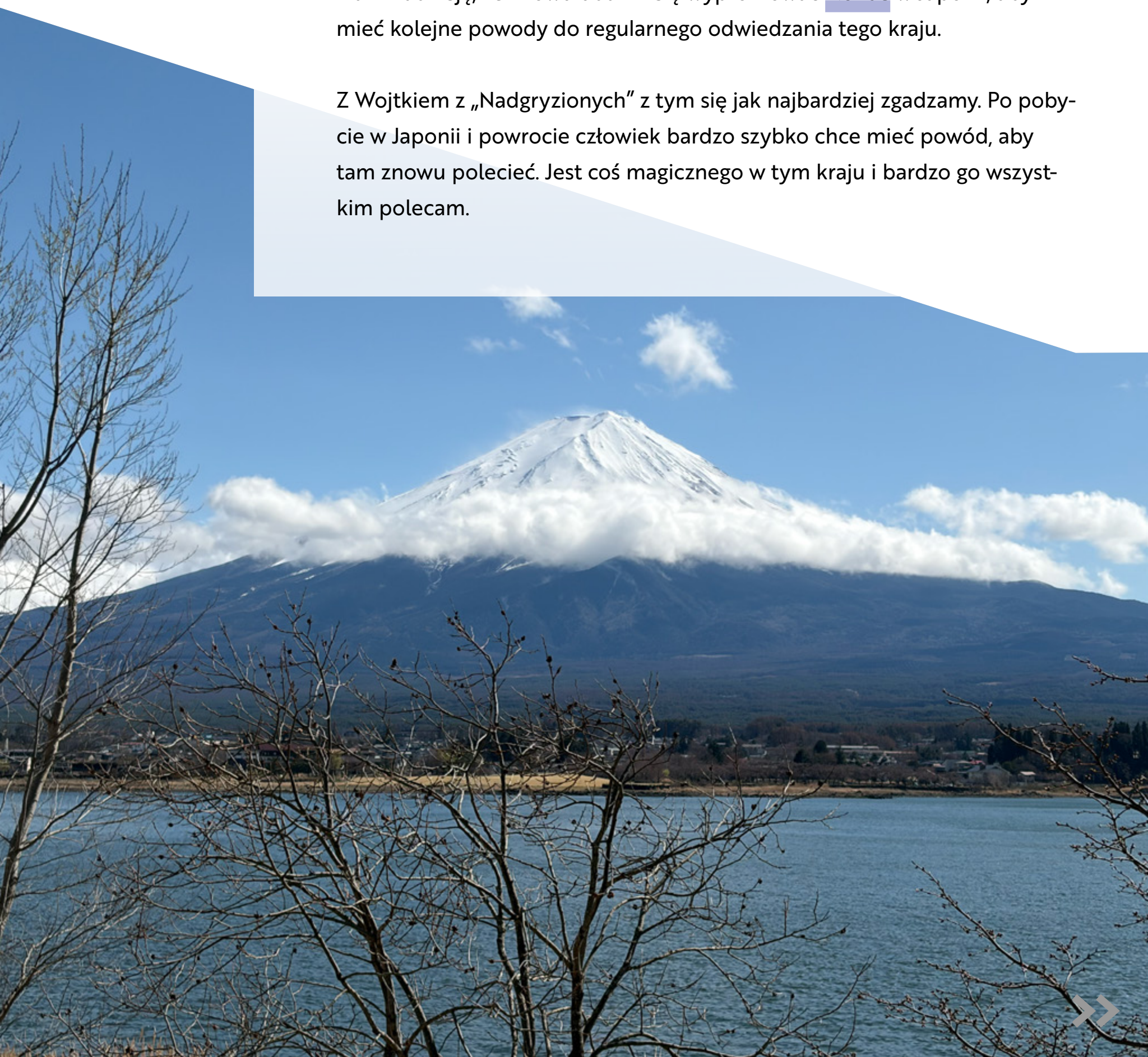
wciąż są zbieżne: to, co robimy z naszą aplikacją, i to, co on robi, pisząc wspaniałe książki. Pokazał mi rękopis kontynuacji swojej książki „Good Vibes. Good Work".

Ponowne spotkanie z Zono-sanem było jednym z głównych powodów, dla których wróciłem tym razem do Japonii. Razem chcielibyśmy zmienić podejście japońskich pracowników do pracy...

Polecam wyjazd do Japonii!

Mam nadzieję, że znowu uda mi się wypromować **Nozbe** w Japonii, aby mieć kolejne powody do regularnego odwiedzania tego kraju.

Z Wojtkiem z „Nadgryzionych" z tym się jak najbardziej zgadzamy. Po pobycie w Japonii i powrocie człowiek bardzo szybko chce mieć powód, aby tam znowu polecieć. Jest coś magicznego w tym kraju i bardzo go wszystkim polecam.



argon® LAMPY



OŚWIETLENIE W TWOIM STYLU

TA I 1000 INNYCH LAMP KUPISZ NA SKLEP.ARGON-LAMPY.PL



DOMINIK ŁADA
@dominiklada

Lifestyle

Elves Mori GTX – gravel gotowy na wszystko

Elves Mori GTX to karbonowy rower gravelowy stworzony dla tych, którzy nie lubią ograniczać się do jednego rodzaju nawierzchni. Lekka rama z włókna węglowego łączy sportowy charakter z geometrią endurance, zapewniając komfort podczas wielogodzinnych wypraw, szybkich treningów i bikepackingowych przygód.

Duży prześwit na szerokie opony, mocowania pod akcesoria oraz nowoczesne prowadzenie przewodów sprawiają, że Mori GTX równie dobrze czuje się na asfalcie, szutrze i leśnych drogach. To wszechstronny rower dla osób, które chcą mieć jeden sprzęt do wszystkiego.

Cena: 1035 EUR
Do kupienia w pl.elvesbike.com





Zens Powerbank Pro 1 – energia bez kompromisów

Zens Powerbank Pro 1 to kompaktowy, a jednocześnie wyjątkowo wydajny powerbank dla osób, które nie lubią szukać gniazdka. Oferuje szybkie ładowanie przez USB-C, wysoką pojemność i elegancką, minimalistyczną obudowę. Idealny towarzysz podróży, pracy i długich dni poza domem.

Cena: 279 PLN
Do kupienia w MediaExpert

Magic Screen – dotykowy MacBook bez wymiany komputera

Magic Screen to projekt, który może zainteresować wielu użytkowników MacBooków. Niewielka nakładka montowana na ekranie zamienia laptop Apple w urządzenie z obsługą dotyku, bez ingerencji w konstrukcję komputera. Projekt zadebiutował na Kickstarterze i ma szansę spełnić marzenie osób, które od lat czekają na dotykowego Maca.

Dostępny w kampanii Kickstarter





Grill. Łatwe grillowanie pełnią smaku

Sezon grillowy trwa w najlepsze, a najnowsza książka Jamiego Olivera „Grill. Łatwe grillowanie pełnią smaku" to doskonała inspiracja dla wszystkich, którzy chcą wyjść poza klasyczną kiełbasę i karkówkę. Znajdziemy tu przepisy na mięsa, ryby, warzywa i dodatki, które pozwolą przygotować wyjątkowe dania na każdą okazję.

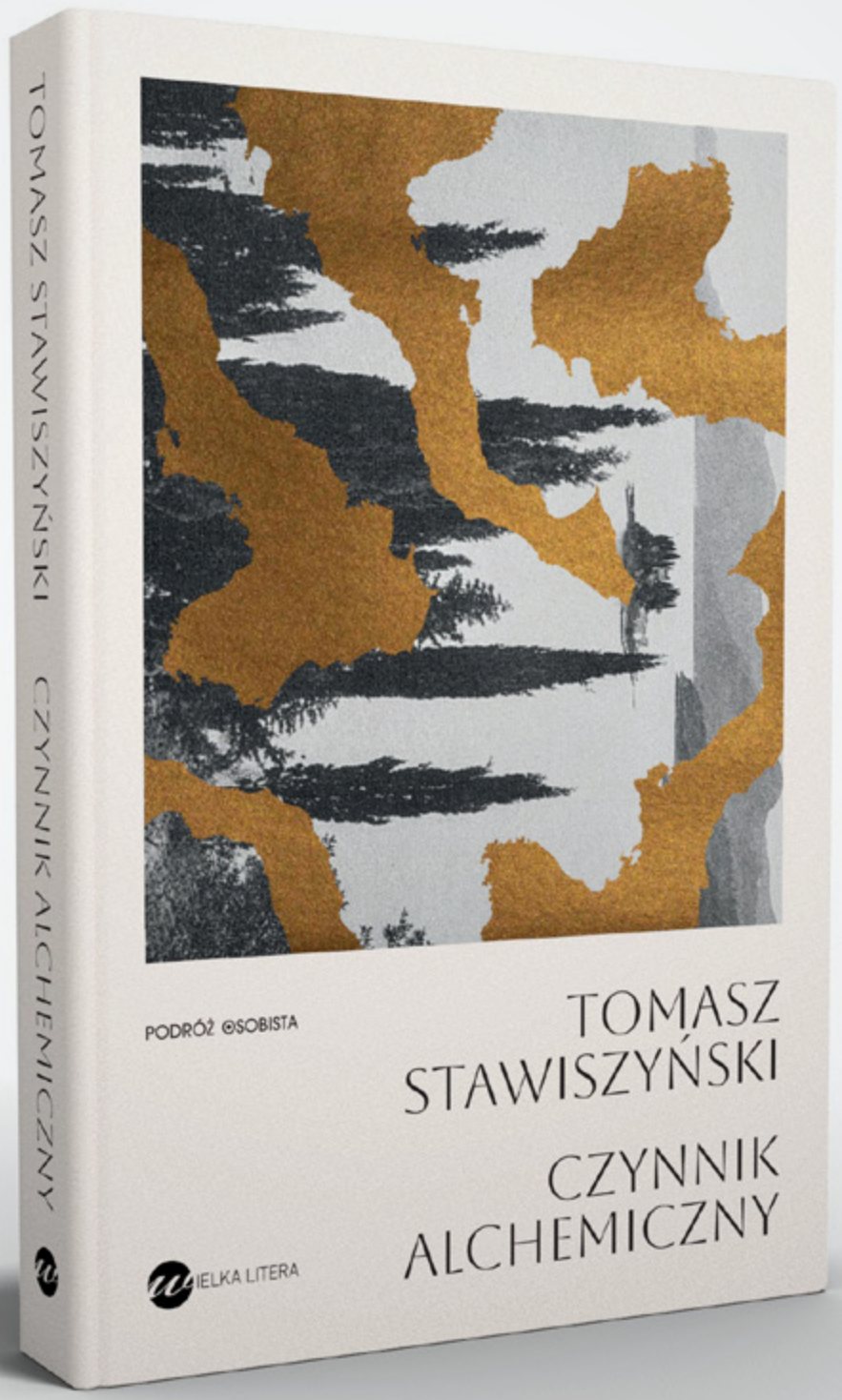
Cena: 59,99 PLN
Do kupienia w księgarniach i na insignis.pl

Columbia Diamond Peak Pro

Columbia przedstawia kolekcję Diamond Peak Pro, zapewniającą wyjątkowy standard chłodzenia dla osób uprawiających intensywne wędrówki.

Kolekcja wykorzystuje Omni Freeze™ Zero Ice, najbardziej zaawansowaną technologię chłodzącą Columbia. Technologia ta łączy chłodzenie aktywowane przez pot i chłodzenie mechaniczne, wynikające z zastosowania płaskich włókien, które zwiększając powierzchnię kontaktu ze skórą, przyspieszają odprowadzanie ciepła i wywołują w ten sposób efekt chłodzenia.





Czynnik alchemiczny – Tomasz Stawiszyński

Tomasz Stawiszyński w swojej najnowszej książce „Czynnik alchemiczny" przygląda się temu, czego nie da się łatwo zmierzyć, policzyć ani zamknąć w algorytmach. To refleksyjna opowieść o człowieku, sensie, duchowości i miejscu tajemnicy we współczesnym świecie. Lektura dla tych, którzy lubią książki skłaniające do myślenia. To nie jest książka o Korfu. A może jednak jest?

Cena: 59,90 PLN
Do kupienia na wielkalitera.pl

Mova TPeak AL Note – dyktafon wspierany przez AI

Mova TPeak AL Note to nowoczesny dyktafon wykorzystujący sztuczną inteligencję do transkrypcji i organizowania notatek głosowych. Niewielkie urządzenie pozwala szybko rejestrować rozmowy, wykłady czy pomysły, a następnie automatycznie zamieniać je na tekst. Idealny gadżet dla dziennikarzy, studentów i osób pracujących z dużą ilością informacji.

Cena: ok. 499 PLN
Do kupienia w Komputronik.pl





Audi A6 allroad quattro – kombi na każdą drogę

Nowe Audi A6 allroad quattro łączy komfort luksusowego kombi z możliwościami auta gotowego na dalsze wyprawy. Napęd quattro, podwyższone zawieszenie i nowoczesne napędy, w tym jednostki hybrydowe plug-in, sprawiają, że A6 allroad pozostaje jedną z najciekawszych propozycji dla kierowców, którzy nie chcą wybierać między asfaltem a szutrem.

Cena: od 77 250 EUR
Dostępne w salonach Audi

Lenovo LOQ 15AHP11 – gaming bez przesady

Lenovo LOQ 15AHP11 to laptop gamingowy dla osób, które szukają wydajności bez konieczności wydawania fortuny. Procesory AMD Ryzen, nowoczesne układy graficzne NVIDIA GeForce i odświeżany ekran o wysokiej częstotliwości sprawiają, że świetnie radzi sobie zarówno w grach, jak i codziennej pracy. Wersja Surge Green dodatkowo wyróżnia się nietuzinkowym wyglądem.

Cena: od 5999 PLN
Dostępny w sprzedaży detalicznej i sklepie Lenovo

Dostępny w sprzedaży detalicznej i sklepie Lenovo

Nowa kolekcja Helly Hansen w barwach lata – propozycje na sezon żeglarski 2026!

W najnowszej kolekcji marka prezentuje kultowe modele w nowych barwach inspirowanych latem, morzem i żeglarskim stylem życia. Wśród nowości znalazły się m.in. Skagen Offshore Sailing Jacket, Crew Midlayer Sailing Jacket oraz Pier 4.0 Jacket – modele stworzone z myślą o zmiennych warunkach panujących na wodzie, łączące wodoodporność, oddychalność oraz komfort użytkowania z nowoczesnym designem. Tegoroczna kolekcja to propozycja zarówno dla doświadczonych żeglarzy, jak i wszystkich osób, które aktywnie spędzają czas nad wodą podczas wakacyjnych wyjazdów.

NIE MA ~~BIURA~~

Podcast o wszystkim, czego
jeszcze nie wiesz o pracy zdalnej.



NOZBE

Prowadzące: Ewelina Przywara i Magda Błaszczyk

Słuchaj w Podcasts

Słuchaj w Spotify

Słuchaj w Overcast





DOMINIK ŁADA
@dominiklada

(Prawie) wszystko o... czyli Kontrola rodzicielska w Apple po nowemu. Wreszcie konfiguracja, której nie trzeba się bać

Podczas WWDC26 Apple pokazało wiele rzeczy, które łatwo było wrzucić do worka z napisem „duże systemowe nowości". Nowe wersje systemów, Siri AI, zmiany w aplikacjach, funkcje dla twórców, dla profesjonalistów, dla zwykłych użytkowników.

Ale wśród nich była jedna prezentacja, która – moim zdaniem – może mieć dla wielu rodzin dużo większe znaczenie niż kolejny efektowny pokaz sztucznej inteligencji. Chodzi o nową Kontrolę rodzicielską i szerzej: odświeżone podejście Apple do bezpieczeństwa dzieci.

Miałem okazję uczestniczyć w specjalnym, dedykowanym tylko temu briefingowi, podczas którego Apple pokazało cały proces konfiguracji urządzenia dla dziecka. Nie w teorii, nie na slajdach, ale krok po kroku, od świeżo wyjętego z pudełka iPada, aż po ustawienia aplikacji, stron internetowych, kontaktów, harmonogramów i limitów czasu.

I powiem od razu: to nie jest rewolucja w stylu „wymyśliliśmy kontrolę rodzicielską od zera". To raczej coś ważniejszego. Apple wzięło narzędzia, które od lat istniały w systemie, ale dla wielu rodziców były zbyt rozproszone, zbyt techniczne albo po prostu zbyt łatwe do odłożenia na później, i przebudowało je tak, aby pojawiały się wtedy, kiedy są naprawdę potrzebne – w momencie pierwszej konfiguracji urządzenia dziecka.

Apple wzięło narzędzia, które od lat istniały w systemie, ale dla wielu rodziców były zbyt rozproszone, zbyt techniczne albo po prostu zbyt łatwe do odłożenia na później, i przebudowało je tak, aby pojawiały się wtedy, kiedy są naprawdę potrzebne...

Najważniejszy jest pierwszy moment

Każdy rodzic, który choć raz dawał dziecku pierwszy telefon, iPada albo komputer, zna ten dziwny moment zawieszenia. Z jednej strony jest ekscytacja, bo dziecko dostaje narzędzie do nauki, komunikacji, kreatywności i rozrywki. Z drugiej strony w głowie od razu zapala się kilka czerwonych lampek. Co będzie oglądać? Z kim będzie pisać? Ile czasu będzie spędzać przed ekranem? Czy będzie umiało samo odłożyć urządzenie? Czy ja będę umiał to wszystko ustawić?

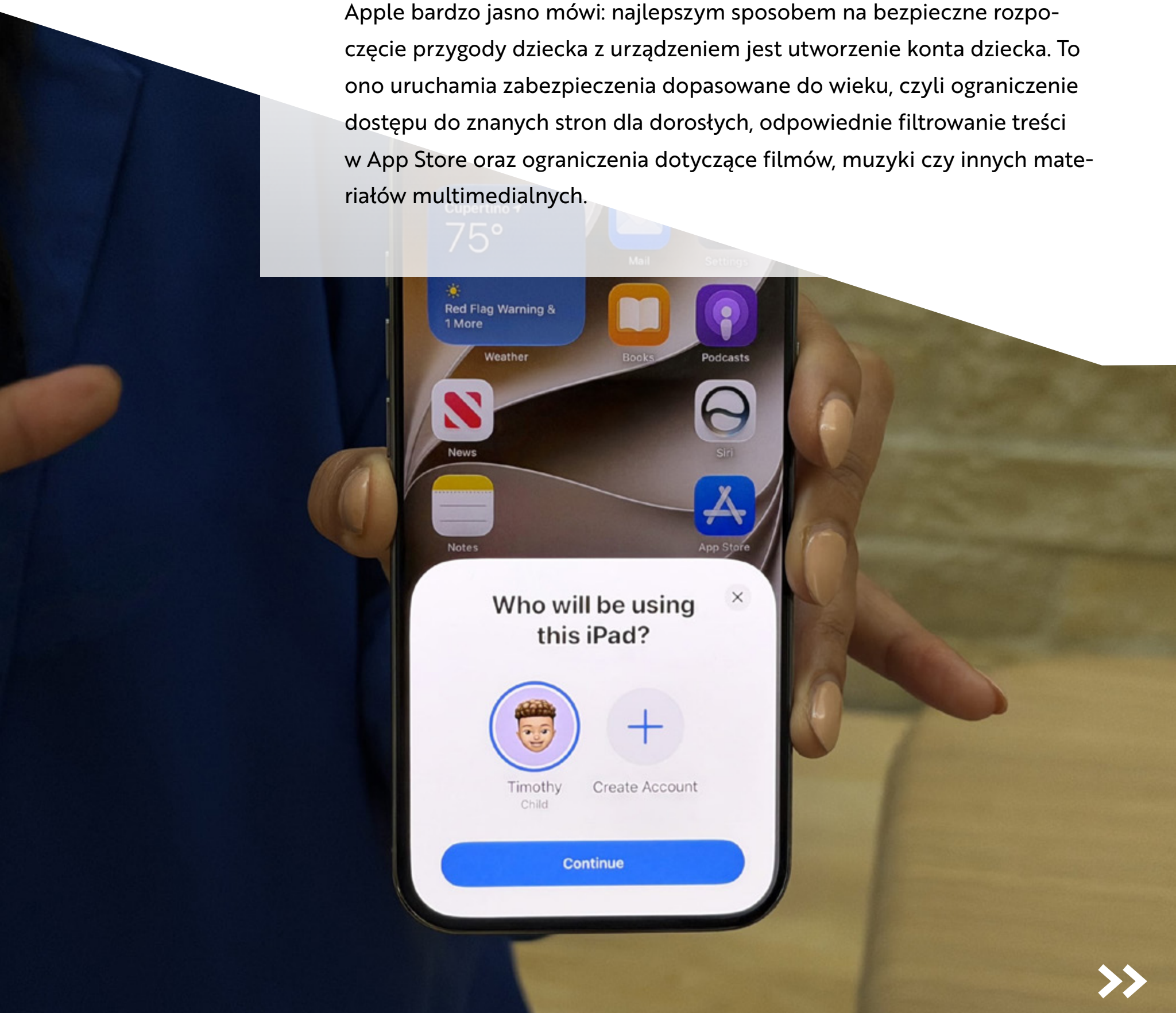
Apple bardzo mocno skupia się właśnie na tym początku. Nowy proces konfiguracji zakłada, że jeśli urządzenie jest przeznaczone dla dziecka, to rodzic powinien zostać włączony do tego procesu od razu, a nie dopiero po kilku dniach, gdy okaże się, że dziecko zdążyło już pobrać pół App

Store'a, obejrzeć pół internetu i odkryć kilka zakamarków systemu, o których my nawet nie wiedzieliśmy.

W nowym Asystencie konfiguracji pojawia się więc bardzo proste pytanie: czy to urządzenie jest dla dziecka, czy dla osoby dorosłej. Jeśli wybieramy dziecko, system natychmiast prowadzi nas do połączenia urządzenia z rodziną. I to jest kluczowe, bo od tego momentu iPad, iPhone czy Mac przestaje być anonimowym sprzętem, a zaczyna być urządzeniem konkretnego dziecka, zarządzanym przez konkretnego rodzica lub opiekuna.

Konto dziecka, czyli fundament całego systemu

Apple bardzo jasno mówi: najlepszym sposobem na bezpieczne rozpoczęcie przygody dziecka z urządzeniem jest utworzenie konta dziecka. To ono uruchamia zabezpieczenia dopasowane do wieku, czyli ograniczenie dostępu do znanych stron dla dorosłych, odpowiednie filtrowanie treści w App Store oraz ograniczenia dotyczące filmów, muzyki czy innych materiałów multimedialnych.





Podczas prezentacji pokazano konfigurację nowego iPada dla dziewięcioletniego dziecka. Po wybraniu opcji „dziecko" urządzenie poprosiło o połączenie z urządzeniem rodzica. Wygląda to bardzo podobnie do znanego procesu szybkiej konfiguracji nowego iPhone'a. Na ekranie pojawia się animacja, rodzic przykłada swojego iPhone'a, skanuje charakterystyczne kółka i po kilku sekundach może dokończyć tworzenie konta dziecka na swoim urządzeniu.

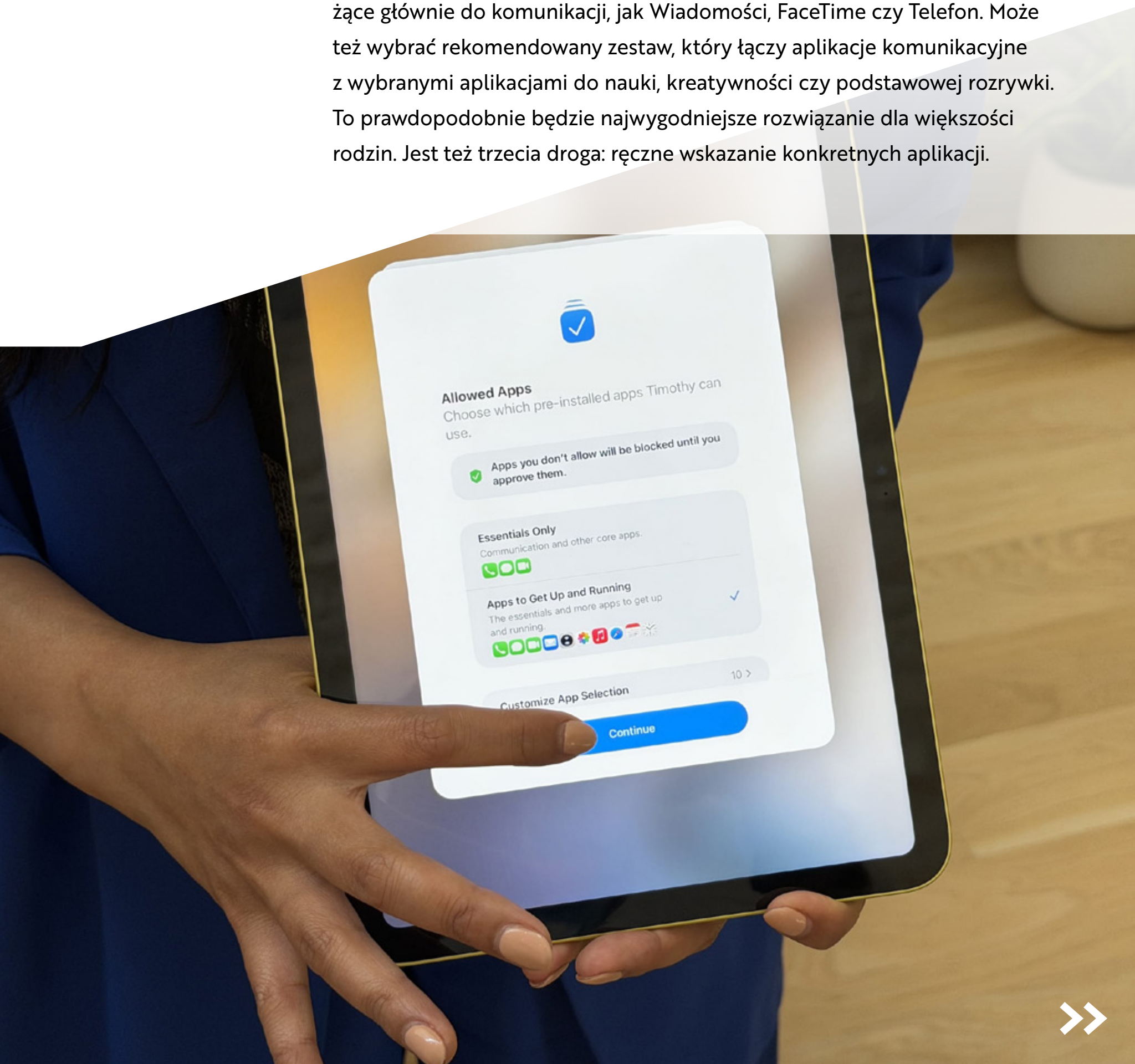
To ważne, bo cały ciężar konfiguracji przenosi się tam, gdzie powinien – do rąk rodzica. Dziecko nie musi znać ustawień, nie musi przechodzić przez techniczne ekrany, nie musi kombinować. Rodzic podaje imię, wiek dziecka i tworzy konto. Następnie pojawia się etap zgody rodzicielskiej. Apple chce mieć pewność, że konto tworzy dorosły, dlatego można potwierdzić to na przykład przez Face ID, jeśli wcześniej korzystaliśmy z Apple Pay lub transakcji na koncie Apple. Alternatywnie możliwa jest weryfikacja kartą płatniczą.

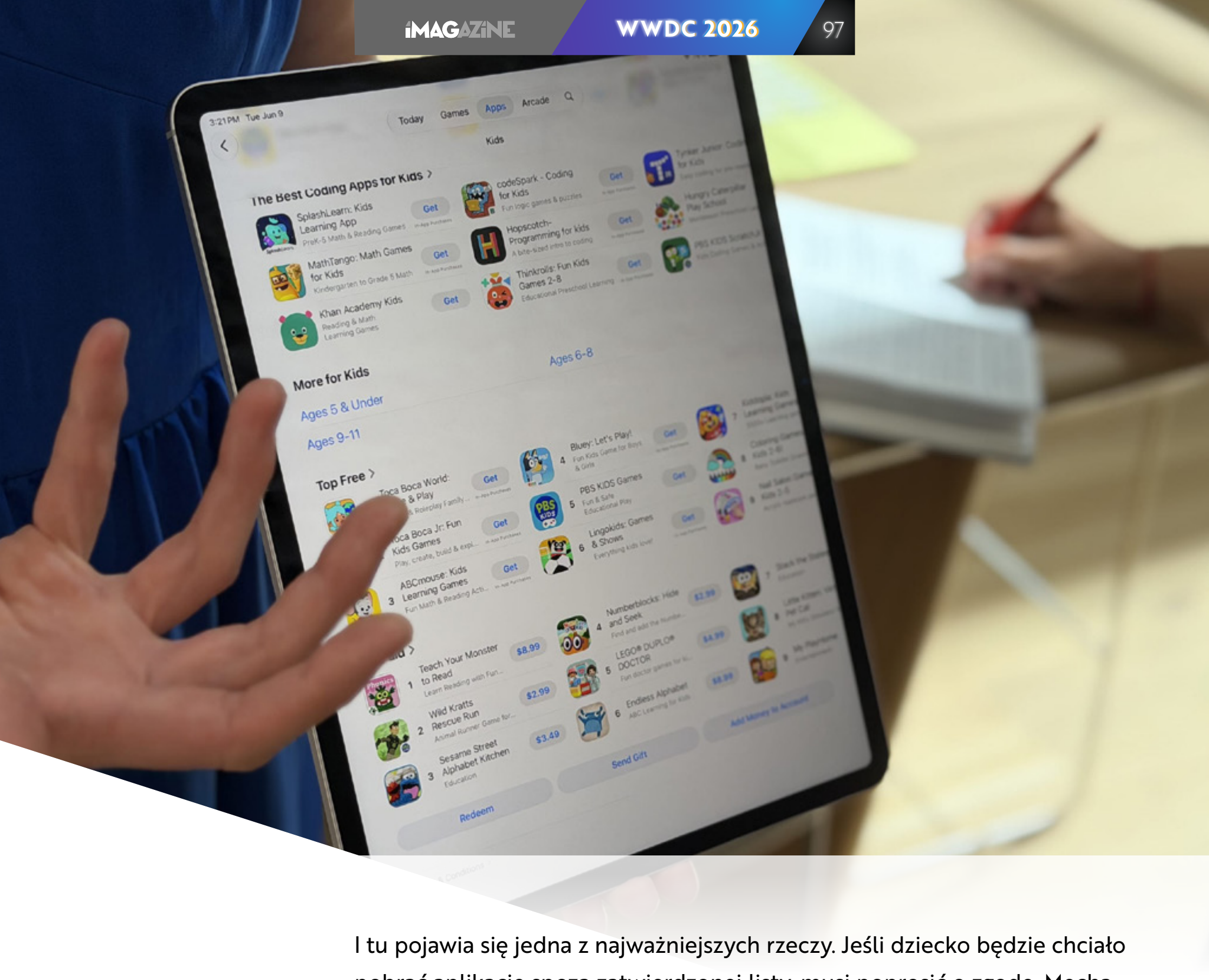
Dopiero po tym kroku konto dziecka zostaje utworzone. I już wtedy, jeszcze zanim dziecko dostanie urządzenie do ręki, działa podstawowy zestaw zabezpieczeń. To jest bardzo ważna zmiana filozofii. Bezpieczeństwo nie jest czymś, co rodzic musi samodzielnie odnaleźć w ustawieniach i włączyć. Ono jest domyślnym punktem startowym.

Konfiguracja aplikacji, czyli od niezbędnego minimum do pełniejszego doświadczenia

Po utworzeniu konta dziecka system przechodzi do kolejnego etapu: wyboru aplikacji, do których dziecko będzie miało dostęp. Apple nazywa to podejściem stopniowym. Chodzi o to, aby nie wrzucać dziecka od razu w pełny, nieograniczony świat aplikacji, tylko zacząć od bezpiecznego zestawu i z czasem rozszerzać dostęp.

Rodzic ma kilka opcji. Może wybrać tylko podstawowe aplikacje, czyli te służące głównie do komunikacji, jak Wiadomości, FaceTime czy Telefon. Może też wybrać rekomendowany zestaw, który łączy aplikacje komunikacyjne z wybranymi aplikacjami do nauki, kreatywności czy podstawowej rozrywki. To prawdopodobnie będzie najwygodniejsze rozwiązanie dla większości rodzin. Jest też trzecia droga: ręczne wskazanie konkretnych aplikacji.

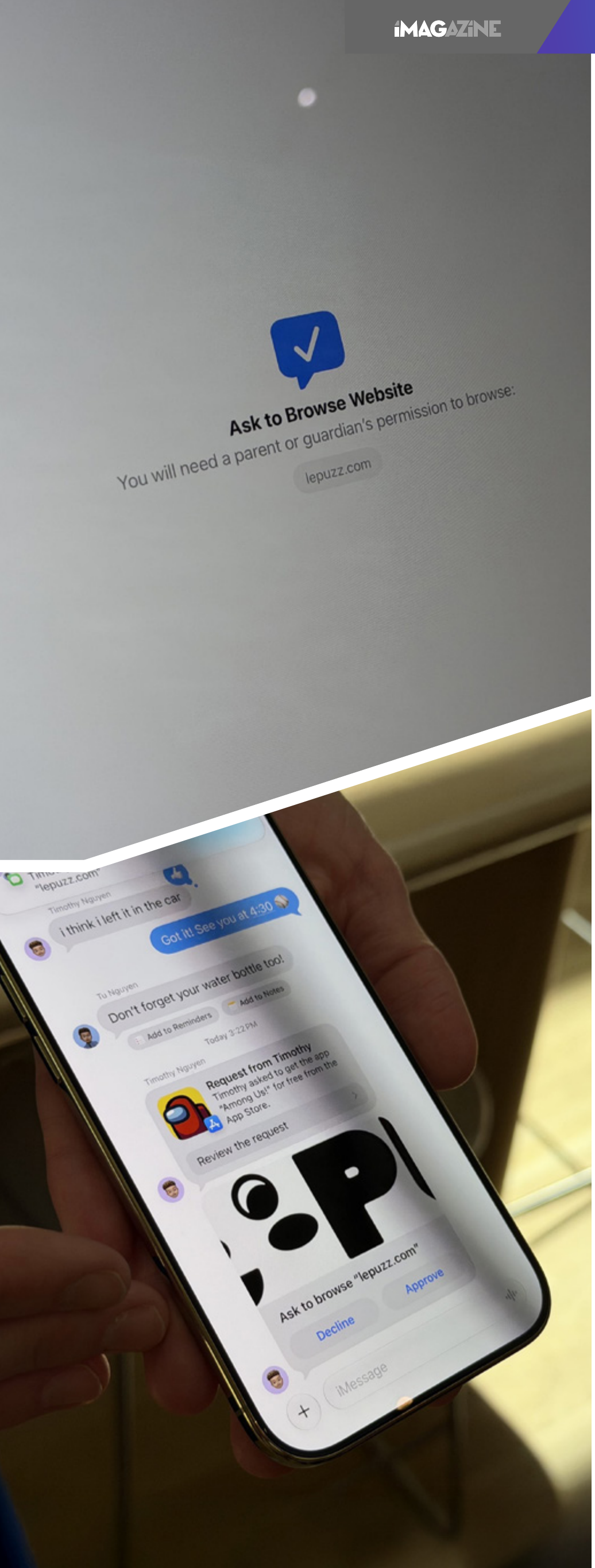




I tu pojawia się jedna z najważniejszych rzeczy. Jeśli dziecko będzie chciało pobrać aplikację spoza zatwierdzonej listy, musi poprosić o zgodę. Mechanizm „Poproś o zakup" nie dotyczy wyłącznie płatnych aplikacji. Rodzic może zatwierdzać także pobieranie darmowych aplikacji oraz zakupy w aplikacjach. Dziecko widzi więc App Store dopasowany do swojego wieku, ale samo pobranie nowej aplikacji nadal wymaga zgody.

Podczas prezentacji pokazano, jak wygląda to w praktyce. Dziecko znajduje aplikację w App Store, próbuje ją pobrać, potwierdza Touch ID lub Face ID, a następnie pojawia się dodatkowy krok: prośba do rodzica. Rodzic dostaje powiadomienie, może wejść na kartę aplikacji, sprawdzić jej opis, ocenę wiekową oraz informacje o tym, skąd ta ocena wynika. Dopiero wtedy podejmuje decyzję.

To bardzo dobre rozwiązanie, bo nie sprowadza kontroli rodzicielskiej do ślepego „tak" albo „nie". Rodzic dostaje kontekst.



Poproś o zgodę na przeglądanie

Nowością, która szczególnie zwróciła moją uwagę, jest funkcja „Poproś o zgodę na przeglądanie". Do tej pory dużo mówiło się o aplikacjach, ale przecież dzieci nie żyją tylko w aplikacjach. Bardzo duża część internetu nadal dzieje się w przeglądarce. Linki przychodzą w wiadomościach, pojawiają się w grach, w materiałach edukacyjnych, w rozmowach ze znajomymi.

Nowy mechanizm działa bardzo prosto. Jeśli dziecko próbuje wejść na stronę internetową, która nie znajduje się na liście dozwolonych witryn, Safari nie pokazuje jej od razu. Zamiast tego dziecko widzi ekran z prośbą o zgodę. Może wysłać rodzicowi gotową wiadomość z linkiem. Rodzic otrzymuje ją w Wiadomościach, może otworzyć stronę u siebie, sprawdzić, co to jest, i dopiero potem zaakceptować albo odrzucić dostęp.

To jest przeniesienie logiki „Poproś o zakup" na otwarty internet. I bardzo dobrze, bo internet jest dużo mniej uporządkowany niż App Store. Apple informowało podczas briefingu, że funkcja działa w przeglądarkach opartych na WebKit, więc nie ogranicza się wyłącznie do Safari w takim potocznym rozumieniu.

W praktyce wygląda to tak, jak powinno wyglądać dobre narzędzie dla rodziców: dziecko nie trafia na ścianę niezrozumiałego komunikatu, a rodzic nie musi

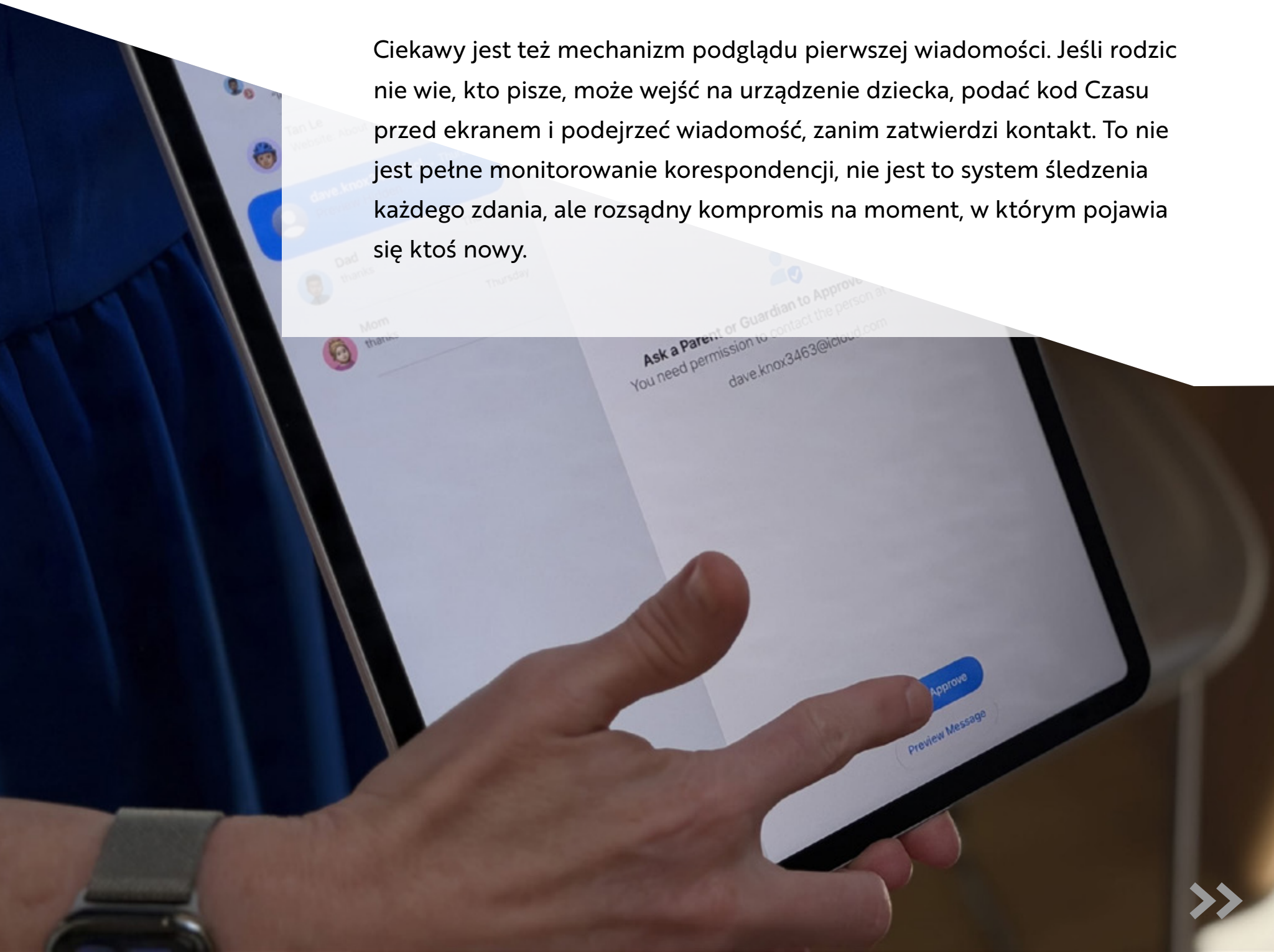
co wieczór przeglądać historii przeglądarki. Zamiast tego pojawia się rozmowa: „chcę wejść na tę stronę, możesz sprawdzić?”. To jest drobny, ale bardzo zdrowy mechanizm.

Z kim dziecko może rozmawiać

Kolejnym ważnym elementem jest zarządzanie kontaktami. Apple wyraźnie podkreśla, że rodziców interesuje nie tylko to, co dziecko ogląda, ale też z kim rozmawia. Nowe ustawienia pozwalają zatwierdzać nowe kontakty, zanim dziecko zacznie z nimi normalnie pisać.

Jeśli do dziecka napisze nowy numer, rozmowa nie zaczyna się automatycznie. Dziecko może poprosić o zatwierdzenie kontaktu, podając rodzicowi informację, kto to jest. Na przykład: „Dave z baseballu”. Rodzic widzi numer, proponowaną nazwę kontaktu i może zdecydować, czy zaakceptować tę osobę.

Ciekawy jest też mechanizm podglądu pierwszej wiadomości. Jeśli rodzic nie wie, kto pisze, może wejść na urządzenie dziecka, podać kod Czasu przed ekranem i podejrzeć wiadomość, zanim zatwierdzi kontakt. To nie jest pełne monitorowanie korespondencji, nie jest to system śledzenia każdego zdania, ale rozsądny kompromis na moment, w którym pojawia się ktoś nowy.



W trakcie briefingu padło pytanie o cyberprzemoc i wykrywanie obraźliwych wiadomości tekstowych. Apple nie pokazuje tu jeszcze automatycznego systemu wykrywania hejtu czy nękania w treści rozmów. Funkcja Bezpieczna komunikacja koncentruje się na materiałach wizualnych. To ważne rozróżnienie, bo rodzice nie powinni mieć fałszywego poczucia, że system rozwiąże wszystkie problemy wychowawcze. Nie rozwiąże. Ale może pomóc w tych miejscach, gdzie technologia potrafi realnie zareagować.

Bezpieczna komunikacja: nagość, przemoc i drastyczne treści

Apple rozwija funkcję Bezpieczna komunikacja. Dotychczas skupiała się ona na wykrywaniu nagości w zdjęciach i filmach. Teraz ochrona ma zostać rozszerzona także na treści drastyczne i przemoc. System może interweniować, gdy dziecko otrzymuje taki materiał, ale także wtedy, gdy próbuje go wysłać.

To drugie jest szczególnie istotne. W świecie dzieci i nastolatków presja rówieśnicza potrafi być ogromna. Czasem problemem nie jest tylko to, że dziecko coś zobaczy, ale też to, że ktoś próbuje je nakłonić do wysłania czegoś, czego później będzie żałować. Systemowa interwencja w takim momencie może być tym dodatkowym „zatrzymaj się", którego dziecko potrzebuje.

Apple podkreśla, że w wybranych krajach dzieci mogą również zgłaszać takie treści bezpośrednio do Apple, a funkcja ma być rozszerzana globalnie. Warto też pamiętać, że Bezpieczna komunikacja działa nie tylko w Wiadomościach, ale także w innych miejscach systemu, w tym przy obrazach i wideo, a przy wykrywaniu nagości również w kontekście połączeń FaceTime.

Apple rozwija funkcję Bezpieczna komunikacja. Dotychczas skupiała się ona na wykrywaniu nagości w zdjęciach i filmach. Teraz ochrona ma zostać rozszerzona także na treści drastyczne i przemoc. System może interweniować, gdy dziecko otrzymuje taki materiał, ale także wtedy, gdy próbuje go wysłać.



Limity czasowe, ale mądrzejsze

Największym problemem z klasycznymi limitami czasu jest to, że są zbyt toporne. Godzina na wszystko? Dwie godziny na iPada? Zakaz po 20:00? Brzmi prosto, ale życie rodzinne rzadko jest proste. Inaczej wygląda dzień szkolny, inaczej weekend, inaczej wakacje, inaczej czas choroby, a jeszcze inaczej sytuacja, gdy dziecko naprawdę używa urządzenia do nauki.

Nowe Limity czasowe mają być bardziej elastyczne. Rodzic może ustawić łączny czas dla wybranych kategorii aplikacji, takich jak gry, rozrywka i media społecznościowe. Apple pokazuje też rekomendacje oparte na badaniach, które mają być punktem wyjścia dla rodziców. Nie są to sztywne nakazy, raczej sugestie, od których można zacząć.

Co ważne, czas może być współdzielony między kategoriami. Jeśli dziecko ma na przykład 30 minut na gry i rozrywkę, samo decyduje, czy wykorzysta je na jedną kategorię, czy podzieli między kilka. Rodzic może jednak wejść głębiej i ustawić bardziej szczegółowe limity.

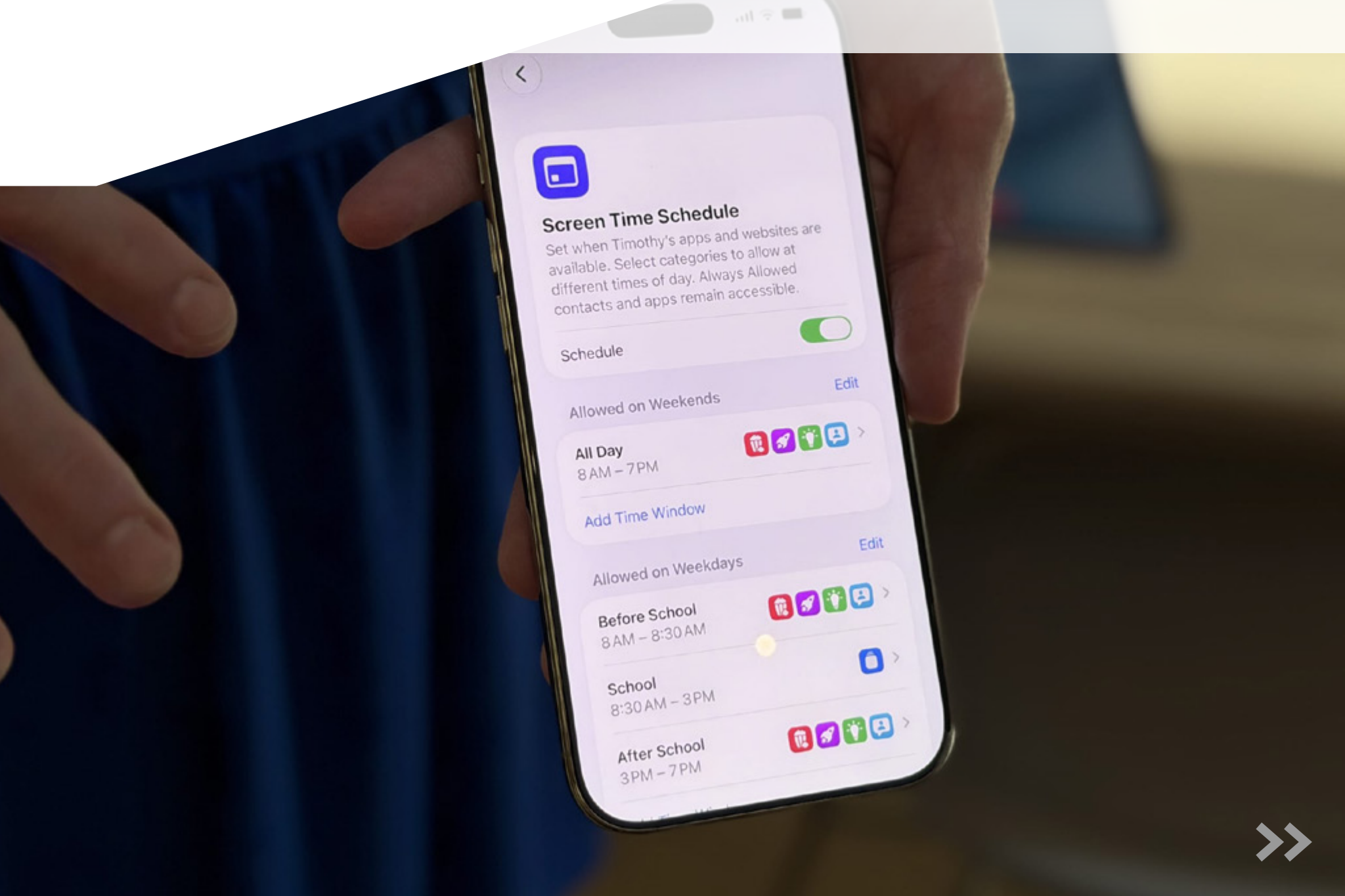
Bardzo spodobała mi się możliwość tworzenia własnych kategorii. Podczas prezentacji pokazano przykład „gier edukacyjnych". Rodzic może

wyciągnąć konkretne aplikacje z ogólnej kategorii „gry” i stworzyć dla nich oddzielny zestaw z innymi zasadami. Dzięki temu gra logiczna albo aplikacja do programowania nie musi być traktowana tak samo jak prosta, uzależniająca gra mobilna.

To jest ważne, bo ekran ekranowi nierówny. Oglądanie krótkich filmików bez końca to coś innego niż tworzenie muzyki, nauka języka, rysowanie czy rozwiązywanie zadań. Dobre narzędzie kontroli rodzicielskiej powinno to rozróżniać.

Harmonogram dnia, czyli urządzenie dopasowane do rytmu rodziny

Nowe harmonogramy pozwalają dopasować dostęp do aplikacji do konkretnych części dnia. Podczas konfiguracji rodzic ustawia dostępność urządzenia, na przykład od 8:00 do 20:00. Apple sugeruje też, aby dziecko odłożyło ekran około godziny przed snem, więc jeśli idzie spać o 20:00, warto ustawić koniec dostępności na 19:00.



Dalej pojawiają się godziny szkolne. W tym czasie można automatycznie wstrzymać dostęp do rozrywki, gier i mediów społecznościowych, zostawiając aplikacje potrzebne do nauki i komunikacji. Rodzic może też tworzyć dodatkowe bloki, na przykład trening, zajęcia dodatkowe, rodzinny obiad czy wieczór bez ekranu.

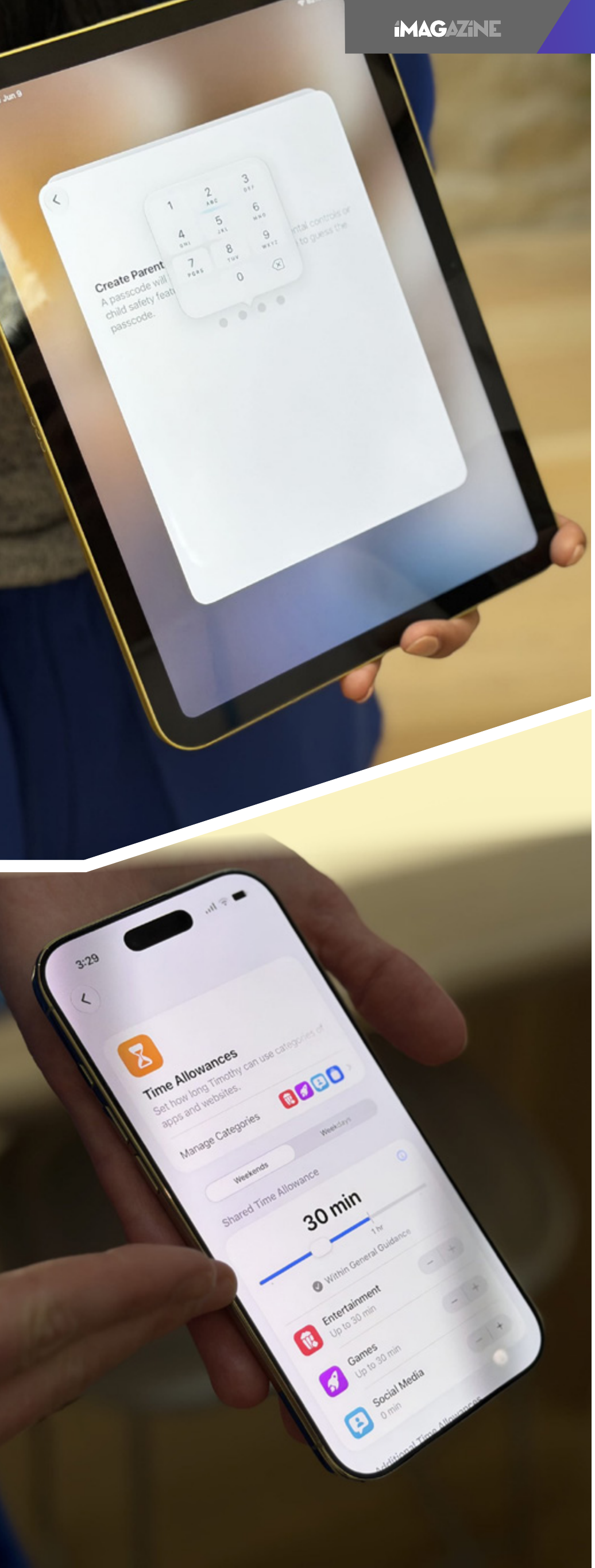
W panelu Czasu przed ekranem widać cały dzień jako czytelny harmonogram. Można szybko sprawdzić, kiedy dziecko ma dostęp do konkretnych kategorii aplikacji. Jeśli środa jest krótszym dniem w szkole, można stworzyć osobny plan dla środy. Jeśli weekend ma wyglądać inaczej, też można to ustawić.

Nowe harmonogramy pozwalają dopasować dostęp do aplikacji do konkretnych części dnia. Podczas konfiguracji rodzic ustawia dostępność urządzenia, na przykład od 8:00 do 20:00.

Jest też funkcja natychmiastowego wstrzymania używania urządzenia. Rodzic może z poziomu swojego iPhone'a zatrzymać dostęp do aplikacji na godzinę albo do konkretnego czasu. Na ekranie dziecka aplikacje przygasają i wymagają zgody rodzica. Jednocześnie nadal można zostawić dostęp do najważniejszych kontaktów i aplikacji, aby dziecko mogło skontaktować się z rodzicami.

Kod Czasu przed ekranem i małe hackerskie sztuczki dzieci

Każdy rodzic wie, że dzieci potrafią być niezwykle kreatywne. Czasem aż za bardzo. Apple też najwyraźniej to wie, bo podczas briefingu dużo mówiono o próbach odgadywania kodu Czasu przed ekranem. Dzieci patrzą przez ramię, analizują ślady palców na ekranie, próbują zapamiętać ruchy rodzica. Klasyka.



Dlatego pojawia się powiadomienie o użyciu kodu. Jeśli kod Czasu przed ekranem zostanie wpisany na urządzeniu dziecka, rodzic dostaje informację. Jeśli dziecko pozna kod i spróbuje coś zmienić, rodzic również zostanie o tym poinformowany. To nie jest magiczna blokada na wszystkie możliwe obejścia, ale bardzo praktyczny system wczesnego ostrzegania.

Najważniejsze jest jednak to, że Apple nie udaje, że technologia zastąpi rozmowę. Te narzędzia mają pomagać, ale nadal rodzic musi być rodzicem. Jeśli dziecko próbuje obejść ograniczenia, to powiadomienie nie jest końcem sprawy, tylko początkiem rozmowy.

Przeprojektowany Czas przed ekranem

Całość spina przeprojektowany panel Czasu przed ekranem. Rodzic może z jednego miejsca sprawdzić, jak dziecko używa urządzenia, które aplikacje są najczęściej uruchamiane, jakie są limity i harmonogramy. W przypadku starszych dzieci, jeśli korzystają z Apple Cash lub Apple Card, widoczne mogą być również informacje o saldzie i ostatnich transakcjach.

Najważniejsze są jednak szybkie przyciski na górze panelu. Można wstrzymać używanie urządzenia, czasowo pozwolić na nielimitowane korzystanie, zmienić

harmonogram albo dostosować ustawienia bez przekopywania się przez kilka poziomów menu.

I to chyba najlepiej pokazuje, o co chodzi w tej zmianie. Kontrola rodzicielska ma być czymś, do czego da się wrócić w codziennym życiu. Nie raz na rok, nie tylko podczas pierwszej konfiguracji, ale wtedy, gdy naprawdę coś się dzieje. Gdy dziecko jest chore i może dłużej obejrzeć bajkę. Gdy ma wycieczkę. Gdy są wakacje. Gdy pojawia się nowa aplikacja, nowy kolega, nowa potrzeba.

Urządzenie, które rośnie razem z dzieckiem

Najbardziej podoba mi się w tym wszystkim nie sama liczba przełączników, ale filozofia. Apple nie mówi rodzicom: ustawcie raz i zapomnijcie na zawsze. Mówi raczej: zacznijcie bezpiecznie, a potem rozszerzajcie dostęp wtedy, gdy dziecko jest na to gotowe.

To bardzo zdrowe podejście. Dziewięciolatek nie potrzebuje takiego samego dostępu jak trzynastolatek. Trzynastolatek nie powinien mieć takich samych ograniczeń jak sześciolatek. Każde dziecko jest inne, każda rodzina ma inne zasady, inne rytuały, inne granice. Apple daje narzędzia, które można dopasować, zamiast narzucać jeden model wychowania.

Nowe funkcje będą dostępne w aktualizacjach Czasu przed ekranem w iOS 27, iPadOS 27 i macOS 27. Działają więc nie tylko na iPhonie i iPadzie, ale również na Macu. To ważne, bo dzisiaj dzieci często korzystają z kilku urządzeń, a ograniczenia ustawione tylko na jednym z nich szybko przestają mieć sens.

Technologia nie wychowa dzieci, ale może pomóc rodzicom

Po tej prezentacji miałem jedną refleksję: najlepsza kontrola rodzicielska to nie taka, która zamienia rodzica w administratora systemu informatycznego. Najlepsza to taka, która pomaga rodzicowi być bliżej dziecka, a nie bliżej panelu ustawień.

Apple zrobiło duży krok właśnie w tę stronę. Konfiguracja jest prostsza, bardziej logiczna i pojawia się w odpowiednim momencie. Rodzic od

początku wie, że urządzenie jest dla dziecka, system od początku działa w trybie bezpiecznym, a kolejne decyzje – aplikacje, strony, kontakty, czas – są podawane w zrozumiałej kolejności.

Czy to rozwiąże wszystkie problemy cyfrowego dzieciństwa? Oczywiście, że nie. Żaden system tego nie zrobi. Nadal trzeba rozmawiać, tłumaczyć, obserwować, czasem negocjować, czasem powiedzieć „nie". Ale jeśli technologia ma być obecna w życiu dzieci, to powinna być projektowana tak, aby wspierać rodziców, a nie zostawiać ich samych z labiryntem opcji.

Nowa Kontrola rodzicielska Apple wygląda właśnie jak próba wyjścia z tego labiryntu. I jeśli rzeczywiście w praktyce będzie działała tak sprawnie, jak podczas prezentacji, to może być jedna z tych funkcji iOS 27, iPadOS 27 i macOS 27, o których nie będzie się mówiło najgłośniej, ale które w wielu domach okażą się najważniejsze.

Warto jeszcze zajrzeć na nową, dedykowaną kontroli rodzicielskiej i bezpieczeństwu dzieci stronę, którą udostępniło Apple.





DOMINIK ŁADA
@dominiklada

AI na Macu, czyli komputer znowu staje się osobisty

Zaraz po keynote WWDC26, na którym Apple pokazało najnowsze systemy z rodziny 27, trafiłem na pierwszy briefing dla mediów. Temat brzmiał: „AI on Mac Experience". I przyznam, że już sama nazwa była ciekawa, bo w Europie, a konkretnie w Unii Europejskiej, rozmowa o Apple Intelligence wciąż ma w sobie sporo frustracji. Wiemy, że część funkcji nie działa, wiemy dlaczego nie działa, wiemy też, że dla użytkowników końcowych to wszystko jest mało pocieszające.



Tym razem było jednak inaczej.

Paradoksalnie, mimo braku większości Apple Intelligence w UE, akurat to, co zobaczyłem podczas briefingu, ma być dostępne również u nas. Dlaczego? Bo nie chodziło o Apple Intelligence jako zamknięty zestaw funkcji systemowych, tylko o integrację aplikacji firm trzecich z macOS i mocą lokalnego sprzętu Apple. A to zmienia perspektywę.

Rozmawiałem z zespołami Perplexity, Draw Things oraz LM Studio. Trzy różne podejścia do AI na Macu. Trzy zupełnie inne scenariusze. I jedna wspólna myśl, która wracała w każdej rozmowie: Mac przestaje być tylko terminalem. Znowu staje się komputerem osobistym. Naprawdę osobistym.

AI, które nie musi od razu uciekać do chmury

Przez ostatnie lata przyzwyczailiśmy się, że AI mieszka gdzieś daleko. W centrum danych, w chmurze, za API, za subskrypcją, za limitem tokenów. Wpisujemy prompt, czekamy, dostajemy odpowiedź. Działa to świetnie, ale jednocześnie ma swoją cenę. Dosłownie i w przenośni. Płacimy za użycie, oddajemy dane poza urządzenie, a cały proces jest zależny od połączenia, usługodawcy i jego aktualnych zasad.

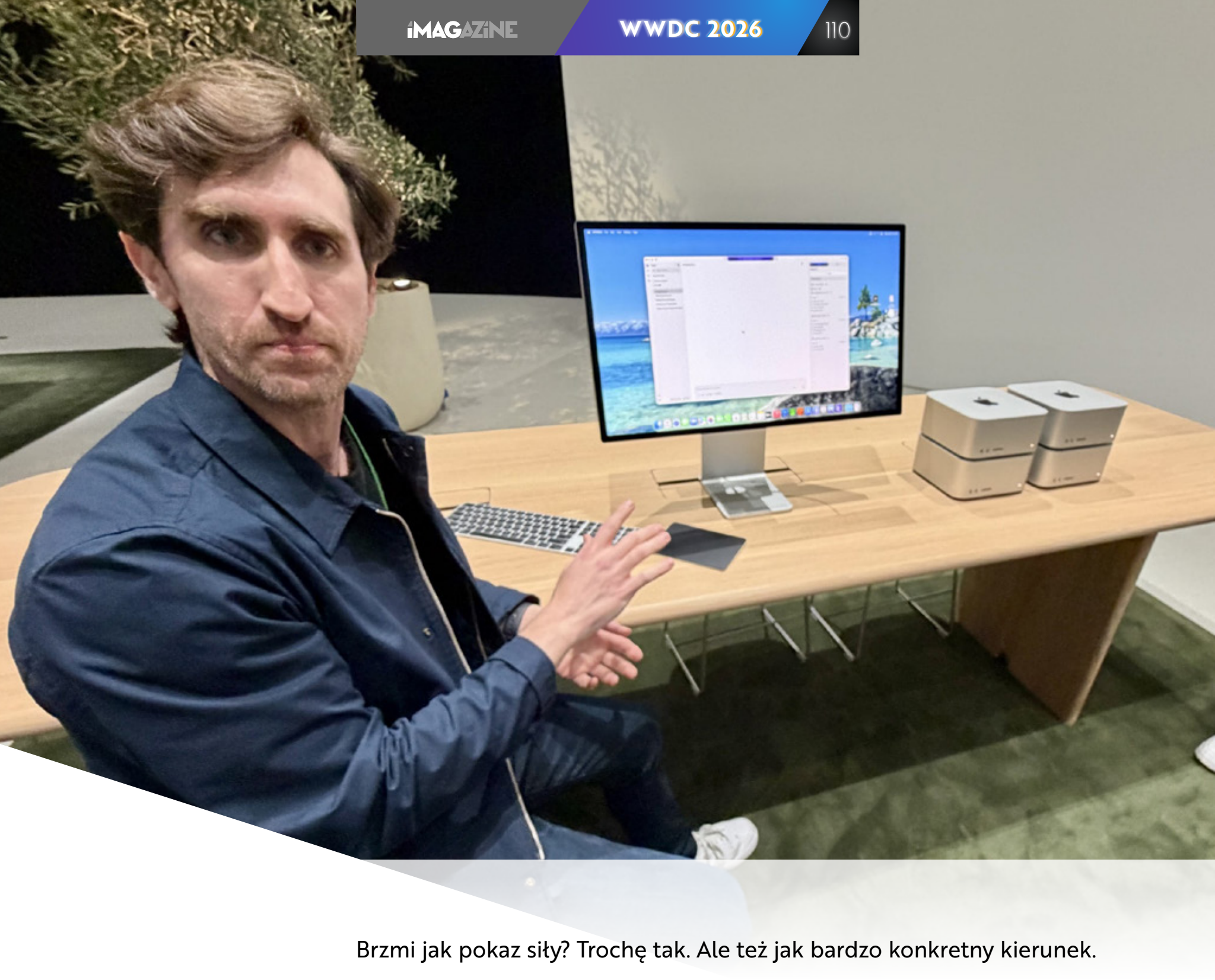
Na briefingu zobaczyłem coś, co idzie w inną stronę. Nie całkowicie odrzuca chmurę, bo to byłoby naiwne, ale próbuje ustawić ją na nowo. Czasem chmura jest mózgiem orkiestrującym zadania. Czasem Mac jest lokalnym wykonawcą. Czasem wszystko dzieje się wyłącznie na urządzeniu. A czasem kilka Maców połączonych razem zaczyna udawać prywatne centrum danych.

Najbardziej ekstremalnym przykładem było LM Studio.

LM Studio: własny model frontier na biurku

Przy stole stały cztery Mac Studio. Każdy z 512 GB zunifikowanej pamięci. Razem: 2 TB pamięci. Nie dysku. Pamięci RAM. To rozróżnienie powtarzano kilka razy, bo właśnie ono jest tutaj kluczowe. Takie maszyny połączono ze sobą przez Thunderbolt 5.





Brzmi jak pokaz siły? Trochę tak. Ale też jak bardzo konkretny kierunek.

LM Studio to aplikacja, która pozwala pobierać modele AI na Maca i uruchamiać je lokalnie. Bez wysyłania danych do chmury. Na jednym Macu pokazano mniejszy model, Gemma, który odpowiadał natychmiast i potrafił pracować także z obrazami. To była rozgrzewka.

Później uruchomiono klaster czterech Mac Studio i model określany jako Kimmy K 2.6, z 1 trylionem parametrów. Tak, trylionem. W praktyce mówimy o klasie modeli, które zwykle kojarzymy z wielką infrastrukturą serwerową, a nie ze sprzętem stojącym na stole w sali briefingowej.

Najciekawsze nie było jednak samo „zobaczcie, działa". Najciekawsze było to, jak ten duży model współpracował z mniejszymi modelami. Frontier model dostawał zadanie, analizował je, wybierał narzędzia, wywoływał mniejszy model do rozpoznania obrazu, oceniał wynik,



dawał sobie informację zwrotną i poprawiał rezultat. W demonstracji chodziło o adnotację zdjęcia, która za pierwszym razem była średnia, a potem została poprawiona dzięki takiemu lokalnemu łańcuchowi działań.

To jest dokładnie ten moment, w którym AI przestaje być tylko chatbotem. Zaczyna być systemem składającym się z agentów, narzędzi i modeli o różnych specjalizacjach.

LM Studio pokazało też LM Link, czyli zdalny, szyfrowany end-to-end dostęp do takiego klastra. Można siedzieć przy MacBooku albo mieć tylko iPhone'a i korzystać z mocy prywatnego „serwera AI" stojącego w domu, szkole czy firmie.
W aplikacji mobilnej Locally AI pokazano analizę dokumentu przesłanego z telefonu do lokalnego klastra. Bez wysyłania treści do publicznej chmury.

Czy to jest rozwiązanie dla każdego? Oczywiście, że nie. Taki zestaw kosztuje ogromne pieniądze. W rozmowie padła kwota rzędu 50–60 tysięcy dolarów. To bardziej proof of concept, rozwiązanie dla laboratoriów, uczelni, większych firm albo twórców pracujących na bardzo wrażliwych danych. Ale kierunek jest fascynujący: prywatna inteligencja klasy frontier, działająca lokalnie i dostępna z dowolnego urządzenia.

Draw Things: twórca nie chce czekać

Druga rozmowa była zupełnie inna. **Draw Things** nie próbowało pokazać wielkiego klastra ani modelu o trylionie parametrów. Tutaj chodziło o twórczość, szybkość i poczucie kontroli.

Draw Things to aplikacja do generowania obrazów i wideo, dostępna wyłącznie na urządzenia Apple. Zaczęła jako eksperyment na iPhonie 13 Pro, a potem trafiła na Maca i iPada. I właśnie ta historia dobrze pokazuje zmianę, jaka zaszła w sprzęcie Apple. Jeszcze niedawno lokalne generowanie obrazów było ciekawostką. Teraz zaczyna być narzędziem pracy.

Leo z Draw Things podkreślał, że M5, a szczególnie M5 Max, jest dla nich przełomem. Dzięki akceleratorom neuronowym w GPU i własnym optymalizacjom aplikacja ma oferować około 5–6 razy wyższą wydajność względem sprzętu tej samej klasy sprzed roku. Dla użytkownika nie oznacza to jednak suchego wykresu. Oznacza coś ważniejszego: można iterować pomysły niemal na żywo.





W pokazie powstawał koncept plakatu filmowego. Zmieniano tytuł, styl napisu, kolor sukni, kolor swetra, usuwano okulary, dodawano włosy. Najważniejsze było to, że nie wyglądało to jak wysyłanie kolejnych zleceń do chmury. Nie było „kliknij, poczekaj, zobacz, popraw, wyślij jeszcze raz". Było raczej poczucie sterowania obrazem. Aplikacja reagowała na wpisywane polecenia praktycznie bez opóźnień.

To drobna różnica techniczna, ale ogromna różnica psychologiczna. Twórca nie czeka na wynik. Twórca prowadzi proces.

Potem obraz zamieniono w krótkie wideo. I tu znowu najciekawszy był nie sam finał, ale sposób pracy. Podczas generowania wideo aplikacja pokazywała podgląd ruchu w niższej rozdzielczości i mniejszej liczbie klatek. Dzięki temu można było ocenić, czy animacja idzie w dobrą stronę, zanim powstanie finalny render. Jeśli nie, przerywamy, zmieniamy prompt, zaczynamy jeszcze raz. Bez tokenów, bez limitów, bez kosztu pojedynczej próby.

Pokazany materiał generował się lokalnie na MacBooku Pro, na baterii. W zależności od rozdzielczości krótki film może powstać w 1–2 minuty,

a wyższe rozdzielczości, jak 1080p, wymagają dłuższego czasu. Możliwe jest też późniejsze skalowanie do 4K.

Dla małych studiów, twórców, grafików, ekip marketingowych czy redakcji to może być bardzo praktyczne. Nie jako zamiennik człowieka, ale jako narzędzie do szybkiego szukania kierunku. Do przygotowania kilku wariantów, sprawdzenia pomysłu, zbudowania nastroju, zanim ktokolwiek odpali pełną produkcję.

Perplexity Personal Computer: agent, który korzysta z Maca jak człowiek

Najbardziej „codzienny", a jednocześnie chyba najbardziej niepokojąco przyszłościowy pokaz przygotowało Perplexity.

Perplexity Computer do tej pory działał jako usługa chmurowa koordynująca pracę agentów AI i wykorzystująca najbardziej zaawansowane modele sztucznej inteligencji dostępne na rynku. Teraz firma pokazała Personal



Computer, czyli bardziej osobistą wersję w aplikacji macOS. Działa na macOS 15 i nowszych, ale w demonstracji idealnym hostem był Mac mini z M4. Mały, cichy, zawsze włączony komputer, który staje się lokalnym wykonawcą zadań.

Tu architektura jest hybrydowa. Perplexity realizuje w swojej chmurze zarówno koordynację całego procesu, jak i przetwarzanie zapytań przez modele AI, podczas gdy Mac pełni rolę interfejsu i punktu integracji z systemem, więc pojawia się rozliczanie tokenami lub kredytami. Natomiast lokalne wykonanie odbywa się na Macu. To Mac ma dostęp do plików, aplikacji, Findera, Spotlight, Notatek, ustawień systemowych czy narzędzi terminalowych. Wszystko ma działać w sandboxie, z uwierzytelnianiem dwuetapowym, przy zdalnym dostępie i z wyraźnymi zgodami na odczyt plików.

Większość naszych zadań komputerowych da się zrobić ręcznie. Problem w tym, że są rozproszone, żmudne i wymagają przełączania się między aplikacjami. Agent nie robi tu magii. On po prostu bierze na siebie nudną część pracy.

Scenariusz demonstracyjny był prosty, ale bardzo obrazowy. Użytkownik, przedsiębiorca jadący do Tokio, prosi agenta o stworzenie strony internetowej z planem podróży od 8 do 12 czerwca. Agent ma pobrać dane z Kalendarza, dodać pogodę, rozkłady pociągów, informacje awaryjne, mapy, pobliskie miejsca i utrzymywać całość jako jedno centrum informacji. Strona ma się aktualizować co 30 minut, reagując na zmiany w kalendarzu, pogodzie czy transporcie.

To brzmi jak coś, co można by zrobić ręcznie. Tylko że właśnie o to chodzi. Większość naszych zadań komputerowych da się zrobić ręcznie. Problem w tym, że są rozproszone, żmudne i wymagają przełączania się między aplikacjami. Agent nie robi tu magii. On po prostu bierze na siebie nudną część pracy.

W kolejnym kroku użytkownik, będąc już w Tokio, prosi z telefonu o połączenie z Maciem mini w domu, znalezienie odpowiednich plików przez Spotlight i Finder oraz przygotowanie wykresów do prezentacji. System pokazuje, co robi, prosi o dostęp do pliku, wykonuje operacje w lokalnym środowisku i generuje wynik.

Potem dochodzą notatki ze spotkań. Użytkownik wpisuje uwagi w aplikacji Notatki na iPhonie, a agent później odnajduje odpowiednie notatki i nanosi zmiany w prezentacji. Nie trzeba wskazywać każdego pliku ręcznie. System korzysta z kontekstu, pamięci Perplexity i lokalnych danych na Macu.

To jest dokładnie ten rodzaj AI, który może naprawdę zmienić sposób pracy. Nie przez kolejną odpowiedź na pytanie, tylko przez wykonywanie ciągów czynności w naszym własnym środowisku.

Trzy wizje tej samej przyszłości

Po tych trzech rozmowach miałem wrażenie, że zobaczyłem trzy różne odpowiedzi na jedno pytanie: czym ma być AI na komputerze osobistym?

LM Studio mówi: AI może być prywatne, lokalne i potężne. Nawet jeśli wymaga do tego kilku bardzo drogich Maców spiętych w klaster.

Draw Things mówi: AI ma być narzędziem twórczym, które reaguje natychmiast i nie karze użytkownika za eksperymenty kolejnymi kosztami w chmurze.

Perplexity mówi: AI ma być agentem, który łączy chmurę, web, lokalne pliki, aplikacje i osobisty kontekst, wykonując za nas pracę na komputerze.

To jest dokładnie ten rodzaj AI, który może naprawdę zmienić sposób pracy. Nie przez kolejną odpowiedź na pytanie, tylko przez wykonywanie ciągów czynności w naszym własnym środowisku.

Każde z tych podejść ma swoje ograniczenia. LM Studio pokazuje przyszłość, która dziś jest droga. Możliwości Draw Things rozwijają się równolegle z całym ekosystemem otwartych modeli AI – im lepsze stają się modele udostępniane społeczności, tym więcej potrafi sama aplikacja. Perplexity wymaga zaufania do swojej infrastruktury chmurowej, ponieważ to tam realizowana jest większość zaawansowanych operacji AI. Warto też pamiętać, że wraz ze wzrostem możliwości usługi rośnie znaczenie świadomego zarządzania kosztami jej wykorzystania. Ale wszystkie trzy pokazują coś ważnego: Mac staje się naturalnym miejscem dla AI.

Perplexity wymaga zaufania do swojej infrastruktury chmurowej, ponieważ to tam realizowana jest większość zaawansowanych operacji AI. Warto też pamiętać, że wraz ze wzrostem możliwości usługi rośnie znaczenie świadomego zarządzania kosztami jej wykorzystania.

Nie tylko dlatego, że ma szybkie procesory. Również dlatego, że ma zunifikowaną pamięć, mocne GPU, energooszczędność, dobrą integrację urządzeń i system bezpieczeństwa, który można wykorzystać jako fundament dla agentów.

Najciekawsze jest to, czego Apple nie musiało pokazywać samo

Ten briefing był ciekawy jeszcze z jednego powodu. Apple nie musiało wyjść na scenę i powiedzieć: „oto nasza jedna, jedyna wizja AI". Zamiast tego pokazało, że Mac może być platformą, na której różne firmy budują różne wizje.

To ważne szczególnie w Europie. Skoro część Apple Intelligence nadal jest u nas ograniczona, aplikacje third party mogą okazać się najszybszą drogą do realnych funkcji AI na Macu. Nie jako obejście, ale jako osobny, bardzo ciekawy kierunek.

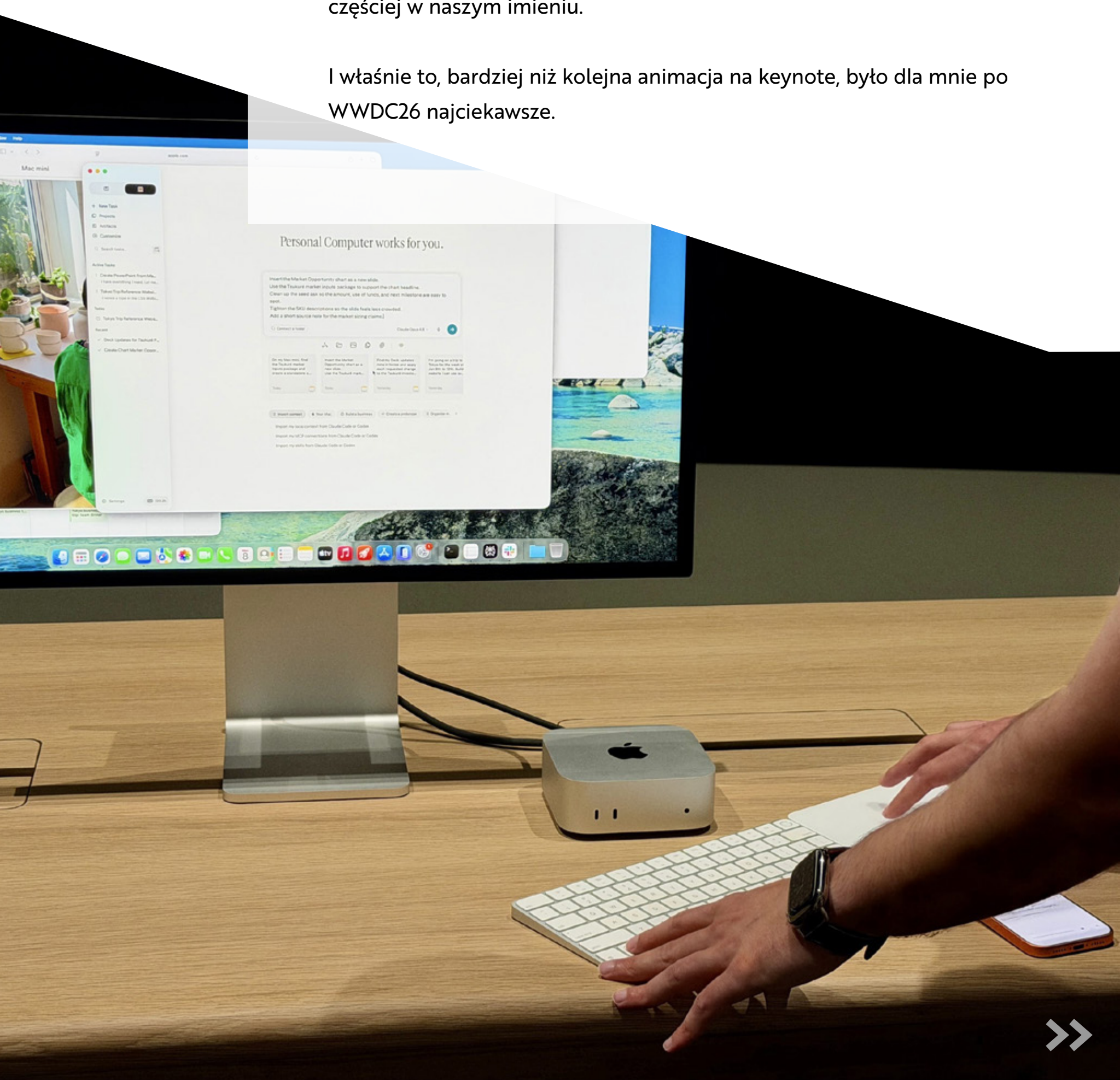
Po keynote łatwo koncentrować się na tym, czego nie dostaliśmy. Po tym briefingu wolę patrzeć na to, co właśnie zaczyna się pojawiać. Lokalna generacja obrazów i wideo. Prywatne modele na własnym sprzęcie. Agenci, którzy potrafią pracować na naszych plikach, ale pytają o zgodę. Zdalny dostęp do własnego komputera jako centrum AI.

To wszystko nadal jest początkiem. Czasem jeszcze pokazem technologicznym. Czasem bardzo drogim proof of concept. Czasem produktem, który będzie wymagał dopracowania, lepszych zabezpieczeń, jasnych cen i edukacji użytkowników.

Ale kierunek jest wyraźny.

Mac nie chce być tylko ekranem do chmury. Mac chce być miejscem, w którym AI naprawdę pracuje. Lokalnie, prywatnie, kontekstowo i coraz częściej w naszym imieniu.

I właśnie to, bardziej niż kolejna animacja na keynote, było dla mnie po WWDC26 najciekawsze.







DOMINIK ŁADA
@dominiklada

Apple Intelligence w aplikacjach.
Piękne demo przyszłości, której w Polsce nadal dostaniemy tylko kawałek

Kolejny dzień w Apple Park, kolejny pokaz nowych systemów i kolejny raz to samo, lekko schizofreniczne uczucie: z jednej strony zachwyt, bo Apple Intelligence zaczyna wreszcie wyglądać jak coś więcej niż zestaw pojedynczych sztuczek, a z drugiej frustracja, bo mieszkając w Polsce i szerzej w Unii Europejskiej, wciąż musimy patrzeć na dużą część tych funkcji przez szybę.



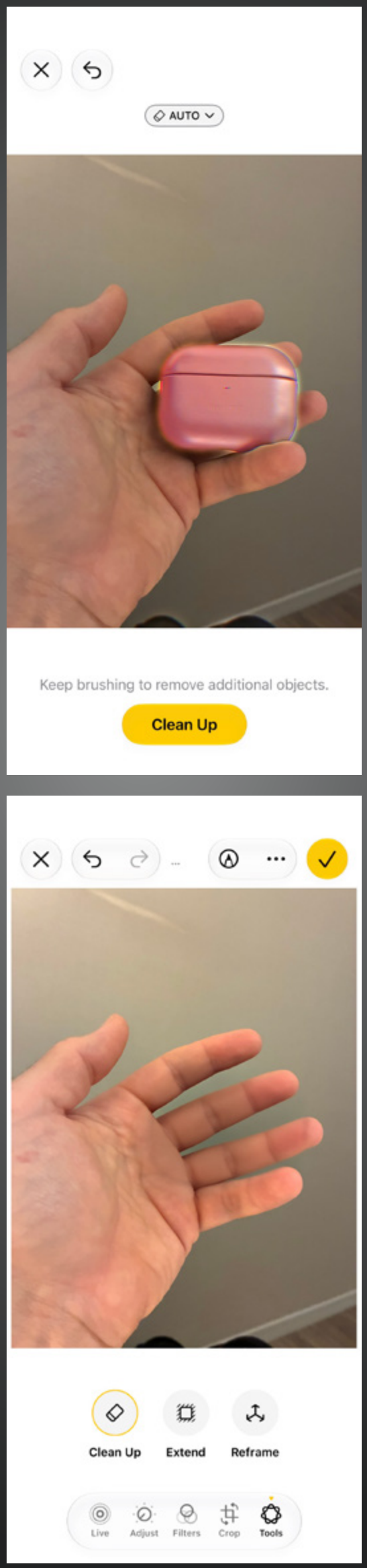
To jest chyba najtrudniejszy element tegorocznego WWDC. Apple pokazuje kierunek, który ma sens. Nie chodzi już tylko o „napisz mi tekst", „streść mi maila" albo „wygeneruj obrazek". Chodzi o coś znacznie ciekawszego: sztuczną inteligencję wbudowaną w zwykłe aplikacje, których używamy codziennie. Zdjęcia, Safari, Wiadomości, Skróty, Image Playground. Miejsca, w których AI nie jest osobną aplikacją, do której trzeba specjalnie wejść, tylko cichą warstwą pomagającą zrobić coś szybciej, dokładniej albo po prostu wygodniej.

Problem w tym, że w Europie ta przyszłość znowu będzie niepełna.

Zdjęcia: tu zaczyna się magia, którą na szczęście dostaniemy

Najważniejsza dobra wiadomość jest taka, że funkcje związane z edycją zdjęć mają być dostępne w Unii Europejskiej. To istotne, bo właśnie tutaj Apple pokazało jedne z najbardziej praktycznych i jednocześnie efektownych nowości.

Clean Up/Oczyszczanie znamy już od systemów 26, ale teraz narzędzie do usuwania niechcianych elementów ze zdjęć dostaje wyraźnie mocniejszy



silnik. Dotychczas działało głównie lokalnie, na urządzeniu, szybko i wygodnie, ale przy bardziej skomplikowanych scenach jego możliwości były ograniczone. Teraz użytkownik ma mieć do wyboru tryb lokalny albo dokładniejszy model wysokiej jakości, wykorzystujący Private Cloud Compute. Można też zostawić wybór automatyce, a system sam zdecyduje, czy dana scena wymaga większej mocy obliczeniowej.

To nie jest drobiazg. W praktyce oznacza to, że Clean Up/Oczyszczanie nie tylko zamazuje pustą przestrzeń po usuniętym obiekcie, ale próbuje sensownie odtworzyć tło. Jeżeli usuwamy krzesło, zabawkę, przypadkowy przedmiot albo osobę z kadru, system analizuje wzory, światło, faktury i kontekst. Apple bardzo mocno podkreśla przy tym, że celem tych narzędzi nie jest zmiana istoty zdjęcia, lecz poprawienie kompozycji i usunięcie przeszkadzających elementów.

To ważne rozróżnienie. W czasach, w których każde zdjęcie można wygenerować od zera, Apple próbuje ustawić swoje narzędzia bardziej po stronie cyfrowego retuszu niż fantazji. Zdjęcie ma pozostać tym samym momentem, tylko lepiej opowiedzianym.

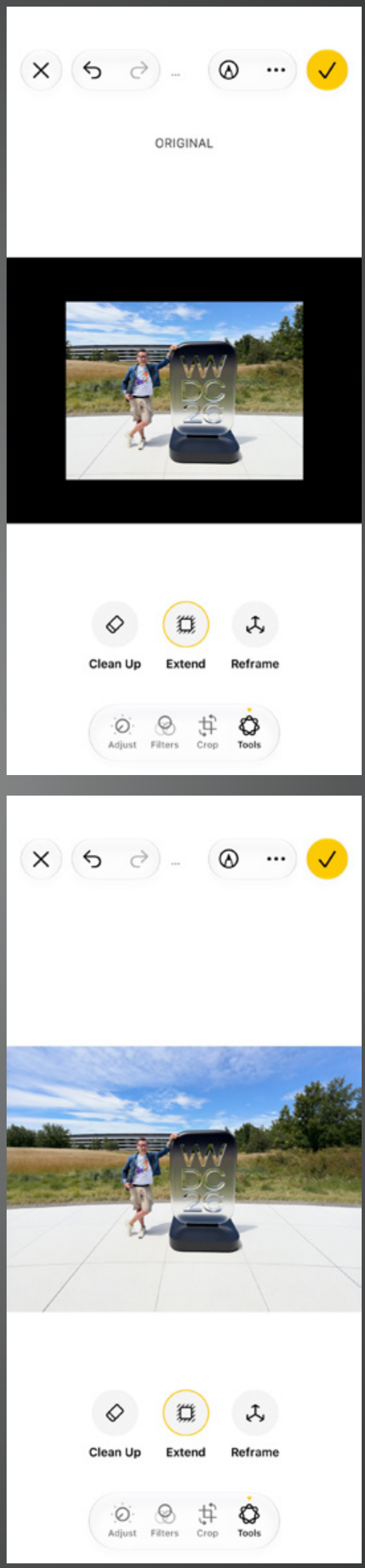
Extend/Rozszerz, czyli gdy kadr był o kilka centymetrów za ciasny

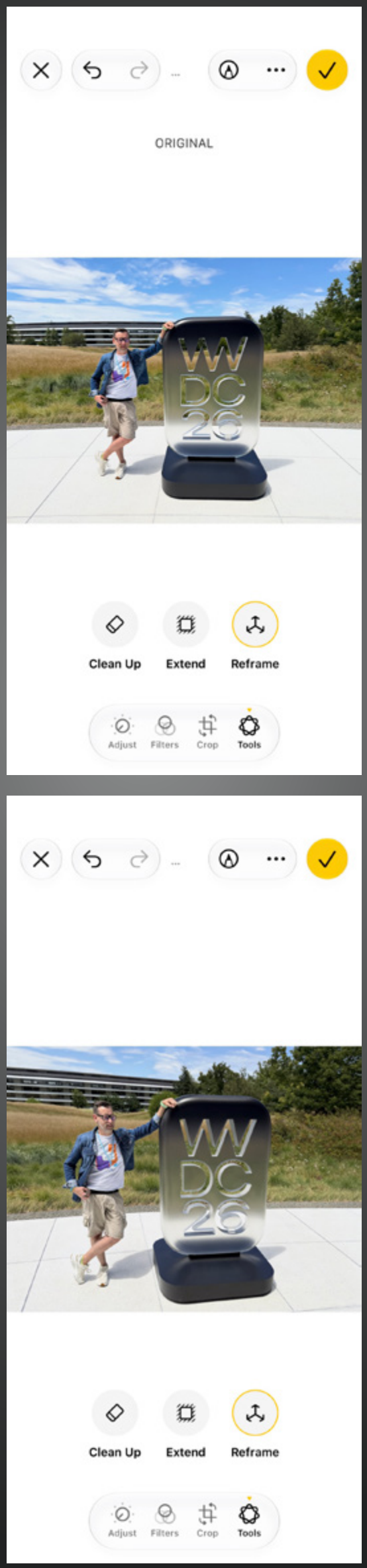
Drugą nowością jest Extend/Rozszerz. To funkcja, która może okazać się jedną z tych rzeczy, po których trudno będzie wrócić do zwykłej edycji zdjęć. Każdy z nas ma w bibliotece fotografie, które są prawie idealne. Prawie, bo ktoś ma ucięty łokieć, nad głową jest za mało powietrza, kadr jest minimalnie krzywy albo obiekt powinien znajdować się trochę bardziej pośrodku.

Extend/Rozszerz pozwala „oddalić" zdjęcie, czyli rozszerzyć jego krawędzie. Apple mówi o limicie do 25 procent na każdą stronę kadru. To rozsądne ograniczenie, bo nie chodzi o to, aby z pionowego portretu robić nagle pełnoprawny krajobraz. Chodzi raczej o delikatne dobudowanie brakującej przestrzeni.

Najciekawsze jest to, że Extend/Rozszerz działa także w narzędziu kadrowania. Jeżeli prostujemy zdjęcie i nagle okazuje się, że po rogach zabraknie obrazu, system może uzupełnić krawędzie tak, aby nie trzeba było agresywnie przycinać całości. To może być mała rewolucja dla wszystkich, którzy robią dużo zdjęć i później walczą z kadrem o milimetry.

Ważne: oryginalny obiekt nie ma być zmieniany. System uzupełnia otoczenie, światło, tło, rozmycie, faktury. To nadal ma być nasze zdjęcie, a nie jego alternatywna wersja z równoległego wszechświata.





Reframing/Zmień kadr, czyli zmiana perspektywy po fakcie

Trzecia funkcja fotograficzna to Reframing/Zmień kadr, a właściwie Spatial Reframing. I tutaj robi się naprawdę ciekawie. System buduje trójwymiarową mapę zdjęcia, pozwalając użytkownikowi delikatnie zmienić perspektywę kadru już po jego wykonaniu.

Brzmi jak magia, ale idea jest prosta: przesuwamy palcem, zmieniamy kąt widzenia, a Apple Intelligence próbuje przeliczyć scenę tak, jakby aparat znajdował się odrobinę gdzie indziej. Można poprawić kontakt wzrokowy z fotografowaną osobą, lekko zmienić ułożenie kadru, dodać trochę nieba, odzyskać lepszą kompozycję.

To oczywiście nie zastąpi fotografa. Nie naprawi każdego błędu i nie cofnie czasu. Ale może uratować wiele zdjęć, które dotąd lądowały w kategorii „szkoda, że nie stanąłem pół kroku bardziej w lewo”.

Co ważne, zmiany mają być niedestrukcyjne. Oryginał pozostaje zachowany, a w metadanych zdjęcia ma być informacja, że było ono edytowane z użyciem Apple Intelligence. Apple pracuje też

nad ukrytym oznaczaniem SynthID, co ma pomóc w rozpoznawaniu treści modyfikowanych przez AI.

Safari: przeglądarka zaczyna rozumieć, co robimy

Drugim dużym obszarem zmian jest Safari. I tutaj zaczyna się ta część, którą ogląda się z zazdrością, bo nie wszystkie funkcje Apple Intelligence będą u nas dostępne od razu.

> Teraz Safari samo analizuje otwarte strony i proponuje tematyczne zbiory. Przepisy kulinarne razem. Ceramika razem. Planowanie podróży razem. Zakupy razem.

Safari ma dostać inteligentne grupowanie kart. Nie chodzi o ręczne tworzenie grup, które od lat mamy w przeglądarkach i z których część osób korzysta, a część ignoruje. Teraz Safari samo analizuje otwarte strony i proponuje tematyczne zbiory. Przepisy kulinarne razem. Ceramika razem. Planowanie podróży razem. Zakupy razem.

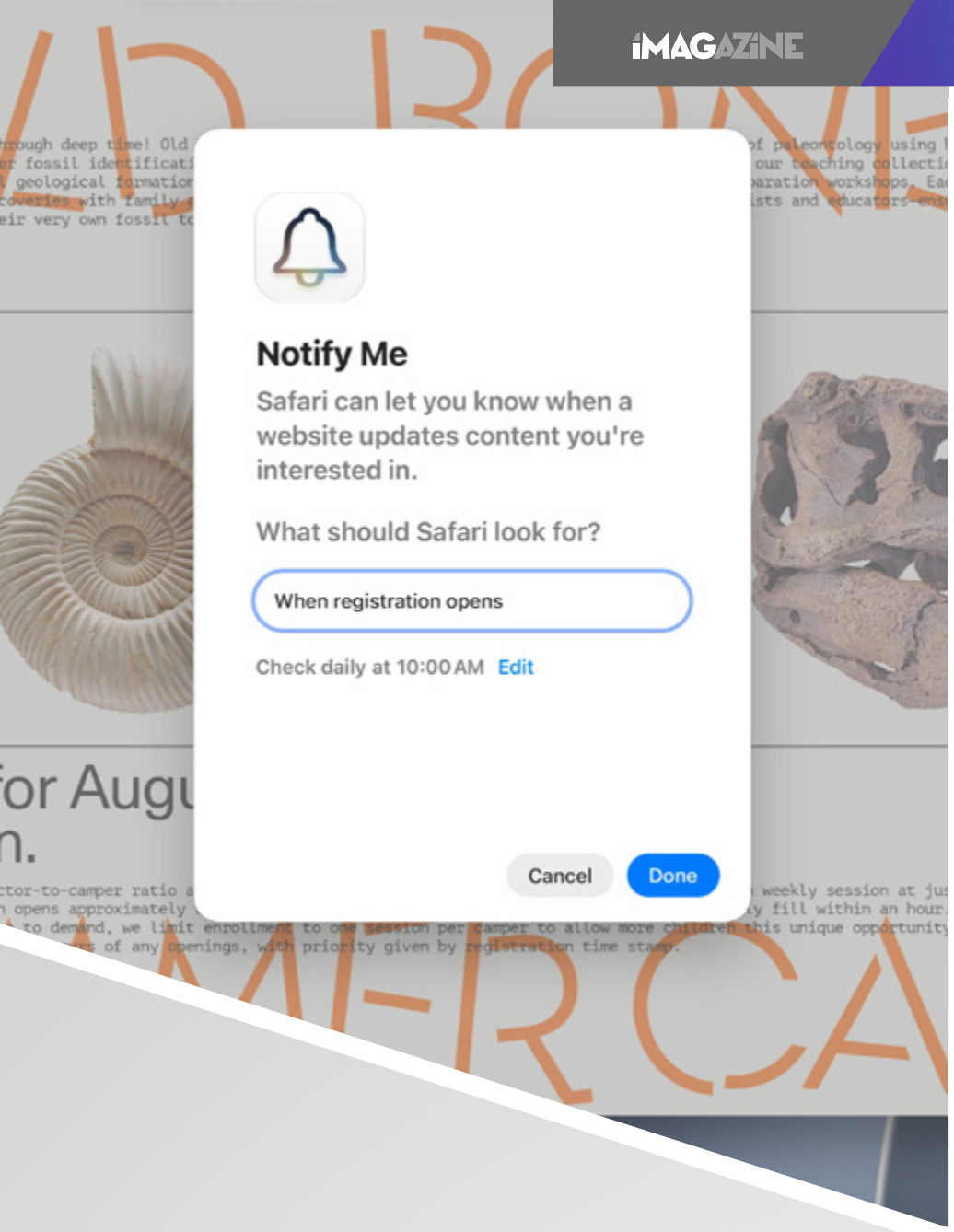
Co więcej, te grupy są dynamiczne. Jeżeli otworzymy kolejne karty pasujące do danego tematu, Safari może je samo przypisać. Jeżeli kontekst się zmieni, nazwa grupy też może się zmienić. W teorii jest to dokładnie ten typ AI, którego naprawdę potrzebujemy: nie widowiskowy, ale porządkujący chaos.

A chaos w kartach Safari to przecież osobna choroba cywilizacyjna. Każdy z nas zna ten moment, gdy otwartych kart jest tyle, że przestajemy już szukać informacji, a zaczynamy szukać samej karty, na której tę informację zostawiliśmy.

Notify Me, czyli internet, który sam pilnuje zmian

Kolejną funkcją Safari jest Notify Me. To jedna z tych nowości, które mogą brzmieć niepozornie, ale w praktyce mogą bardzo zmienić sposób korzystania z internetu.

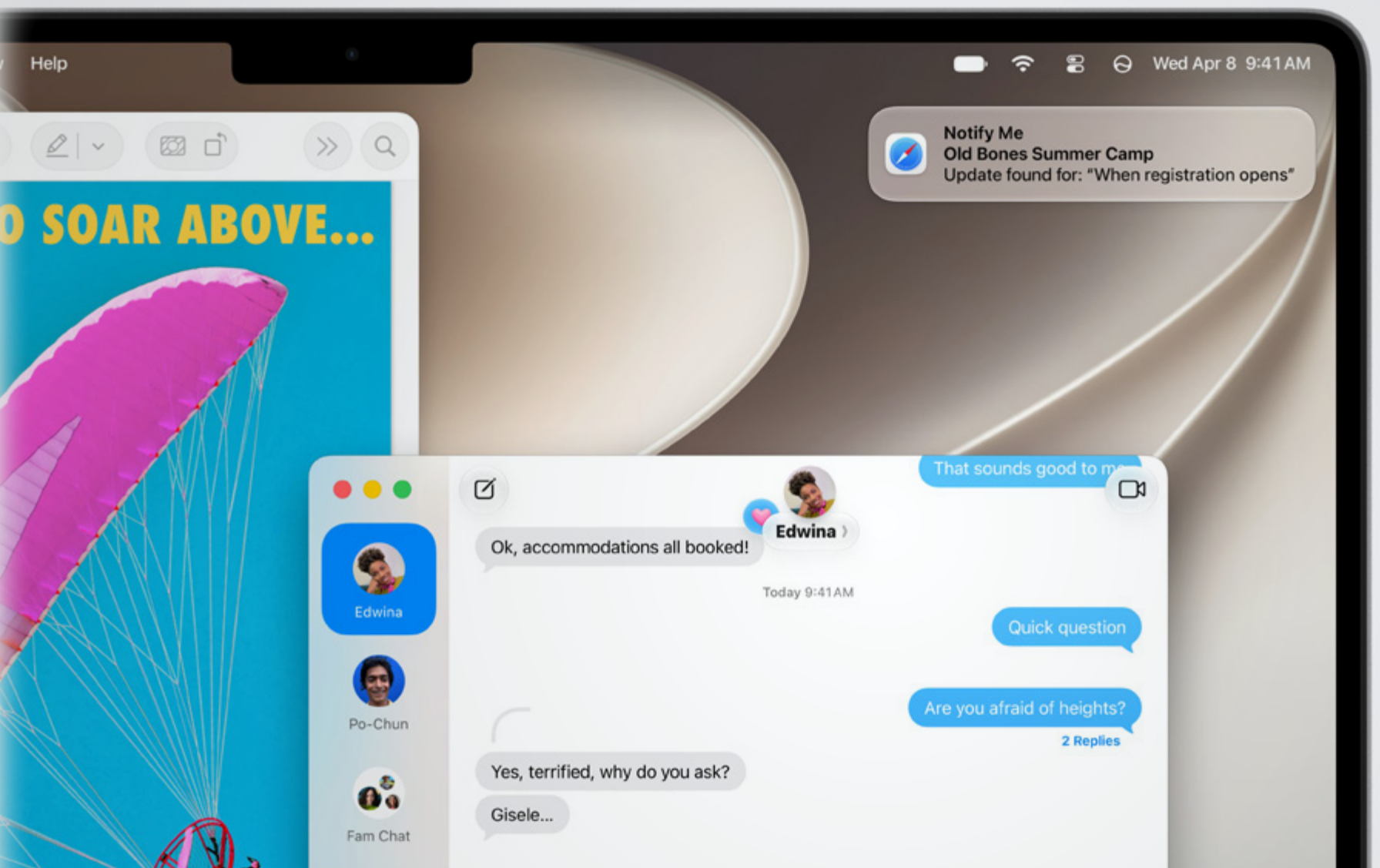
Zamiast samemu wracać na stronę i sprawdzać, czy coś się zmieniło, można poprosić Safari, aby monitorowało daną stronę. Naturalnym językiem. Nie tylko „daj znać, gdy cena spadnie", ale też „powiadom mnie, gdy pojawi się nowy termin koncertu", „gdy produkt wróci do sprzedaży", „gdy restauracja

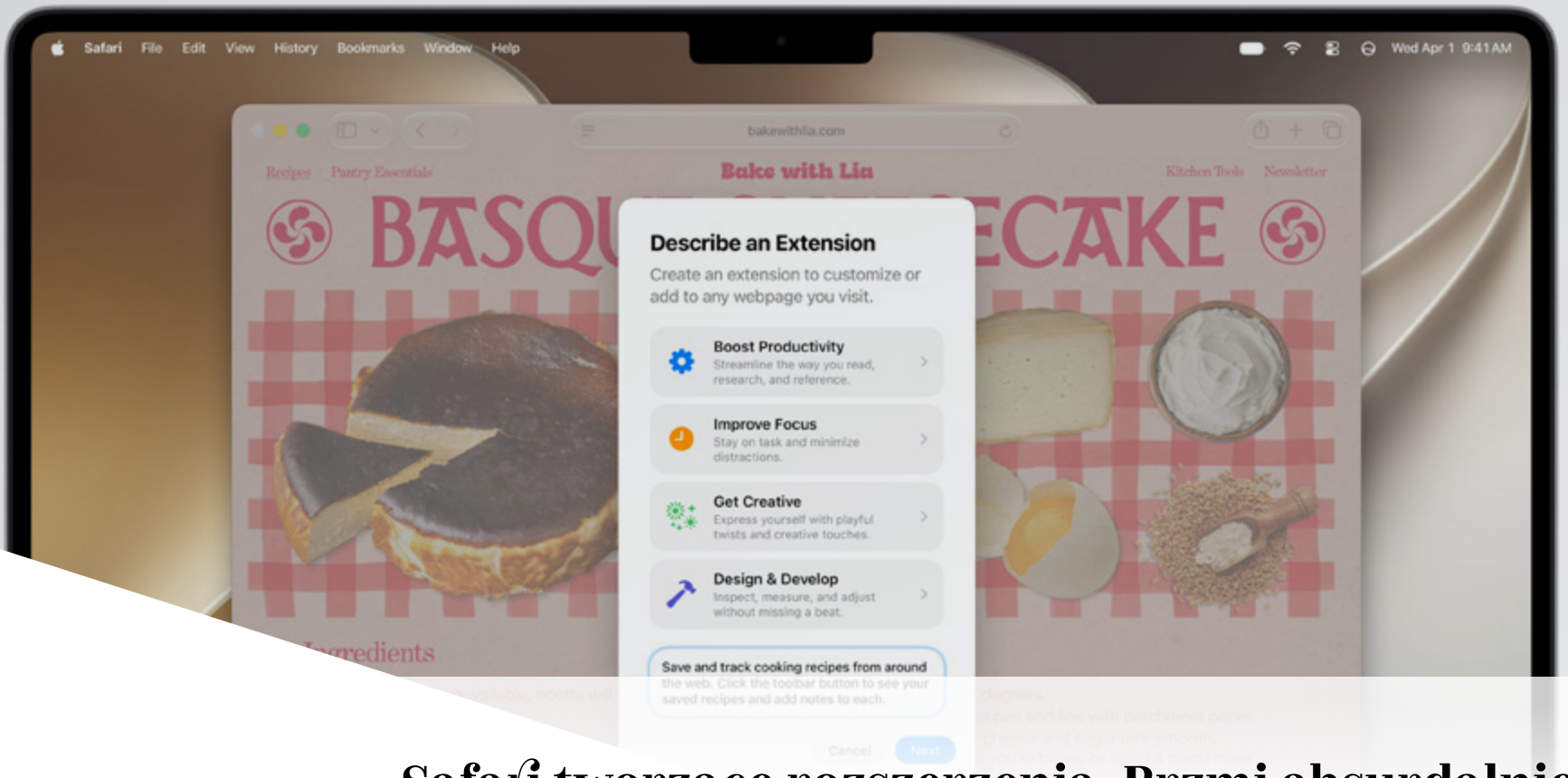


opublikuje nowe menu” albo „gdy sklep doda nowy smak lodów”.

To nie jest zwykły tracker ceny. To semantyczne monitorowanie strony. Safari ma rozumieć, czego szukamy, a nie tylko sprawdzać zmianę konkretnej liczby. Na start monitorowanie ma działać w rytmie dziennym, tygodniowym lub miesięcznym, a w przyszłości ma pojawić się także sprawdzanie godzinowe.

Ograniczenie jest oczywiste: strona musi być publicznie dostępna. Jeżeli coś wymaga logowania, Safari nie będzie mogło tego po prostu monitorować w tle. I dobrze, bo tutaj bardzo łatwo byłoby przekroczyć granicę pomiędzy wygodą a czymś, co zaczyna być niepokojące.





Safari tworzące rozszerzenia. Brzmi absurdalnie, działa logicznie

Jedna z najbardziej futurystycznych funkcji to tworzenie rozszerzeń Safari na podstawie opisu. Użytkownik nie musi pisać kodu. Wystarczy, że opisze, czego potrzebuje.

Przykład? „Chcę rozszerzenie, które zapisuje przepisy kulinarne, pozwala dodać ocenę, notatkę i pokazuje listę zapisanych dań w ładnym panelu". Safari najpierw sprawdza, czy w App Store istnieje już coś, co spełnia tę potrzebę. Jeśli nie, może wygenerować własne rozszerzenie, przetestować je i uruchomić lokalnie w przeglądarce.

To jest bardzo ciekawy kierunek, bo Apple nie pokazuje tutaj AI jako zabawki, tylko jako narzędzie demokratyzujące funkcje zarezerwowane dotąd dla osób technicznych. Do tej pory rozszerzenia były czymś, co pobieraliśmy albo tworzyli programiści. Teraz mają stać się czymś, co można po prostu opisać.

Oczywiście tu pojawi się mnóstwo pytań: jak daleko takie rozszerzenie może sięgać, czy będzie mogło zapisywać dane poza Safari, jak wyglądać będzie kontrola uprawnień, jak łatwo będzie takie rozszerzenie edytować i czy użytkownicy będą mogli się nimi dzielić. Na razie wygląda na to, że samym rozszerzeniem niekoniecznie, ale promptem już tak.

I to jest bardzo „apple'owe". Najpierw uprościć proces, potem pilnować granic.

Skróty wreszcie dla normalnych ludzi

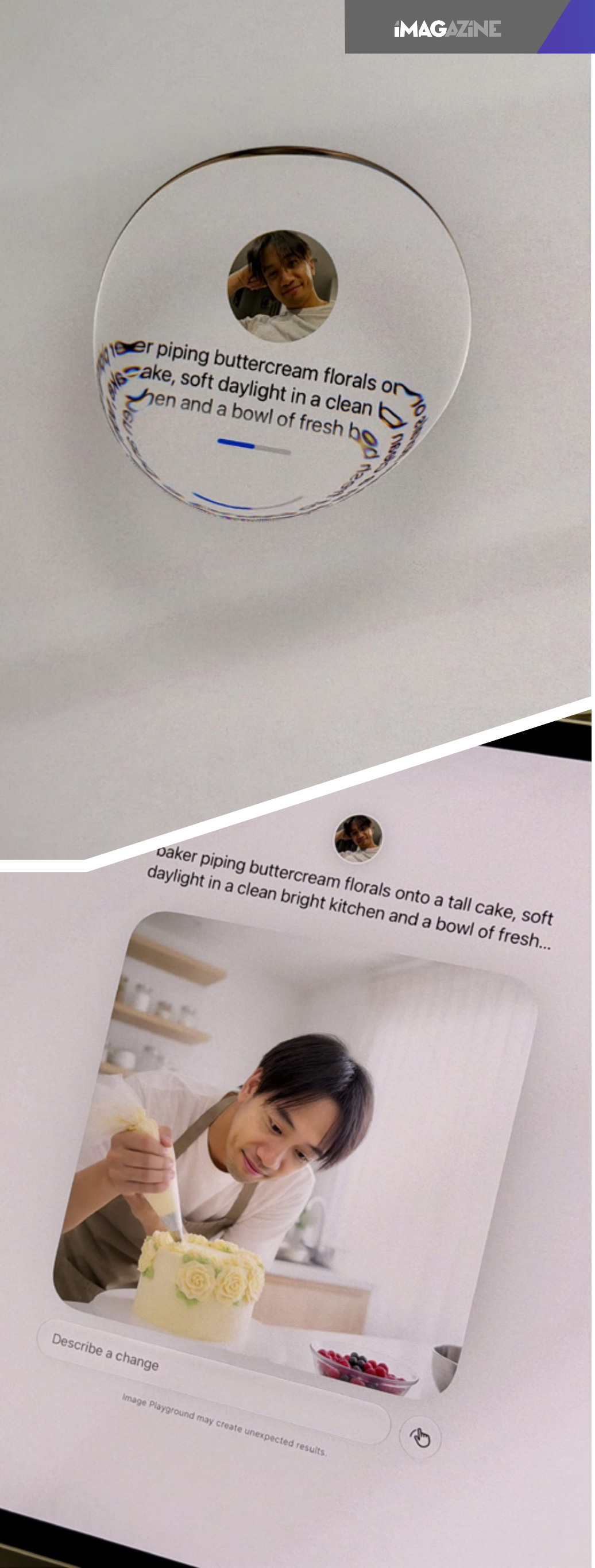
Od lat powtarzam, że Skróty są jedną z najpotężniejszych, a jednocześnie najbardziej niedocenianych funkcji w ekosystemie Apple. Problem polega na tym, że dla wielu osób są zbyt skomplikowane. Niby wszystko jest graficzne, niby układamy klocki, ale trzeba wiedzieć, które klocki wybrać, jak je połączyć i co właściwie chcemy osiągnąć.

Apple Intelligence może to zmienić.

Nowe Skróty mają pozwalać na tworzenie automatyzacji poprzez opis. Możemy napisać: „podsumuj mi rano w kilku zdaniach, jakie mam dziś spotkania i co muszę zrobić do końca dnia, a potem pozwól zadawać pytania uzupełniające". System sam dobiera akcje: kalendarz, przypomnienia, model językowy, podsumowanie, harmonogram uruchomienia.

Dla zaawansowanych użytkowników nadal zostaje możliwość zajrzenia pod maskę i sprawdzenia, co dokładnie zostało zbudowane. To bardzo ważne, bo Skróty zawsze były narzędziem dla power userów. Teraz mogą stać się narzędziem dla wszystkich, ale bez odbierania kontroli tym, którzy wiedzą, co robią.





To jest jedna z tych funkcji, której naprawdę żałuję, jeśli nie zobaczymy jej szybko w Polsce. Bo to nie jest gadżet. To może być codzienna produktywność.

Image Playground: spektakularne, ale nie dla nas

No i dochodzimy do Image Playground. Tu trzeba powiedzieć jasno: tej funkcji w Unii Europejskiej nadal mieć nie będziemy. A szkoda, bo tegoroczna wersja wygląda spektakularnie.

Image Playground przestaje być prostym generatorem obrazków, a zaczyna przypominać pełnoprawne środowisko do tworzenia i iteracyjnej edycji grafik. Można wybrać styl, proporcje, zdjęcie lub osobę jako inspirację, a potem opisać scenę. Największe wrażenie robi fotorealizm oraz możliwość dalszej edycji tego samego obrazu bez zaczynania od nowa.

Przykład jest prosty: tworzymy obraz znajomego jako cukiernika dekorującego tort w jasnej kuchni. Potem dopisujemy, że po lewej stronie ma pojawić się piętrowa patera z babeczkami. System dodaje ją, ale nie rozwala całej kompozycji. Następnie dotykiem zaznaczamy miseczkę z owocami i prosimy, aby zamiast nich były borówki. Zmiana dotyczy wskazanego obszaru, a nie całego obrazu.

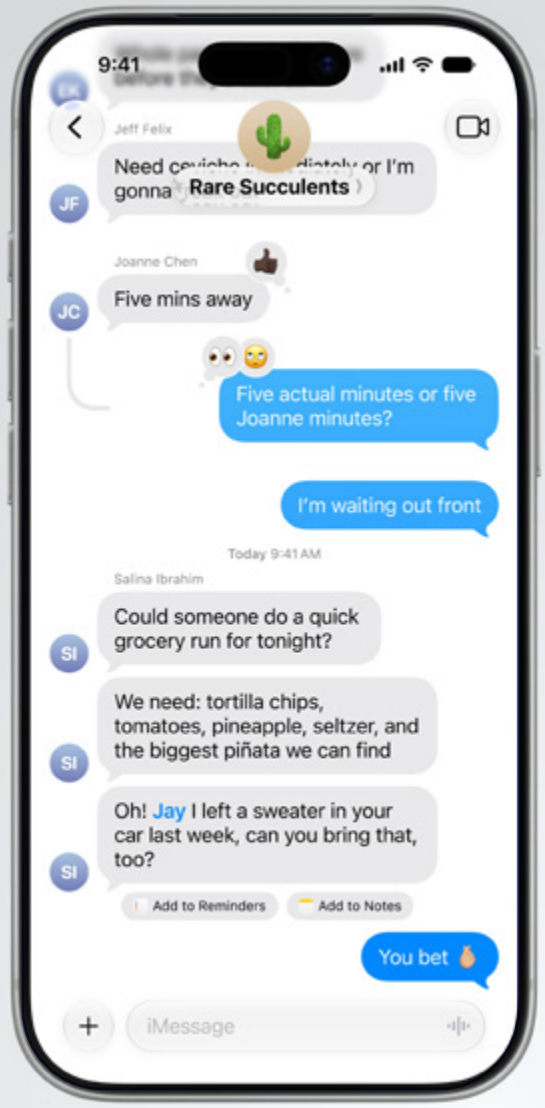
To jest ogromna różnica względem wielu generatorów, w których każda poprawka często oznacza loterię od początku. Tutaj

Apple stawia na wieloetapową edycję, historię wersji i spójność obrazu. Można zmieniać ubranie, tło, obiekty, fragmenty sceny. Tekstem albo dotykiem.

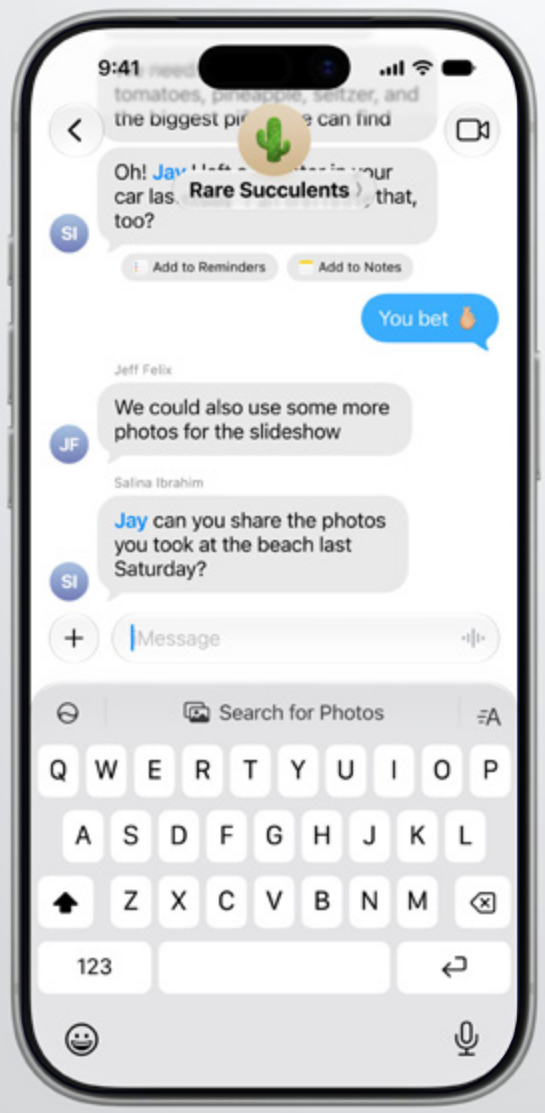
Efekt? Bardzo mocny pokaz tego, czym generatywna grafika może być w systemie operacyjnym, jeśli nie jest osobną stroną internetową, tylko częścią platformy. I bardzo bolesne przypomnienie, że w Europie na razie będziemy o tym głównie czytać.

Wiadomości, zdjęcia i małe rzeczy, które robią różnicę

Apple pokazało też drobniejsze, ale bardzo sensowne zastosowania Apple Intelligence w Wiadomościach. Jeżeli ktoś napisze do nas z prośbą o zdjęcia z konkretnego wyjazdu, z konkretnymi osobami albo z konkretnego miejsca, system może rozpoznać kontekst rozmowy i od razu zaproponować wyszukanie właściwych fotografii.



Ktoś pyta: „wyślesz zdjęcia Eweliny i Kiry z Los Angeles?". Zamiast wchodzić do Zdjęć, wpisywać frazy, wybierać osoby, lokalizacje i daty, dostajemy przycisk, który robi to za nas. Apple Intelligence rozumie, że chodzi o osoby, miejsce i zdjęcia z biblioteki.



Podobne mechanizmy mają pomagać przy dodawaniu wydarzeń do Kalendarza, tworzeniu przypomnień z wiadomości, śledzeniu numerów lotów czy otwieraniu lokalizacji w Mapach. To są małe rzeczy, ale właśnie w nich AI ma największy

sens. Nie w wielkim haśle „sztuczna inteligencja zmieni świat", tylko w tym, że oszczędza nam dwadzieścia sekund tu, trzy kliknięcia tam i pięć minut frustracji gdzie indziej.

Prywatność jako fundament, ale też ograniczenie

W całej prezentacji bardzo wyraźnie powracał temat przetwarzania lokalnego i Private Cloud Compute. Apple konsekwentnie buduje narrację, że AI ma działać możliwie blisko użytkownika, a jeśli musi wyjść do chmury, to w sposób prywatny, kontrolowany i tymczasowy.

To jest największa różnica między Apple a wieloma firmami z rynku AI. Inni często zaczynają od maksymalnych możliwości i dopiero później próbują dorobić do tego warstwę prywatności. Apple robi odwrotnie. Najpierw stawia granice, a dopiero potem próbuje zmieścić w nich funkcje.

Z perspektywy użytkownika jest to podejście bardzo rozsądne. Z perspektywy tempa rozwoju bywa frustrujące. Zwłaszcza gdy mieszkamy w Europie, gdzie dochodzą jeszcze regulacje, interpretacje, opóźnienia i niepewność. Efekt jest taki, że Apple Intelligence w pełnym wydaniu znowu będzie czymś, co zobaczymy na scenie, w materiałach promocyjnych i u znajomych z innych regionów, ale niekoniecznie na własnym iPhonie.

Inni często zaczynają od maksymalnych możliwości i dopiero później próbują dorobić do tego warstwę prywatności. Apple robi odwrotnie. Najpierw stawia granice, a dopiero potem próbuje zmieścić w nich funkcje.

Co będzie w Polsce i Unii Europejskiej?

Na dziś najważniejsze rozróżnienie wygląda następująco: w Unii Europejskiej mają być dostępne funkcje edycji zdjęć, czyli Clean Up, Extend oraz Reframing. Clean Up znamy już od systemów 26, a nowe Extend i Reframing zapowiadają się na jedne z najbardziej praktycznych nowości fotograficznych.

Nie będziemy natomiast mieli Image Playground, mimo że jego nowe możliwości wyglądają naprawdę imponująco. Pod dużym znakiem zapytania pozostają też szerzej rozumiane funkcje Apple Intelligence w aplikacjach, szczególnie te zależne od głębszego przetwarzania kontekstu, chmury i integracji systemowej.

I tu wracamy do sedna problemu. Apple pokazuje spójny kierunek rozwoju: AI jako niewidzialną warstwę aplikacji. Nie osobny byt, nie chatbot obok systemu, ale funkcję, która rozumie zdjęcie, kartę w Safari, wiadomość, przypomnienie, kalendarz, stronę internetową i naszą intencję. To jest dokładnie ten rodzaj sztucznej inteligencji, który może realnie zmienić sposób pracy z komputerem i telefonem.

Tylko że my w Europie dostaniemy z tego na razie wybrane fragmenty.

Piękna przyszłość w wersji demonstracyjnej

Po tym pokazie mam mieszane uczucia. Technologicznie Apple Intelligence zaczyna wreszcie dojrzewać. Widać pomysł, widać konsekwencję, widać sens. Funkcje w Zdjęciach są praktyczne. Safari z Notify Me i automatycznym porządkowaniem kart może być codziennym wybawieniem. Skróty tworzone naturalnym językiem mogą otworzyć automatyzację dla milionów użytkowników. Image Playground pokazuje, że generowanie obrazów w systemie może być czymś znacznie bardziej eleganckim niż kolejny generator w przeglądarce.

A jednocześnie jako użytkownik z Polski nie potrafię w pełni się tym ekscytować. Bo znowu trzeba dopisać gwiazdkę. Znowu trzeba powiedzieć: „to zależy od regionu". Znowu trzeba tłumaczyć czytelnikom, że coś jest częścią systemu, ale niekoniecznie częścią naszego systemu.

Najbardziej cieszą mnie więc funkcje fotograficzne. Clean Up, Extend i Reframing to narzędzia, z których faktycznie będziemy mogli korzystać. I jeśli będą działać tak dobrze, jak wyglądały na pokazie, to dla wielu osób staną się naturalną częścią edycji zdjęć. Taką, o której po kilku tygodniach przestaniemy myśleć jako o AI. Będzie po prostu przyciskiem w Zdjęciach.

A może właśnie o to w tym wszystkim chodzi. Najlepsza sztuczna inteligencja nie będzie tą, która krzyczy, że jest sztuczną inteligencją. Będzie tą, która po cichu poprawi kadr, posprząta tło, pogrupuje karty, przypomni o zmianie na stronie i zbuduje automatyzację, zanim zdążymy westchnąć z irytacji.

Szkoda tylko, że w Europie ta cisza będzie na razie trochę zbyt duża.



Siri AI w systemach 27.

Największy skok od lat, którego w Polsce oficjalnie nie będzie



DOMINIK ŁADA
@dominiklada

Siri przez lata była dla mnie jednym z największych paradoksów świata Apple. Z jednej strony to właśnie Apple jako pierwsze wprowadziło asystenta głosowego do masowego użycia w smartfonach. Z drugiej — przez ostatnie lata Siri coraz częściej była przykładem tego, jak bardzo można przespać rewolucję, mając ją właściwie we własnym domu.

Kiedy konkurencja zaczęła rozmawiać, analizować, streszczać, planować i działać kontekstowo, Siri nadal potrafiła potknąć się o najprostsze polecenia. Była obecna wszędzie, ale rzadko naprawdę pomocna.

Systemy 27 mają to zmienić. I po raz pierwszy od dawna mam wrażenie, że nie mówimy o kosmetyce. Nie o nowej animacji, nie o lepszym rozpoznawaniu kilku komend, nie o bardziej naturalnym głosie. Mówimy o całkowitym przebudowaniu Siri wokół AI. O asystencie, który wreszcie ma rozumieć kontekst, widzieć to, co mamy na ekranie, sięgać do naszych wiadomości, maili, zdjęć, notatek i aplikacji, a potem nie tylko odpowiadać, ale też wykonywać konkretne działania.

Najważniejsza zmiana polega na tym, że Siri AI przestaje być prostym interfejsem do komend, a zaczyna być warstwą inteligencji rozlaną po całym systemie. To nie jest już wyłącznie „ustaw minutnik", „zadzwoń do mamy" albo „jaka będzie pogoda?".

Brzmi świetnie. Problem w tym, że jak zwykle w przypadku Apple Intelligence i Unii Europejskiej, entuzjazm trzeba natychmiast schłodzić zimną wodą. Oficjalnie Siri AI nie będzie początkowo dostępna w UE na iPhonie, iPadzie i Apple Watchu. Mac i Apple Vision Pro mają być wyjątkiem, o ile ustawimy obsługiwany język. W praktyce oznacza to, że polski użytkownik, nawet z najnowszym iPhone'em, znowu będzie patrzył przez szybę na funkcję, która idealnie pokazuje, czym Apple chce być w epoce AI.

I to jest w tym wszystkim najbardziej frustrujące.

Siri, która wreszcie ma wiedzieć, o co nam chodzi

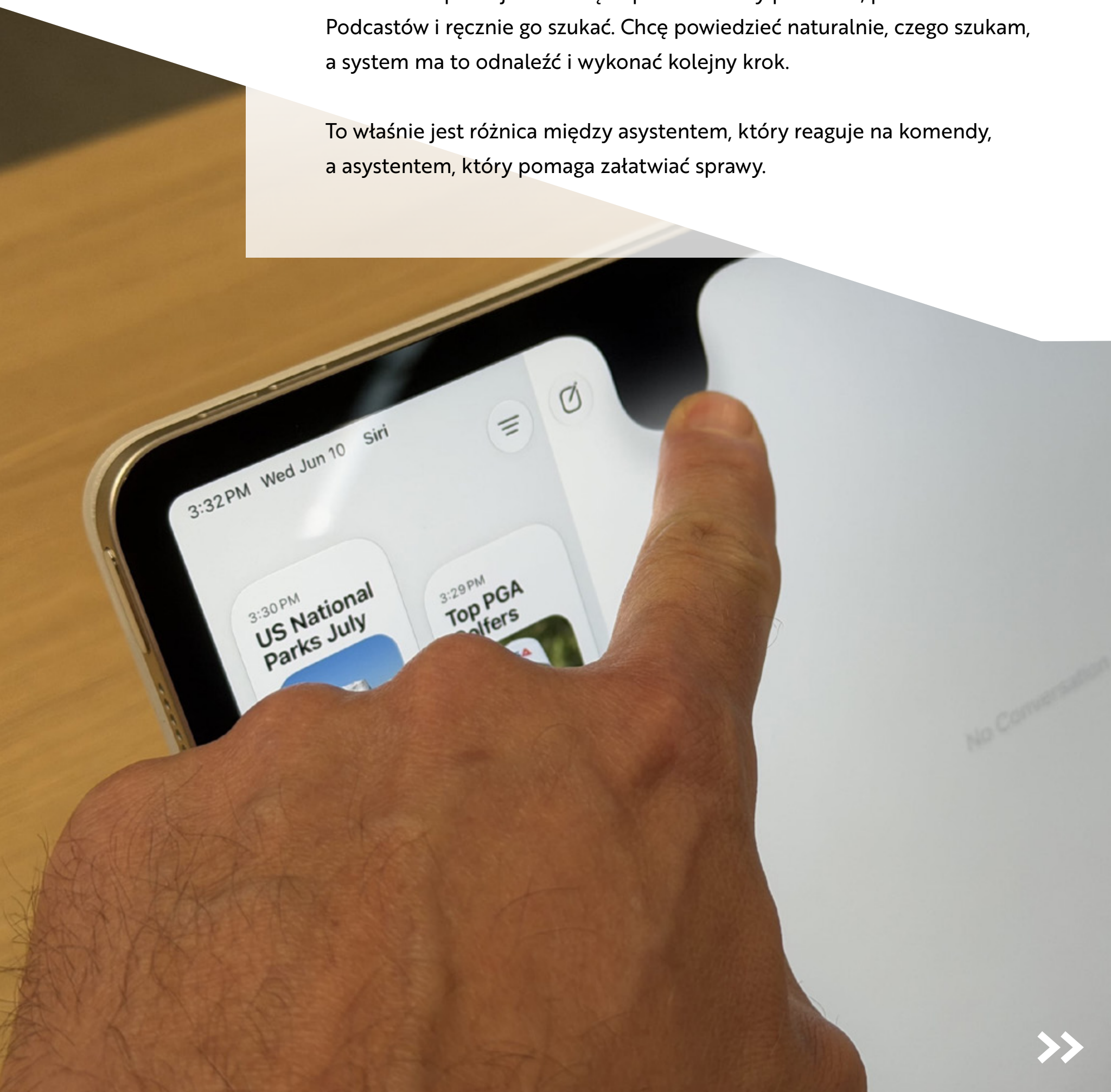
Najważniejsza zmiana polega na tym, że Siri AI przestaje być prostym interfejsem do komend, a zaczyna być warstwą inteligencji rozlaną po całym systemie. To nie jest już wyłącznie „ustaw minutnik", „zadzwoń do mamy" albo „jaka będzie pogoda?". Nowa Siri ma rozumieć nasze osobiste dane i kontekst, w którym działamy.

Przykład z prezentacji był bardzo prosty, a jednocześnie idealnie pokazujący kierunek. Pytanie: „Jaki podcast polecała mi siostra?". Dawniej musielibyśmy sami pamiętać, czy było to w iMessage, w mailu, może w SMS-ie,

może gdzieś w notatce. Teraz Siri ma sprawdzić wiadomości, maile i inne źródła, wiedzieć, kim jest nasza siostra na podstawie kontaktów, znaleźć właściwą rekomendację, podać tytuł, a potem — po prostym „odtwórz" — uruchomić podcast w odpowiedniej aplikacji.

To jest dokładnie ten typ działania, którego od asystenta oczekiwaliśmy od lat. Nie chcę pamiętać, gdzie ktoś mi coś wysłał. Nie chcę przeszukiwać trzech aplikacji. Nie chcę kopiować nazwy podcastu, przechodzić do Podcastów i ręcznie go szukać. Chcę powiedzieć naturalnie, czego szukam, a system ma to odnaleźć i wykonać kolejny krok.

To właśnie jest różnica między asystentem, który reaguje na komendy, a asystentem, który pomaga załatwiać sprawy.





Ekran staje się kontekstem

Drugim filarem nowej Siri jest świadomość tego, co widzimy na ekranie. To może być mail, strona internetowa, wiadomość, zdjęcie, dokument, zrzut ekranu albo fragment aplikacji. Siri ma rozumieć, że nasze „to", „te rzeczy", „dodaj to" albo „streść mi ten fragment" odnosi się do aktualnie wyświetlanej zawartości.

W pokazanym przykładzie użytkownik miał maila z listą rzeczy potrzebnych na wyjazd pod namiot. Zamiast ręcznie przepisywać namiot, tropik, kuchenkę, butlę z gazem i inne elementy do Przypomnień, wystarczyło poprosić Siri, aby dodała te rzeczy do listy sprzętu kempingowego i ustawiła przypomnienie po powrocie do domu. Siri zrozumiała treść maila, wyciągnęła z niego konkretne przedmioty, dodała je do właściwej listy i ustawiła przypomnienie lokalizacyjne.

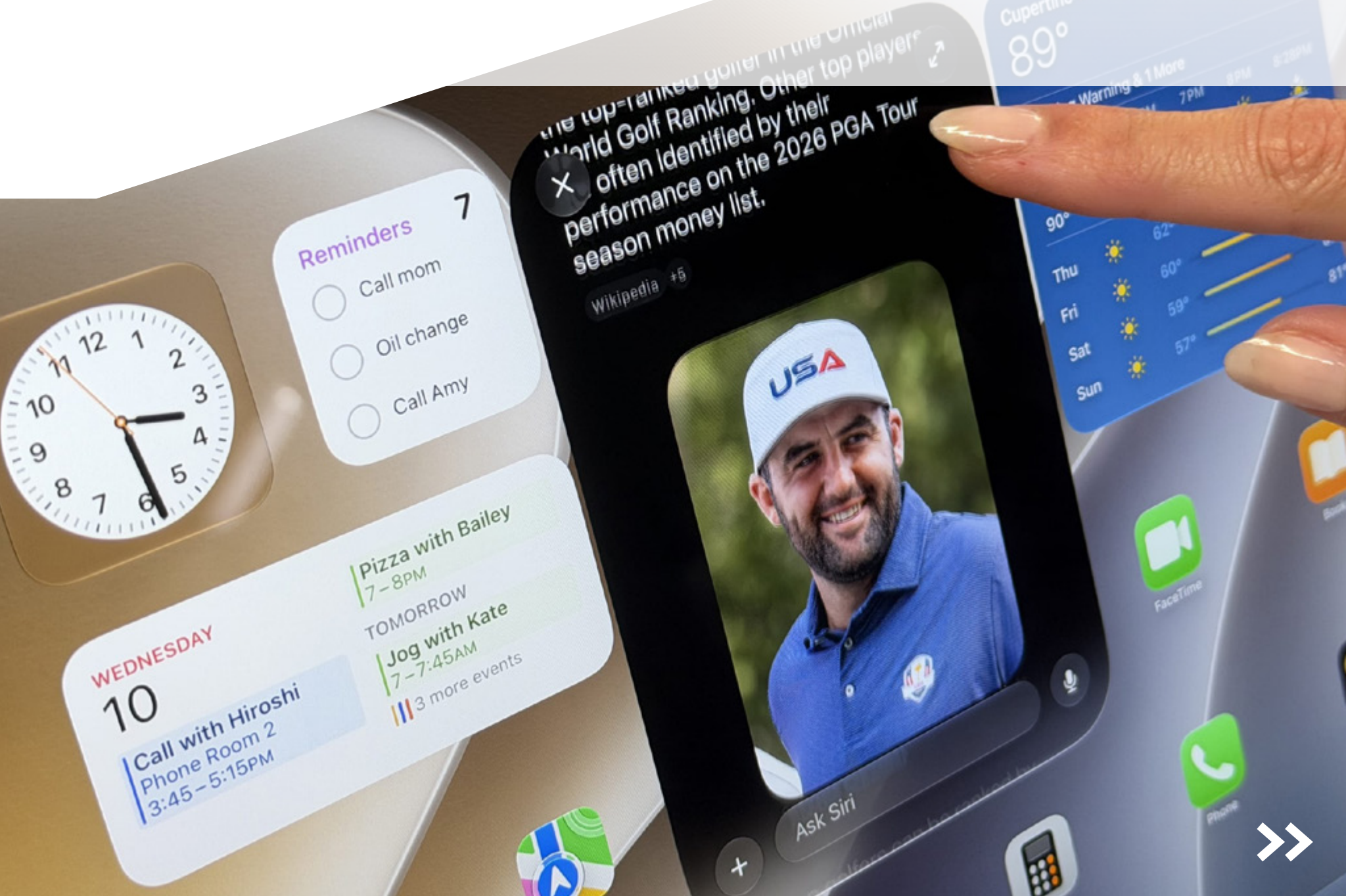
To jest bardzo Apple'owe w najlepszym znaczeniu tego słowa. Funkcja przypomnień lokalizacyjnych istnieje od lat, ale wielu użytkowników nawet nie wie, że można z niej korzystać. Nowa Siri nie wymyśla tutaj koła na nowo. Ona sprawia, że ukryte możliwości systemu stają się dostępne w naturalnym języku.

I to jest chyba największa obietnica Siri AI. Nie tylko nowe funkcje, ale odblokowanie tych, które już mamy, tylko dotąd były zbyt głęboko zakopane, zbyt mało intuicyjne albo wymagały zbyt wielu kroków.

Siri jako wyszukiwarka świata i naszego życia

Nowa Siri ma też korzystać z szerokiej wiedzy o świecie. Może odpowiadać na pytania wymagające aktualnych informacji z internetu, podawać źródła, prowadzić rozmowę i pamiętać kontekst poprzednich pytań. W praktyce działa to podobnie do tego, do czego przyzwyczaiły nas współczesne chatboty, ale z jedną ogromną różnicą: Siri ma być osadzona w systemie.

Możemy zapytać o najbliższy rój meteorów, potem dopytać „a jakie będą kolejne tego lata?", a następnie „który będzie najlepszy dla mnie i znajomych?". Siri rozumie, że cały czas rozmawiamy o tym samym temacie. Może zaproponować najlepszy termin, sprawdzić warunki, a potem połączyć tę wiedzę z naszymi prywatnymi wiadomościami. Jeśli znajomy kiedyś pisał nam o dobrym miejscu do obserwowania gwiazd, Siri może je odnaleźć i od razu pokazać lokalizację w Mapach.





Tu właśnie pojawia się magia ekosystemu. Chatbot może odpowiedzieć na pytanie. Siri AI ma odpowiedzieć, odnaleźć prywatny kontekst, przygotować plan, stworzyć wydarzenie w kalendarzu i wysłać szczegóły do bliskiej osoby. Wszystko bez ręcznego skakania między aplikacjami.

Oczywiście to jednocześnie budzi pytania o prywatność. Apple bardzo mocno podkreśla, że nowa architektura opiera się na modelach działających lokalnie oraz na Private Cloud Compute. Część zadań będzie wykonywana na urządzeniu, część na serwerach Apple, ale firma utrzymuje, że dane nie są tam przechowywane ani dostępne dla Apple. To jest fundament całego podejścia Apple do AI: nie „zaufaj nam, bo tak mówimy", ale „zaprojektowaliśmy system tak, aby nawet Apple nie miało dostępu do twoich danych".

W świecie, w którym AI coraz częściej oznacza wysyłanie wszystkiego do cudzej chmury, to ma znaczenie.

Siri w Spotlight, czyli Mac zaczyna mieć sensownego asystenta

Na Macu Siri AI została bardzo mocno powiązana ze Spotlight. To świetna decyzja, bo Command + Space jest dla wielu użytkowników

naturalnym punktem startowym do wszystkiego. Szukamy aplikacji, pliku, folderu, dokumentu. Teraz to samo miejsce może stać się wejściem do rozmowy z Siri.

W praktyce wpisujemy pytanie, a Spotlight rozpoznaje, że nie szukamy lokalnego pliku, tylko odpowiedzi. Możemy zapytać o najlepszą hawajską wyspę dla rodziny z dziećmi, dostać odpowiedź, tabelę porównawczą, źródła, a potem dopytać na przykład o żółwie morskie. Siri pamięta kontekst i wie, że nadal chodzi o Hawaje oraz rodzinny wyjazd.

Na Macu szczególnie dobrze wygląda możliwość przesuwania okna Siri po ekranie. Możemy mieć obok otwarte Safari, Maila, Notatki czy Kalendarz i korzystać z Siri jako bocznego panelu roboczego. To nie jest pełnoekranowy chatbot odrywający nas od pracy, tylko narzędzie pracujące obok.

Na Macu szczególnie dobrze wygląda możliwość przesuwania okna Siri po ekranie. Możemy mieć obok otwarte Safari, Maila, Notatki czy Kalendarz i korzystać z Siri jako bocznego panelu roboczego. To nie jest pełnoekranowy chatbot odrywający nas od pracy, tylko narzędzie pracujące obok.

Jeszcze ciekawiej wygląda integracja z menu kontekstowym. Zaznaczamy tekst, klikamy prawym przyciskiem lub Control-click i wybieramy Ask Siri. Możemy poprosić o streszczenie notatki w formie szkicu maila, uporządkowanie chaotycznych zapisków, wyciągnięcie z nich zadań albo zmianę tonu. Siri potrafi wygenerować maila, otworzyć szkic i pozwolić nam dalej go edytować.

To jest bardzo praktyczne. Nie „AI dla AI", nie generowanie obrazków dla zabawy, tylko skracanie codziennych, nudnych, powtarzalnych czynności.

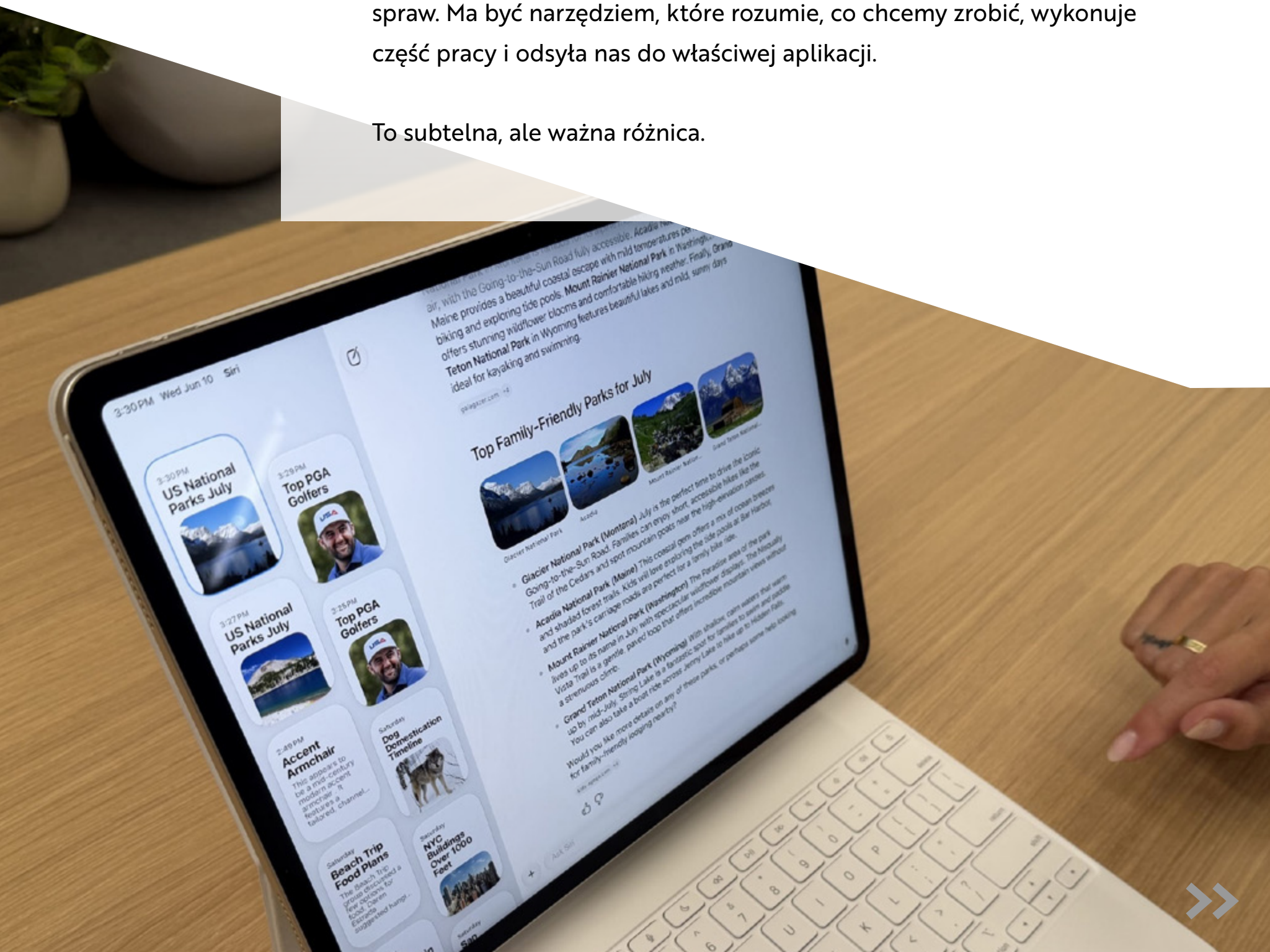
Nowa aplikacja Siri

Jedną z ciekawszych zmian jest osobna aplikacja Siri. Na pierwszy rzut oka może to brzmieć dziwnie. Przecież Siri miała być wszędzie, więc po co jej aplikacja? Odpowiedź jest prosta: historia rozmów.

Nowa aplikacja Siri ma przechowywać nasze konwersacje i synchronizować je przez iCloud pomiędzy urządzeniami. Możemy zacząć rozmowę na iPhonie, kontynuować ją na Macu, wrócić do niej na iPadzie, a potem podejrzeć na Apple Watchu. Dla kogoś, kto naprawdę zacznie używać Siri do planowania, pisania, szukania informacji i pracy z własnymi danymi, to może być bardzo wygodne.

Ważne jest też to, że Apple nie pozycjonuje Siri jako „towarzysza" w stylu niektórych chatbotów. To nie ma być cyfrowy przyjaciel, z którym prowadzimy niekończące się rozmowy o życiu. Siri AI ma pomagać w załatwianiu spraw. Ma być narzędziem, które rozumie, co chcemy zrobić, wykonuje część pracy i odsyła nas do właściwej aplikacji.

To subtelna, ale ważna różnica.



Visual Intelligence wchodzi do aparatu i na większe ekrany

Visual Intelligence również zostało przebudowane wokół Siri. Na iPhonie pojawia się nowy tryb Siri bezpośrednio w aplikacji Aparat. Przełączamy się na niego tak, jak na zdjęcie, wideo czy portret, kierujemy aparat na obiekt i pytamy.

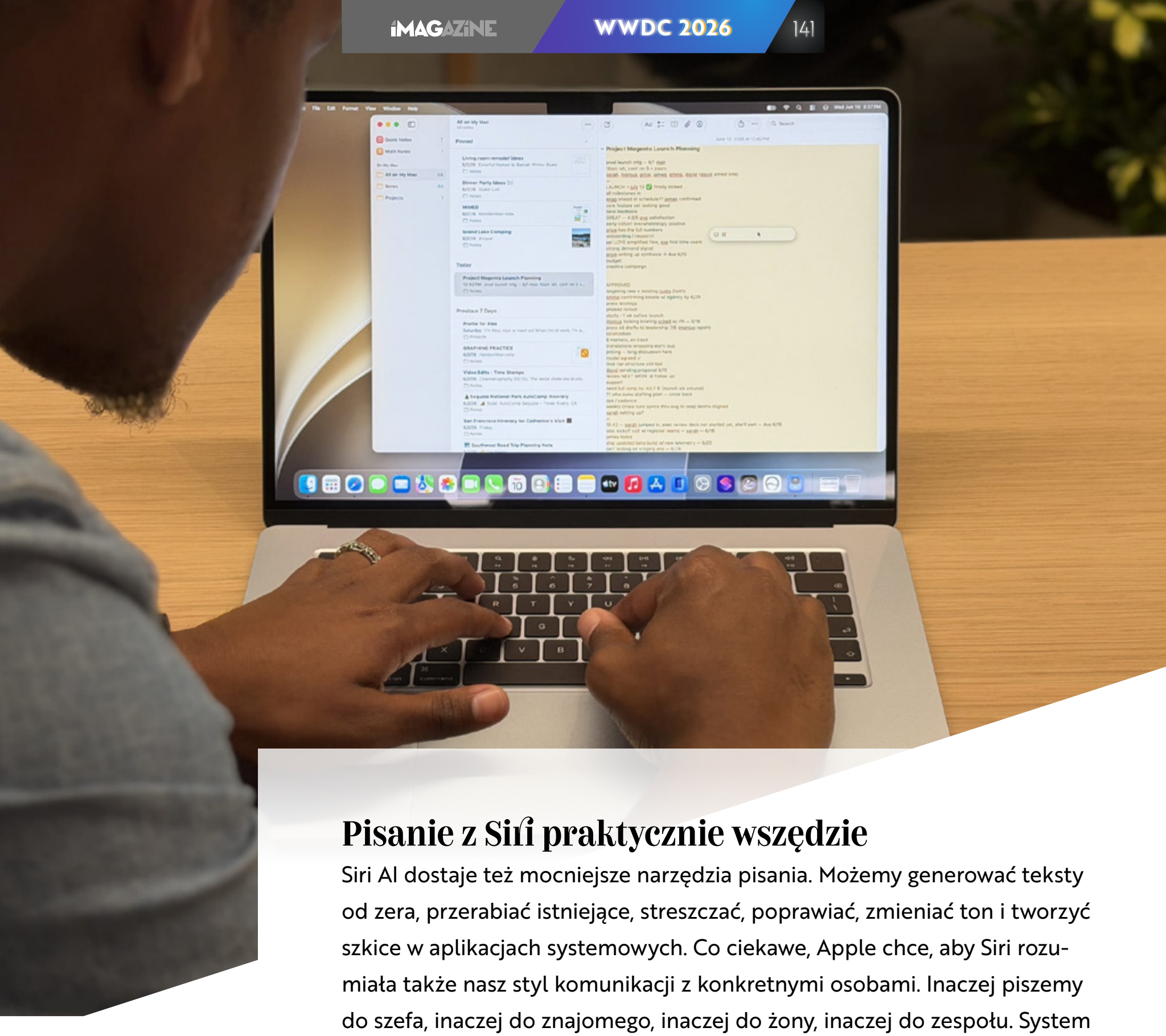
Możemy pokazać Siri książki leżące na stole i zapytać, którą przeczytać po „Hyperionie". Siri rozpoznaje tytuły, rozumie nasze pytanie i odpowiada w kontekście literackim. Możemy dopytać, która z tych książek doczekała się adaptacji filmowej albo serialowej. System łączy rozpoznawanie obrazu, wiedzę o świecie i rozmowę.

To brzmi jak drobiazg, ale zmiana jest fundamentalna. Aparat przestaje być wyłącznie narzędziem do robienia zdjęć. Staje się wejściem do inteligencji systemowej. Pokazuję coś światu przez obiektyw i pytam: co to jest, co mogę z tym zrobić, jak to rozumieć?

Co ważne, Visual Intelligence trafia też szerzej na iPada, Maca i Vision Pro. Na Macu można użyć skrótu klawiaturowego, zaznaczyć fragment ekranu i zapytać Siri o jego zawartość albo wykonać akcję. Przykład z harmonogramem meczów dziecięcej drużyny piłkarskiej jest banalny, ale bardzo życiowy. Zamiast przepisywać daty do kalendarza, zaznaczamy grafik, a Siri rozpoznaje wydarzenia i pozwala dodać je do Kalendarza.

To są te funkcje, które mogą zmienić sposób korzystania z komputera bardziej niż kolejna ikona czy animacja.

Siri rozpoznaje tytuły, rozumie nasze pytanie i odpowiada w kontekście literackim. Możemy dopytać, która z tych książek doczekała się adaptacji filmowej albo serialowej. System łączy rozpoznawanie obrazu, wiedzę o świecie i rozmowę.



Pisanie z Siri praktycznie wszędzie

Siri AI dostaje też mocniejsze narzędzia pisania. Możemy generować teksty od zera, przerabiać istniejące, streszczać, poprawiać, zmieniać ton i tworzyć szkice w aplikacjach systemowych. Co ciekawe, Apple chce, aby Siri rozumiała także nasz styl komunikacji z konkretnymi osobami. Inaczej piszemy do szefa, inaczej do znajomego, inaczej do żony, inaczej do zespołu. System ma to uwzględniać.

To oczywiście rodzi pytania o granice automatyzacji komunikacji. Jeśli asystent zaczyna pisać „tak jak my", to gdzie kończy się pomoc, a zaczyna udawanie? Z drugiej strony, w codziennej pracy wiele maili i wiadomości to nie literatura piękna, tylko czysta logistyka. Podsumuj spotkanie. Wyślij listę zadań. Przypomnij o terminie. Uporządkuj notatki. Nadaj temu ludzki ton. Jeśli Siri zrobi to dobrze, oszczędność czasu będzie realna.

I tutaj znowu wracamy do przewagi integracji systemowej. Narzędzia AI do pisania istnieją od dawna. Różnica polega na tym, że Siri ma być dostępna właściwie wszędzie tam, gdzie piszemy.

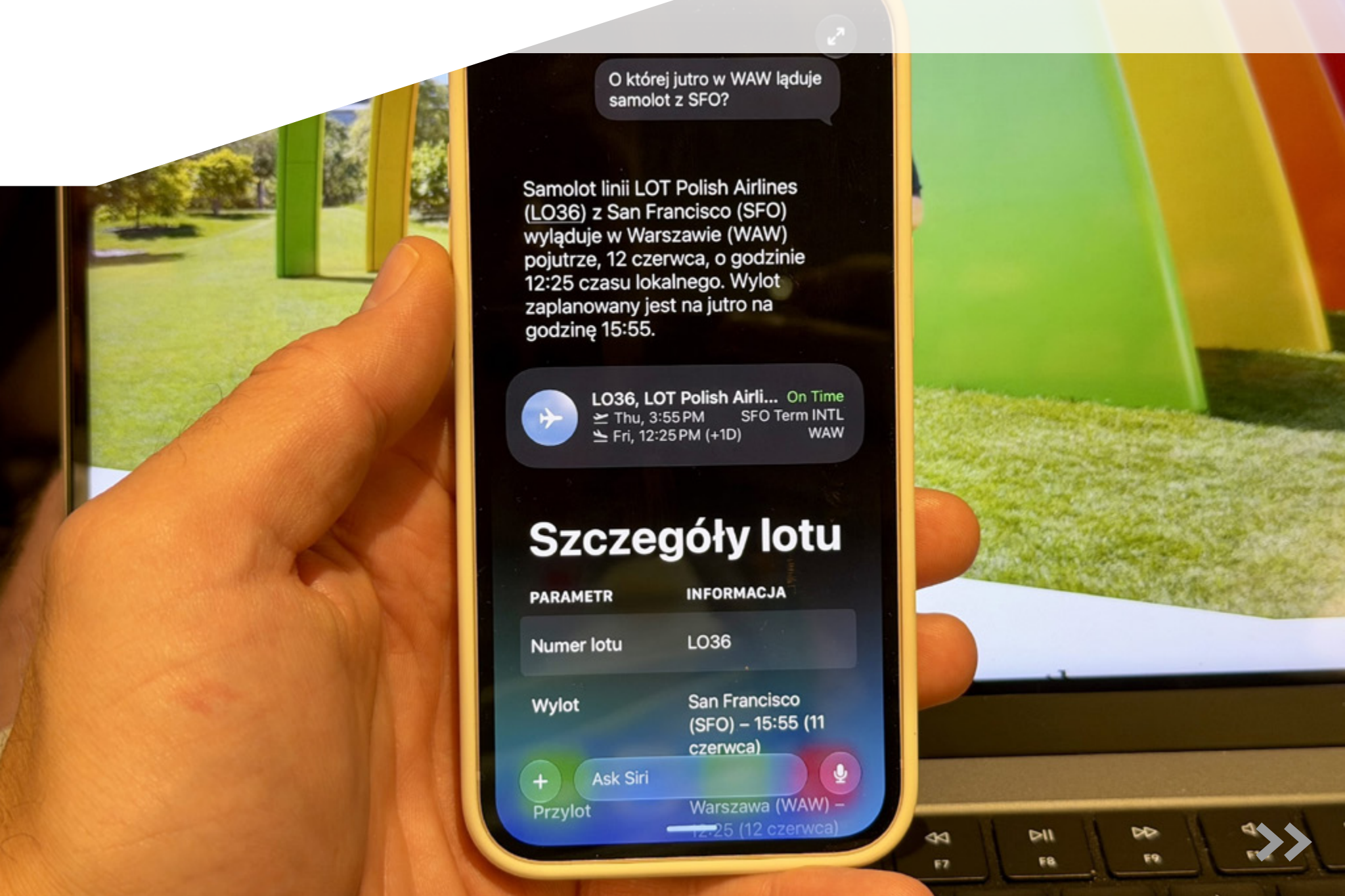
A co z Polską?

No właśnie. Tu zaczyna się ta mniej przyjemna część.

Oficjalnie Siri AI startuje w języku angielskim i później ma szybko rozszerzać obsługę kolejnych języków. Apple Intelligence obsługuje już sporo języków, ale polskiego nadal na tej liście nie ma. Do tego dochodzi kwestia Unii Europejskiej. Apple jasno komunikuje, że Mac i Vision Pro w UE będą mogły korzystać z Siri AI po ustawieniu obsługiwanego języka, ale iPhone, iPad i Apple Watch początkowo zostają poza tym wdrożeniem.

Dla polskiego użytkownika oznacza to podwójny problem. Po pierwsze, brak oficjalnej obsługi polskiego. Po drugie, ograniczenia regionalne związane z UE. W praktyce z Siri AI najłatwiej będzie korzystać na Macu, po angielsku. Na iPhonie sytuacja jest znacznie bardziej skomplikowana.

Nieoficjalnie istnieje obecnie sposób, który pozwala uruchomić nowe funkcje przez przestawienie języka systemu na angielski i regionu na Stany



Zjednoczone. To nie jest rozwiązanie idealne. To nie jest rozwiązanie oficjalne. I nie wiadomo, czy w momencie finalnej premiery nadal będzie działać. Apple może ten mechanizm utrzymać, może go ograniczyć, może zmienić zasady aktywacji modeli albo dostępności regionalnej.

Ale najciekawsze jest coś innego. Siri teoretycznie działa po angielsku, natomiast przy pisaniu do niej po polsku potrafi odpowiadać pisemnie po polsku. Nie zawsze, nie w pełni, nie jako oficjalnie wspierany język, ale jednak. To jest proteza, oczywiście. Taka technologiczna prowizorka dla zdeterminowanych. Ale jednocześnie daje nam przedsmak tego, jak Siri AI mogłaby wyglądać, gdyby Apple w końcu uruchomiło ją normalnie po polsku.

I trudno oprzeć się wrażeniu, że gdzieś głęboko w systemie ten polski już jest. Może nie w warstwie pełnej obsługi głosowej, może nie w oficjalnych modelach językowych, może jeszcze nie w jakości, którą Apple uznaje za wystarczającą. Ale coś tam działa. Coś odpowiada. Coś rozumie.

To tylko bardziej frustruje.

Proteza, która pokazuje przyszłość

Korzystanie z Siri AI w Polsce, jeśli ktoś zdecyduje się na nieoficjalne kombinacje z językiem i regionem, będzie trochę jak jazda samochodem koncepcyjnym po parkingu. Widzimy potencjał, czujemy moc, rozumiemy kierunek, ale nie możemy normalnie wyjechać na drogę.

Pisanie po polsku do anglojęzycznej Siri, która potrafi odpowiedzieć po polsku, jest dokładnie takim doświadczeniem. Niby działa. Niby można zobaczyć, o co chodzi. Niby da się przetestować rozmowę, streszczenia, planowanie, pytania o kontekst. Ale cały czas jesteśmy w trybie obejścia. Nie w normalnym, stabilnym, wspieranym środowisku.

To ważne, bo Siri AI nie jest funkcją typu „miły dodatek”. To nie jest kolejny filtr w Zdjęciach. To może być jeden z fundamentów nowych systemów Apple. Jeżeli asystent ma działać w całym systemie, rozumieć ekran, prywatne dane, aplikacje, skróty, kontekst, aparat, Spotlight i pisanie, to jego brak oznacza realnie uboższy system.



Użytkownik w Polsce może dostać iOS 27, iPadOS 27 czy watchOS 27, ale bez Siri AI będzie korzystał z systemu, któremu wyjęto jeden z najważniejszych elementów.

Unia Europejska jako hamulec czy Apple jako zbyt ostrożny gracz?

Oczywiście temat UE i Apple Intelligence jest dużo szerszy. Apple tłumaczy ograniczenia potrzebą zachowania prywatności i bezpieczeństwa użytkowników. Z drugiej strony mamy regulacje, które wymagają interoperacyjności, otwartości i kontroli nad platformami. Problem polega na tym, że przy funkcjach tak głęboko zintegrowanych z systemem operacyjnym bardzo łatwo wejść na pole minowe.

Siri AI ma dostęp do wiadomości, maili, zdjęć, przypomnień, kalendarza, zawartości ekranu, Spotlight, akcji aplikacji i danych osobistych. Jeśli regulator wymaga otwarcia pewnych mechanizmów na konkurencję lub zapewnienia równych zasad działania, Apple musi odpowiedzieć sobie na pytanie: jak to zrobić, nie rozmontowując całego modelu prywatności?

Nie twierdzę, że odpowiedź jest prosta. Nie twierdzę też, że Apple zawsze ma rację. Ale efekt końcowy dla użytkownika jest niestety bardzo

konkretny: Amerykanin dostaje nową Siri, Europejczyk dostaje komunikat, że Apple szuka ścieżki naprzód.

A my w Polsce, jak zwykle, jesteśmy jeszcze jeden poziom niżej, bo nawet gdyby nie problem UE, pozostaje brak języka polskiego.

Największa zmiana w Siri od jej powstania

Patrząc na całość, Siri AI w systemach 27 wygląda jak największa zmiana w historii tego asystenta. Nie dlatego, że ma ładniejszą animację, choć nowy interfejs z podświetleniem krawędzi ekranu i integracją z Dynamic Island wygląda bardzo dobrze. Nie dlatego, że lepiej odpowiada na pytania z internetu, choć to też ważne. Najważniejsze jest to, że Siri przestaje być osobną funkcją, a zaczyna być spoiwem systemu.

Na iPhonie możemy uruchomić ją głosem, przyciskiem bocznym albo gestem z Dynamic Island. Na Macu i iPadzie wchodzi do Spotlight i menu kontekstowego. Na Apple Watchu ma być dostępna z nadgarstka i przez sugestie w Smart Stack. Na Vision Pro dostaje przestrzenną wizualizację. W aparacie staje się trybem widzenia i rozumienia świata. W pisaniu — redaktorem i asystentem. W aplikacjach — pośrednikiem wykonującym akcje.

To jest dokładnie ta wizja, której od Apple oczekiwaliśmy. AI nie jako osobna aplikacja, którą trzeba uruchomić. AI nie jako chatbot w pudełku. AI jako warstwa systemowa, która zna kontekst, szanuje prywatność i pomaga działać szybciej.

Tylko że my znowu stoimy pod drzwiami

Największy problem Siri AI nie polega więc na tym, czy Apple dobrze pokazało demo. Pokazało bardzo dobrze. Problem nie polega też na tym, czy koncepcja ma sens. Ma ogromny. Problem polega na tym, że dla użytkowników w Polsce będzie to przez jakiś czas technologia oglądana z boku.

Najbardziej boli to, że nowa Siri wydaje się wreszcie odpowiedzią na lata krytyki. Apple nie próbuje już udawać, że stara Siri wystarczy. Nie dokleja AI na siłę. Przebudowuje fundament. Wprowadza osobistą pamięć kontekstu, rozumienie ekranu, akcje w aplikacjach, wiedzę z internetu, historię rozmów, integrację z aparatem i narzędzia pisania.

To jest Siri, której chcieliśmy.

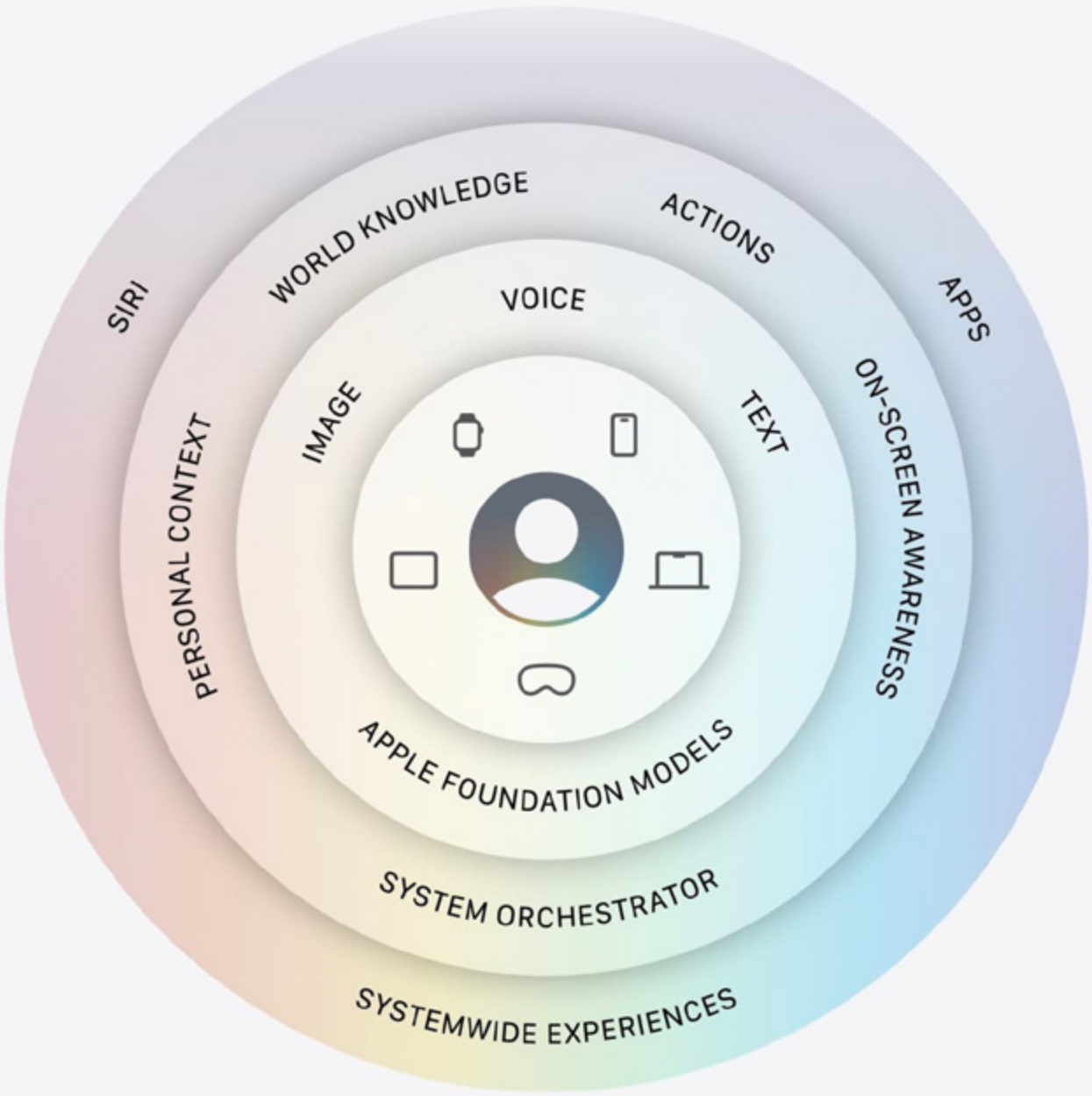
Tylko że oficjalnie nie dostaniemy jej na iPhonie w Polsce. Przynajmniej nie na starcie. Nie po polsku. Nie normalnie. Nie bez kombinowania.

Pozostaje więc pytanie, które będziemy zadawać sobie do premiery systemów 27: czy nieoficjalne obejście z językiem angielskim i regionem ustawionym na USA nadal będzie działać? A jeśli tak, to jak stabilnie? I czy Apple przypadkiem nie zostawi nam tej furtki jako cichego, nieformalnego sposobu dla najbardziej zdeterminowanych użytkowników?

Na razie można powiedzieć jedno: Siri AI wygląda jak przyszłość Apple. Przyszłość, która w Polsce nadal mówi głównie po angielsku, czasem odpisuje po polsku i bardzo wyraźnie pokazuje, że technologia jest już bliżej, niż wynikałoby to z oficjalnych list dostępności.

A to chyba najbardziej absurdalny i najbardziej ekscytujący wniosek z całej tej historii.





Nie jedna Siri, a pięć modeli AI. Jak działa nowe Apple Intelligence od środka?



DARIUSZ HAŁAS
@blob_tech

Podczas konferencji WWDC26 Apple zaprezentowało trzecią generację własnych modeli sztucznej inteligencji, nazwanych Apple Foundation Models (AFM). Znamy detale, które pozwalają w przystępny sposób przybliżyć architekturę AI zastosowaną przez giganta z Cupertino.

Opublikowane szczegóły techniczne pokazują hybrydowe podejście firmy. Polega to na tym, że część obliczeń odbywa się lokalnie na sprzęcie użytkownika, część na autorskich serwerach Apple, a najbardziej zaawansowane procesy realizowane są na zewnętrznej infrastrukturze Google z wykorzystaniem układów obliczeniowych Nvidii.

Podział na pięć modeli

Nie od dziś wiadomo, że otwarcie się Apple na współpracę z Google wynika z trudności w samodzielnym zbudowaniu wystarczająco wydajnej infrastruktury dla najbardziej wymagających zadań. To nie jest tylko kwestia samego modelu, ale też fizycznej mocy obliczeniowej, która jest niezbędna by napędzać rozwiązanie dostępne milionom użytkowników na całym świecie. W rezultacie trzecia, dopiero co ogłoszona na tegorocznym WWDC, generacja Apple Foundation Models została podzielona na pięć wyspecjalizowanych modeli:

- **AFM 3 Core**: model działający lokalnie na urządzeniu, oparty na gęstej architekturze (dense) i liczący 3 miliardy parametrów.
- **AFM 3 Core Advanced**: bardziej zaawansowany model lokalny. Jak informuje producent, obsługuje on m.in. wyraziste głosy i ulepszone dyktowanie. Wykorzystuje 20 miliardów parametrów, jednak dzięki zastosowaniu tzw. rzadkiej architektury (sparse), aktywuje zaledwie od 1 do 4 miliardów parametrów w zależności od zapytania. Dzięki temu model może działać lokalnie na urządzeniach z układami Apple Silicon mimo znacznie większej liczby parametrów.
- **AFM 3 Cloud**: podstawowy model serwerowy, używany do standardowych, obliczeniowo wymagających zapytań.
- **ADM 3 Cloud (Image)**: serwerowy model dyfuzyjny służący wyłącznie do generowania i edycji grafiki (np. w Image Playground).
- **AFM 3 Cloud Pro**: najbardziej zaawansowany model w zestawieniu, przeznaczony do złożonego rozumowania i wykonywania działań z użyciem narzędzi systemowych (tzw. agentic tool use). To właśnie ten wariant działa w chmurze Google Cloud na akceleratorach graficznych Nvidii.

Prywatność na obcych serwerach

Uruchomienie modelu AFM 3 Cloud Pro w chmurze Google wymagało od Apple otwarcia swojej architektury Private Cloud Compute (PCC) na

infrastrukturę firmy zewnętrznej. Czy to problem z punktu widzenia zachowania rygorystycznych norm prywatności jakimi Apple szczyci się od lat?

Przedstawiciele Apple utrzymują, że zastosowane rozwiązania technologiczne nie obniżają poziomu prywatności użytkowników. Według deklaracji firmy z Cupertino bezpieczeństwo ma zapewniać m.in. kryptograficznie weryfikowalny rejestr (append-only ledger) sprzętu Google Cloud oraz wielowarstwowe izolowanie danych. Firma twierdzi, że każda faza analizy sieciowej odbywa się w odrębnej przestrzeni, a udostępniane oprogramowanie wnioskujące jest regularnie resetowane (krótki czas życia danych). Według deklaracji Apple zastosowana architektura ma uniemożliwiać Google dostęp do przetwarzanych zapytań użytkowników.

Krótki czas życia danych na serwerach Google, a jakość wnioskowania (kontekst)

Tutaj na chwilę się zatrzymam, bo chcę coś wyjaśnić. Wiele osób obawia się, że krótki czas życia danych na zewnętrznych serwerach, co jest jasno komunikowane przez Apple, może oznaczać spadek jakości wnioskowania ze względu na krótsze, ograniczone właśnie „czasem życia danych" okno kontekstowe. Jednak z inżynieryjnego punktu widzenia wiele wskazuje na to, że Apple dobrze odrobiło techniczną lekcję. Dlaczego? Choć firma akurat tego nie komunikowała bezpośrednio wyjaśniając swoją architekturę, to wiemy, że w nowym AFM (Apple Foundation Models) fakt krótkiego życia danych na zewnętrznych serwerach (Google'a) nie oznacza zmniejszenia okna kontekstowego ani spadku jakości wnioskowania.

Aby zrozumieć dobrze tę kwestię, musimy rozdzielić dwa często zlewające się dla wielu osób pojęcia: pamięć sesji oraz pojemność okna kontekstowego. Apple rozwiązało problem przenosząc ciężar pamiętania na urządzenie użytkownika. Innymi słowy chmura Google jest tutaj czymś w rodzaju „bezstanowego kalkulatora" (zapewnia nieosiągalną on-device moc obliczeniową), a iPhone (czy inne urządzenie, na którym użytkownik korzysta z najbardziej zaawansowanego modelu AFM) jest swego rodzaju bazą danych – semantycznym indeksem (tak to nazywa Apple). Wyjaśnię to dokładniej.

W tradycyjnym modelu (np. gdy korzystasz z ChatGPT, czy Gemini przez stronę WWW), serwer usługodawcy (OpenAI/Google) pamięta całą twoją konwersację

w ramach sesji. Kiedy zadajesz kolejne pytanie, model wie, o czym rozmawialiście pięć minut temu, czy godzinę temu (jeżeli sesja trwa odpowiednio długo), ponieważ historia czatu jest przechowywana na serwerze.

Tymczasem w architekturze Private Cloud Compute (PCC) stosowanej przez Apple serwery w chmurze Google działają całkowicie bezstanowo (stateless). Gdy Twoje zapytanie trafia do modelu AFM 3 Cloud Pro, chmura przetwarza je, odsyła odpowiedź i natychmiast całkowicie zapomina o Twoim istnieniu. To jest właśnie ten krótki TTL. To ma gwarantować prywatność danych wysyłanych w zapytaniu.

Jednak tu pojawia się pytanie, skoro chmura ma od razu zapominać dane, skąd model bierze kontekst do złożonego wnioskowania? Odpowiedź jest prosta: z iPhone'a, iPada czy Maca użytkownika. Apple zaimplementowało na urządzeniach coś, co nazywa się Semantic Index (indeks semantyczny). To lokalna, głęboko zintegrowana baza danych, która w czasie rzeczywistym analizuje maile, wiadomości, kalendarz, zdjęcia i to, co aktualnie wyświetla się na ekranie urządzenia Apple.

Jak to działa?

Pozostaje kwestia spięcia tych dwóch filarów razem. Gdy użytkownik zadaje Siri AI złożone zapytanie, typu (napiszę pytania po polsku, ale oczywiście wiemy, że nie ma Siri AI po polsku): „O której jutro ląduje mama i czy zdążę odebrać ją po moim spotkaniu z szefem?", proces wygląda następująco:

- **Lokalna zbiórka danych**: System Orchestrator na iPhonie (lub innym sprzęcie Apple) przeszukuje lokalny indeks. Znajduje lot mamy w e-mailach od linii lotniczej, identyfikuje kontakt „Mama" oraz sprawdza kalendarz użytkownika pod kątem spotkania z szefem.
- **Paczka kontekstowa (Prompt Engineering)**: zamiast wysyłać do chmury samo, gołe pytanie, iPhone buduje ogromny, jednorazowy prompt. Pakuje do niego samo zapytanie oraz cały niezbędny kontekst wyciągnięty z urządzenia (dane o locie, godziny z kalendarza, szacowany czas dojazdu).
- **Przetworzenie w wielkim oknie kontekstowym**: cała ta duża paczka danych trafia do chmury Google. Model AFM 3 Cloud Pro ma ogromne okno kontekstowe (czyli potrafi na raz przyjąć i przeanalizować tysiące

słów w jednym zapytaniu). Tutaj uwaga: Apple nigdzie (przynajmniej nie udało mi się znaleźć) nie ujawnia wielkości okna kontekstowego AFM3 Cloud Pro, ale dla porównania okno kontekstowe modelu Gemini 3.5 Flash to... milion tokenów. To pokazuje skalę. W każdym razie model AFM 3 Cloud Pro przetwarza tę bogatą paczkę informacji, wykonuje złożone rozumowanie logiczne i generuje odpowiedź.
- **Odparowanie (krótki TTL)**: chmura odsyła gotową odpowiedź na telefon (lub inne urządzenie użytkownika), po czym natychmiast kasuje cały wsad kontekstowy i resetuje proces.

Jeszcze jedno: krótki czas życia danych na serwerze Google'a nie jest też luką prywatności, bo architektura Private Cloud Compute od Apple wykorzystuje coś co nazywa Confidential Computing (poufne przetwarzanie), cała transmisja na linii urządzenie – serwery Google'a, jest w pełni szyfrowana (End-to-End dla AI). Oczywiście AFM 3 Cloud Pro musi odszyfrować dane by je przetworzyć, ale odbywa się to w tzw. bezpiecznej enklawie, odizolowanej kryptograficznie partycji/przestrzeni pamięci serwerów Google. Ta partycja jest jak czarna skrzynka. System operacyjny Google, administratorzy chmury, a nawet fizyczni pracownicy w serwerowni nie mają do niej dostępu. Jeśli spróbowaliby podejrzeć pamięć RAM serwera podczas przetwarzania konkretnego zapytania, zobaczyliby tylko zaszyfrowany, bezużyteczny szum. Tylko proces AI ma klucz deszyfrujący i jest on, wraz z zawartością zamkniętej enklawy, niszczony natychmiast po odesłaniu (ponownie w formie zaszyfrowanej) odpowiedzi do użytkownika.

W ten sposób pogodzono pozornie sprzeczne rzeczy: uniemożliwiono budowanie historii zapytań na serwerach Google, nie tracąc jednocześnie kontekstu zapytania.

Trenowanie i wyniki testów

Jeszcze wracając do informacji udostępnionych przez Apple. Firma deklaruje, że wszystkie pięć modeli korzystało ze wspólnej bazy danych podczas początkowego szkolenia, a dopiero później zostały wyspecjalizowane do swoich ról. Apple deklaruje, że podczas tego procesu nie użyto żadnych danych użytkowników ani ich interakcji z systemem. Do nauki wykorzystano informacje dostępne publicznie, zbiory licencjonowane, dane open-source

oraz dane syntetyczne. Twórcy stron internetowych mogą również zablokować dostęp do swoich treści dla robotów indeksujących Apple.

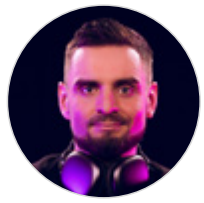
Z opublikowanych przez firmę wewnętrznych testów wynika, że trzecia generacja modeli odnotowała zauważalny wzrost jakości w porównaniu do swoich poprzedników. Apple twierdzi, że recenzenci biorący udział w ocenianiu systemu zanotowali poprawę m.in. w zakresie prawdomówności, wykonywania poleceń i rozumienia obrazu. Wyniki te mają utrzymywać się na podobnym poziomie w różnych grupach językowych (boli ten brak polskiego).

Architektura AFM wyraźnie pokazuje, że Apple odchodzi od koncepcji jednego, uniwersalnego modelu sztucznej inteligencji. Zamiast tego firma buduje złożony, wielowarstwowy system, w którym każde zadanie trafia do modelu najlepiej dopasowanego do dostępnych zasobów sprzętowych oraz wymaganego poziomu prywatności. To zdecydowanie pragmatyczne podejście. Doskonale znamy powiedzenie: jak coś jest do wszystkiego to....

[Aktualizacja]

Choć oficjalna dokumentacja Apple kategorycznie wskazuje na brak wsparcia dla języka polskiego na starcie Apple Intelligence, pierwsze testy systemów w praktyce przynoszą ciekawe wnioski. Jak słusznie zauważył jeden z naszych Czytelników, Jaromir Kopp, ograniczenia te dotyczą przede wszystkim warstwy głosowej Siri oraz lokalizacji samego interfejsu. W przypadku funkcji tekstowych sytuacja wygląda zupełnie inaczej.

To świetny dowód na to, jak w praktyce zachowują się Foundation Models. Ponieważ modele z rodziny AFM były szkolone na gigantycznych, publicznych zbiorach danych, siłą rzeczy naturalnie przyswoiły również język polski. Apple, jak pokazują **screeny z postu Jaromira** nie zastosowało twardej blokady na poziomie system promptu, dzięki czemu narzędzia takie jak Writing Tools czy tekstowa Siri bez problemu radzą sobie z analizą i generowaniem treści w naszym języku. Jedynym wyraźnym wyjątkiem pozostaje na razie Image Playground, gdzie filtry bezpieczeństwa są zazwyczaj sztywno powiązane z angielskim słownikiem. Warto o tym pamiętać – pod maską nowe AI od Apple potrafi po polsku znacznie więcej, niż deklaruje producent. Przynajmniej tyle naszego szczęścia z nowej AI z Cupertino.



KRZYSZTOF KOŁACZ
@kolaczkrzysztof

Czego nie pokazano podczas WWDC 2026

Jak co roku po konferencji WWDC 2026 zapraszam do lektury cyklu wpisów, w których zbiorczo podsumowałem to, czego Apple nie zmieściło w prezentacji otwierającej święto deweloperów wszystkich platform Apple 8 czerwca, a co zostało szczegółowo poruszone podczas ponad blisko 100 sesji dla deweloperów.









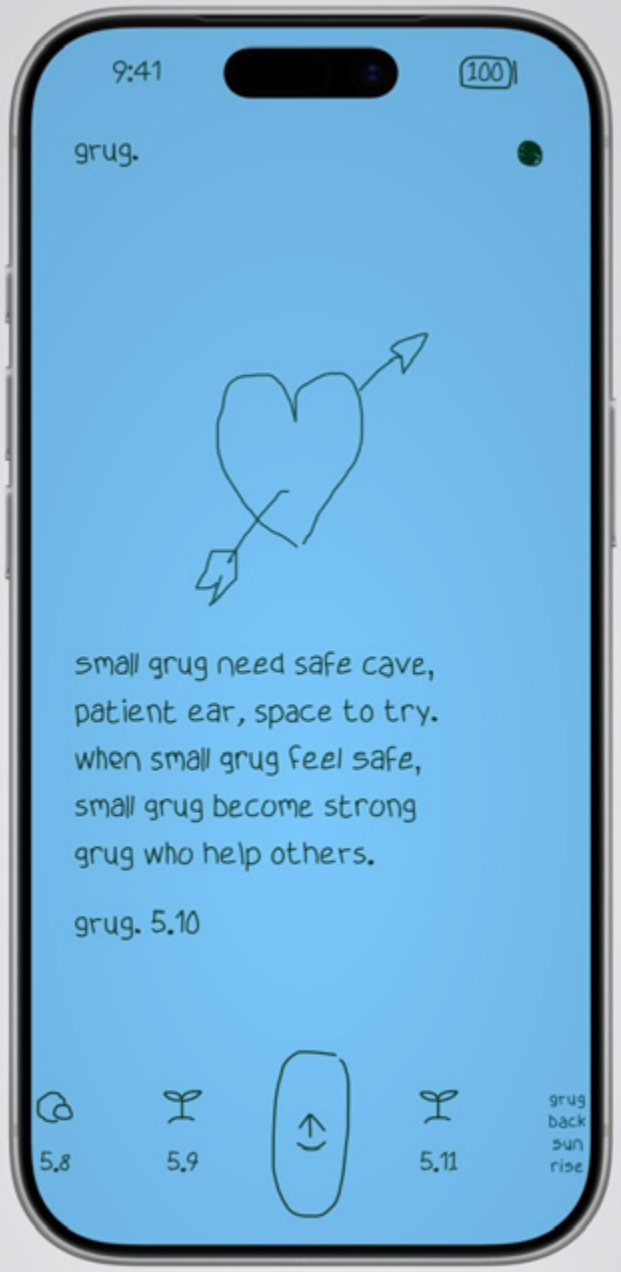
WWDC26



DOMINIK ŁADA
@dominiklada

Apple ogłosiło zwycięzców Apple Design Awards 2026. Wśród laureatów znalazł się polski akcent

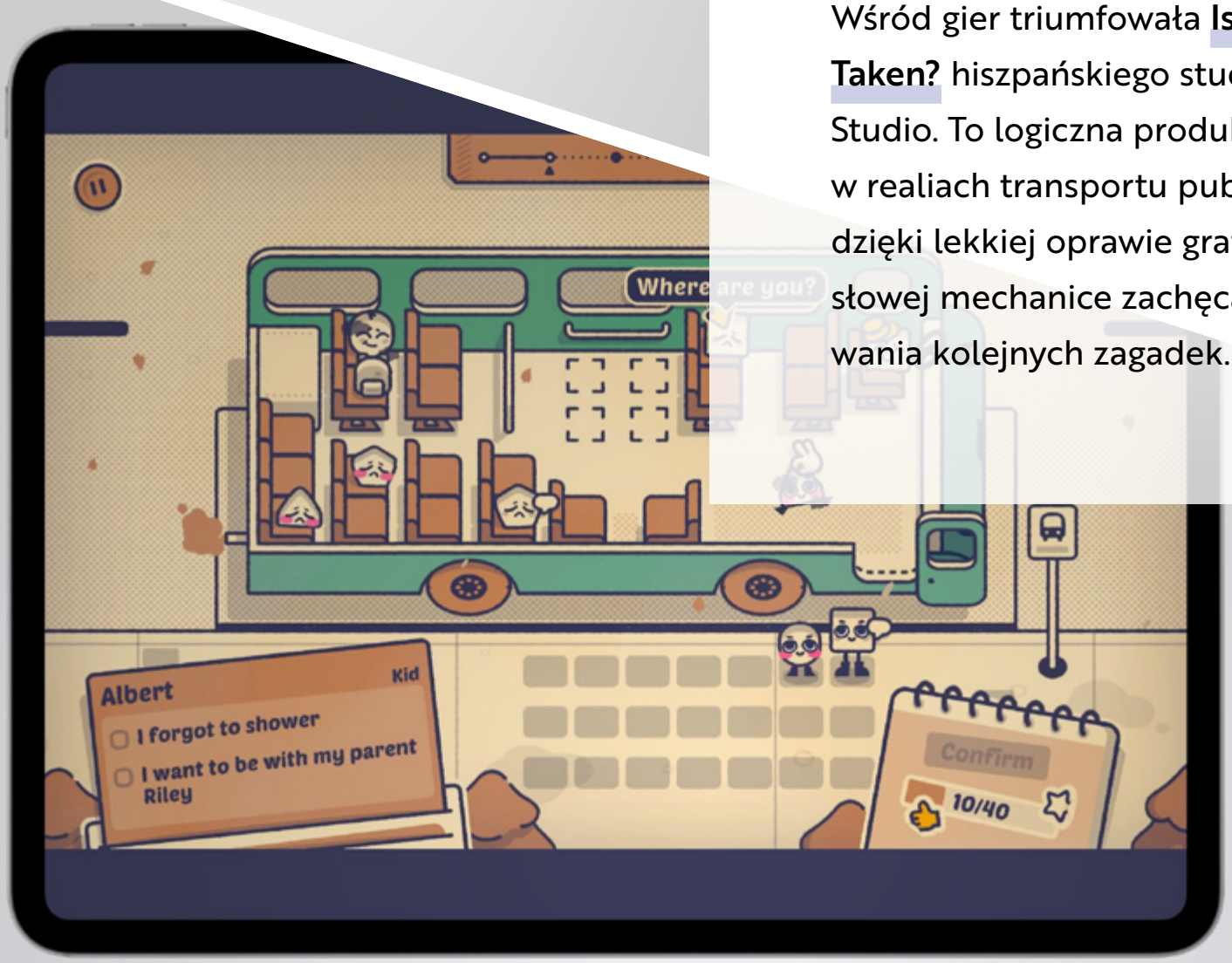
Na kilka dni przed rozpoczęciem konferencji WWDC26 Apple ogłosiło zwycięzców tegorocznej edycji Apple Design Awards. Nagrody przyznawane są twórcom aplikacji i gier, które wyróżniają się innowacyjnością, wzornictwem, jakością wykonania oraz wykorzystaniem technologii platform Apple. W 2026 roku wyróżniono 12 produkcji – po jednej aplikacji i jednej grze w każdej z sześciu kategorii.



Jak podkreśliła Susan Prescott, wiceprezes Apple ds. Worldwide Developer Relations, tegoroczni laureaci pokazują, w jaki sposób deweloperzy tworzą wyjątkowe doświadczenia użytkowników – zarówno poprzez intuicyjne funkcje, jak i angażującą rozgrywkę. Zwycięzcy zostali wyłonieni spośród 36 finalistów z całego świata.

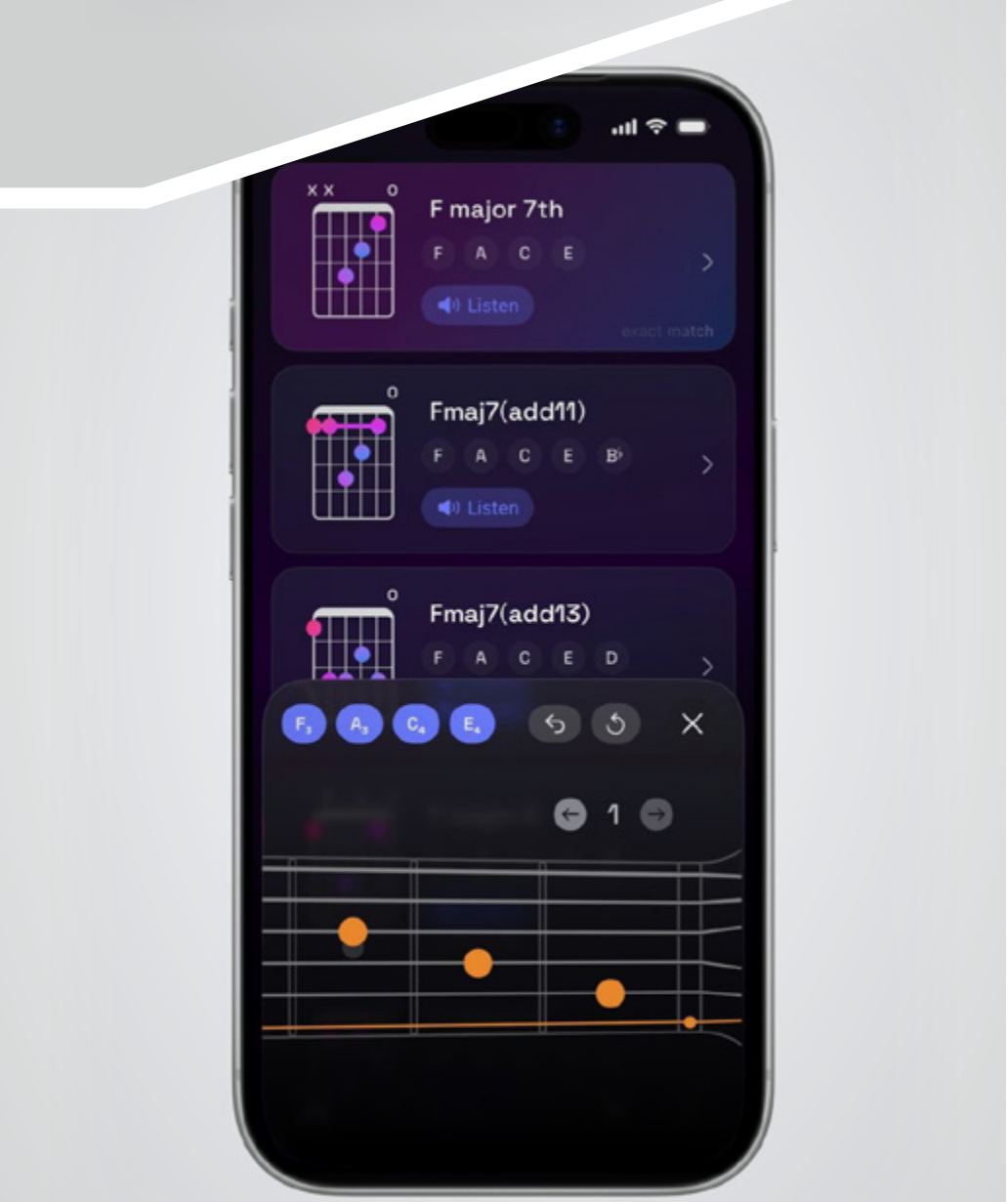
Radość i zabawa

W kategorii Delight and Fun zwyciężyła aplikacja **grug** stworzona przez holenderskie studio Ocho. To nietypowa aplikacja z afirmacjami, która w humorystyczny sposób prezentuje codzienne życiowe mądrości inspirowane prehistorycznymi „gruntami". Apple doceniło jej prostotę i umiejętność tworzenia małych chwil refleksji dla użytkownika.



Wśród gier triumfowała **Is This Seat Taken?** hiszpańskiego studia Poti Poti Studio. To logiczna produkcja osadzona w realiach transportu publicznego, która dzięki lekkiej oprawie graficznej i pomysłowej mechanice zachęca do rozwiązywania kolejnych zagadek.





Dostępność dla wszystkich

Nagrodę za inkluzywność zdobyła aplikacja **Guitar Wiz** autorstwa indyjskiego dewelopera Bijoya Thangaraja. Program pomaga zarówno początkującym, jak i zaawansowanym gitarzystom, oferując głosowe instrukcje oraz szerokie wsparcie funkcji dostępności systemów Apple.

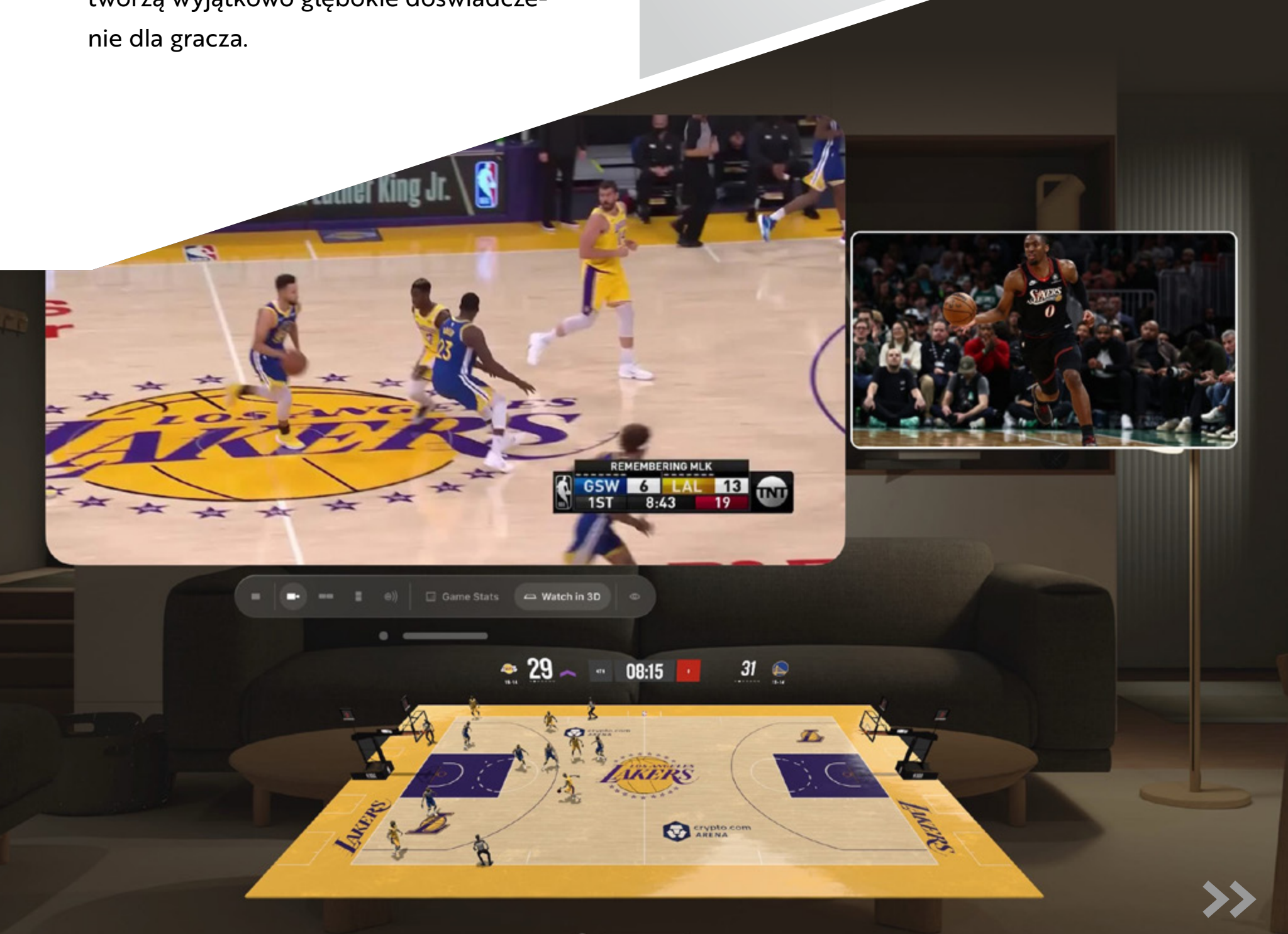
W kategorii gier zwyciężyło **Pine Hearts** od brytyjskiego Hyper Luminal Games. Tytuł został wyróżniony za przemyślane rozwiązania zwiększające dostępność, takie jak możliwość dostosowania sterowania czy poprawiona czytelność tekstów.

Innowacja

W kategorii Innovation nagrodzono aplikację **NBA: Live Games & Scores** dla Apple Vision Pro. Rozwiązanie pozwala śledzić jednocześnie kilka meczów NBA, korzystać z przestrzennych statystyk i obserwować akcję na trójwymiarowym boisku, prezentując nowe możliwości transmisji sportowych w środowisku spatial computing.

Najbardziej innowacyjną grą została **Blue Prince** studia Dogubomb. Apple doceniło nietypowe połączenie eksploracji, zagadek i narracji środowiskowej, które tworzą wyjątkowo głębokie doświadczenie dla gracza.







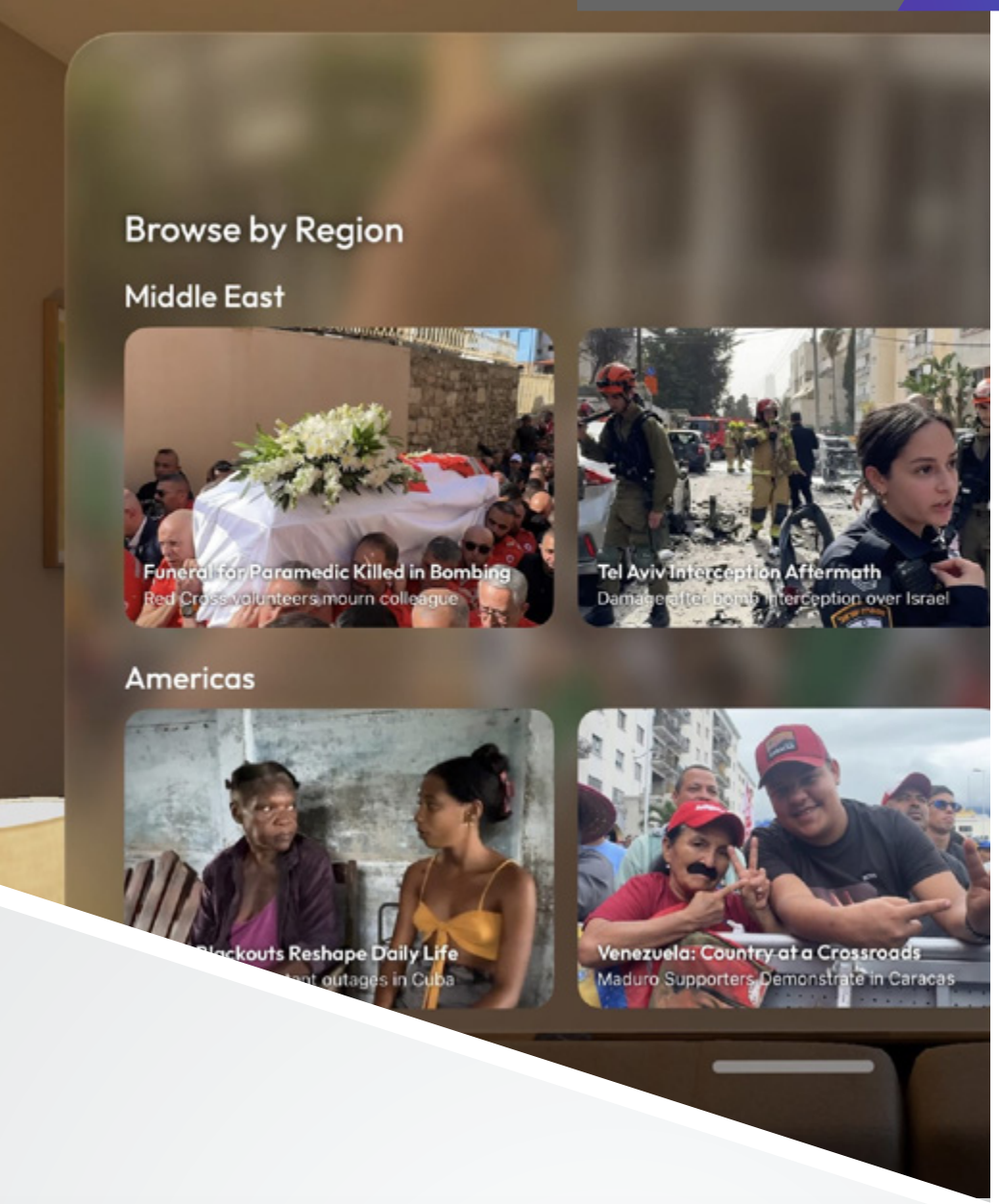


Najlepsze interakcje

W kategorii Interaction zwyciężyła aplikacja Moonlitt: **Moon Phase Tracker**. Narzędzie do śledzenia faz Księżyca i planowania obserwacji astronomicznych zostało wyróżnione za elegancki interfejs oraz wzorową integrację z nowym językiem projektowania Apple.

Nagrodę dla gry zdobyło **Sago Mini Jinja's Garden**, które dzięki prostemu sterowaniu i intuicyjnym mechanikom pozwala najmłodszym użytkownikom skupić się na zabawie zamiast na nauce obsługi interfejsu.





Społeczny wpływ

Apple wyróżniło również projekty, które pomagają użytkownikom lepiej rozumieć świat i ważne społeczne tematy. Wśród aplikacji zwyciężyło **Primary: News in Depth**, przestrzenna platforma informacyjna dla Apple Vision Pro, która prezentuje wiadomości w nowoczesnej, immersyjnej formie.

W kategorii gier nagrodzono **Consume Me** – autobiograficzną produkcję poruszającą wrażliwe kwestie emocjonalne i społeczne. Apple zwróciło uwagę na umiejętne połączenie mechaniki gry z trudną tematyką.



Wizualna perfekcja i polski sukces

Dla polskich użytkowników szczególnie interesująca jest kategoria Visuals and Graphics. Wśród aplikacji zwyciężył Tide Guide: Charts & Tables, oferujący efektowną prezentację danych pogodowych i pływowych, bogatą w animacje oraz dopracowane detale wizualne.



Natomiast nagrodę dla gry zdobył Cyberpunk 2077: Ultimate Edition od polskiego studia CD Projekt. Apple doceniło imponującą oprawę wizualną, wykorzystanie możliwości układów Apple Silicon oraz zaawansowanych technologii Metal. Według firmy futurystyczny świat Night City zachwyca szczegółowością lokacji, projektami postaci i pojazdów, stanowiąc jeden z najlepszych przykładów tego, jak współczesne gry AAA mogą działać na komputerach Mac.

Nagrody przed WWDC26

Apple Design Awards od lat stanowią jeden z najważniejszych punktów poprzedzających konferencję WWDC. Tegoroczni zwycięzcy pokazują nie tylko kierunek rozwoju aplikacji i gier na platformach Apple, ale również rosnącą rolę Apple Vision Pro, sztucznej inteligencji oraz nowych rozwiązań projektowych wykorzystywanych przez deweloperów na całym świecie. Laureaci zostaną oficjalnie uhonorowani podczas WWDC26, które rozpocznie się 8 czerwca.



Mam nadzieję, że uda mi się przynajmniej z kilkorgiem z laureatów porozmawiać za tydzień w Apple Park – obserwujcie nas.





PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Audio Pro A15 W – nie tylko do salonu

Multiroom kojarzy się ze sprzętem rozmieszczonym w domu na stałe, ale są od tego wyjątki. Audio Pro A15 W można używać bowiem mobilnie, dzięki czemu muzyka będzie towarzyszyć nam tam, gdzie głośnik może gościć jedynie tymczasowo.



Przestrzeni, w których głośnik jest nieoczywistym, ale pożądanym gościem, jest całkiem sporo, od garażu czy warsztatu po odsłonięty taras. Pozostawienie tam sprzętu na stałe mogłoby go zniszczyć lub być niemożliwe ze względu na brak zasilania. Dla A15 W to jednak nie problem, bo mimo bycia głośnikiem multiroom, ma wbudowaną baterię i to nie byle jaką. Wytrzyma do 19 godzin odtwarzania, a więc wystarczy nawet na najdłuższy dzień (lub noc). Ładowany jest klasyczną „ósemką", co nie jest tak praktyczne jak USB-C, ale to wciąż jakiś standard i w razie potrzeby z łatwością dokupimy dodatkowy kabel. A15 W jest naprawdę ładny, boki pokrywa tkanina, a górny panel zrobiono ze szczotkowanego aluminium. Znalazły się na nim zarówno przyciski do sterowania odtwarzaniem i głośnością, jak i sześć programowalnych, będących charakterystyczną cechą sprzętu tej marki. Można przypisać do nich playlisty ze Spotify (i niestety tylko tyle). Zestaw portów jest za to skromny, bo mamy tu tylko wejście AUX (3,5 mm) oraz wyjście subwoofera (moim zdaniem zupełnie zbędne). Nie sposób uznać to za wadę, bo bezprzewodowe możliwości A15 W rekompensują to z nawiązką, a i nie jest to typowo stacjonarny sprzęt, do którego docelowo podłączamy jakiekolwiek przewody z wyjątkiem tego do zasilania.

Do sterowania i konfiguracji głośnika służy aplikacja Audio Pro, dokładnie ta sama, co do innych urządzeń firmy. Jest bardzo prosta, głośnik wykrywany jest automatycznie (a gdyby nie działał, wystarczy wcisnąć przycisk parowania na obudowie), sieć również ustawiana jest na nim bez naszej ingerencji. Proces konfiguracji jest wzorowy, co docenią przede wszystkim początkujący użytkownicy. Nie oznacza to jednak, że nie mamy tu bardziej zaawansowanych opcji. Oprócz korektora graficznego z pamięcią ustawień i kilkoma domyślnymi konfiguracjami mamy też możliwość indywidualnego skonfigurowania opóźnienia i wzmocnienia dla każdego źródła (a więc Wi-Fi, Bluetooth oraz AUX). Jest też automatyczne wyciszanie utworu na początku i na końcu, ale natychmiast je wyłączyłem, bo nie da się go konfigurować, a oferowany efekt mi zupełnie nie odpowiada. W aplikacji ustawiamy też wspomniane skróty do playlist na Spotify.





Audio Pro A15 W pozwala łączyć się ze źródłem przez Bluetooth, Wi-Fi (wspiera system multiroom Audio Pro, ale też AirPlay 2 i Google Cast), a także przewodowo, przez złącze AUX. Podczas testów korzystałem głównie z AirPlay, z uwagi na jakość brzmienia i wygodę. Korektor ustawiony był oczywiście na płasko, co brzmiało wyjątkowo dobrze. A15 W daleko do neutralnego brzmienia, oferuje bowiem obfity, ale jednocześnie odpowiednio kontrolowany bas. Jest to po części zasługa zastosowania bass reflex, co w tego typu głośnikach nie jest oczywistym rozwiązaniem. Niskie tony potrafią być miękkie, ale też krótkie i mocne, jeśli trzeba. To zdecydowanie najmocniejsza składowa brzmienia A15 W; bas nie tylko zapewnia tło i dyktuje tempo, ale też zagłusza braki pozostałych pasm. Środek mógłby być bowiem bardziej szczegółowy, momentami brzmi płasko, jakby brakowało mu



przestrzeni. Zazwyczaj wypada dobrze, ale nie odwzorowuje wszystkich detali, zwłaszcza bardziej złożonych utworów. Góra jest natomiast lekko wyciszona, ale wciąż wyraźna. Bardzo podoba mi się to, że nawet przy dużej głośności nie słychać zniekształceń, a brzmienie nie traci na szczegółowości. Biorąc pod uwagę to, że jest to sprzęt do stosowania w różnych warunkach (w końcu po co w domowym głośniku IPX2), ta charakterystyka brzmienia jest bardzo sensowna. Przyjmując słabą akustykę otoczenia, podbicie dołu kosztem pozostałych pasm pozwala utrzymać muzykę wyraźną i słyszalną.

A15 W to świetny głośnik do domu, zwłaszcza jeśli chcemy zabierać kawałek naszego multiroomu na taras czy w inne miejsce, gdzie na stałe nie ma żadnego audio. Przeniesienie sterowania na obudowę umożliwia kontrolowanie muzyki każdemu, nawet bez dostępu do źródła muzyki. Jego brzmienie jest inne niż typowego sprzętu do salonu, niemniej dokładnie takie ma być, bo, w przeciwieństwie do stacjonarnych głośników domowych, ten poradzi sobie również wtedy, gdy warunki do odsłuchu będą dalekie od optymalnych.



Audio Pro A15 W

- Design: 5/6
- Jakość wykonania: 6/6
- Oprogramowanie: 5/6
- Wydajność: 5/6

Plusy:
- długi czas pracy
- dostosowanie do odtwarzania wszędzie
- bardzo prosta konfiguracja

Minusy:
- momentami płaskie średnie tony

Cena: 1399 PLN

Dostępne w Top Hi-Fi & Video Design



WOJTEK PIETRUSIEWICZ
@moridln

Tak trochę zmiażdżył iPhone'a – Vivo X300 Ultra Photography Kit

Dzisiaj na moim warsztacie ląduje Vivo X300 Ultra wraz z Photography Kit, czyli smartfon z obiektywem tak kolosalnym, że urządzenie z powodzeniem mogłoby służyć jako broń obuchowa.

W tym materiale odcinam się od klasycznych testów wydajności i skupiam wyłącznie na fotografii oraz wideo, bo to wokół nich kręci się cała ta maszyneria. Przejdziemy przez specyfikację matryc Sony Lytia i optyki Zeiss, a także przyjrzymy się ważącemu ćwierć kilo telekonwerterowi, który ma pozwalać na uzyskanie potężnego zbliżenia cyfrowego. Przygotowałem dla Was bezpośrednie starcie z iPhonem 17 Pro na pełnym automacie, sprawdzając, jak oba urządzenia radzą sobie ze stabilizacją, szczegółami, makro i kaprysami balansu bieli w różnych profilach kolorystycznych. Przekonacie się, czy ten potwór kosztujący w połowie czerwca 2026 roku zawrotne 9,5 tysiąca złotych jest fotograficznie wart swojej ceny, czy może jego gabaryty skutecznie zniechęcą Was do wyciągania go z kieszeni.







PAWEŁ OKOPIEŃ
@paweloko

Roborock RockMow S1
– nowa era koszenia, „robotycznego" koszenia

Automatyzacja w domu i wokół niego postępuje i jeśli jej jeszcze nie zauważacie, nie wykorzystujecie, to popełniacie ogromny błąd. Owszem, chodzenie z kosiarką po trawniku bywa odprężające. Ale sięgając po nowość od Roborock, jaką jest RockMow S1, możecie cieszyć się perfekcyjnym trawnikiem nie raz na tydzień, a codziennie, poświęcają czas na zupełnie inne rzeczy.



W obszarze elektroniki użytkowej aktualnie największy postęp dzieje się w zakresie robotów, w szczególności tych sprzątających i koszących. Dopiero wchodzą pod strzechy i do firm, ale to, jak w ciągu 5 lat zmieniły się roboty koszące, zaskakuje mnie i zachwyca. Nowe modele są „mądrzejsze", efektywniejsze, łatwiejsze w pielęgnacji i znacznie tańsze. A Roborock RockMow S1, którego przez ostatni miesiąc intensywnie testowałem, jest na to najlepszym dowodem.

Od lat korzystam z robota koszącego w swoim ogrodzie, od popularnego i renomowanego producenta wyspecjalizowanego w sprzętach ogrodowych. Z efektów jego pracy byłem zadowolony, zadowolony byłem też z łatwo dostępnego serwisu, ale przeszło 5-letnia przygoda to zmaganie się z kablem ograniczającym i pracą 24/7. Teraz tego robota mogłem zastąpić nowością od Roborock. I pierwsze, co rzuca się w oczy, dzieje się już na etapie decyzyjnym. Tamten model 5 lat temu kosztował ponad 11 000 PLN. RockMow S1 S115, czyli wariant dokładnie tak samo przeznaczony do powierzchni do 1500 mkw., kosztuje 6899 PLN (sprawdźcie ceny u dystrybutorów [https://garden.roborock.com/pl/where-to-buy]). Jeśli dodamy do tego kwestie inflacji i siłę nabywczą, to różnica w przystępności jest niezwykle znacząca.

Zanim przejdę do omawiania pracy robota i jego funkcjonalności, zatrzymam się jeszcze przy samym producencie. Roborock to firma, która dotychczas skupiała się na produkcji robotów odkurzających, a także różnego rodzaju odkurzaczy. A jesienią zeszłego roku zapowiedziała wejście na rynek robotów koszących. Te tej wiosny zadebiutowały na rynku. I obok serii S, którą testuję i którą należy uznać za najbardziej rozsądną, mającą niemal wszystko, czego dziś można oczekiwać od robota i sprawdzającą się w przeciętnych ogrodach, jest też seria RockNeo Q1 – przystępniejsza cenowo, do mniejszych ogrodów, topowy model Z1 z LiDAR-em 360 stopni i napędem na 4 koła, seria Z1 bez LiDAR-a, ale też z napędem na 4 koła, dostępna nawet w wersji Z150, potrafiącej poradzić sobie z trawnikami o powierzchni do 5000 mkw. Bardzo ważny jest fakt, że to dopiero pierwsza generacja robotów koszących Roborock. W ciągu tego miesiąca miałem dwie aktualizacje oprogramowania, jedna przyniosła m.in. automatyczne mapowanie krawędzi, a druga – poprawki związane choćby z oznaczaniem przeszkód na mapie. A już na lipiec jest zapowiedziana kolejna duża aktualizacja, która wprowadzi jeszcze lepsze lokalizowanie kosiarki na trawniku dzięki Network RTK.



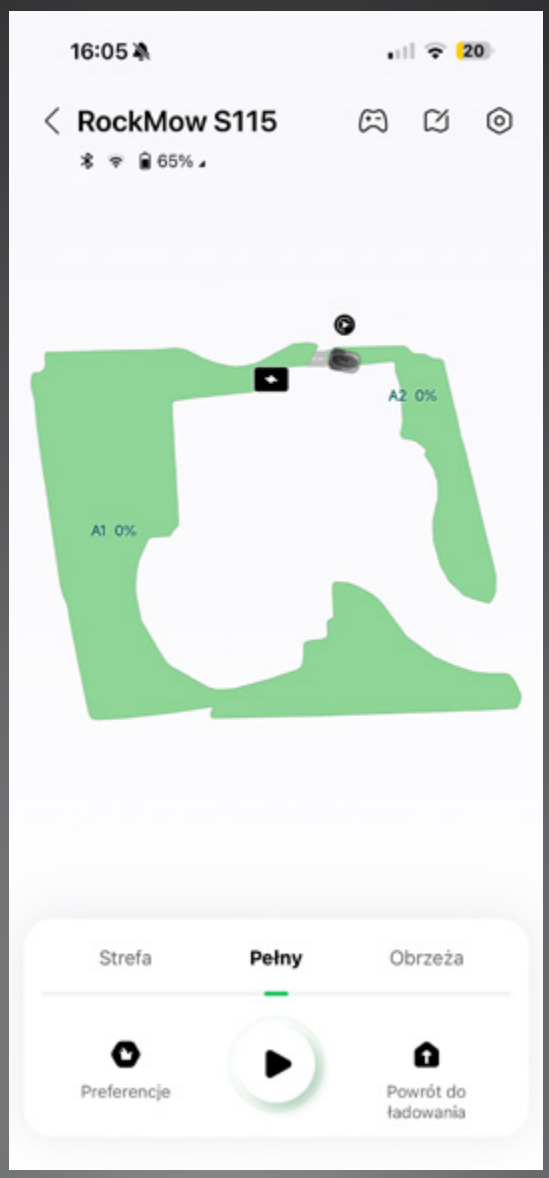


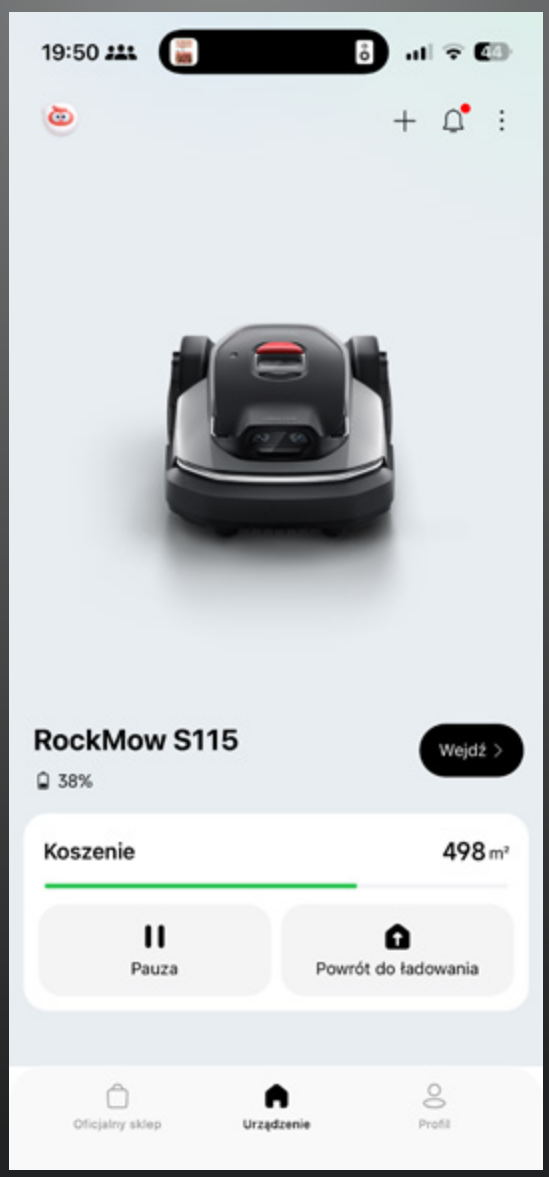
I właśnie od RTK warto rozpocząć test RockMow S1. Wyjmując kosiarkę z pudełka, obok stacji dokującej, robota czy zestawu noży i elementów ułatwiających montaż stacji na trawniku, znajdziemy też stojak i mały czujnik, coś wyglądającego jak modem czy niewielki dekoder. Możecie spotkać się z podobnymi rozwiązaniami, gdy widzicie pomiary geodezyjne. Mowa o stacji RTK, czyli Real-Time Kinematic, pozwalającej na niezwykle precyzyjne pozycjonowanie z wykorzystaniem GPS. RTK od lat jest stosowane w przemysłowym i zrobotyzowanym rolnictwie, w dronach, a także właśnie w tych najbardziej precyzyjnych robotach koszących. Alternatywą w robotach koszących jest też LiDAR. W przypadku RockMow S1 do nawigacji kosiarka korzysta właśnie z RTK oraz stereofonicznej pary kamer.

Uruchamiając kosiarkę, musimy podłączyć stację ładowania do zasilania, a do stacji podłączyć RTK. Tu możemy napotkać na największe logistycznie wyzwanie przy montażu tego robota, ponieważ stacja musi znajdować się w odległości 2 m od budynku i 2 m od większych drzew, aby zapewnić jak najlepszy sygnał satelitarny. Przy czym, jak wspomniałem, kolejna aktualizacja robota będzie pozwalała na działanie już bez tej stacji, choć producent zaleca, aby niej nadal korzystać. I na

tym kończą się przewody. Co ważne, nie obawiajmy się tego przewodu od stacji RTK, puściłem go po trawniku na 1,5 m od stacji i w ciągu 2 tygodni zarósł tak, że jest niewidoczny.

Uruchamiamy kosiarkę, parujemy ją z aplikacją, co trwa szybko i jest czytelne – najpierw połączenie Bluetooth, później podłączenie do naszego domowego Wi-Fi. Czas stworzyć mapę naszego trawnika. Dla mnie to jest bardzo game changer względem kosiarki z przewodem ograniczającym. Zamiast zatrudniać ekipę instalatorów lub spędzać wiele godzin na montażu, całość ogranicza się do spaceru za kosiarką, tak jakbyśmy mieli przed sobą zdalnie sterowany samochodzik, a w ręku pada do gier. Padem staje się oczywiście nasz smartfon. Ba, dzięki AI w RockMow S1 przy dwóch prostych krawędziach trawnika odpuściłem ręczne sterowanie i pozwoliłem robotowi na automatyczne wyznaczenie granicy. Akurat na tych dwóch obrzeżach mam tuje i niemal prostą granicę z kostką. Kolejne ułatwienie. Zmapowałem jedną część trawnika, później drugą, z wąską ścieżką przez kostkę i jeszcze podzieliłem pierwszą strefę na dwie mniejsze, aby łatwiej sterować czasem pracy robota i kierunkami koszenia. Całość wraz z montażem i parowaniem zajęła mi może 40 minut. Przy okazji





okazało się, że samego trawnika w ogrodzie jest jednak nieco mniej niż mi się pierwotnie wydawało.

I to jest właśnie generacyjna zmiana, która jest najbardziej widoczna w pracy robota względem wielu konkurencyjnych i wciąż dostępnych na rynku rozwiązań – robot chodzi według ścieżek, strzygąc trawnik centymetr po centymetrze. W efekcie skoszenie całego mojego trawnika zajmuje mu 5 godzin wraz z przerwą na ładowanie. Gdy poprzedni robot, który miał deklarowane identyczne pokrycie (roboty przystosowane do 1500 mkw., a w rzeczywistości wyszło u mnie 800 mkw.) właściwie potrzebował 1,5 dnia, kosząc i w dzień, i w nocy. Trawnik, owszem, miałem skoszony, ale robot cały czas pracował. Aż jestem ciekaw, czy ta zmiana wpłynie na zużycie energii elektrycznej w domu? Natomiast teraz trawnik wygląda, jakby był skoszony przeze mnie.

Dwa kolejne atuty RockMow S1 to możliwość ustawienia wysokości koszenia z aplikacji, a nie z pokrętła na kosiarce, a także ustawienie kątów koszenia tj., w jakim kierunku ma kosić. Może też optymalnie wybierać ścieżkę lub automatycznie ją zmieniać. W trzecim kwartale ma pojawić się dodatkowo aktualizacja, która sprawi, że na trawniku będziemy mogli tworzyć

wzory i to sterowanie kierunkami powinno być jeszcze bardziej dopracowane. Jako gadżeciarza cieszy mnie to, że dzięki aktualizacji OTA sprzęt cały czas się rozwija. Wierzę, że w przyszłym sezonie RockMow S1 będzie kosił jeszcze lepiej niż w tym za sprawą kolejnych aktualizacji aplikacji i robota.

RockMow posiada tarczę tnącą z osłoną na 3 noże (plusem jest to, że rynek noży do kosiarek jest niemal ustandaryzowany), a oprócz tego ma zintegrowane dwa noże do podcinania obrzeży, przez co dokaszanie krawędzi podkaszarką czy tradycyjną kosiarką w moim przypadku ogranicza się do minimum. Funkcja PreciEdge Cutting jest właśnie zintegrowana w S1, w innych modelach producenta można dokupić akcesorium, które pozwala uzyskać taki efekt. W aplikacji Roborock dostajemy powiadomienia odnośnie wymiany noży i konserwacji robota. Co ważne, spód robota można przemyć, używając węża ogrodowego. Kupując robota koszącego, naprawdę warto na to zwrócić uwagę, ponieważ część maszyn takich możliwości nie ma, a to sprawia, że robot będzie sprawniej wykonywał zadania, będzie też bardziej estetyczny.





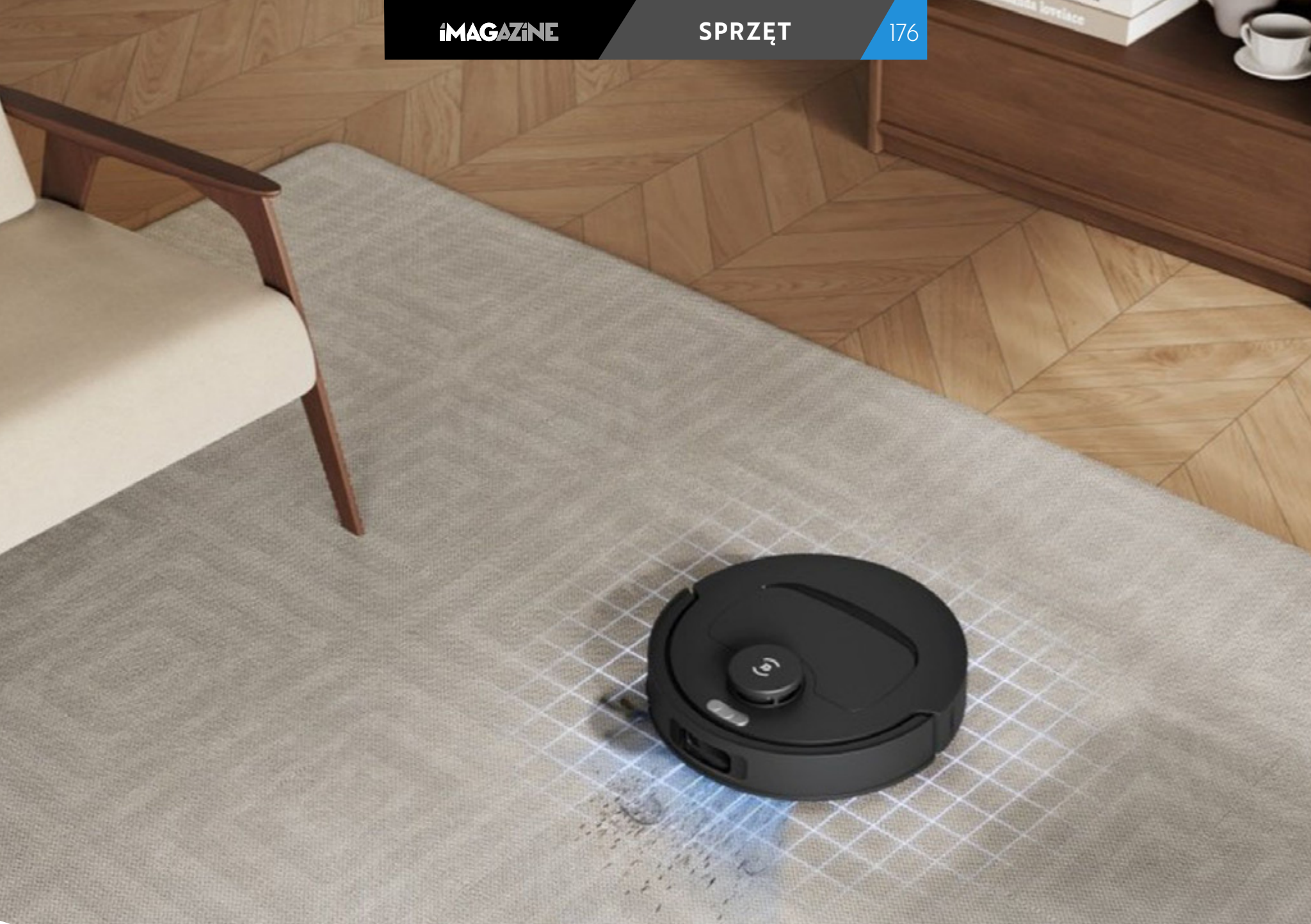
Mam ogród ze spadkami, obrzeżami, gdzie zaraz za trawnikiem i rzędem kostki jest spadek. Testowanemu robotowi zdarzyło się ześlizgnąć – raz pod wpływem mocno zroszonej trawy i dwa razy w miejscu, gdzie ewidentnie poprowadziłem go za blisko obrzeża. Wydaje mi się jednak, że szybko zapamiętał to miejsce, ponieważ później już sytuacja się nie powtórzyła. Brakuje mi w aplikacji opcji poprawiania mapy fragmentarycznie. Niestety, jeśli chcielibyśmy coś poprawić, to najlepszą opcją byłoby wydzielić fragment mapy, później go usunąć, dodać nowy obszar i następnie go scalić.

Jeśli miałbym szukać wad, to właśnie większość z nich upatrywałbym w kwestiach rozwojowych urządzenia i aplikacji. Na przykład brakuje mi ewentualnych zdjęć wykrytych przeszkód. Przeszkadza także fakt, że niektóre przeszkody omijane są z bardzo dużą ostrożnością i nie do końca można tu w jakiś sposób zareagować. Mam na trawniku lampy oraz kilka drzew, do których spokojnie robot mógłby dojechać. Niestety, zostawia wokół nich 20–30-centymetrowy obszar nieskoszonej trawy. Fajnym gadżeciarskim udogodnieniem byłoby też wykorzystanie kamer w robocie do patrolu ogrodu, gdy zajdzie taka potrzeba, takiej funkcji na ten moment

też brak. Ale znów, wydaje mi się, że wraz z aktualizacjami pojawią się kolejne udogodnienia.

W mojej ocenie Roborock RockMow S1 to produkt, który już na starcie pokazuje szeroki wachlarz możliwości. Sprzęt, który daje nam komfort zadbanego trawnika przy najmniejszym wysiłku. I kluczem jest tu hasło „zadbany trawnik". Roborock nie tylko kosi, ale docina krawędzie, optymalnie wyznacza trasę i robi to w stosunkowo krótkim czasie. Rynek robotów koszących staje się niezwykle szeroki. Znajdziecie modele bardzo różne, a diabeł i satysfakcja jak zwykle tkwią w szczegółach. I tu, szukając robota do swojego ogrodu, zwróćcie uwagę właśnie na te detale. W S1 są one albo już dostępne, albo wkrótce się pojawią (wzory na trawie, brak konieczności montażu zewnętrznej stacji RTK). Początkowa cena 6 899 PLN za taką paletę możliwości wydaje się rozsądna. Pamiętajmy o tym, że Roborock ma też model S1 dla powierzchni poniżej 800 mkw. oraz modele z serii Q1 do mniejszych ogrodów, mniej zaawansowane i tańsze, jak również flagowego Z1 z napędem na 4 koła.





DARIUSZ HAŁAS
@blob_tech

Sprzątanie bez kompromisów
Przegląd robotów ECOVACS DEEBOT

Jeszcze kilka lat temu pełna automatyzacja sprzątania wydawała się fantazją. Dziś przestaje nią być. Przez lata obserwowania i analizowania rynku nowych technologii widziałem już dziesiątki „rewolucji", które w rzeczywistości okazywały się jedynie ewolucyjnym pudrowaniem rzeczywistości. Dobra wiadomość? Produkty doganiają wreszcie obietnice.





Kiedyś obiecywano nam autonomiczne domy, podczas gdy ówczesne roboty sprzątające potrafiły co najwyżej klinować się pod kanapą i bezradnie wciągać kable od ładowarek. Dziś jednak, patrząc na najnowszą ofertę marki ECOVACS, trudno nie odnieść wrażenia, że wreszcie dotarliśmy do punktu, w którym technologia faktycznie zaczyna odczuwalnie wyręczać nas w codziennych, żmudnych obowiązkach. Bez wymówek i bez nowomowy, która często maskuje braki inżynieryjne.

ECOVACS zaprezentował cztery nowe modele robotów sprzątających wraz z towarzyszącymi im stacjami bazowymi OMNI: X12 OmniCyclone, T90 PRO OMNI, T50 OMNI Gen3 oraz T30e OMNI. Każdy z nich został zaprojektowany z myślą o rozwiązaniu konkretnych problemów związanych ze sprzątaniem, z którymi większość dostępnych na rynku urządzeń nadal radzi sobie co najwyżej przeciętnie. Przyjrzyjmy się bliżej, co wyróżnia debiutujący w Polsce sprzęt marki ECOVACS.

DEEBOT X12 OmniCyclone i problem zaschniętych plam

Zacznijmy od technologicznego okrętu flagowego w naszym przeglądzie. **DEEBOT X12 OmniCyclone** to sprzęt, który podchodzi do kwestii odkurzania bardzo rzetelnie. Dysponuje on wysoką mocą ssania na poziomie 22 000 Pa, jednak to, co stanowi o jego przewadze, kryje się pod maską. Zbudowano go w oparciu

o architekturę zasilania wykorzystującą baterie klasy EV. Co to oznacza w praktyce? Zamiast standardowych, cylindrycznych ogniw, które znajdziemy w większości odkurzaczy, producent zastosował tu płaskie akumulatory saszetkowe (typu pouch) – technologię znaną z nowoczesnych samochodów elektrycznych. Dla nas, użytkowników, oznacza to dwie rzeczy: robot potrafi ładować się znacznie szybciej, a sama bateria jest o wiele bardziej odporna na degradację. Po dwóch czy trzech latach codziennego sprzątania urządzenie nie powinno dostać zadyszki i nie straci połowy swojej fabrycznej pojemności.

Tym, co jednak realnie wyróżnia model X12, jest technologia FocusJet. Fundamentalną wadą mopowania automatycznego od lat było to, że roboty jedynie przeciągały wilgotną szmatką po zaschniętych plamach. ECOVACS w modelu X12 podszedł do problemu znacznie bardziej analitycznie. System optyczny robota skanuje podłogę w poszukiwaniu uporczywych zabrudzeń, a po ich zidentyfikowaniu moduł FocusJet oddaje precyzyjny natrysk czystej wody bezpośrednio na plamę. Ten strumień ma za zadanie wstępnie zmiękczyć strukturę brudu. Dopiero po tej fazie robot najeżdża na zabrudzenie swoim szerokim, 27-centymetrowym wałkiem mopującym OZMO ROLLER 3.0. To jedno z ciekawszych i bardziej praktycznych podejść do problemu zaschniętej kawy czy lepkich sosów na podłodze.





Kolejną bolączką polskich domów, często pełnych wysokich listew maskujących, są fizyczne bariery. DEEBOT X12 OmniCyclone radzi sobie z nimi nad wyraz dobrze, potrafiąc pokonać progi o wysokości dochodzącej do 4 cm. Oczywiście centralnym punktem ekosystemu jest stacja bazowa OMNI. Producent wyposażył ją w funkcję mycia rolki mopującej gorącą wodą. Po praniu następuje suszenie, co minimalizuje problem nieprzyjemnych zapachów. Stacja posiada również system szybkiego ładowania PowerBoost, który pozwala odzyskać 13% baterii w zaledwie 3 minuty. To właśnie wymierna korzyść z użycia w tym urządzeniu efektywniejszych ogniw nowego typu, o których wspomniałem wcześniej.

Warto przy tym zaznaczyć, że stacja w modelu X12 OmniCyclone wyróżnia się na tle rynkowych standardów wyjątkowym, bezworkowym systemem opróżniania pojemnika na brud w robocie. W przeciwieństwie do klasycznych alternatyw wymagających jednorazowych worków, takie rozwiązanie całkowicie eliminuje ukryte koszty eksploatacyjne i irytującą konieczność pamiętania o zapasach. Co więcej, zastosowana tu wielostożkowa konstrukcja cyklonowa sprawia, że stacja nie traci potężnej siły ssącej podczas odsysania kurzu z robota, gwarantując niezmienną wydajność niezależnie od stopnia zapełnienia głównego zbiornika.

DEEBOT T90 PRO OMNI, czyli potężna moc i zauważalna cisza

Kolejny model, **DEEBOT T90 PRO OMNI**, to propozycja celująca w domy wymagające sprawnego radzenia sobie z dywanami, przeszkodami i utrzymania komfortu akustycznego. Urządzenie mierzy 9,5 cm wysokości, co pozwala mu swobodnie operować pod większością standardowych sof czy komód, w miejscach, w których inne modele zazwyczaj klinują swoje wystające czujniki.

Producent chwali się tutaj technologią o szumnie brzmiącej nazwie BLAST. Gdy słyszę takie hasła, mój redakcyjny sceptycyzm od razu rośnie, ale tym razem pod marketingowym sloganem kryje się sensowna inżynieria. ECOVACS całkowicie przeprojektował szczotkę główną – dodano boczne dysze powietrzne, które błyskawicznie kierują włosy i kurz do wlotu, zanim zdążą się owinąć wokół rolki. Ale to nie wszystko. Aby okiełznać wibracje przy tak dużej mocy, samą szczotkę osadzono





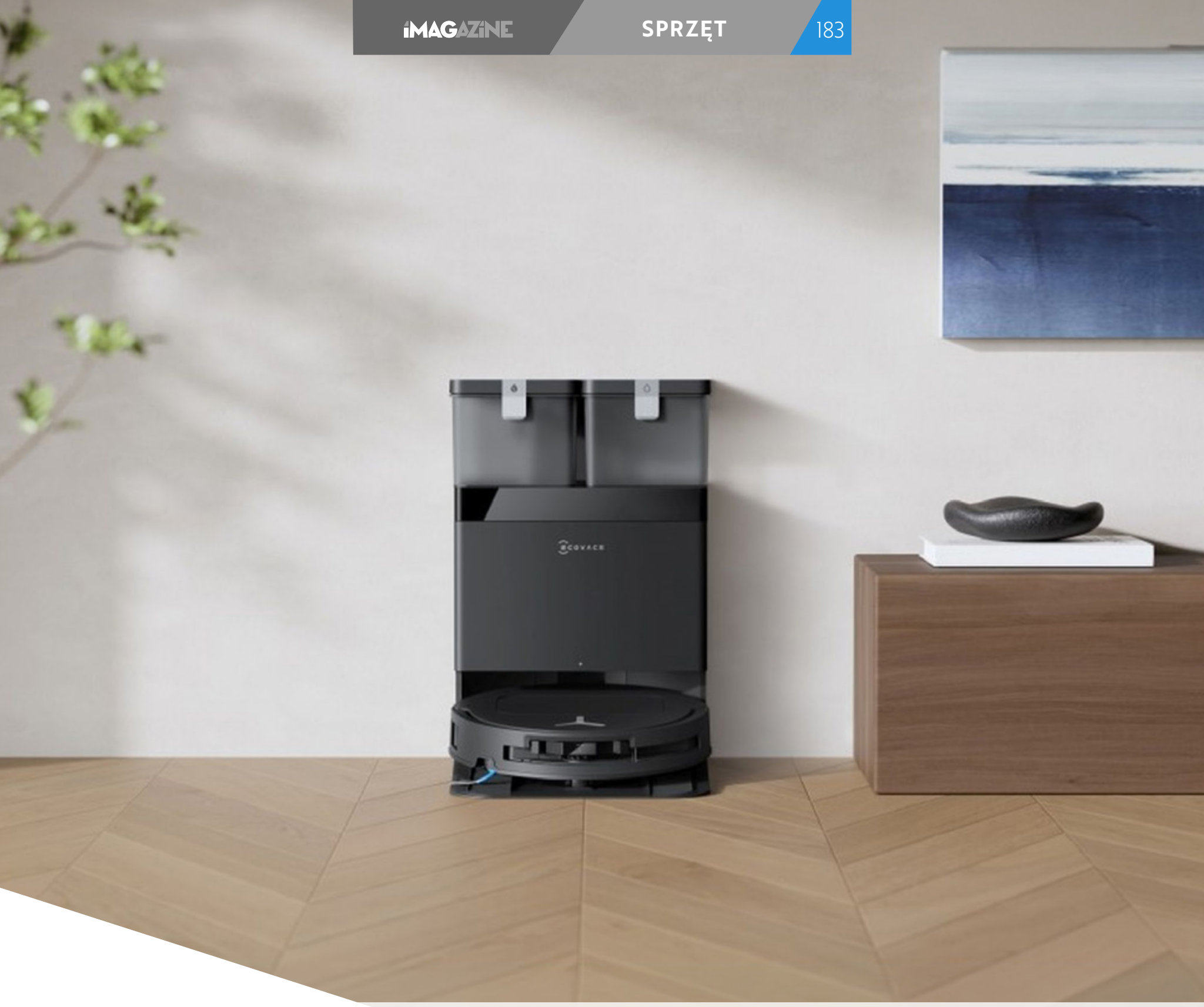
na wzmocnionej konstrukcji z podwójnymi łożyskami. Efekt? Zniknęło irytujące terkotanie, a kompleksowa optymalizacja całej konstrukcji pozwoliła obniżyć hałas podczas pracy i opróżniania zbiornika o 5 dB(A). W świecie fizyki i logarytmicznej skali decybeli to naprawdę zauważalna ulga dla naszych uszu, przy jednoczesnym zachowaniu bezkompromisowej skuteczności wciągania brudu.

Model T90 PRO ciekawie rozwiązuje również kwestię sprzątania różnych typów powierzchni dzięki systemowi Triple Lift. Robot ten potrafi unieść wałek mopujący na wysokość 20 mm, co skutecznie zabezpiecza domowe dywany przed zamoczeniem. Tutaj również spotkamy się ze zdolnością pokonywania barier i progów o wysokości do 4 cm, realizowaną za sprawą innowacyjnego systemu wspinaczki TruePass z pomocniczymi kołami dźwigniowymi. Zautomatyzowana baza OMNI dedykowana T90 PRO myje mopy wodą o temperaturze 70°C (producent deklaruje usunięcie 99,9% bakterii), a do tego posiada niezależny mechanizm autoczyszczenia zbiornika na brudną wodę, wykorzystujący śmigło obracające się z prędkością do 5000 obrotów na minutę

DEEBOT T50 OMNI Gen3 dla najbardziej wymagających przestrzeni

Następny model z portfolio ECOVACS, który trafił do naszego przeglądu, to **DEEBOT T50 OMNI Gen3**. Jest to sprzęt dla tych, którzy w walce z kurzem cenią możliwość dotarcia w najciaśniejsze szczeliny. Obniżenie konstrukcji do zaledwie 8,1 cm to wynik sprytnego schowania czujnika dToF LiDAR całkowicie wewnątrz obudowy robota. Niskie meble podwieszane czy wąskie wnęki to jego naturalne środowisko pracy.

Za smukłą linią kryje się absolutnie topowa moc wynosząca 25 000 Pa – to najwyższy wynik w tym zestawieniu. Bardzo ważnym aspektem z punktu widzenia codziennego użytkowania jest



tu technologia ZeroTangle 2.0. Zamiast mozolnego rozcinania nożyczkami włosów nawiniętych na oś szczotki, mamy tu system wykorzystujący włosie w kształcie litery V ustawione pod kątem 45 stopni oraz specjalne, wbudowane grzebienie. Włosy są na bieżąco rozczesywane i wciągane do wlotu. Dopełnieniem funkcjonalności są obrotowe pady myjące OZMO Turbo 2.0 oraz system TruEdge 2.0, który z dużą precyzją, stale dosuwa mopa do samej krawędzi ściany, skutecznie usuwając zabrudzenia z listew przypodłogowych. Płaski DEEBOT T50 OMNI Gen3 również świetnie radzi sobie z ekstremalnymi progami sięgającymi 4 cm. Całość obsługuje zautomatyzowana stacja OMNI, w której pady myjące prane są w wodzie o temperaturze 75°C. Baza dba również o własną czystość – jej dno czyszczone jest w pełni automatycznie podczas cyklu mycia mopów.



DEEBOT T30e OMNI – solidny punkt wejścia

Zestawienie zamyka solidny, bazowy filar najnowszej rodziny urządzeń ECOVACS: **DEEBOT T30e OMNI**. To świetny przykład na to, że bardziej przystępne cenowo modele nie muszą oznaczać rezygnacji z potężnych parametrów roboczych. Urządzenie operuje mocą ssania na poziomie 20 000 Pa, wykorzystując udoskonaloną technologię ZeroTangle 3.0 z główną szczotką Triple-V, co zauważalnie redukuje problem zaplątanych włosów i ułatwia dbanie o czystość samego urządzenia. Ponadto, sprzęt wyposażony jest w sprawdzony, obrotowy system mopujący OZMO Turbo 2.0.

Nawigacja działająca w oparciu o systemy TrueMapping 2.0 oraz TrueDetect szybko i skutecznie mapuje pomieszczenia, precyzyjnie omijając pozostawione na podłodze kable czy buty. Zastosowane tu czujniki ultradźwiękowe pozwalają na identyfikację dywanów i automatyczne uniesienie mopów na wysokość 9 mm. Choć ten model nie został przystosowany do forsowania ekstremalnych 4-centymetrowych przeszkód, to wciąż bez większego problemu pokonuje standardowe progi o wysokości 20 mm.

Jego stacja OMNI to funkcjonalne centrum zarządzania. Urządzenie pobiera stałe nieczystości do worka i ładuje akumulator, ale też samodzielnie myje nakładki w gorącej wodzie (75°C) i suszy je powietrzem

o temperaturze 45°C. Bardzo dużym udogodnieniem codziennej eksploatacji jest tu system automatycznego dozowania środka czyszczącego w proporcji 200:1. Wystarczy raz zalać dedykowany zbiornik detergentem, by przez bardzo długi czas nie myśleć o konieczności ręcznego odmierzania płynu do podłóg.

Kierunek zmian na rynku

Analiza specyfikacji nowej linii urządzeń marki ECOVACS prowadzi do prostego wniosku: klasyczne odkurzanie i ręczne zmywanie podłóg przez domowników staje się coraz rzadszą koniecznością. Integracja głębokiego skanowania przestrzeni, systemów mycia i suszenia mopa w wysokich temperaturach oraz inżynieryjnych rozwiązań mechanicznych zapobiegających plątaniu się włosów sprawia, że jesteśmy w stanie sprowadzić nasz fizyczny udział w procesie sprzątania do absolutnego minimum. Decydując się na konkretny model z tej serii, inwestujemy w technologie odpowiadające na realne, irytujące domowe problemy. I właśnie w tym kierunku, moim zdaniem, zmierza dziś dojrzały rynek robotów sprzątających.

Materiał powstał przy współpracy z marką ECOVACS





PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Logitech Mobi Fold – mysz EDC

Gdybym miał wymienić rzeczy, które noszę ze sobą na co dzień, mysz z pewnością by się wśród nich nie znalazła. Logitech Mobi Fold może to jednak zmienić, bo nie dość, że świetnie uzupełnia laptopa, to znacznie poprawia też wydajność pracy na... smartfonie.

Od kilku lat korzystam mobilnie z Logitech MX Anywhere 3. To świetna, mała mysz, dająca szerokie możliwości konfiguracji i sporo dodatkowych przycisków. Mobi Fold nie jest dla niej bezpośrednią konkurencją, to zdecydowanie bardziej eksperymentalny produkt, stworzony z myślą o zajmowaniu minimum przestrzeni, nawet kosztem komfortu. Jego design przywodzi na myśl Microsoft Arc, równie nietypową, składaną myszkę, która jednak przyjmuje płaski kształt. Obudowę Mobi Fold pokryto przyjemną w dotyku gumą, przyciski są matowe i bezgłośne, rolkę zastąpiono dotykowym panelem, będącym jednocześnie dwoma dodatkowymi przyciskami. Gumowa powierzchnia lubi się niestety z kurzem i odciskami palców, co widać zwłaszcza na czarnej wersji. Po złożeniu Mobi Fold ma 21 mm grubości, całkiem wygodnie nosi się ją więc nie tylko w torbie, ale i w kieszeni. Waży przy tym 79 gramów, czyli tyle, co nic. Do przenoszenia można kupić też dedykowane etui, całkiem ładne, ale dodające objętości urządzeniu. Wiem, że składana konstrukcja może budzić obawy o jej wytrzymałość, mam jednak wrażenie, że w tym przypadku są one bezpodstawne. Zawias jest duży i dwuczłonowy, przez co materiał obudowy w żadnym miejscu zbyt mocno się nie zagina.





Do ładowania Mobi Fold wykorzystuje USB-C na dolnej krawędzi, a bateria wytrzymuje do miesiąca pracy. Choć nie rozładowałem jej do końca, uważam, że to osiągalny czas, po tygodniu używania jej po 8 godzin dziennie zużyłem 20% baterii. Do komunikacji wykorzystywany jest Bluetooth, ale można też użyć radiowego odbiornika Logi Bolt. W obudowie znalazło się nawet na niego miejsce, nie jest jednak dołączony do zestawu. Podobnie jak inne akcesoria Logitech, Mobi Fold skonfigurujemy w aplikacji Logi Options+. Choć mysz nie ma zbyt wielu elementów sterujących, możemy przypisać akcje do jej dwóch dodatkowych przycisków na skrajach pola dotykowego, a także zmienić prędkość i przyspieszenie wskaźnika oraz przewijania. Co więcej, da się to zrobić osobno dla każdej aplikacji, z jakiej korzystamy – niezmiennie uważam to za największy atut urządzeń Logitech. Mobi Fold wspiera funkcję Flow, pozwalającą przesuwać kursor pomiędzy ekranami różnych urządzeń, z którymi sparowana jest mysz. Działa to dobrze, choć zdarzają się opóźnienia pomiędzy dotarciem do krawędzi ekranu a przeniesieniem sterowania na kolejne urządzenie. Mysz może być sparowana z trzema sprzętami, przełączamy się między nimi za pomocą przycisku na spodzie. To kolejny element, który bardzo doceniam, korzystając z Mobi Fold z MacBookiem, Steam Deckiem oraz iPhone'em.

Po złożeniu Mobi Fold ma 21 mm grubości, całkiem wygodnie nosi się ją więc nie tylko w torbie, ale i w kieszeni.

Tak, iPhone i mysz to całkiem sensowna konfiguracja do okazjonalnej pracy, gdy nie mamy pod ręką pełnowymiarowego komputera albo chociaż tabletu z klawiaturą. Na mój podręczny zestaw składa się nie tylko Mobi Fold, ale też Keys to Go 2, również od Logitech, a także portfel Moft, pozwalający ustawić iPhone'a w poziomie oraz w pionie. Wszystko to jest ultralekkie i małe, przez co znajduje się w mojej torbie zawsze. Z racji tego, że korzystam z iPhone'a 17 Pro Max, aplikacje obsługują dwukolumnowy widok, który podczas takiej pracy sporo ułatwia, choć oczywiście nie zawsze. Aby mysz działała prawidłowo, w iPhonie włączam Assistive Touch, za jego pośrednictwem skonfigurowałem też dodatkowe przyciski myszy tak, by jeden cofał do poprzedniego ekranu (imitując gest), a drugi był odpowiednikiem Home. Jak to działa w praktyce? Zadziwiająco dobrze. Rozstawienie się z tym zestawem jest błyskawiczne i choć nie mam





oczywiście możliwości personalizacji klawiatury i myszy tak, jak w Logi Options+, to i tak mogę w ograniczonym stopniu skonfigurować sprzęt pod siebie. Najczęściej korzystam z niego do pisania tekstów w iA Writer, odpisywania na maile lub do robienia dłuższych notatek i wszędzie sprawdza się znakomicie. Owszem, praca na wciąż niewielkim ekranie smartfona nie oferuje podobnego komfortu co tablet, ale to znacznie wygodniejsze rozwiązanie, niż pisanie tego samego na klawiaturze telefonu.

Mobi Fold wyłącza się i włącza podczas składania i ani razu nie udało mi się przy tym wcisnąć przypadkiem przycisków. Są one blokowane, gdy tylko zawias urządzenia się poruszy. Nietypowo rozwiązane przewijanie sprawdza się, choć nie wszędzie. Wirtualne kółko ma inercję, przez co przesunięcie kursora w inny obszar tuż po przewinięciu powoduje, że przewijana jest treść z kolejnego okna. W przypadku fizycznego kółka tego problemu nie ma, bo widzimy, jak pracuje. Muszę też przyznać, że całodzienna praca z Mobi Fold nie jest tak wygodna, jak choćby z podobnej wielkości klasyczną myszką. Nietypowa konstrukcja i brak podparcia palców sprawia, że ręka układa się na niej mniej naturalnie. Może po dłuższym czasie udałoby mi się do niej przyzwyczaić na tyle, że 8-godzinna



praca nie sprawiałaby dyskomfortu, jednak podczas testowania jej przez tydzień nie odczułem żadnej różnicy pomiędzy pierwszym dniem a momentem, w którym piszę ten tekst.

Wypuszczając Mobi Fold, Logitech postąpił nieco wbrew sobie. Jak dotąd, firma mniej lub bardziej trzymała się konwencjonalnych produktów i w przypadku urządzeń wskazujących największą ekstrawagancją były myszy pionowe. Składana mysz to jednak coś zupełnie nowego w ich ofercie i według mnie to bardzo udany eksperyment. Owszem, ergonomia nie jest tak wysoka jak w przypadku tradycyjnych urządzeń, ale mobilność wynagradza ją z nawiązką.



Logitech Mobi Fold

- Design: 4/6
- Jakość wykonania: 5/6
- Oprogramowanie: 5,5/6
- Wydajność: 5/6

Plusy:
- błyskawiczna gotowość do pracy
- programowalne przyciski
- kompaktowe rozmiary

Minusy:
- nie tak wygodna jak klasyczna mysz

Cena: około 370 PLN





DOMINIK ŁADA
@dominiklada

Zens Charging Cable USB-C C Pro 3 – jeden kabel do ładowania całego ekosystemu Apple

Holenderska marka Zens wprowadziła do sprzedaży nietypowe akcesorium, które może zainteresować użytkowników urządzeń Apple. Charging Cable USB-C C Pro 3 to przewód, który oprócz klasycznego ładowania przez USB-C pozwala jednocześnie bezprzewodowo zasilać iPhone'a, AirPods lub iPada oraz Apple Watch.

Kabel, który zastępuje kilka akcesoriów

Nowy kabel został zaprojektowany z myślą o osobach podróżujących i pracujących mobilnie. W praktyce oznacza to, że do torby można zabrać jeden przewód zamiast kilku ładowarek i kabli.

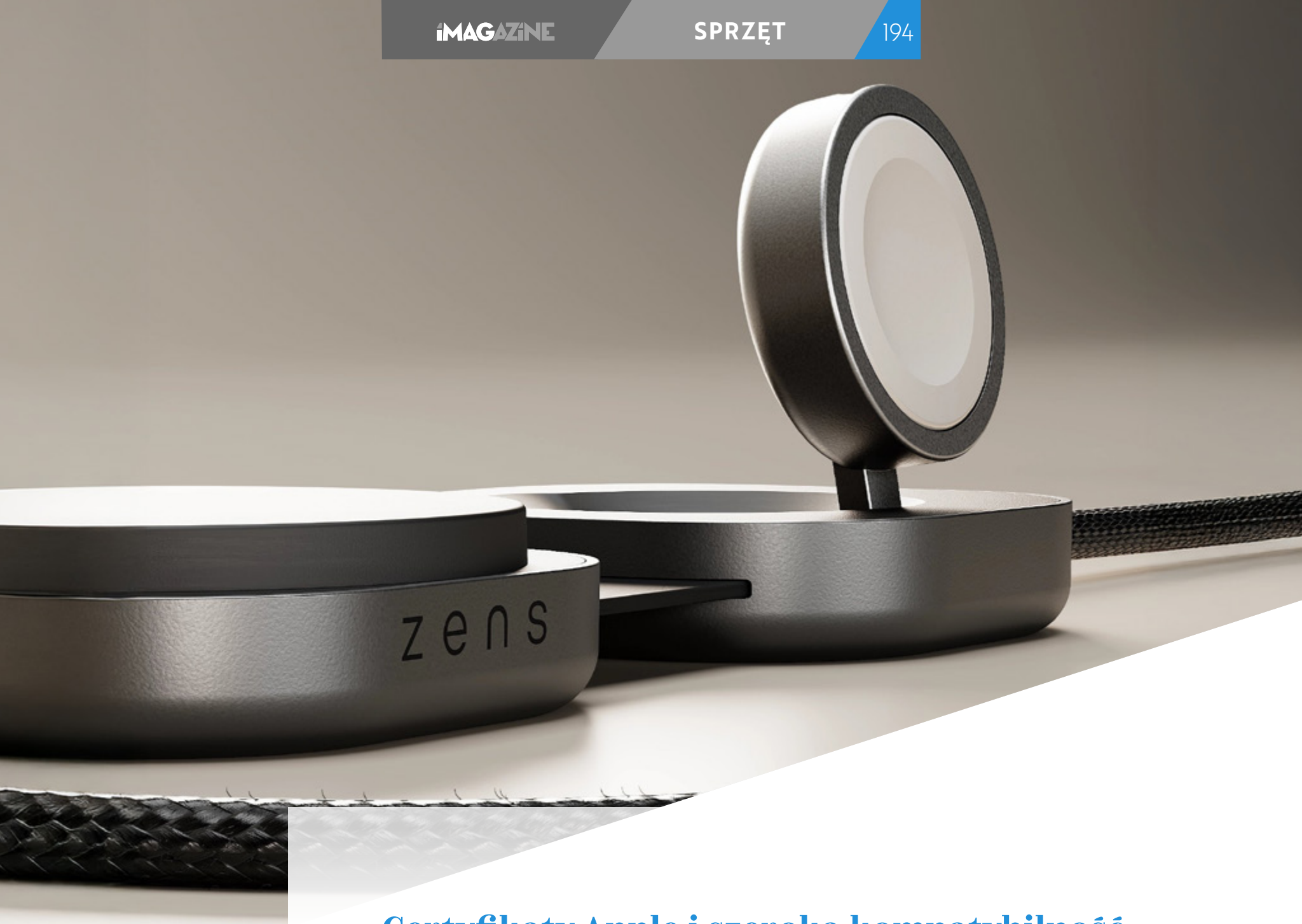
Główna część działa jak standardowy przewód USB-C do USB-C, obsługując zasilanie z mocą do 140 W Power Delivery. To wystarczy nawet do ładowania najbardziej wymagających modeli MacBooków, a jednocześnie pozwala zachować pełną funkcjonalność klasycznego kabla USB-C.

Wbudowane ładowanie iPhone'a i Apple Watcha

Najciekawszym elementem konstrukcji są dwa zintegrowane moduły ładowania bezprzewodowego. Pierwszy, zgodny ze standardem Qi2 i MagSafe, oferuje moc do 15 W dla iPhone'a lub słuchawek AirPods.

Drugi moduł przeznaczono dla Apple Watch i dostarcza do 5 W mocy. Dzięki temu podczas pracy przy biurku, w pociągu czy hotelowym pokoju można jednocześnie ładować laptopa, telefon i zegarek bez konieczności korzystania z dodatkowych akcesoriów.





Certyfikaty Apple i szeroka kompatybilność

Producent podkreśla, że rozwiązanie powstało we współpracy z Apple i posiada certyfikaty Qi2 oraz MFi. Kabel współpracuje z iPhone'ami od serii 12 wzwyż, wszystkimi modelami Apple Watch oraz AirPods obsługującymi ładowanie bezprzewodowe.

To sprawia, że akcesorium może pełnić rolę uniwersalnej ładowarki dla większości urządzeń należących do ekosystemu Apple.

Stworzony z myślą o podróżach

Całość wykonano z aluminium, a składana konstrukcja ma ułatwić transport. Sam przewód ma długość 1,5 metra, dzięki czemu sprawdzi się zarówno na biurku, jak i podczas podróży.

Do pełnego wykorzystania możliwości producent rekomenduje zasilacz USB-C o mocy co najmniej 65 W. W przypadku jednoczesnego ładowania wszystkich urządzeń najlepiej sprawdzi się jednak ładowarka oferująca od 100 do 140 W mocy.

Ciekawy pomysł dla użytkowników ekosystemu Apple

Pomysł Zens wpisuje się w rosnący trend upraszczania zestawów ładowania. Zamiast zabierać osobny przewód do MacBooka, ładowarkę MagSafe dla iPhone'a i ładowarkę do Apple Watcha, użytkownik może ograniczyć się do jednego akcesorium.

Dla osób funkcjonujących na co dzień w ekosystemie Apple Charging Cable USB-C C Pro 3 może okazać się jednym z bardziej praktycznych gadżetów ostatnich miesięcy. Szczególnie docenią go osoby często podróżujące, które chcą ograniczyć liczbę przewodów i ładowarek w swoim plecaku czy torbie.

Zens Charging Cable USB-C C Pro 3 kosztuje 469 zł. To sporo, ale jak dużo podróżujemy i każdy gram czy przedmiot, który niesiemy, się liczy, to warto.







DOMINIK ŁADA
@dominiklada

Anker Nano 45W Smart Display

– pierwsza ładowarka, która „zna" twojego iPhone'a

Anker zaprezentował nową ładowarkę Nano Charger (45 W, Smart Display), którą firma określa mianem pierwszej na świecie inteligentnej ładowarki z wyświetlaczem rozpoznającej podłączony iPhone. Niewielkie akcesorium ma nie tylko szybko ładować urządzenia Apple, ale również dbać o kondycję ich baterii dzięki analizie modelu urządzenia i dynamicznemu dostosowywaniu parametrów zasilania.

Ładowarka, która rozpoznaje iPhone'a

Nowy model potrafi automatycznie wykryć smartfony z serii iPhone 15, iPhone 16 oraz iPhone 17, a także wybrane modele iPadów Pro. Na podstawie rozpoznanego urządzenia ładowarka dostosowuje napięcie i natężenie prądu, aby zapewnić możliwie szybkie, ale jednocześnie bezpieczne ładowanie. Według Ankera rozwiązanie ma ograniczać generowanie nadmiernego ciepła, które jest jednym z czynników wpływających na degradację akumulatorów.

Producent zastosował także specjalny tryb Care Mode, certyfikowany przez TÜV. Można go aktywować podwójnym dotknięciem przycisku na obudowie. W tym trybie ładowarka celowo ogranicza temperaturę pracy i ładuje urządzenie w bardziej zachowawczy sposób, co ma szczególnie sprawdzić się podczas nocnego ładowania. Według danych Ankera temperatura baterii telefonu może być nawet o 5°C niższa niż podczas korzystania ze standardowych ładowarek 45 W.





Kolorowy wyświetlacz z informacjami o ładowaniu

Najbardziej charakterystycznym elementem nowej ładowarki jest niewielki kolorowy ekran umieszczony na froncie obudowy. Wyświetla on informacje o mocy ładowania, temperaturze, stanie pracy oraz aktywnym trybie ładowania. Producent przygotował ponad 20 różnych ekranów i animacji, które mają uatrakcyjnić codzienne korzystanie z akcesorium.

Wyświetlacz pokazuje również nazwę wykrytego urządzenia oraz podstawowe dane dotyczące procesu ładowania. Choć część recenzentów zwraca uwagę, że ekran może być bardziej ciekawostką niż funkcją niezbędną w codziennym użytkowaniu, stanowi on element wyróżniający produkt na tle konkurencji.

45 W mocy w bardzo kompaktowej obudowie

Mimo niewielkich rozmiarów ładowarka oferuje moc do 45 W przez pojedynczy port USB-C. Według producenta pozwala to naładować iPhone'a 17 Pro do 50 proc. w około 20 minut. Konstrukcja wykorzystuje technologię GaN, dzięki której udało się zmniejszyć rozmiary urządzenia o niemal połowę względem starszych konstrukcji tej klasy.

Cena i dostępność

Anker Nano Charger (45 W, Smart Display) trafiła już do sprzedaży w Polsce. Sugerowana cena wynosi 169 zł (teraz jest promocja i kosztuje 148 zł), a urządzenie dostępne jest w kilku wariantach kolorystycznych, w tym białym, czarnym, niebieskim i pomarańczowym.

Nowa ładowarka pokazuje, że nawet tak pozornie prosty produkt jak zasilacz USB-C może stać się polem do eksperymentów. Pytanie tylko, czy użytkownicy rzeczywiście potrzebują ekranu w ładowarce, czy jest to jedynie kolejny sposób na wyróżnienie się na coraz bardziej konkurencyjnym rynku akcesoriów mobilnych?





NAPOLEON BRYL
@napoleonbryl

Thule Shield 23L z InLock – czy tak wygląda przyszłość miejskich sakw rowerowych?

Rower już dawno przestał być wyłącznie sprzętem rekreacyjnym. Dla wielu osób stał się podstawowym środkiem transportu w mieście, co bardzo widać w Krakowie w ostatnim czasie. Do pracy, na spotkanie, po zakupy, na trening, a czasem nawet w podróż. Problem pozostaje jednak ten sam: jak wygodnie przewozić codzienny bagaż?

Przez lata dominowały klasyczne sakwy z hakami montowanymi bezpośrednio do torby. Dobrze sprawdzały się na rowerze, ale po zdjęciu z bagażnika często przypominały bardziej element wyposażenia wyprawowego niż codzienną torbę czy plecak. Thule postanowiło podejść do tego problemu inaczej, tworząc system InLock oraz rodzinę kompatybilnych produktów z serii Shield i Chasm.

Jednym z najbardziej interesujących produktów w tej kolekcji jest Thule Shield Backpack with InLock 23L – plecak, który błyskawicznie zamienia się w sakwę rowerową. Czekałem na egzemplarz testowy i doczekać się nie mogłem. Torba Thule Chasm sprawuje się fajnie, jednak jestem bardziej „plecakowy". <link>

InLock – prosty pomysł, który zmienia bardzo wiele

Największą innowacją nie jest sam plecak, ale sposób jego montażu. Tak jak wspominałem wcześniej przy okazji recenzji torby.

W klasycznych sakwach cały mechanizm mocowania znajduje się na torbie. Oznacza to wystające haki, sztywne elementy i konieczność pogodzenia funkcji torby z funkcją mocowania do roweru.





System InLock działa inaczej. Na bagażniku montowany jest specjalny panel, a torba lub plecak wsuwają się w niego i zatrzaskują jednym ruchem. Aby zdjąć bagaż, wystarczy pociągnąć za pasek zwalniający. Całość zajmuje dosłownie kilka sekund.

Dzięki takiej konstrukcji sam plecak pozostaje wolny od twardych elementów montażowych. To pozornie drobna zmiana, ale wystarczy wziąć produkt do ręki, aby zrozumieć różnicę. Zamiast sakwy udającej plecak otrzymujemy pełnoprawny plecak, który dodatkowo potrafi jeździć na rowerze. Dużą zaletą jest również uniwersalność systemu. Ten sam panel można wykorzystywać z różnymi torbami z rodziny InLock, zmieniając je zależnie od potrzeb danego dnia.

Pierwsze wrażenie – bardziej miejski plecak niż sakwa

Już po wyjęciu z opakowania widać, że projektanci nie chcieli stworzyć kolejnej technicznej sakwy. Thule Shield wygląda jak nowoczesny plecak miejski. Prosta forma, stonowana stylistyka i brak widocznych elementów mocujących sprawiają, że równie dobrze odnajdzie się w biurze czy w kawiarni.

Pojemność 23 litrów wydaje się dobrze dobranym kompromisem. To wystarczająco dużo miejsca na codzienne wyposażenie, ale nie na tyle dużo, aby plecak

sprawiał wrażenie przesadnie dużego podczas noszenia poza rowerem.

W środku znalazła się wyścielana przegroda na laptop, dzięki czemu Shield od początku projektowany był z myślą o osobach dojeżdżających do pracy czy na uczelnię. Na zewnątrz jedna zapianana na uszczelnioną ekspresową kieszeń i koniec. Żadnych przegródek, kieszonek, siateczek – minimalizm na zewnątrz i wewnątrz. Przyznam, że w pierwszym odruchu byłem troszkę rozczarowany i pomyślałem, że dodatkowe 2–3 kieszonki by się przydały. Po miesiącu używania przyznałem Thule rację. Minimalizm tu się bardzo dobrze sprawdza. Między innymi przez brak dodatków Thule Shield jest bardzo lekka. Chcesz kieszonek, Thule ma w ofercie plecako-sakwę Paramount Hybrid – też mam i używam.

Komfort poza rowerem

To właśnie tutaj widać największą przewagę nowego rozwiązania. W tradycyjnych sakwach konwertowanych na plecak często można odczuć system mocowania. Haki potrafią zahaczać o ubranie, usztywniać konstrukcję lub po prostu przeszkadzać podczas noszenia.

W przypadku Shielda takich problemów praktycznie nie ma. Producent zastosował konstrukcję pozbawioną metalowych elementów na tylnej części plecaka, jak i w całym systemie InLock, a szelki można schować do dedykowanej





kieszeni podczas jazdy. Po zdjęciu z bagażnika otrzymujemy wygodny plecak do codziennego użytkowania. To rozwiązanie szczególnie docenią osoby, które często przemieszczają się pomiędzy rowerem, komunikacją miejską i biurem.

Wodoodporność, czyli coś więcej niż marketing

Polska pogoda potrafi zaskoczyć nawet podczas krótkiego dojazdu do pracy. Dlatego jednym z kluczowych parametrów tego modelu jest odporność na wodę. Thule Shield oferuje ochronę na poziomie IPX4. Producent zastosował zgrzewane szwy, wodoodporne materiały oraz uszczelnione zamki błyskawiczne. W praktyce oznacza to skuteczną ochronę laptopa, dokumentów czy elektroniki przed deszczem i bryzgami wody spod kół. Przetestowałem podczas ostatnich burz w Krakowie. Zawartość sucha, czego nie można było powiedzieć o moich butach. Przydatnym dodatkiem jest także zewnętrzna kieszeń odporna na wodę, która pozwala szybko sięgnąć po telefon, portfel czy klucze bez konieczności otwierania głównej komory.

Cicha jazda ma znaczenie

To aspekt, na który rzadko zwraca się uwagę podczas zakupu sakwy. Wielu rowerzystów zna charakterystyczne stukanie i drgania pojawiające się podczas jazdy po nierównościach. Thule podkreśla, że miękkie połączenie systemu

InLock zostało zaprojektowane tak, aby ograniczyć hałas i ruch torby na bagażniku.

W teorii brzmi jak drobny detal. W codziennym użytkowaniu okazuje się jednak jedną z tych cech, które szybko zaczynamy doceniać i których później brakuje w innych rozwiązaniach.

Siła systemu – nie tylko jeden plecak

Kupując Shielda, w rzeczywistości kupujemy dostęp do całego ekosystemu produktów. Jednym z ciekawszych elementów jest Thule Chasm Cargo Bin 25L – składana torba transportowa przeznaczona do przewożenia większych zakupów czy codziennego ładunku. To produkt stworzony bardziej z myślą o funkcjonalności niż elegancji, ale właśnie dzięki temu może zastąpić klasyczny koszyk rowerowy. Też mam na testach i obciążona truskawkami oraz innym dobrem sprawuje się świetnie, a opcja spłaszczenia kiedy jej nie używamy jest bardzo wygodna, bo sama sakwa jest dość szeroka i trzeba o tym pamiętać podczas jazdy. Jeszcze ciekawiej prezentuje się Thule Chasm Cooler 21L, czyli torba termoizolacyjna. Jej izolacja pozwala utrzymywać lód nawet do 36 godzin, a szczelne wnętrze zabezpiecza przed wyciekami. To rozwiązanie, które może zainteresować zarówno osoby robiące większe zakupy spożywcze, jak i rodziny planujące letnie pikniki. Na razie były jedne testy i zasypana lekko lodem trzyma chłód. Więcej testów wkrótce – lato zapowiada się bardzo gorące.

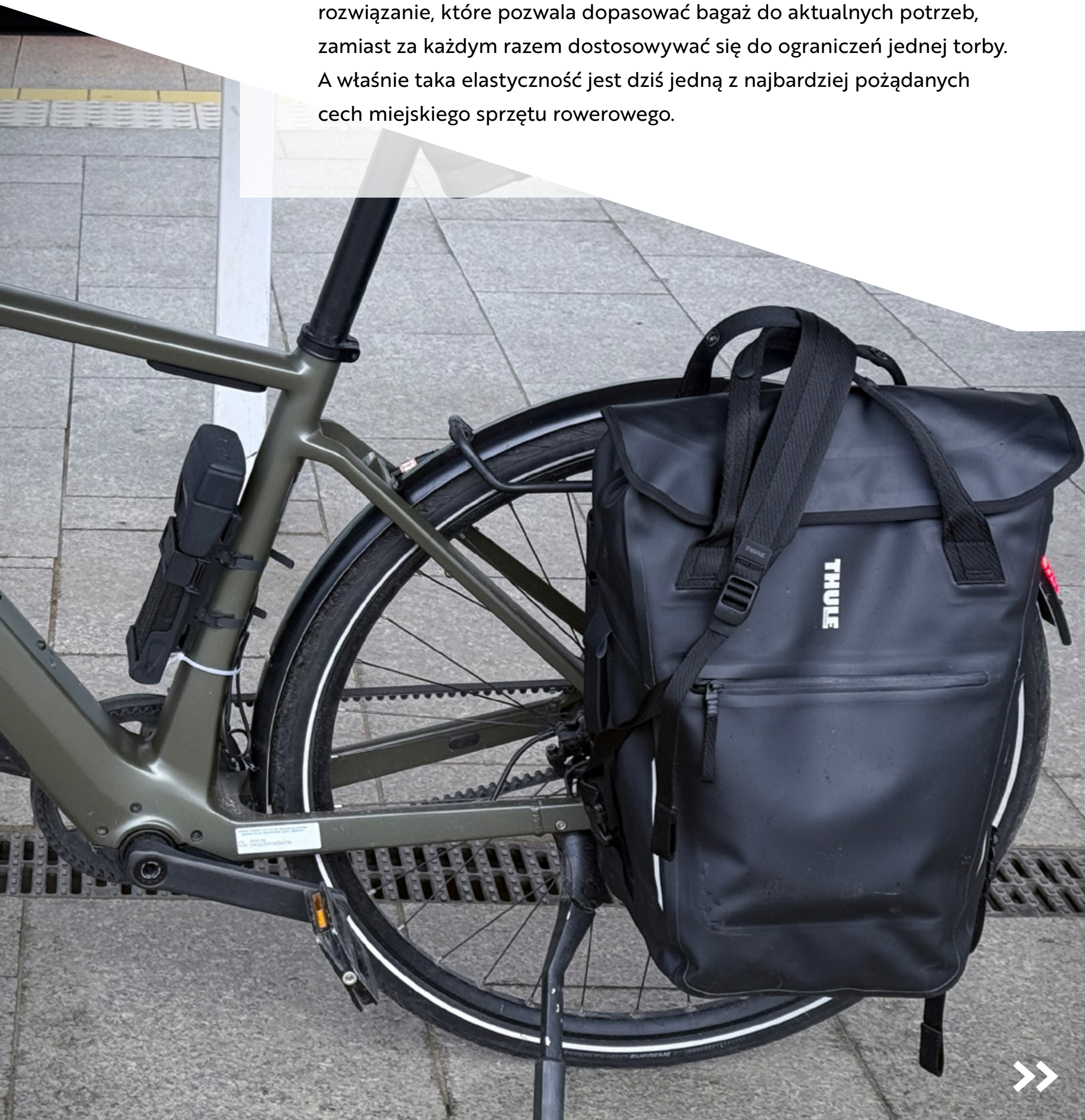
> Właśnie w tym tkwi największa siła InLock. Jednego dnia korzystamy z plecaka do pracy, drugiego – z pojemnej torby zakupowej, a trzeciego – z torby chłodzącej na weekendowy wyjazd. Wszystko wykorzystuje ten sam panel zamontowany na rowerze.

Właśnie w tym tkwi największa siła InLock. Jednego dnia korzystamy z plecaka do pracy, drugiego – z pojemnej torby zakupowej, a trzeciego – z torby chłodzącej na weekendowy wyjazd. Wszystko wykorzystuje ten sam panel zamontowany na rowerze.

Czy warto?

Thule Shield 23L z systemem InLock sprawia wrażenie produktu stworzonego przez ludzi, którzy faktycznie używają roweru w codziennym życiu. Nie próbuje być ekstremalną sakwą wyprawową ani ultralekkim plecakiem sportowym. Zamiast

tego skupia się na potrzebach miejskiego użytkownika. Wygodny system montażu, brak wystających haków, wysoka wodoodporność, miejsce na laptop i możliwość korzystania z całego ekosystemu akcesoriów sprawiają, że jest to jedno z najciekawszych rozwiązań dla osób regularnie przemieszczających się po mieście na dwóch kółkach. Największą zaletą nie jest nawet sam plecak, ale filozofia stojąca za systemem InLock. To rozwiązanie, które pozwala dopasować bagaż do aktualnych potrzeb, zamiast za każdym razem dostosowywać się do ograniczeń jednej torby. A właśnie taka elastyczność jest dziś jedną z najbardziej pożądanych cech miejskiego sprzętu rowerowego.





AGNIESZKA SERAFINOWICZ
@LifestyleAga

MOVA Aero C. Szanuje czas... i włosy

Kto z nas nie zna tego porannego pośpiechu? Zegarek tyka bezlitośnie, kawa stygnie, a my wciąż stoimy przed lustrem z mokrą głową, desperacko próbując okiełznać fryzurę przed wyjściem do pracy czy na ważne spotkanie. Chyba znalazłam na to sposób: MOVA Aero C. To coś więcej niż zwykła suszarka do włosów.

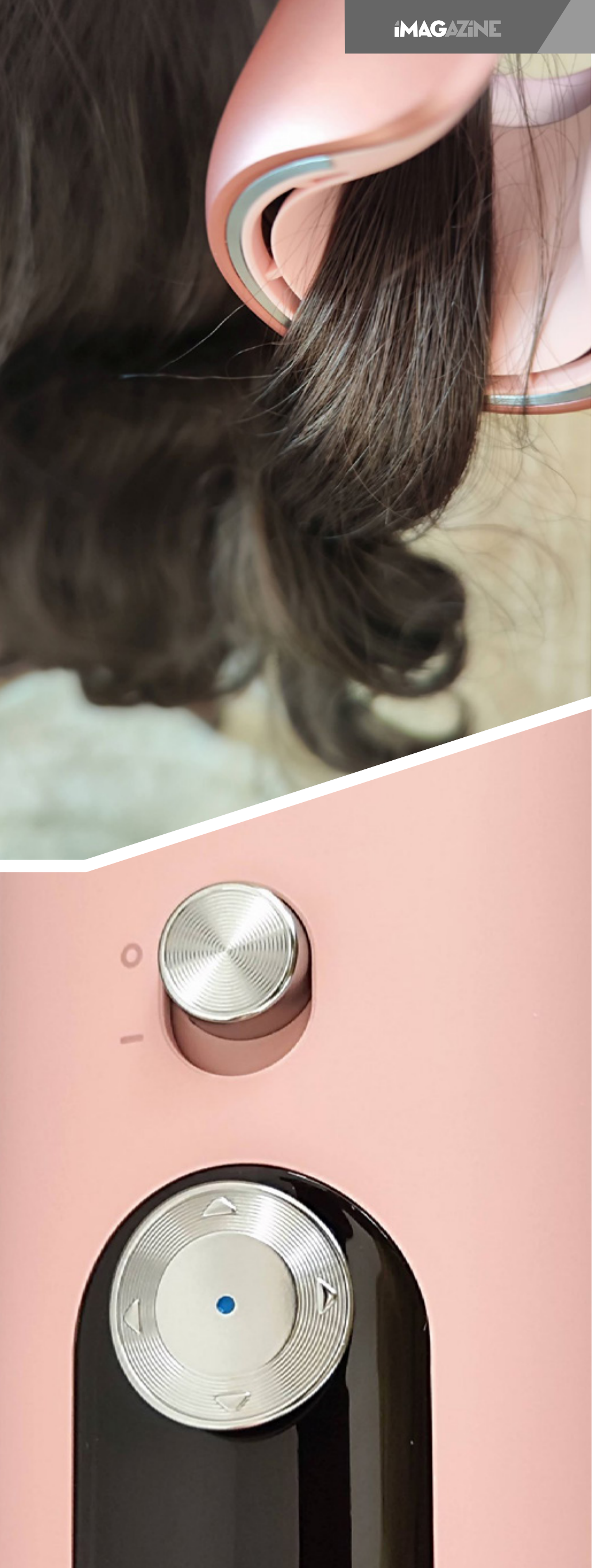
Suszenie włosów to dla wielu z nas po prostu codzienne zło konieczne – uciążliwa rutyna, która bezlitośnie zabiera cenne minuty. Przekonałam się jednak, że ten proces można skrócić do absolutnego minimum, a tradycyjne, ciężkie suszarki to nie jest już jedyna opcja.

Dokładnie to obiecuje nowość, która trafiła w moje dłonie – zaawansowana suszarka MOVA Aero C. Spędziłam z tym urządzeniem trochę czasu i powiem jedno: to technologiczny popis inżynierów, który skutecznie wywraca do góry nogami nasze dotychczasowe nawyki i sprawia, że do codziennego suszenia włosów zaczynamy podchodzić zupełnie inaczej.

Konstrukcja, która zrywa z tradycją

Pierwsze, co uderza po wyjęciu MOVA Aero C z eleganckiego opakowania (dygresja: produkt jest świetnie, bardzo „prezentowo" zapakowany, nie żebym coś sugerowała panom...), to jej niezwykle oryginalna budowa. Projektanci całkowicie porzucili klasyczną formę długiej, niezbyt poręcznej tuby, do której przyzwyczaiły nas tradycyjne marki. Zamiast tego otrzymujemy unikalną konstrukcję z otwartą komorą GlossFlow w kształcie litery „C".





Nie jest to jedynie designerski kaprys czy próba wyróżnienia się na sklepowej półce za wszelką cenę. Taki kształt ma głębokie uzasadnienie aerodynamiczne. Autorska technologia C-Shape DualForce Cyclone wykorzystuje podwójny wlot powietrza, co pozwala na generowanie szerokiego, trójwymiarowego strumienia. W praktyce pasmo włosów wprowadzane bezpośrednio w środek komory jest błyskawicznie otulane i suszone z każdej strony jednocześnie. Zapomnijcie o machaniu suszarką nad głową – tutaj fizyka i przemyślany projekt robią całą robotę za nas.

Na smukłej, bardzo dobrze wyważonej rączce urządzenia znalazło się miejsce na dotykowo-wizualny panel sterowania z czytelnym wyświetlaczem LED. Do zarządzania ustawieniami służy genialny, 4-kierunkowy przełącznik Clickstick. Wystarczy lekki ruch kciukiem w lewo lub w prawo, aby dostosować temperaturę, a wychylenie w górę lub w dół płynnie zmienia siłę nawiewu. Wszystko działa bez najmniejszych opóźnień, a sam interfejs jest tak intuicyjny, że nie musimy nawet zerkać do instrukcji obsługi, by w pełni kontrolować urządzenie.

Potężna moc w cichej oprawie

Sercem MOVA Aero C jest bezszczotkowy silnik rozpędzający się do imponującej prędkości aż 110 000 obrotów na minutę. Ta potężna jednostka o mocy 1800 W pozwala zwiększyć przepływ powietrza



do imponujących 68 m³/h. Dla porównania: standardowe, domowe suszarki rzadko przekraczają 40-50 m³/h. MOVA Aero C wkracza tu w rewiry mocy zarezerwowane dotychczas dla ciężkiego, profesjonalnego sprzętu z salonów fryzjerskich. Przekłada się to bezpośrednio na rewelacyjne skrócenie czasu pracy. Producent deklaruje, że w optymalnych warunkach suszenie może zająć zaledwie około 40 sekund. Oczywiście w przypadku gęstych czy bardzo długich włosów ten czas się wydłuży, niemniej w codziennym użytkowaniu różnica w szybkości działania jest wyraźnie odczuwalna, co natychmiast doceni każdy wiecznie spóźniony użytkownik. Naprawdę byłam bardzo mile zaskoczona jak szybko moje włosy zostały wysuszone. To na pewno będzie jedna z pierwszych zalet dostrzeżona przez innych. Nie chodzi o stoper, bo każde włosy są inne, ale fakt: jest szybciej. Znacznie szybciej.

Zazwyczaj tak ogromna siła nawiewu kojarzy się z hałasem przypominającym startujący samolot. Inżynierowie MOVA wykazali się jednak ogromnym kunsztem, redukując poziom głośności do wartości ≤57 dB, a jednocześnie ten imponujący strumień powietrza absolutnie nie urywa głowy, wręcz z zaskoczeniem przyjęłam jego łagodność. Zastosowane technologie wygłuszające sprawiają, że dźwięk silnika jest miękki, niski i nie męczy uszu. To zaleta nie tylko dla osoby używającej urządzenia, ale i dla reszty

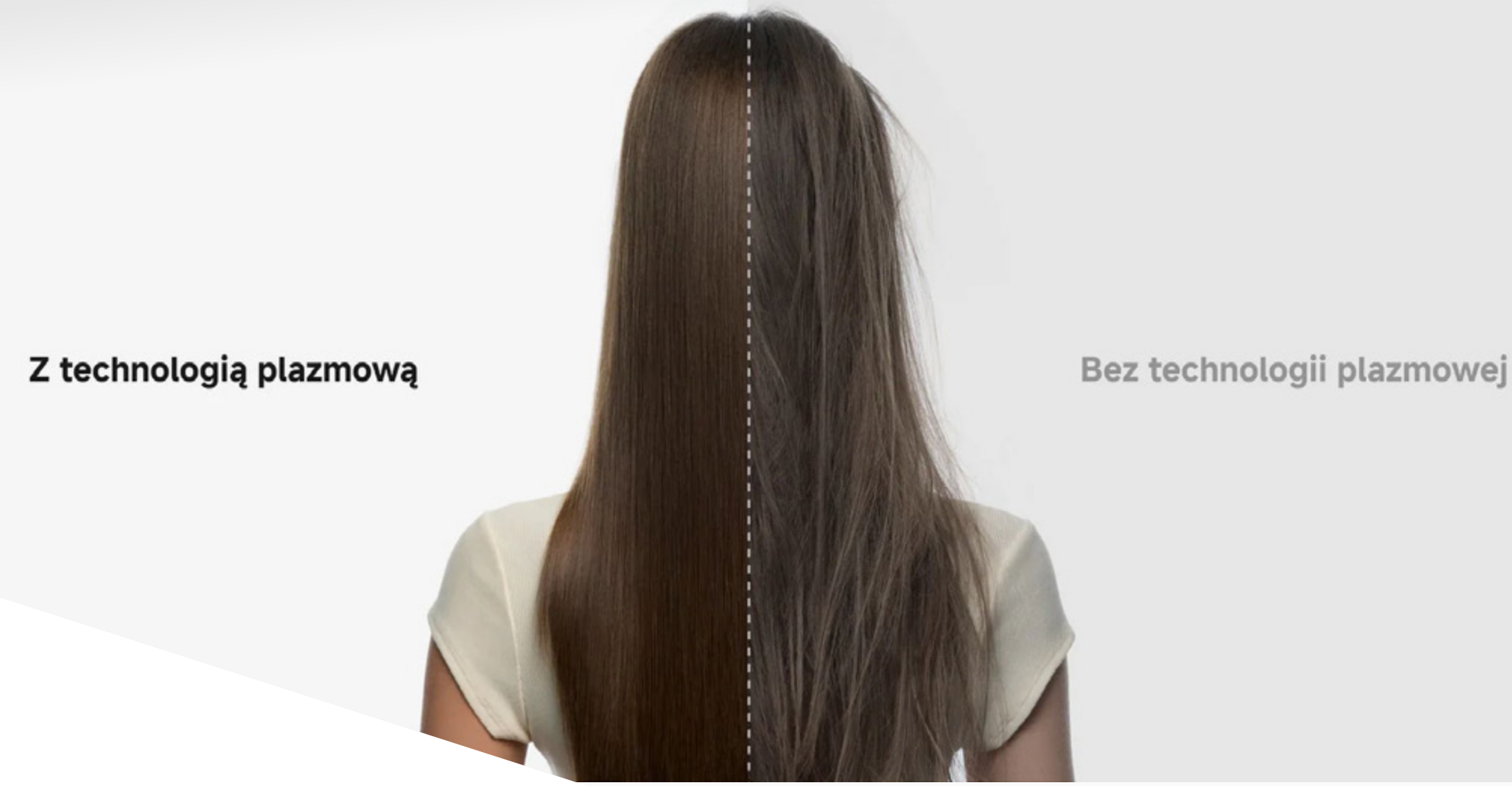
domowników, którzy wciąż smacznie śpią podczas porannych przygotowań. Kolejny duży plus.

Inteligentna ochrona i plazmowy blask

Rozmawiając z profesjonalnymi fryzjerami o idealnym sprzęcie do salonu, zawsze słyszę te same wymagania: niska waga, ogromna prędkość i bezwzględne bezpieczeństwo dla struktury włosa. Wysoka temperatura to przecież największy wróg zdrowej fryzury. MOVA Aero C podchodzi do tego tematu z naukową precyzją.

Urządzenie wyposażono w zaawansowany system podwójnych czujników NTC (z ang. negative temperature coefficient, chodzi o termistory o ujemnym współczynniku temperaturowym), które monitorują temperaturę powietrza z niewiarygodną częstotliwością aż 2000 razy na sekundę. Skąd potrzeba aż tak gęstego próbkowania? Celem jest zniwelowanie bezwładności termicznej. Kiedy suszymy włosy, nieustannie ruszamy dłonią i głową, dynamicznie przybliżając i oddalając dyszę. Przy tak potężnym wyrzucie powietrza, nawet ułamek sekundy z urządzeniem przytrzymanym tuż przy





skórze mógłby oznaczać bolesny skok gorąca, albo uszkodzenie włosów. Tutaj mikroprocesor reaguje na zmiany odległości w czasie rzeczywistym, błyskawicznie modulując moc grzałki, zanim w ogóle zdążymy to odczuć. Algorytm dba o to, by strumień ciepła stale utrzymywał się poniżej bezpiecznej granicy 55°C. Dzięki temu ryzyko przesuszenia, zmatowienia czy bezpowrotnego uszkodzenia struktury włosa zostało zminimalizowane.

Kolejnym kluczowym elementem dbania o kondycję fryzury jest technologia pielęgnacji plazmowej 360°. Emitowane jony ujemne i dodatnie skutecznie domykają łuski włosa na całej powierzchni komory. Rezultat? Bardzo skuteczne ograniczenie problemu puszenia się i uciążliwego elektryzowania pod wpływem ubrań. Bądźmy jednak ze sobą szczerzy – jeśli nasze pasma są skrajnie zniszczone wieloletnimi, agresywnymi zabiegami chemicznymi, żadna suszarka nie dokona cudownego uzdrowienia w kilkadziesiąt sekund. Jeśli jednak włosy są w miarę zadbane, MOVA Aero C wyciągnie z nich spektakularną gładkość i przepiękny, zdrowy, naturalny połysk.

Przemyślane tryby i końcówki dla każdego

Do dyspozycji otrzymujemy zestaw pięciu inteligentnych trybów pracy, które idealnie dopasowano do zróżnicowanych potrzeb:







- Fast dry – maksymalna moc i prędkość dla ekspresowego osuszenia,
- Warm care – optymalne, delikatne ciepło do codziennego użytku,
- Scalp care – obniżona temperatura stworzona z myślą o wrażliwej skórze głowy,
- Thermo cycle – inteligentna, naprzemienna cyrkulacja ciepłego i chłodnego powietrza, która zapobiega przegrzaniu,
- Custom – tryb spersonalizowany, w którym sami decydujemy o parametrach.

Dla osób lubiących eksperymentować ze stylem, producent dorzucił do zestawu trzy magnetyczne, niezwykle łatwe w montażu końcówki stylizacyjne. Mamy tu klasyczny koncentrator do precyzyjnego wygładzania pasm, dyfuzor, który świetnie wydobywa naturalny skręt loków oraz innowacyjną szczotkę wygładzającą QuickSmooth, działającą niczym szybki prostownik.

Na koniec muszę wspomnieć o funkcji, która podczas testów skradła moje serce – automatycznym trybie czuwania. Kiedy podczas stylizacji potrzebujecie na chwilę odłożyć urządzenie na blat czy fotel, by wydzielić kolejne pasmo lub sięgnąć po spinkę, suszarka automatycznie to wykrywa. Silnik natychmiast się wycisza i przechodzi w stan uśpienia. Wystarczy podnieść ją z powrotem, by od razu, bez klikania jakichkolwiek przycisków, wróciła

do przerwanej pracy. To genialne ułatwienie, do którego człowiek przyzwyczaja się od pierwszego użycia.

Werdykt

MOVA Aero C to bezwzględnie produkt z wyższej rynkowej półki, który bez kompleksów rzuca wyzwanie najdroższym, kultowym konkurentom w klasie premium. Zachwyca nie tylko odważnym, gustownym wzornictwem z komorą w kształcie litery „C", ale przede wszystkim rewelacyjnymi parametrami. Potężny, a jednocześnie zaskakująco łagodny przepływ powietrza, wzorowa ochrona termiczna włosów, cicha praca i plazmowa pielęgnacja tworzą spójną całość. Jeśli szukacie urządzenia, które realnie zaoszczędzi wasz czas, a przy tym pomoże zadbać o kondycję włosów, ta inwestycja zwróci się wam z nawiązką podczas każdego poranka.

MOVA Aero C do 30 czerwca jest dostępna z 19% rabatem (sugerowana cena katalogowa 799 zł).





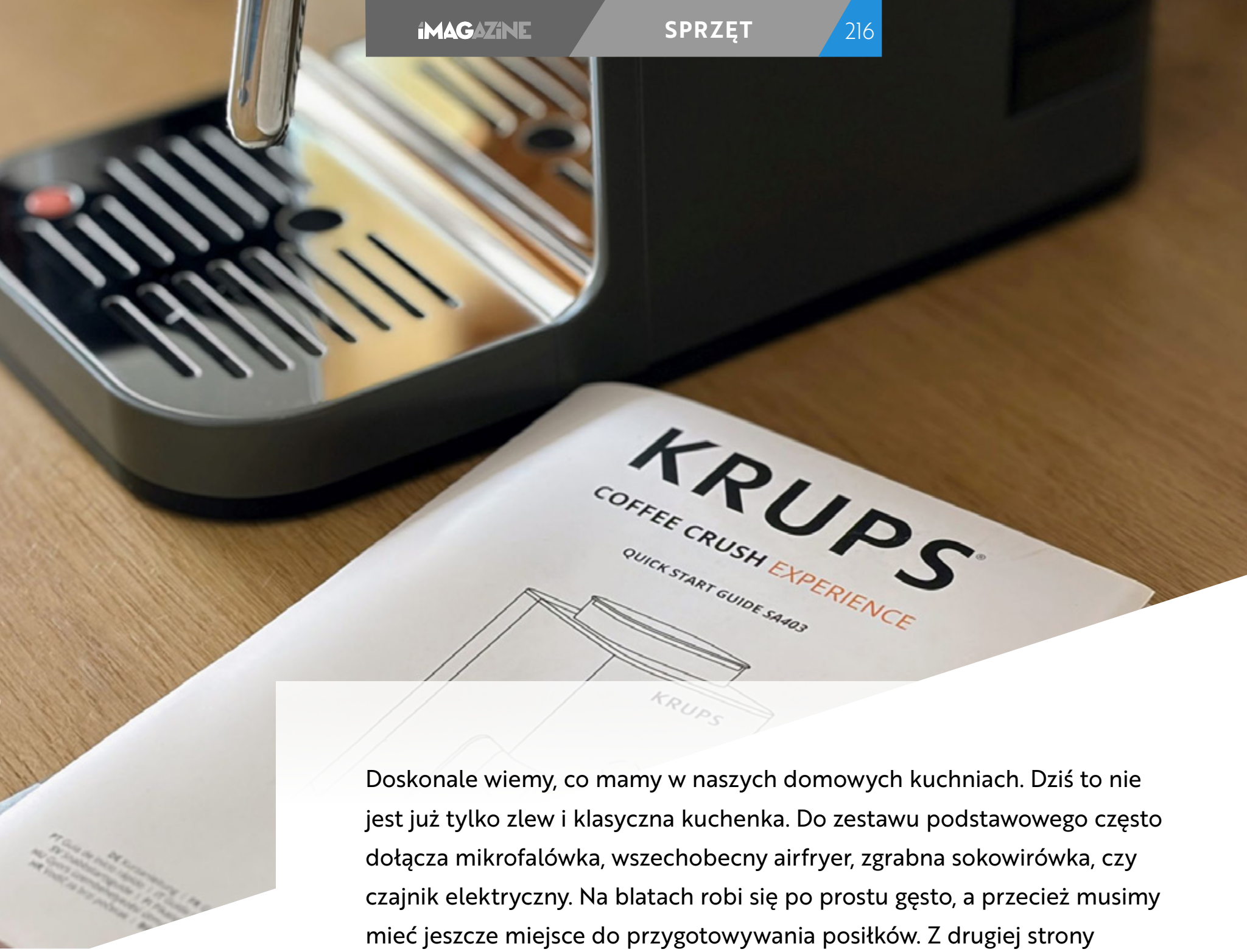


AGNIESZKA SERAFINOWICZ
@LifestyleAga

Krups Coffee Crush

Kawiarnia na piętnastu centymetrach

Poranny rytuał. Zapach świeżo zmielonych ziaren, cichy szum nagrzewającego się bojlera i ten pierwszy, gorący łyk, który ustawia cały dzień. Problem w tym, że dla wielu z nas ten codzienny luksus ma swoją wysoką cenę – i wcale nie chodzi tu o pieniądze. Chodzi o przestrzeń.



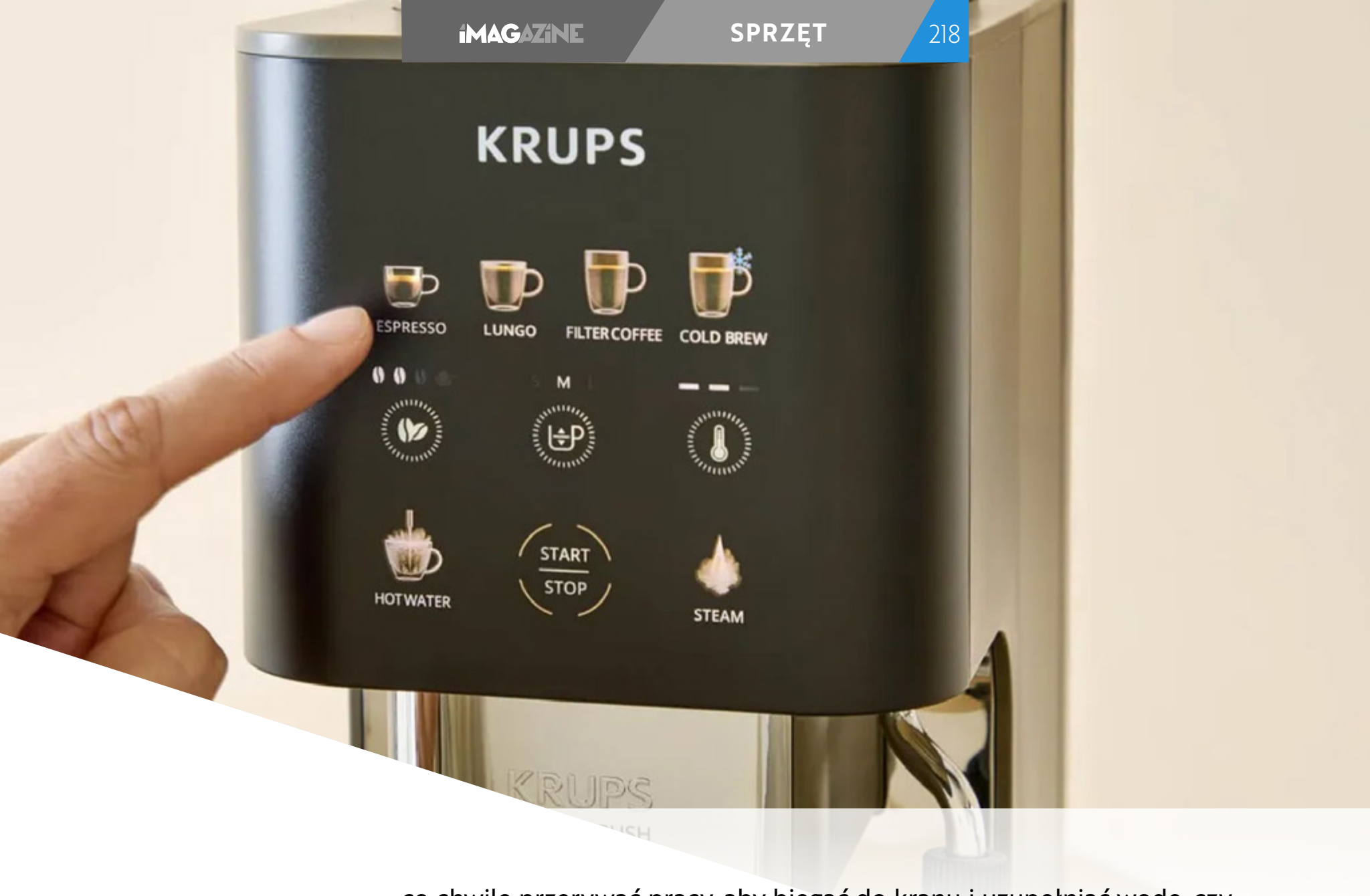
Doskonale wiemy, co mamy w naszych domowych kuchniach. Dziś to nie jest już tylko zlew i klasyczna kuchenka. Do zestawu podstawowego często dołącza mikrofalówka, wszechobecny airfryer, zgrabna sokowirówka, czy czajnik elektryczny. Na blatach robi się po prostu gęsto, a przecież musimy mieć jeszcze miejsce do przygotowywania posiłków. Z drugiej strony – kawę lubię. Wy z pewnością też, skoro czytacie te słowa.

Tymczasem rynek sprzętu AGD postawił nas przed trudnym wyborem. Tradycyjne ekspresy automatyczne potrafią zdominować połowę dostępnego kuchennego blatu. W nowoczesnych, minimalistycznych wnętrzach, gdzie każdy centymetr kwadratowy powierzchni roboczej ma znaczenie, wielka bryła kombajnu kawowego po prostu psuje estetykę przestrzeni (nawet nie ujmując niczego stylowi samego urządzenia) lub po prostu, zwyczajnie, nigdzie się nie mieści. Z kolei alternatywa w postaci klasycznych ekspresów kolbowych to zupełnie inna bajka. Tego typu urządzenia wymagają osobnego młynka, wiedzy baristycznej, odpowiedniego ubijania w kolbie i przede wszystkim czasu, którego rano zazwyczaj po prostu nie mamy. I tutaj na scenę wkracza Krups Coffee Crush. Urządzenie, które właśnie miałam okazję dokładnie przetestować, i które w dobitny sposób udowadnia, że świetna kawa absolutnie nie potrzebuje hektarów roboczej powierzchni ani dodatkowych roboczogodzin.

Piętnaście centymetrów, które zmienia zasady gry w kuchni

Największe wrażenie robią na mnie jednak gabaryty tego konkretnego urządzenia. Piętnaście centymetrów. Tyle szerokości ma ten sprzęt w rzeczywistości, co jest wartością niemal absurdalnie małą, jak na sprzęt ciśnieniowy z wbudowanym młynkiem. Dla uzmysłowienia sobie tej skali: wiele współczesnych smartfonów ma taką właśnie długość. W efekcie postawienie go na blacie nie wymaga niemal żadnych logistycznych kompromisów ze strony użytkownika. Nie muszę nagle chować wspomnianej sokowirówki czy nerwowo przesuwać mikrofalówki tam, gdzie mi to wizualnie zupełnie nie pasuje.

Ekspres Krupsa zmieści się w najmniejszej wnęce, na wąskiej wyspie kuchennej, a nawet na skrawku blatu w domowym biurze, co dla osób pracujących zdalnie może okazać się przysłowiowym strzałem w dziesiątkę. Co niezwykle istotne w kontekście codziennej wygody użytkowania: mimo tak radykalnego, wręcz ekstremalnego odchudzenia obudowy, inżynierom udało się zmieścić w środku zbiornik na wodę o imponującej pojemności 1,8 litra oraz zintegrowany pojemnik na 150 gramów ziaren kawy. To nie jest sprzęt, który zmusza cię do ciągłej obsługi. Nie musisz



co chwilę przerywać pracy, aby biegać do kranu i uzupełniać wodę, czy gorączkowo dosypywać zapas kawy. Pojemności te w zupełności wystarczają na obsługę kilkuosobowej rodziny bez poczucia, że staliśmy się niewolnikami maszyny.

Matowy panel sterujący. Koniec z koszmarem odcisków palców

Zatrzymajmy się na moment przy samym designie i ergonomii. Wszyscy wiemy, jak projektuje się dzisiaj lwią część elektroniki konsumenckiej. Producenci uwielbiają błyszczące plastiki, wszechobecne wykończenie typu „piano black" i lustrzane powierzchnie. W katalogu to wygląda obłędnie. W kuchni – staje się koszmarem. Wystarczy raz dotknąć takiego panelu, by zostawić na nim tłuste ślady, odciski palców, a po kilku dniach osiada na nim kurz wymieszany z mikroskopijnymi drobinkami kuchennego tłuszczu. Myje się to... ciężko. Kto wie, ten wie.

Tymczasem w modelu Krups Coffee Crush zastosowano rozwiązanie genialne w swej prostocie. Elegancki, dotykowy panel sterujący jest matowy. Dzięki takiemu wykończeniu powierzchni, nawet po zaparzeniu kilku, czy kilkunastu kaw z rzędu, ekspres wciąż wygląda jak nietknięty. Nie



musisz po każdym przygotowaniu napoju nerwowo szukać ściereczki z mikrofibry, by polerować front urządzenia. Na matowych panelach po prostu nie widać tej masy odcisków palców, która na błyszczących powierzchniach doprowadza pedantów do szewskiej pasji. Sam interfejs jest przy tym niezwykle responsywny i czytelny. Nie ma tu typowego ekranu LCD, lecz coś, co wygląda jakby eleganckie piktogramy wyłaniały się z czarnego, matowego panelu ekspresu. Do czytelności interfejsu nie mam żadnych uwag. Zaprojektowano go na tyle intuicyjnie, że obsługa urządzenia – mimo jego zaawansowania – pozostaje banalnie prosta.

Złoty środek pomiędzy pełnym automatem a wymagającą kolbą

To nie jest po prostu kolejny mały ekspres. To intrygująca hybryda, która bierze to, co najlepsze z dwóch zupełnie różnych światów. Z jednej strony mamy tu bezkompromisową wygodę klasycznego automatu. Stalowy młynek jest zintegrowany wewnątrz niezwykle smukłej obudowy. Wsypujesz ulubione ziarna, klikasz odpowiednią, czytelną ikonę na dotykowym panelu, a woda pod optymalnym ciśnieniem 15 barów przepływa przez świeżo zmieloną kawę, wydobywając z niej całą esencję i budując odpowiedni profil smakowy. Z drugiej jednak strony, urządzenie sprytnie zostawia ci tę odrobinę fizycznej, rzemieślniczej satysfakcji, charakterystycznej dla ekspresów kolbowych.

Minimalizm formy w żadnym wypadku nie oznacza tu jednak jakichkolwiek ograniczeń w smaku czy możliwościach personalizacji. Zintegrowany, dotykowy panel pozwala na bardzo precyzyjne ustawienie parametrów parzonego napoju. Użytkownik ma do dyspozycji trzy stopnie mocy, trzy poziomy temperatury i dość swobodną regulację wielkości samej kawy, co daje pełną kontrolę nad ostatecznym rezultatem lądującym w filiżance.

Precyzja mielenia i cicha praca

Ekspres ten daje też bezpośredni wpływ na grubość zmielonej kawy. Do dyspozycji użytkownika oddano tu pięciostopniową regulację młynka. To niezwykle istotny, acz często niestety pomijany przez wielu użytkowników aspekt parzenia. Wielu konsumentów po prostu poprzestaje na ustawieniach domyślnych, wyjętych prosto z fabryki. Tymczasem fizyka ekstrakcji kawy jest nieubłagana, a stopień zmielenia ma absolutnie kluczowe znaczenie. Wyjaśniam dlaczego.

Wolisz mocne, smoliste, gęste espresso na błyskawiczne poranne przebudzenie? Ustawiasz drobniejsze mielenie na pokrętle zlokalizowanym





w zbiorniku ziaren. Woda będzie miała trudniejszą drogę do pokonania, przez co wypłucze z drobin więcej ciężkich, intensywnych olejków. Preferujesz popołudniowe, łagodne americano do dłuższej lektury? Wystarczy kilka kliknięć w stronę grubszego przemiału, by woda przepłynęła szybciej, dając czystszy, lżejszy napar. Warto przy tym zaznaczyć, że pomimo kompaktowych wymiarów, kultura pracy młynka stoi na bardzo wysokim poziomie – urządzenie charakteryzuje się cichą pracą. Nie ma obaw, że mielenie porannej kawy obudzi śpiące w sąsiednim pokoju dzieci.

A jeśli późnym wieczorem masz ochotę na kawę bez kofeiny, urządzenie posiada dedykowaną komorę. Możesz do niej wsypać kawę już zmieloną, co eliminuje konieczność karkołomnego, irytującego opróżniania głównego młynka z ziaren kofeinowych. Jeżeli w ogóle preferujesz życie bez kofeiny, stosujesz po prostu ulubione ziarna typu Decaf w głównym zbiorniku.

Pojemność filiżanki a sprawa polska. Co z wielkimi kubkami?

Czas na odrobinę praktyki baristycznej. Jedyne, do czego potencjalnie mógłby się przyczepić sceptyk uwielbiający pić kawę w gigantycznych naczyniach, to fakt, że maksymalny zakres pojemności ekstrakcji w tym ekspresie może wydawać się dla niego za mały. Wiele osób w naszym kraju ma nawyk

picia „polskiego americano", czyli potężnego, półlitrowego kubka z gorącym naparem. Puryści z Włoch pewnie w tym momencie łapali by się za głowy, ale my tu robimy różną kawę, taką, jaką lubimy, a nie taką, jak każą w Mediolanie.

Brak przycisku robiącego od razu 400 ml kawy to jednak żaden problem. Akurat to ograniczenie wynika z czystej fizyki – przepuszczenie tak wielkiej ilości wody przez pojedynczą pastylkę kawy skutkowałoby przeparzeniem naparu i wydobyciem gorzkich, cierpkich garbników. Jak to łatwo rozwiązać? Jeśli zależy ci na potężnym kubku porannej energii, po prostu podstaw pod wylewkę swój ulubiony wielki kubek i zrób do niego dwie niezależne kawy z rzędu. Otrzymasz napar o pełnej głębi i odpowiedniej mocy. Alternatywnie – i to jest metoda rekomendowana przez profesjonalistów – zaparz w kubku pojedynczą, mocną kawę (czy wręcz podwójne espresso), a następnie po prostu uzupełnij naczynie wrzątkiem, który również z łatwością pobierzesz z ekspresu. Taki zabieg zachowa pełnię smaku, ocali bardzo





ładną cremę (piankę powstającą podczas parzenia espresso) i zapobiegnie niepożądanej goryczy.

Dysza parowa, piękna crema i banalnie prosta konserwacja

A co z fanami mlecznych specjałów? Ekspres Krupsa nie ma automatycznego modułu do napojów mlecznych. W pierwszej chwili uważałam to za wadę (lubię kawy mleczne), ale po dłuższym czasie spędzonym z Coffee Crush uważam to wręcz za zaletę. Gdy zechcesz napić się aksamitnego cappuccino lub trójwarstwowego latte macchiato, samemu spieniasz mleko za pomocą klasycznej dyszy parowej. To ty masz pełną kontrolę nad ostateczną temperaturą i teksturą mlecznej pianki, co zresztą docenią fani latte art. Szybkie spienianie mleka działa w tym modelu fenomenalnie sprawnie. Ciśnienie jest odpowiednie, by w kilkanaście sekund uzyskać gładką, piankę mleczną pozbawioną ogromnych, nieestetycznych bąbli powietrza. Podczas samego parzenia espresso maszyna generuje bardzo ładną cremę, co świadczy o stabilnym ciśnieniu i dobrym sparowaniu młynka z systemem grzewczym.

Tutaj muszę jednak poruszyć niezwykle ważną kwestię praktyczną dotyczącą dbałości o dyszę parową. Umówmy się – mleko

zaschnięte wewnątrz dyszy lub na jej zewnętrznym płaszczu to prawdziwa masakra. Proteiny zawarte w mleku pod wpływem wysokiej temperatury ścinają się niczym cement, blokując mikrootwory dyszy i stając się doskonałą pożywką dla bakterii. Zautomatyzowane systemy z rurkami bywają pod tym względem koszmarem do wyczyszczenia. Tutaj? Problem właściwie nie istnieje, o ile zastosujemy absolutnie podstawową higienę pracy.

Można uniknąć wszelkich problemów bardzo prosto: wystarczy uruchomić wyrzut pary przez kilka sekund bezpośrednio po spienieniu mleka, już bez zanurzania dyszy w czymkolwiek (choć warto podstawić czysty kubek, by nie musieć wycierać blatu obok ekspresu). Ten krótki strzał pary skutecznie wydmucha resztki mleka z samego kanału parowego. Następnie wystarczy przetrzeć dyszę wilgotną ściereczką. Co więcej, samo gruntowne czyszczenie, które powinniśmy przeprowadzać co kilka dni, też jest banalnie proste. Końcówkę dyszy bardzo łatwo się zdejmuje, wystarczy ją opłukać pod bieżącą wodą. Konstruktorzy pomyśleli nawet o tym, by jej ponowny montaż był w stu procentach „idiotoodporny" – po prostu nie da się jej wadliwie założyć z powrotem. Efekt? Nie tylko masz kontrolę nad ilością i teksturą pianki mlecznej, ale jeszcze na dodatek utrzymanie tego w czystości jest tu dużo prostsze niż w przypadku wyrafinowanych i „w pełni zautomatyzowanych" systemów mlecznych w większych ekspresach.

Błyskawiczne usuwanie fusów i czystość na co dzień

Pozostając w temacie czystości i codziennej eksploatacji, muszę wspomnieć o kapitalnie rozwiązanym systemie pozbywania się odpadków. W tradycyjnych kolbach wymaga to mocnego uderzania portafiltrem o specjalny odbijak (tzw. knock-box), co bywa głośne i brudzące. W Krups Coffee Crush ten problem wyeliminowano.

Po zaparzeniu kawy po prostu wysuwasz specjalną, zintegrowaną szufladkę, odwracasz ją płynnym ruchem o 180 stopni i wyrzucasz idealnie uformowany, zbity krążek kawowych fusów bezpośrednio do śmieci. Działa to czysto, szybko, ale jednocześnie pozostawia to przyjemne, rzemieślnicze poczucie, że faktycznie tę kawę przygotowałeś własnoręcznie, mając wpływ na cały proces, a nie tylko biernie odebrałeś gotowy kubek z rąk bezdusznego automatu. Dzięki temu zyskujemy całą magię rytuału, absolutnie nie tracąc cennego czasu i nowoczesnej wygody.

Codzienny rytuał bez wyrzeczeń

Krups Coffee Crush, wyceniony standardowo w sklepach na 1499 złotych (choć często można go spotkać w promocjach za 1199 złotych – zdecydowanie warto na nie polować), to niezwykle przemyślana i dojrzała propozycja dla każdego domowego kawosza. Ten sprzęt nie próbuje rywalizować z wielkimi, w pełni zautomatyzowanymi kombajnami, naszpikowanymi ekranami, rurkami i wężykami do mleka, które obiecują, że zrobią wszystko za nas, a potem wymagają godzin czyszczenia.

To maszyna dedykowana dla kogoś, kto ceni sobie czysty, dopracowany design, kto nie chce oddawać cennego miejsca na blatach w swojej kuchni, ale jednocześnie szczerze lubi cały ten sensoryczny rytuał parzenia kawy. Płacimy tu za naprawdę wybitną, inteligentną miniaturyzację, błyskawiczną gotowość do pracy natychmiast po włączeniu (dzięki zaawansowanemu systemowi grzewczemu Thermoblock) i, co najważniejsze, za pełną wolność wyboru parametrów naparu. To urządzenie, które daje realną, kawiarnianą jakość w domowym zaciszu, genialnie prostą obsługę, matową estetykę odporną na czas i dotyk, nie zapominając przy tym, że nowoczesna kuchnia to przede wszystkim bezpieczna przestrzeń do życia i relaksu, a nie zagracone zaplecze zagonionego baristy.







PAWEŁ OKOPIEŃ
@paweloko

Haier idzie mocniej w telewizory

Haier – światowy potentat AGD, marka kojarzona z lodówkami, klimatyzacjami na poważnie wchodzi na rynek telewizorów w Polsce. Marka inwestuje w marketing, w fenomenalne partnerstwo audio, a także rozpoczyna montaż wybranych modeli w Polsce. To dobry zwiastun na przyszłość.



Marki z Państwa Środka w elektronice użytkowej radzą sobie coraz śmielej i lepiej, przejmując kolejne kategorie produktowe. Sytuacja na rynku telewizorów dobitnie to pokazuje – dawni liderzy albo znaleźli się w tarapatach, albo wręcz nawiązali partnerstwa z dużymi graczami. Rynek telewizorów sam w sobie jest obecnie w dużym kryzysie związanym przede wszystkim z tym, że żywotność telewizorów została wydłużona, w okresie pandemii był wyjątkowy popyt, a kryzys demograficzny w Europie i sytuacja na rynku mieszkaniowym w Polsce sprawiła, że obecnie to zapotrzebowanie na telewizory wyraźnie się skurczyło. Oznacza to, że zamiast ponad 2 milionów sztuk, nad Wisłą sprzedaje się 1,5 miliona sztuk. A chętnych do ugryzienia tego kawałka tortu jest więcej. I jednym z nich staje się Haier.

Marka, która do tej pory miała się dobrze w AGD, poszerza swój asortyment. W przeszłości Haier sprzedawał już telewizory na rynku europejskim, jednak ta ekspozycja i komunikacja była dość ograniczona. Aktualna strategia wydaje się strzałem w długoterminowy rozwój tego segmentu. A jak to będzie wyglądać w przyszłości, okaże się, na razie mamy całkiem niezłe konkrety. Podczas premiery w telegraficznym skrócie przedstawiono cały tegoroczny line-up składający się wyłącznie z telewizorów QLED, w tym tych podświetlanych diodami Mini LED. Podstawowa seria S80 to ekrany 43-,55-,65-,75- i 85-calowe. Już teraz w sklepach można nabyć

wariant 75-calowy za 2999 zł, a najmniejszy przedstawiciel kosztuje 1599 zł. Warto jednak uważać na to, co jest w sklepowych opisach, bo mimo upłynniania do 120 Hz, rzeczywista natywna matryca 4K ma 60 Hz odświeżanie, dopiero od modelu S90 Haier oferuje 144 Hz matryce.

Co ważne, także od modelu S90 i w modelach Mini LED M90, M92 i M96 znajdziemy nagłośnienie sygnowane przez KEF. Markę, którą nasi czytelnicy pasjonujący się rynkiem audio z pewnością znają. Jest to co do zasady klasa audiofilska, więc wdrożenie audio, pod którym podpisuje się KEF, jest istotnym atutem Haiera. I nawet na krótkiej demonstracji to nagłośnienie było naprawdę ciekawe jak na telewizory, które co do zasady mają walczyć o klienta ceną i skutecznym marketingiem.

Zresztą przedstawiciele Haiera dość jasno na prezentacji przedstawili to, jak wygląda konstrukcja ich telewizorów. Jest to „składak" i świetnie, że





zostało to przedstawione i nie ma tu jakichś wyszukanych bon motów i mówienia o innowacyjnej inżynierii i własnych niezwykłych algorytmach AI. Firma sięga po sprawdzone matryce od BOE i CSOT, procesory Mediatek będące rynkowym standardem, czy lubiany i powszechnie wspierany system Google TV. Sama opracowuje płyty główne, których wykonanie zleca partnerom i oczywiście opracowuje resztę softu. Co więcej, montaż wybranych modeli od tego roku odbywać się będzie w Polsce, prawdopodobnie w dwóch fabrykach, z czego jedna jest pod Wrocławiem. To znów nie jest fabryka Haiera, a zakontraktowanej firmy partnerskiej. I tak uważam, że w tej szczerej komunikacji jest bardzo fair podejście do użytkownika, który jest świadomy i szuka informacji o sprzęcie.

Haier trafia na rynek z telewizorami w popularnych rozmiarach lub rozmiarach z rosnącą popularnością (75 cali i więcej, nawet 115 na koniec roku) z wykorzystaniem sprawdzonych komponentów i rozwiązań technologicznych (Google TV, Dolby Atmos, Dolby Vision) i do tego dodaje jeszcze smaczek w postaci systemu audio sygnowanego KEF.

Po drugiej stronie tego równania jest zaproszenie na premierę nie tylko



szerokiego grona mediów liefestyle'owych, ale też ambasadorów marki, którzy będą pojawiać się też w komunikacji tych nowych urządzeń – to Krzysztof Hołowczyc, Kuba Wojewódzki oraz Krzysztof Zalewski. Intensywny marketing, dostępność w popularnych sieciach handlowych oraz wyważona cena dają firmie szansę na ugryzienie kawałka tego tortu.

Osobiście nie należę do grupy docelowej telewizorów Haier, natomiast jako recenzent i osoba śledząca rynek ekranów od dwóch dekad z zainteresowaniem przyglądać się będę dalszym losom tych telewizorów. I myślę, że świadomy wybór ekranów Haier dla wielu będzie zadawalającym zakupem.





DARIUSZ HAŁAS
@blob_tech

Maserati MCPURA Duch w maszynie

W czasach, gdy supersamochody coraz częściej projektuje się pod dyktando norm emisji i efektywności, Maserati przypomina, że motoryzacja wciąż może być emocjonalna. MCPURA to ewolucja modelu MC20 i czysty wyraz energii Trójzębu, łączący sportowy radykalizm z innowacyjną technologią.



Nagroda, która mówi wszystko

W styczniu 2026 roku, z miażdżącym wynikiem 50 procent oddanych głosów, czytelnicy prestiżowego magazynu „Quattroruote” przyznali temu modelowi nagrodę specjalną w kategorii Dream Car.

W plebiscycie organizowanym nieprzerwanie od 2000 roku, taki triumf – oparty na bezpośrednich głosach oddawanych przez stronę internetową oraz relacje na Instagramie – to jasny sygnał: MCPURA pokazuje, że idealnie trafia w gusta motoryzacyjnych purystów. Co ciekawsze, nie chodzi wyłącznie o emocje – te potrafi wzbudzić wiele aut sportowych – lecz o dopracowaną inżynierię, która budzi po prostu czysty, naukowy szacunek.



Ewolucja zjawiska, czyli fizyka według Modeny

Kampania premierowa nowego supersamochodu odnosiła się do słynnego wzoru Alberta Einsteina, lekko go modyfikując: E = MC PURA. Ta retoryczna hiperbola świetnie trafia w punkt, utożsamiając auto z energią wyrażoną w jej najczystszej postaci. W praktyce model ten jest ewolucją legendarnego halo cara MC20, który w 2020 roku zapoczątkował nową erę stylistyczną marki. MCPURA rozwija tę ikonę, doprowadzając ją do formy jeszcze doskonalszej, zachowując przy tym jej serce – silnik Nettuno.

Wszystko zaczyna się i kończy w sercu historycznego zakładu przy Viale Ciro Menotti w Modenie, gdzie produkowane są najważniejsze arcydzieła marki. Ten



supersamochód realizuje ideę w stu procentach „made in Modena" – od rozwoju projektu, przez produkcję, aż po finalne malowanie na nowej linii lakierniczej. To pojazd całkowicie wyprodukowany we Włoszech, stanowiący bardzo włoskie połączenie rzemiosła, designu i zaawansowanej inżynierii. Patrząc na MCPURA jedno muszę przyznać. Włosi mają gust, rozumieją czym jest motoryzacyjne piękno.

Rzeźba utkana z wiatru i włókna węglowego

Przyglądając się linii nadwozia z bliska, trudno nie odnieść wrażenia, że projekt przeszedł istotne zmiany, które wpłynęły zarówno na nowe proporcje, jak i na wykończenie całej dolnej części samochodu. Aby osiągnąć aerodynamiczną perfekcję, inżynierowie spędzili ponad 2000 roboczogodzin w tunelu aerodynamicznym i przeprowadzili przeszło 1000 symulacji CFD (Computational Fluid Dynamics, czyli obliczeniowa mechanika płynów), ściśle współpracując z legendarną firmą Dallara. Bryłę podzielono na dwie strefy. Część górna zdominowana jest przez design, w którym naturalnie zintegrowane rozwiązania aerodynamiczne pozwalają zachować czystą formę. Wloty na masce oraz boczne kanały zasilające silnik zintegrowano tak subtelnie, że z niektórych perspektyw niemal znikają. Dolna partia pojazdu to z kolei surowa, podporządkowana technice fizyka.

Przód i tył uległy modyfikacjom, a charakterystyczny „shark nose", wywodzący się z jednomiejscowych wyścigówek budujących legendę Maserati, został jeszcze mocniej zaakcentowany. Dolna część nadwozia została całkowicie przeprojektowana pod kątem efektywności aerodynamicznej podwozia. Zastosowano w niej wykończenie Piano Black, obok wstawek z włókna węglowego, co potęguje odbicia światła i akcentuje linie aerodynamiczne. Prawdziwym majstersztykiem pozostają jednak unoszone do góry drzwi typu Butterfly. To rozwiązanie nie tylko daje świetny efekt wizualny, ułatwiając zarazem wsiadanie, ale po otwarciu idealnie eksponuje karbonowy kokpit i elementy aerodynamiki. Sam karbonowy monokok jest produkowany przez włoską firmę TTA Adler. Wybór tego podwykonawcy nie jest przypadkowy – to eksperci, którzy na co dzień dostarczają zaawansowane struktury z włókna węglowego dla luksusowych śmigłowców (Agusta Westland) oraz wspierają swoimi kompozytami wyścigowy zespół Ferrari Hypercar. Od początku projektowano go zarówno pod kątem wersji coupé, jak i cabrio. Architektura jest wspólna, ale różni się precyzyjnym rozmieszczeniem włókien i warstw karbonu: w coupé nacisk położono na lekkość i osiągi, natomiast w cabrio włókna ułożono tak, by zapewnić większą sztywność skrętną ze względu na brak stałego dachu.



Silnik Nettuno: serce bijące w rytmie Formuły 1

Osiągi MCPURA to zasługa ikonicznego silnika Nettuno, o którym szczegółowo opowiadałem wam w poprzednim wydaniu iMagazine 06/2026 – innowacyjnego, 3,0-litrowego V6 biturbo o kącie rozwarcia 90 stopni, wyposażonego w suchą miskę olejową. To w pełni autorska konstrukcja Maserati, generująca 630 KM przy 7500 obr./min oraz potężne 730 Nm momentu obrotowego, rozłożone na szerokim płaskowyżu od 3000 do 5500 obr./min. Przekłada się to na imponujące 210 KM z litra pojemności. Jednak to, co decyduje o unikalności Nettuno, to system spalania z komorą wstępną i podwójną świecą zapłonową – to technologia wywodząca się wprost z Formuły 1, po raz pierwszy zastosowana w jednostce napędzającej seryjny samochód drogowy.



Współpraca tego silnika z lekką strukturą pozwala pojazdowi (ważącemu zaledwie 1475 kg w wariancie zamkniętym) zaoferować najlepszy w klasie stosunek masy do mocy wynoszący zaledwie 2,33 kg/KM. Efekt? Katapultowanie się od 0 do 100 km/h trwa tu poniżej 2,9 sekundy, a na zamkniętym obiekcie wskazówka prędkościomierza może minąć wartość 325 km/h. Za wytracanie tej prędkości odpowiada układ potrafiący zatrzymać wóz ze 100 km/h na dystansie krótszym niż 33 metry. Komentarz jest tu zbędny, te liczby mówią same za siebie.

Cielo: niebo na wyciągnięcie ręki

Dla tych, którzy preferują doznania z otwartą przestrzenią, od początku projektowano model MCPURA Cielo. Zastosowano tu unikalne w tym segmencie rozwiązanie: chowany szklany dach elektrochromatyczny.

Dzięki technologii PDLC (Polymer Dispersed Liquid Crystal) wystarczy dotknąć centralnego ekranu, aby przezroczysta tafla w ułamku sekundy stała się całkowicie matowa. Mechanizm działa błyskawicznie – czas jego otwierania i zamykania to tylko 12 sekund. Co więcej, chowany dach został rygorystycznie zaprojektowany do pracy w temperaturach od -30°C do +85°C i wyróżnia się fenomenalną izolacją termiczną.

Kokpit skupiony na człowieku

Po zajęciu miejsca w kabinie wchodzimy do świata zorientowanego na sportową ekskluzywność. Nie ma mowy o torowej surowości wnętrza. Królową kokpitu zrobiono Alcantarę. Pokrywa ona fotele, panele drzwiowe, deskę rozdzielczą oraz elementy nowej kierownicy. To materiał doceniany w motoryzacji wyczynowej – lżejszy od skóry, wysoce odporny na zużycie, temperaturę i promieniowanie UV. Gwarantuje rewelacyjną przyczepność, poprawiając kontrolę i ograniczając przesuwanie się ciała w ciasnych zakrętach.

Tunel środkowy uwolniono ze zbędnych przycisków. W jego centrum znajduje się mechaniczny selektor trybów jazdy, inspirowany zegarkami klasy premium. Charakterystyczny detal w kolorze Maserati blue przypomina o prestiżu towarzyszącym kontaktowi z marką. Selektor pozwala błyskawicznie wybierać pomiędzy pięcioma trybami: Wet, GT, Sport, Corsa oraz ESC Off. W środku umieszczono również przycisk regulacji ugięcia amortyzatorów, pozwalający zachować agresywny tryb pracy napędu, ale zmiękczyć zawieszenie na mniej równych drogach. Stanowisko dowodzenia to dwa ekrany o przekątnej 10,25 cala, spięte przez bazujący na systemie





Android Automotive szybki interfejs MIA (Maserati Intelligent Assistant). Ekran centralny zyskał specjalną powłokę antyrefleksyjną, a fani najwyższej jakości brzmienia docenią możliwość streamingu TIDAL HiFi poprzez opcjonalny system audio Sonus faber, wsparty wzmacniaczem klasy D Dual DSP o mocy 695 W.

Sztuka wyboru i rzemiosło Fuoriserie

Paleta barw MCPURA to ukłon w stronę włoskiego designu. Światowa premiera tego modelu w Goodwood zapisze się w pamięci dzięki wyjątkowemu lakierowi Al Aqua Rainbow. To specyficzny odcień błękitu oparty na wodnych tonach, który pod wpływem słońca i za sprawą wyszukanych pigmentów tworzy zjawiskowy efekt tęczy. W regularnej ofercie znalazło się 10 kolorów. Szczególną uwagę zwraca Devil Orange – odcień inspirowany Marią Teresą De Filippis, pierwszą kobietą



w Formule 1 jeżdżącą za kierownicą Maserati 250F, którą nazywano pieszczotliwie „la diavolessa". Dla najbardziej wymagających klientów stworzono program Maserati Fuoriserie, który udostępnia ponad 30 kolorów (w tym wielowarstwowe i matowe) oraz pozwala na realizację całkowicie unikatowych projektów typu one-off. Tu nie ma kompromisów.

Więcej niż samochód

Zakup Maserati to jednak coś więcej niż sam samochód. Wraz z autem klienci otrzymują dostęp do programu Master Maserati Driving Experiences, gdzie na torach wyścigowych pod okiem profesjonalistów można przetestować limity własne i maszyny, a przede wszystkim zdobyć nowe umiejętności, które pozwolą lepiej wykorzystać posiadany wóz. Klienci mogą również zdecydować się na Factory Delivery – osobisty odbiór auta wprost z fabryki w Modenie, połączony z uroczystym odsłonięciem wozu, zwiedzaniem linii montażowej i powitaniem przez zarząd marki. Jak podsumowuje Santo Ficili, COO Maserati: „To wyróżnienie od znawców motoryzacji ma dla nas szczególne znaczenie (...). To dzięki pracy kobiet i mężczyzn z historycznej fabryki w Modenie Maserati pozostaje symbolem doskonałości Made in Italy na całym świecie". W przypadku MCPURA najciekawszą historię opowiadają nie slogany, lecz rozwiązania techniczne. Zaawansowana inżynieria potrafi obronić się sama, gwarantując najczystszą, motoryzacyjną fascynację na lata.

Materiał powstał przy współpracy z marką Maserati







DARIUSZ HAŁAS
@blob_tech

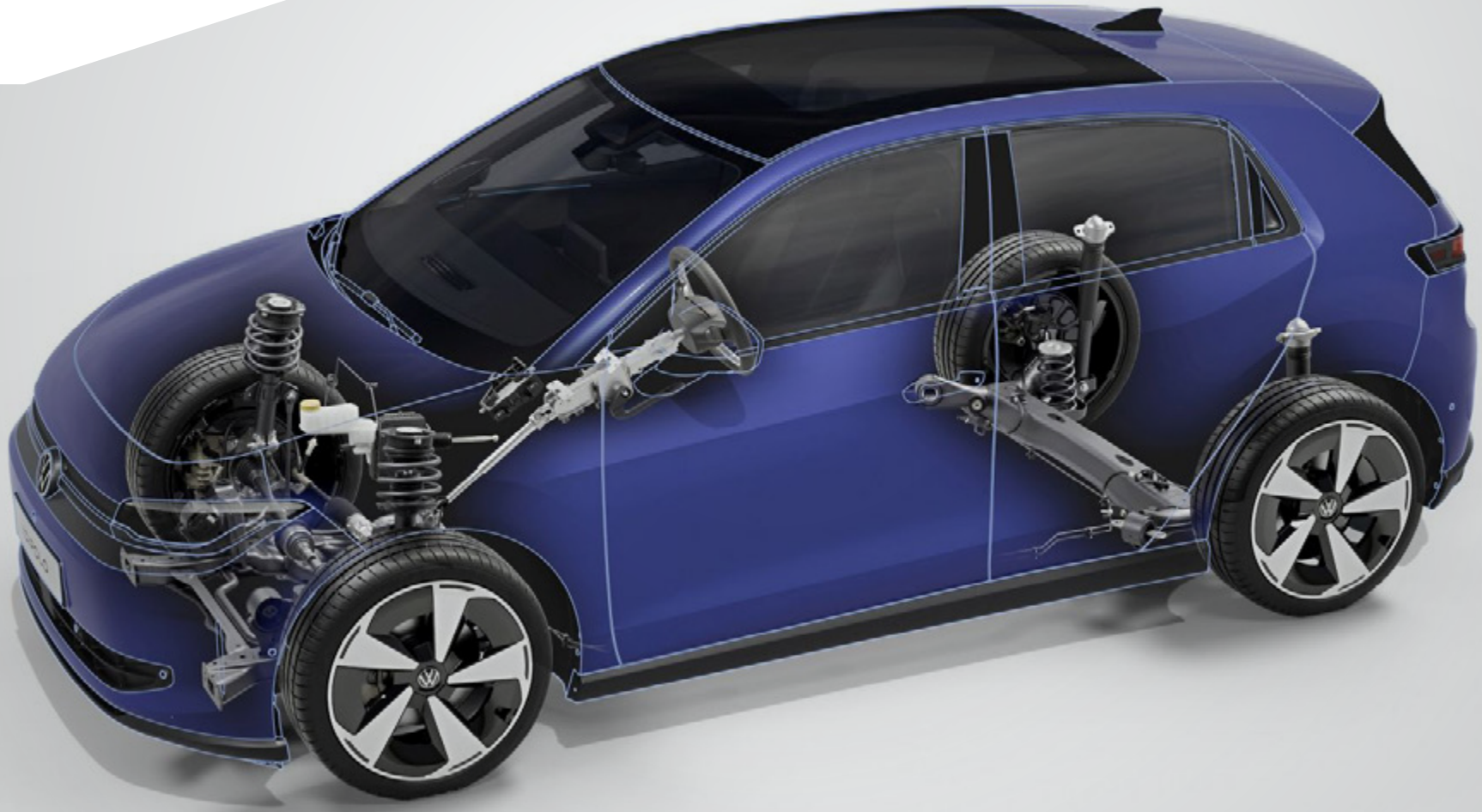
Volkswagen ID. Polo
Anatomia rewolucji na platformie MEB+

Polo to instytucja. Od debiutu w 1975 roku wyprodukowano ponad 20 milionów egzemplarzy tego modelu, co czyni go jednym z absolutnych fundamentów europejskiej motoryzacji. Wprowadzenie tak zasłużonej nazwy w erę pełnej elektromobilności to dla Volkswagena operacja na otwartym sercu. Śmiem twierdzić, że udana.

Spędziłem wiele godzin na analizie licznych danych technicznych nowego ID. Polo. Wnioski? Widać wyraźnie, że inżynierowie z Wolfsburga nie poszli na skróty. Zamiast adaptować stare rozwiązania, przebudowali platformę MEB, tworząc jej nową ewolucję: MEB+. To właśnie na niej opiera się konstrukcja, która ma zdefiniować na nowo miejską i kompaktową mobilność. Jak zatem wygląda ta nowa definicja w szczegółach?

Architektura przednionapędowa: fizyka i bezwzględna walka o litry

Aby zrozumieć skalę zmian, musimy na chwilę cofnąć się do dotychczasowych modeli z rodziny ID, takich jak ID.3 czy ID.4. Oparte na pierwotnej wersji platformy MEB, wykorzystywały one architekturę tylnonapędową. Silnik z tyłu to fantastyczne rozwiązanie dla trakcji i zwrotności (brak przegubów napędowych z przodu pozwala na ogromny kąt skrętu kół), jednak w segmencie aut miejskich, gdzie każdy centymetr ma znaczenie, ten układ generuje potężny problem: zjada przestrzeń bagażową.





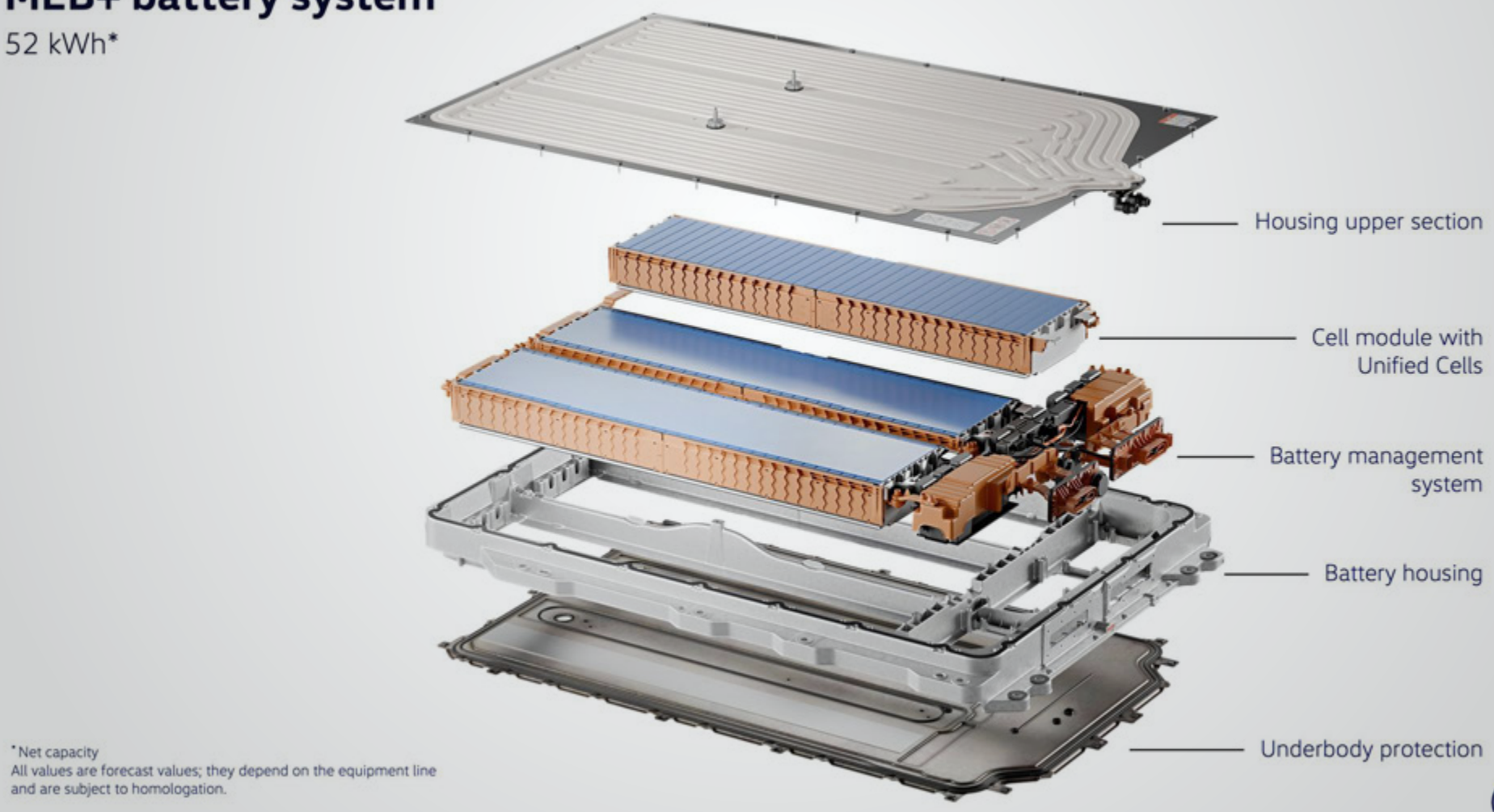
Dlatego w platformie MEB+ Volkswagen zdecydował się na radykalny krok – przeniesienie napędu na przednią oś. To nie jest po prostu „przełożenie silnika". Sercem układu stał się nowo opracowany, wysoce zintegrowany motor elektryczny (znany z wcześniejszych zapowiedzi jako rozwinięcie rodziny APP), który w jednej, kompaktowej obudowie łączy jednostkę napędową, przekładnię oraz falownik (inwerter). Dzięki temu udało się zredukować liczbę komponentów, uprościć wiązki wysokiego napięcia i scentralizować układ chłodzenia cieczą w przednim pasie pojazdu. Jest lepiej, efektywniej i... taniej.

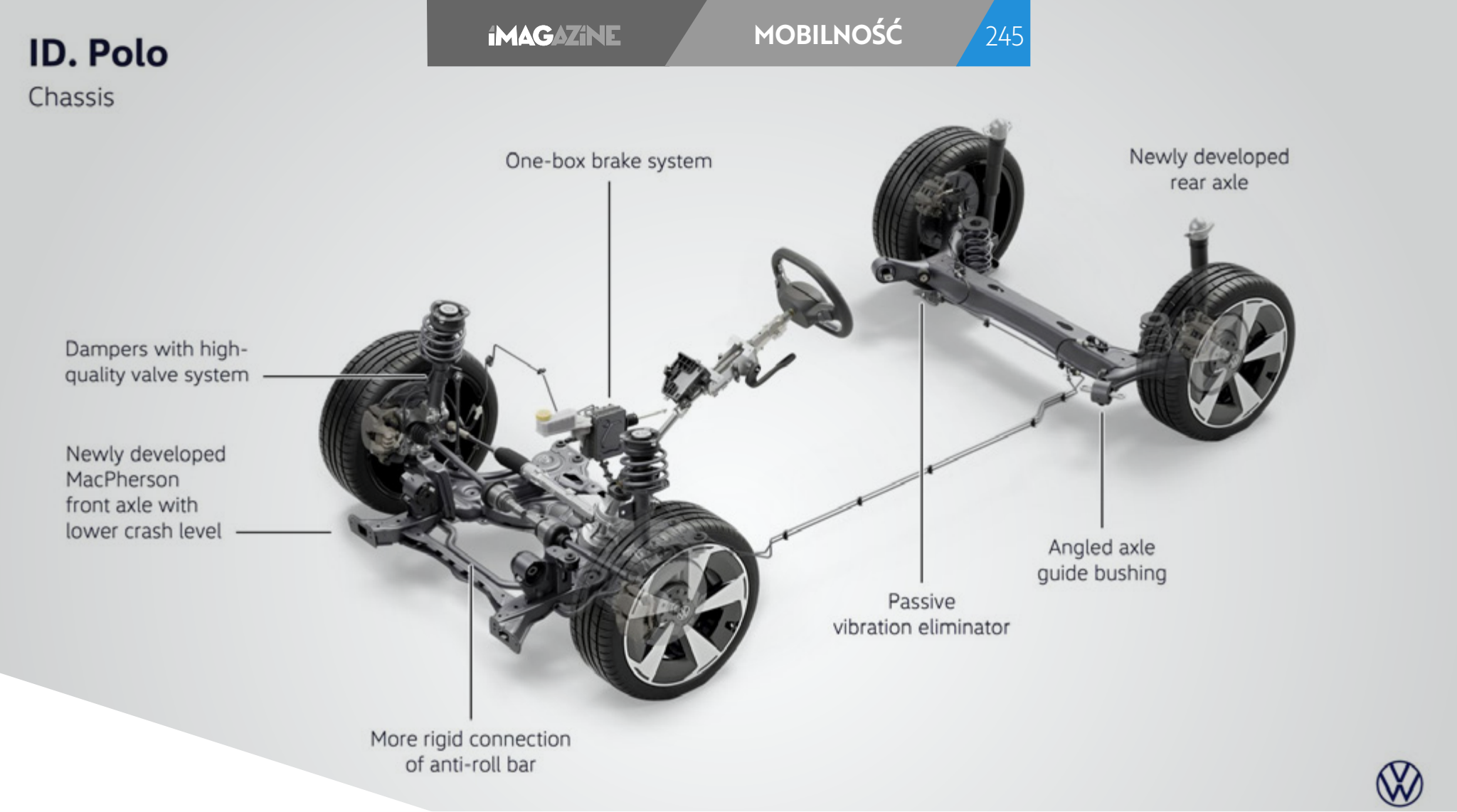
Z punktu widzenia pakowności efekty są spektakularne. Rezygnacja z silnika na tylnej osi pozwoliła na drastyczne obniżenie podłogi bagażnika. Choć nowe ID. Polo mierzy 4053 mm długości (czyli niemal dokładnie tyle, co spalinowa generacja), oferuje bazową pojemność bagażnika na poziomie od 435 do 441 litrów (w zależności od specyfikacji wyposażenia). Po złożeniu asymetrycznie dzielonej tylnej kanapy, przestrzeń ta rośnie do 1240 litrów. To wartości, które jeszcze kilka lat temu były nieosiągalne nawet w autach o klasę wyższych (segment C). Ale nie chodzi tu tylko o sam bagażnik. Miałem okazję usiąść w najnowszym ID. Polo na tylnej kanapie za kolegą z branży, który przedni fotel kierowcy ustawił pod swoje 190 cm wzrostu. Ja mam 177 cm wzrostu. Mógłbym mieć 185 cm i wciąż byłoby mi wygodnie.

To nie żadna magia, a inżynieria wynikająca z nowej platformy i przeprojektowania napędu. Samochód ma 1816 mm szerokości, co nadaje nadwoziu stabilne proporcje, ale to rozstaw osi wynoszący równe 2600 mm jest tutaj kluczowy. Koła wypchnięto w same narożniki karoserii, niemal całkowicie eliminując zwisy. Brak tunelu środkowego i płaska podłoga zintegrowana z obudową akumulatorów sprawiają, że pięciomiejscowa kabina oferuje przestrzeń, która zaprzecza zewnętrznym gabarytom pojazdu.

Dwie chemie ogniw – inżynieryjny pragmatyzm

Jednym z najczęstszych pytań zadawanych przez świadomych czytelników interesujących się elektromobilnością jest sens ładowania ogromnych, ciężkich i drogich baterii do aut typowo miejskich. Volkswagen w modelu ID. Polo postanowił podejść do tematu w stu procentach pragmatycznie, dywersyfikując nie tylko pojemność, ale przede wszystkim wewnętrzną chemię ogniw w zależności od wersji.





W wariantach podstawowych znajdziemy akumulator o pojemności 37 kWh netto, oparty na ogniwach litowo-żelazowo-fosforanowych (LFP). Dlaczego LFP? Ta chemia jest pozbawiona drogiego i kontrowersyjnego kobaltu, co obniża koszty produkcji. Jednak jej największą zaletą inżynieryjną jest gigantyczna żywotność (odporność na tysiące cykli ładowania) oraz niemal całkowita niewrażliwość na częste ładowanie do 100 procent pojemności. To idealne rozwiązanie do miasta, gwarantujące zasięg WLTP na poziomie około 300 km. Mimo „miejskiego" charakteru, auto wyposażono w układ ładowania DC akceptujący moc do 90 kW, co pozwala na uzupełnienie energii od 10 do 80 procent w rozsądne 27 minut na odpowiednio mocnej stacji ładowania.

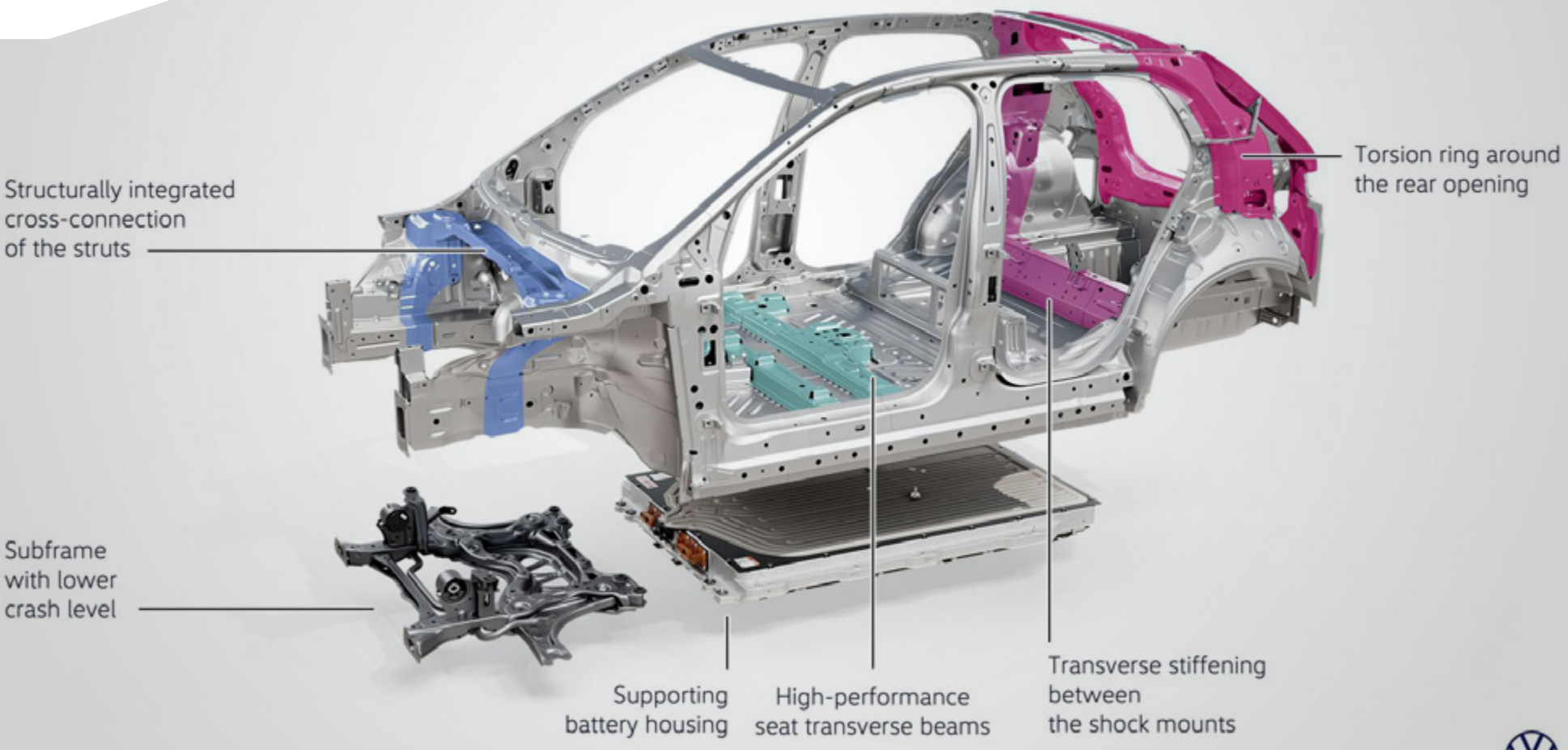
Dla osób poszukujących uniwersalności przygotowano akumulator o pojemności 52 kWh netto, bazujący na gęstszych energetycznie ogniwach niklowo-manganowo-kobaltowych (NMC). Większa gęstość oznacza, że inżynierowie zmieścili więcej energii bez zwiększania objętości i masy samego pakietu. ID. Polo w tej konfiguracji oferuje zasięg WLTP dochodzący do 455 kilometrów. Zwiększono tu również wydajność architektury ładowania – maksymalna moc na szybkich stacjach DC rośnie do 105 kW, co oznacza, że mimo zauważalnie większej pojemności, proces ładowania od 10 do 80 procent trwa w zasadzie tyle samo, co w mniejszej baterii (około 24 minut). Pokładowa ładowarka prądu przemiennego (AC) w obu

wariantach przyjmuje rynkowy standard, czyli 11 kW z trójfazowej, domowej instalacji (prąd 16A) lub słupków AC.

Skalowalność mocy i walka o aerodynamikę

Skalowalność platformy MEB+ pozwala na zaoferowanie szerokiego wachlarza mocy, dopasowanego do potrzeb segmentu. Klienci będą mieli do wyboru cztery warianty: otwierające stawkę 85 kW (116 KM), optymalne 99 kW (135 KM), dynamiczne 155 kW (211 KM) oraz topowe 166 kW (226 KM).

Liczby nie kłamią, ale o klasie inżynierii świadczy zawsze to, jak napęd radzi sobie z zużyciem energii. Według danych homologacyjnych, wariant o mocy 155 kW charakteryzuje się zużyciem w cyklu mieszanym WLTC na imponująco niskim poziomie od 13,3 do 14,6 kWh na 100 kilometrów. Osiągnięcie takich wartości w dość wysokim, przestronnym nadwoziu wymagało sporych nakładów pracy w tunelu aerodynamicznym. Zoptymalizowano nie tylko przepływ powietrza nad karoserią, ale także zjawiska zachodzące pod całkowicie płaskim podwoziem oraz w strefie nadkoli.





ID. Polo GTI: 30 000 niutonometrów na stopień i powrót legendy

W 2026 roku mija dokładnie 50 lat od narodzin legendarnej submarki GTI. Volkswagen postanowił uświetnić tę rocznicę w sposób najbardziej wymowny – prezentując podczas weekendu wyścigowego 24h Nürburgring model ID. Polo GTI, czyli pierwszy w historii w pełni elektryczny samochód z tym zaszczytnym znaczkiem. Tylko przypomnę, że najmocniejsze warianty wcześniejszych modeli z serii ID, nigdy nie miały oznaczenia GTI lecz GTX.

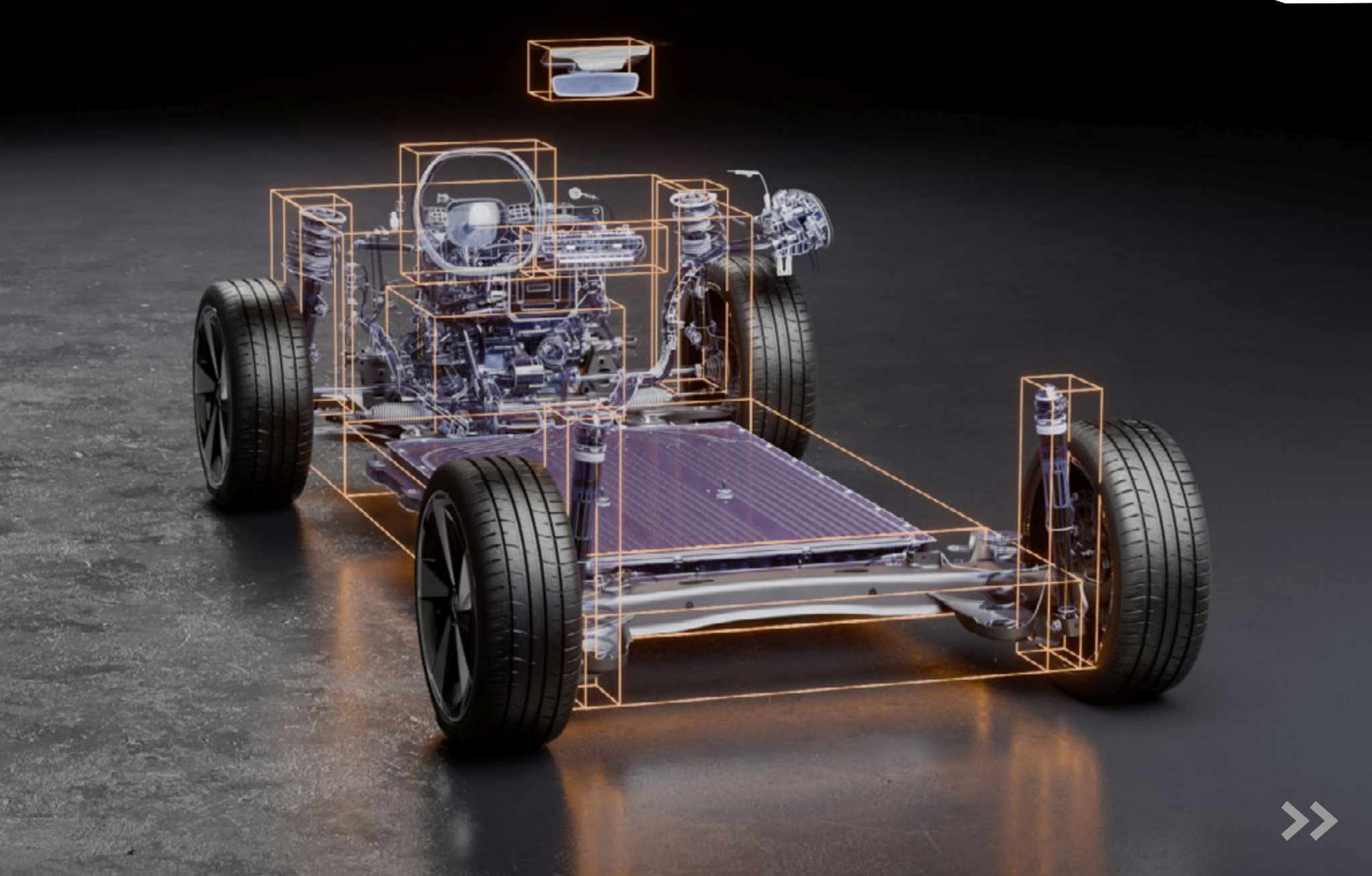
Parametry są imponujące: 166 kW (226 KM) mocy i sprint od zera do setki w 6,8 sekundy. Jednak każdy inżynier (i każdy doświadczony kierowca) wie, że wpuszczenie potężnego, natychmiastowo dostępnego momentu obrotowego na przednią oś rodzi poważny problem fizyczny: tzw. torque steer (szarpanie kierownicą) oraz podsterowność. Gdyby oparto się tu wyłącznie na elektronice dławiącej moc, auto byłoby frustrująco wolne na wyjściu z zakrętu. Dlatego spece od GTI w Wolfsburgu zrobili to inaczej.

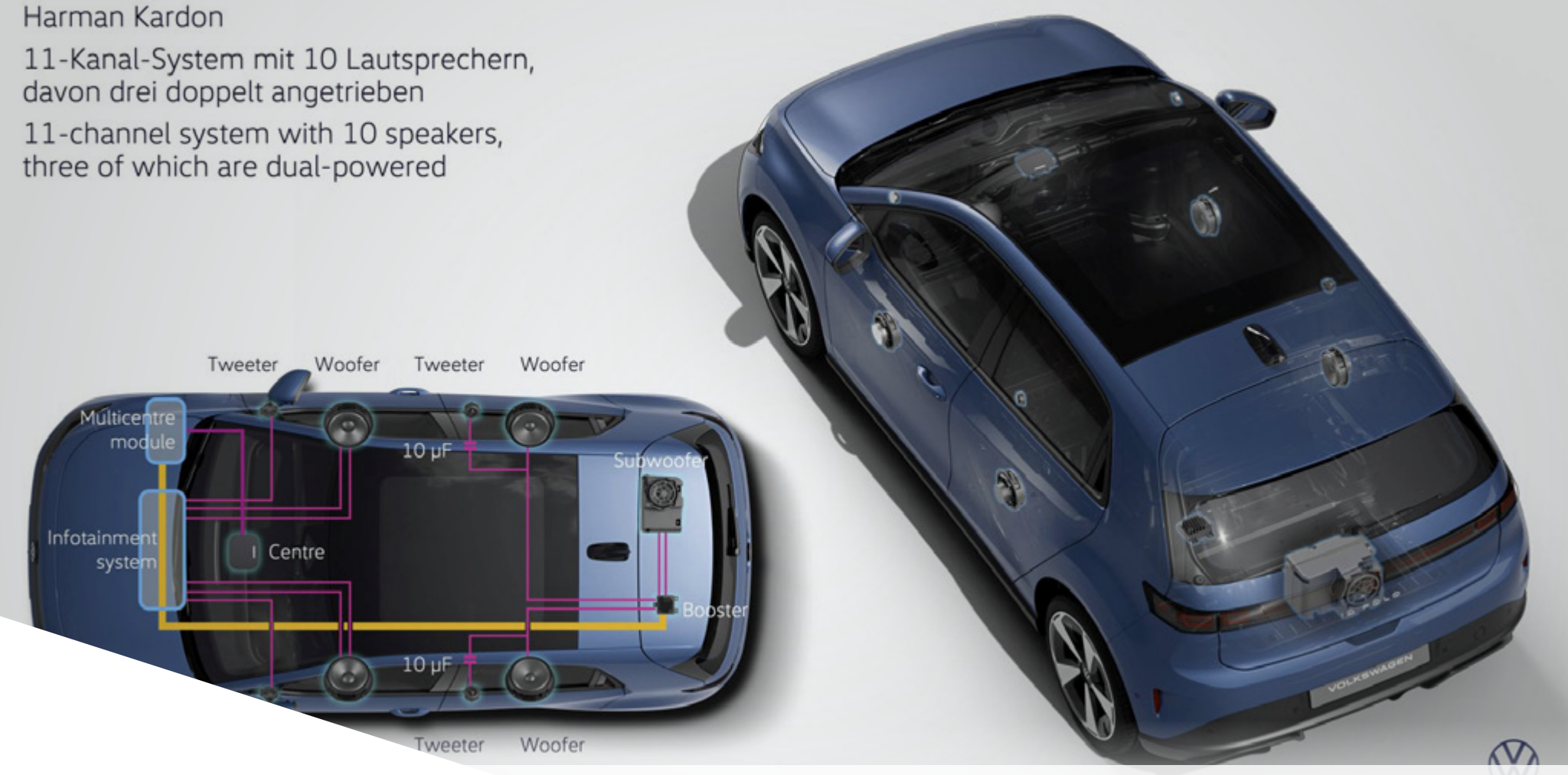
W modelu ID. Polo GTI zastosowano rozwiązanie stricte mechaniczno-elektroniczne: standardową, elektronicznie sterowaną blokadę mechanizmu różnicowego przedniej osi, bazującą na sprzęgle wielopłytkowym.

W przeciwieństwie do czysto mechanicznych szper (które potrafią brutalnie wyrywać kierownicę z rąk) lub prostych systemów opartych wyłącznie na przyhamowywaniu koła (które przegrzewają hamulce), ten system współpracuje w czasie rzeczywistym z elektroniczną kontrolą stabilności (ESC) oraz funkcją XDS.

Jak to działa w praktyce? Kiedy ID. Polo GTI wchodzi w szybki łuk pod obciążeniem, a wewnętrzne koło zaczyna zbliżać się do granicy przyczepności (zrównując swoją prędkość z kołem zewnętrznym obciążonym siłą odśrodkową), sprzęgło wielopłytkowe spina mechanizm i asymetrycznie wektoruje nadmiar momentu obrotowego na koło zewnętrzne. Zamiast płużyć przodem, samochód dosłownie wgryza się w wewnętrzną stronę zakrętu, zachowując neutralną charakterystykę prowadzenia.

Aby to wszystko miało sens, konieczny był fundament w postaci odpowiednio sztywnej karoserii. Sztywność skrętna nadwozia ID. Polo GTI





wynosi rewelacyjne 30 000 Nm/°. To wartość aż o 50 procent wyższa w porównaniu ze spalinowym Polo GTI. Z inżynieryjnego punktu widzenia oznacza to, że cała struktura jest „martwa" – nie odkształca się w zakrętach, co pozwala adaptacyjnemu zawieszeniu DCC oraz seryjnemu, progresywnemu układowi kierowniczemu wykonywać swoją pracę z mikrometryczną precyzją. Jeżeli wierzyć wstępnym deklaracjom inżynierów marki (ja jeszcze tym wozem nie jeździłem) ID. Polo GTI prowadzi się, tłumi nierówności i reaguje na polecenia w sposób, który przywodzi na myśl raczej dorosłego Golfa GTI niż klasyczne auta miejskie.

Cyfrowe środowisko „Pure Positive" i powrót do ergonomii

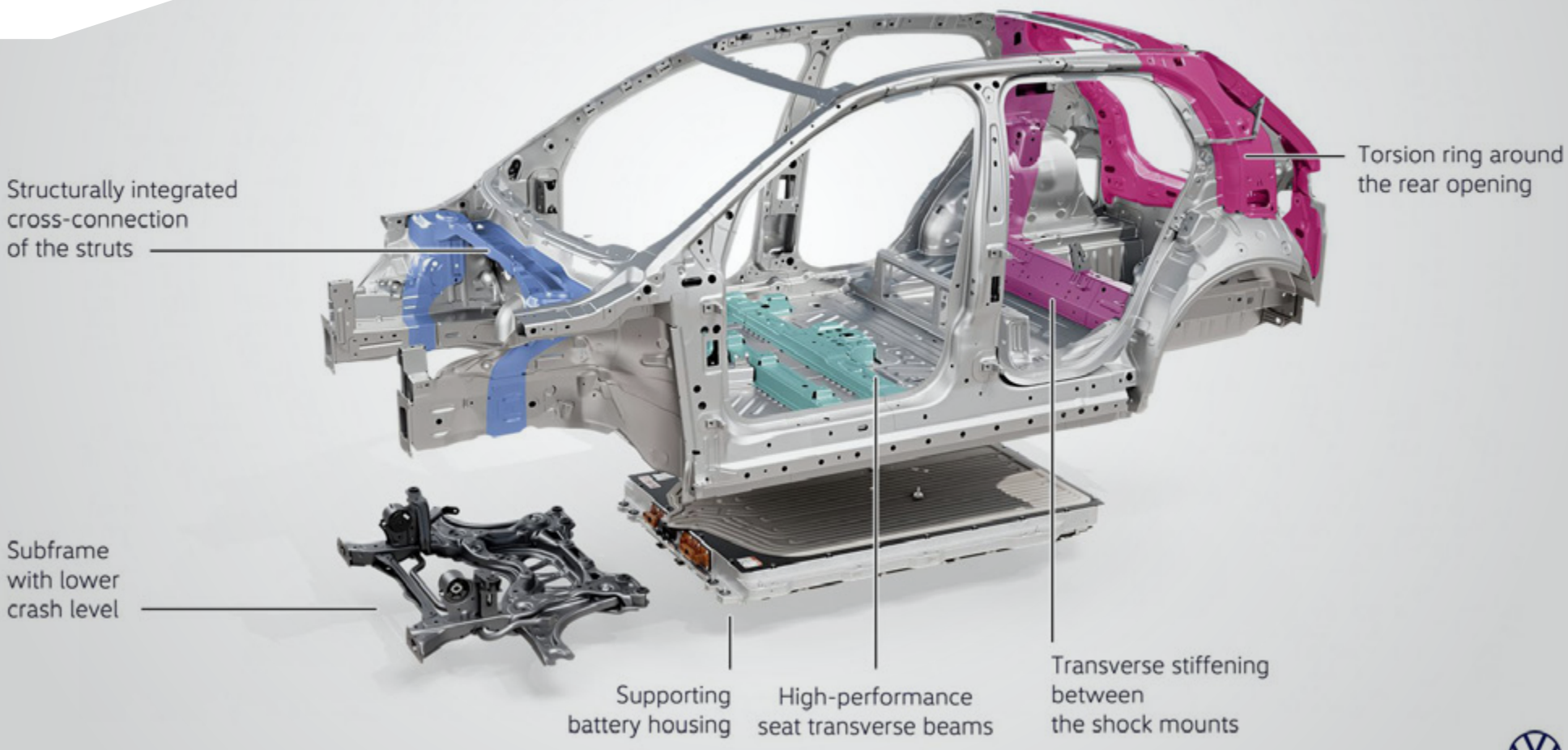
Po wejściu do kabiny od razu widać, że Volkswagen wyciągnął lekcje z uwag klientów i dziennikarzy motoryzacyjnych. Nowy język stylistyczny marki, odnoszący się również do projektowania wnętrza, nazwany „Pure Positive", to powrót do technologii z ludzką twarzą – ergonomicznej, intuicyjnej i nienachalnej.

Zrezygnowano z minimalizmu, który wymagał przeklikiwania się przez warstwy menu, by zmienić podstawowe funkcje. W materiałach prasowych Volkswagen z dumą podkreśla powrót do fizycznych przycisków na

kierownicy i panelach sterowania, co znacząco poprawia bezpieczeństwo obsługi w trakcie jazdy. Środowisko cyfrowe zostało rozplanowane na dwóch ekranach: przed oczami kierowcy umieszczono czytelny, 26-centymetrowy (10,2 cala) wyświetlacz Digital Cockpit, natomiast w centrum deski rozdzielczej króluje potężny, 33-centymetrowy (13 cali) ekran dotykowy, obsługujący najnowszą generację systemu infotainment. Wróćmy jednak do potencjału samej platformy.

Systemy wsparcia wyciągnięte z klasy premium

Platforma MEB+ otworzyła również drogę do implementacji systemów wsparcia kierowcy (ADAS), które jeszcze niedawno były zarezerwowane wyłącznie dla limuzyn i dużych SUV-ów. Opcjonalny system Travel Assist najnowszej generacji potrafi już nie tylko utrzymywać auto w pasie ruchu i dostosowywać prędkość do poprzedzającego pojazdu, ale zyskał funkcję automatycznej zmiany pasa (po dotknięciu dźwigni kierunkowskazu) oraz niezwykle przydatny w mieście moduł rozpoznawania sygnalizacji świetlnej.





Dla osób, które nie przepadają za ciasnymi parkingami w galeriach handlowych, przygotowano system Park Assist Plus z pamięcią manewrów. Samochód potrafi zapisać w pamięci ostatnie 50 metrów skomplikowanego podjazdu (np. do wąskiego garażu na osiedlu) i odtworzyć go samodzielnie, z zachowaniem pełnej ostrożności, opierając się na danych z czujników ultradźwiękowych oraz systemie kamer 360 stopni Area View.

Ekonomia skali: Martorell i 650 milionów euro oszczędności

Inżynieria to jedno, ale prawdziwym wyzwaniem dzisiejszej motoryzacji jest ekonomia. Skonstruowanie zaawansowanego elektryka w cenie startującej w Polsce od 99 900 zł nie jest możliwe bez optymalizacji kosztów. Właśnie dlatego projekt ten realizowany jest w ramach tzw. Brand Group Core – sojuszu wolumenowych marek koncernu (Volkswagen, SEAT, CUPRA, Škoda).

Platforma MEB+ pozwala na to, aby modele z rodziny Electric Urban Car Family (w tym ID. Polo czy Cupra Raval) współdzieliły ze sobą aż 80 procent wszystkich komponentów. Mowa tu o oprogramowaniu, architekturze układu jezdnego, silnikach czy ogniwach bateryjnych. Zunifikowanie produkcji wygenerowało imponujące synergie finansowe, które koncern oszacował na kwotę około 650 milionów euro.

Sercem tej produkcyjnej układanki stały się hiszpańskie fabryki w Martorell i Pampelunie, zarządzane przez grupę SEAT & CUPRA. Koncern

zainwestował 10 miliardów euro (w tym we własną fabrykę ogniw), przekształcając Hiszpanię w europejski hub elektromobilności. To właśnie z linii montażowych w Martorell zjeżdżać będzie nowe ID. Polo, co dzięki optymalizacji procesów produkcyjnych i logistycznych ma pozwolić utrzymać cenę startową od 99 900 zł. Dodatkowym wsparciem dla przyszłych użytkowników ma być zoptymalizowana oferta taryfowa „We Charge City Tariff", ułatwiająca tanie ładowanie w aglomeracjach miejskich.

Podsumowanie

Volkswagen ID. Polo to coś znacznie więcej niż tylko miejski hatchback napędzany prądem. To bardzo dobry przykład na to, jak zaawansowana inżynieria potrafi rozwiązywać realne problemy użytkowe. Przeniesienie napędu na przednią oś uwolniło przestrzeń bagażową, dwie różne chemie baterii pozwoliły zoptymalizować koszty względem realnych potrzeb, a zaawansowana mechanika wersji GTI udowodniła, że sportowe emocje w erze EV nie muszą sprowadzać się wyłącznie do przyspieszenia na prostej. To solidny, bardzo dobrze przemyślany projekt, który udowadnia, że w Wolfsburgu wciąż potrafią budować samochody dla ludzi. Po raz kolejny okazuje się, że najlepszym argumentem marketingowym bywa po prostu dobra inżynieria.

Materiał powstał przy współpracy z marką Volkswagen







DARIUSZ HAŁAS
@blob_tech

Volkswagen Passat R-Line Plus 2.0 TDI – oaza spokoju na długie dystanse

Po ogromnej dawce adrenaliny, jaką zaserwował nam jubileuszowy Golf GTI, którego opisywałem w poprzednim wydaniu iMagazine, czas na zmianę klimatu. Są samochody, z których wysiadasz z ulgą. Są też takie, które oddajesz dealerowi bez większych emocji. Volkswagen Passat R-Line Plus należy do trzeciej kategorii.



Po przejechaniu kilkuset kilometrów zwyczajnie nie chciałem oddawać kluczyków. Nie dlatego, że jest najszybszy. Nie dlatego, że wygląda najlepiej. Po prostu od dawna żadne auto nie dało mi takiego spokoju za kierownicą. Ten mierzący blisko pięć metrów (dokładnie 4917 mm) kombiak, napędzany oszczędnym 2.0 TDI SCR z napędem 4MOTION i 7-stopniową przekładnią DSG, broni się sam.

Dżentelmen w czerwieni

Testowany egzemplarz przykuwa wzrok udanym lakierem – to czerwony Chilli metalik, który świetnie kontrastuje z czarnymi, błyszczącymi relingami dachowymi oraz czarnymi obudowami lusterek. Całość stoi na 19-calowych obręczach ze stopu metali lekkich Leeds z diamentowym szlifem, na które naciągnięto samouszczelniające się opony w rozmiarze 235/40 R19. Wygląda nowocześnie, elegancko i odpowiednio masywnie.

Po zmroku dostrzegam jeszcze coś. Na pokładzie znalazły się matrycowe reflektory IQ.Light LED Matrix. W nocy robią świetną robotę, bezbłędnie rozpraszając mrok nieoświetlonych szlaków. Wiązka światła jest niezwykle precyzyjnie wycinana, dzięki czemu widzimy maksymalnie dużo, nie oślepiając przy tym kierowców jadących z naprzeciwka. Uzupełnieniem nocnego designu są podświetlane listwy między reflektorami i tylnymi lampami oraz podświetlone wgłębienia klamek.

Loża VIP. Komfort, technologia i ergonomia

Gdy otwierasz drzwi i zajmujesz miejsce w kabinie, Passat R-Line Plus otula cię pragmatycznym komfortem. To nie jest blichtr i błyskotki. Raczej wizualny spokój, kojarzony z relaksem, a nie nudą. Wita nas grafitowo-czarna tapicerka z niebieskimi przeszyciami oraz fotele wykończone perforowaną skórą (pakiet R-Line TOP). Przednie fotele to budzące szacunek (i wdzięczność moich pleców) dzieło z dziedziny ergonomii – wyposażono je w elektryczną regulację, podgrzewanie, wentylację oraz rozbudowany system masażu. To siedziska typu ergocomfort, wyposażone w dodatkowe, pneumatyczne podparcie lędźwi i manualnie wysuwane podparcie podudzi.





Nawet po wieluset kilometrach podróży plecy nie wykazują najmniejszych oznak zmęczenia. Nad głowami rozpościera się elektrycznie otwierany, szklany dach panoramiczny, a wnętrze wyścieła podsufitka z Alcantary. Nawet schowki w drzwiach są flokowane, dzięki czemu wrzucone tam drobniejsze, sztywne przedmioty, nie grzechoczą.

Z ulgą odnotowuję bardzo trafną decyzję projektantów – na podgrzewanej, sportowej kierownicy znajdziemy klasyczne, fizyczne przyciski. Na konsoli centralnej króluje potężny, 15-calowy wyświetlacz systemu infotainment z nawigacją Discover Pro Max. Znam system Volkswagena i choć w niektórych chińskich autach ekrany może i są większe, to sam interfejs swoją gęstością informacyjną znacznie wyprzedza najbardziej designerskie propozycje z Państwa Środka. Zgrzyt? Pod dużym ekranem centralnym testowanego Passata wciąż znajdują się dotykowe suwadła do regulacji temperatury, ale na całe szczęście zostały one nareszcie podświetlone. Nocą nie musisz już szukać nastawów po omacku, a głośnością – bardzo przyjemnie grającego systemu Harman Kardon – możesz i tak wygodnie sterować bezpośrednio z kierownicy. W tunelu środkowym znalazła się też ładowarka indukcyjna. Może nie powala potężną mocą ładowania, ale w długiej trasie bez problemu podtrzymuje przy życiu smartfon, na którym działa bezprzewodowy Apple CarPlay.

Kombi pełną gębą. Bagażnik przemyślany do bólu

Przejdźmy do tego, co w Passacie najważniejsze – walorów przewozowych. Elektrycznie sterowana klapa unosi się, a roleta automatycznie odjeżdża w głąb „jaskini". Gdy zamykasz bagażnik, roleta zasłania przestrzeń ładunkową bez twojej ingerencji. Do dyspozycji mamy bazowo przepastne 690 litrów przestrzeni. A jeśli złożymy asymetryczną kanapę (co ułatwiają wygodne cięgna bezpośrednio na burtach bagażnika, zwalniające nas z konieczności sięgania daleko w głąb), przestrzeń rośnie do 1920 litrów.

Sam projekt bagażnika to wyższa klasa. Wszystko jest tu miękko flokowane, nie znajdziemy żadnych tanich, surowych plastików, które łatwo porysować. Mamy tu wyjmowaną, podwójną podłogę o regulowanej wysokości, punkty mocowania siatki chroniącej bagaże, przelotkę na długie przedmioty i solidne haczyki na siatki



z zakupami. Prawdziwym inżynieryjnym smaczkiem jest oświetlenie. Zastosowano tu po dwa źródła światła, ale uwaga – zamontowane nie symetrycznie, lecz po przekątnej komory bagażnika. Ma to bardzo konkretne znaczenie w praktyce: wstawiając obok siebie dwie duże walizki, nigdy nie zasłonisz obu źródeł światła naraz. Proste i przemyślane.

Pożeracz kilometrów. Silnik, spalanie i dynamika

Sercem naszego Passata jest 4-cylindrowa jednostka wysokoprężna o pojemności niemal 2.0 litra, generująca moc 193 KM (142 kW). Oddaje ona kierowcy 400 Nm momentu obrotowego, dostępnego już od 1750 do 3250 obr./min. Ten Passat nie ma charakteru porywczego sportowca. To dżentelmen, który po prostu nie marudzi. Jedziesz spokojnie? Cieszysz się spokojem i znakomitym wyciszeniem kabiny. Silnika nie da się całkowicie ukryć, ale przy prędkościach autostradowych jest to raczej głuchy pomruk niż charakterystyczny klekot diesla.

Potrzebujesz kogoś wyprzedzić? Wciskasz gaz do oporu, dwusprzęgłowa skrzynia DSG sprawnie redukuje przełożenia, a wóz płynnie i bez zadyszki łyka TIR-a na drodze krajowej w czasie krótszym, niż zajęło ci przeczytanie tego zdania. Te 400 Nm idzie tu w czysty napęd na cztery koła (4MOTION), bez skomplikowanych negocjacji układów hybrydowych. Z trakcją nie ma



żadnego problemu – dojazd po zabłoconej drodze z rodziną do leśniczówki to dla niego pestka. Osiągi również nie zawodzą: miejskie 50 km/h pojawiało się na liczniku już po 2,3 sekundy, a pierwszą setkę Passat osiągnął u mnie po 7,3 sekundy (oficjalne dane katalogowe mówią o 7,6 sekundy).

Największym atutem 2.0 TDI pozostaje jednak jego ekonomia. Testowany model wyposażono w 66-litrowy zbiornik paliwa. Homologowane zużycie WLTP w cyklu mieszanym wynosi 5,86 l/100 km. A jak jest w rzeczywistości? Pokonałem tym wozem trasę 700 kilometrów. Z klimatyzacją pracującą na pełnych obrotach w 30-stopniowym upale, z włączonymi masażami i systemem audio. Z racji pośpiechu jechałem dość dynamicznie, a mimo to średnie spalanie z tego dystansu wyniosło zaledwie 6,8 l/100 km. Komputer przy zwrocie auta wciąż wyświetlał 290 km pozostałego zasięgu. Z kolei na spokojniejszej, 41-kilometrowej trasie (drogi krajowe, wojewódzkie i kawałek ekspresówki) spalanie spadło do oszałamiających 5,7 l/100 km. To wóz, którym 1000 kilometrów na jednym baku robisz bez najmniejszego stresu, a przy spokojniejszej jeździe dojedziesz i do 1500 kilometrów bez odwiedzania stacji. Rudolf Christian Karl Diesel byłby dumny.

Krążownik na miarę czasów

Ceną za ten spokój jest... cóż, cena. Bazowy model (wariant Business, bo

najtańsza edycja o nazwie po prostu Passat nie jest w ogóle oferowana z jednostką wysokoprężną) w tej specyfikacji silnikowej to wydatek rzędu 212 690 zł. Egzemplarz, który miałem przyjemność testować, posiadał opcje dodatkowe wycenione na 50 460 zł (m.in. adaptacyjne zawieszenie DCC Pro, pakiet IQ.DRIVE, nawigację Discover Pro Max czy lakier metalizowany). Ostatecznie winduje to kwotę do 304 150 zł.

To dużo, ale dostajemy za to auto bardzo bogato wyposażone. Zaskoczeniem na plus jest zestrojenie podwozia. Passat nie ma pneumatyki, ale zastosowanie opcjonalnego zawieszenia z adaptacyjną regulacją DCC Pro sprawia, że wóz skutecznie izoluje pasażerów od niedoskonałości polskiego asfaltu, głównie tego na rzadziej uczęszczanych drogach gminnych, bo trasy szybkiego ruchu w Polsce są... lepsze od wielu niemieckich autobahnów. Nowy Passat R-Line Plus to znakomicie wyciszony, niesamowicie oszczędny i wyjątkowo przemyślany pożeracz kilometrów. Jeśli szukasz niezawodnego, komfortowego kombi dla rodziny – właśnie je znalazłeś.

Volkswagen Passat R-Line Plus 2.0 TDI 4MOTION ★★★★★★

- Design: 5/6
- Jakość wykonania: 5,5/6
- Oprogramowanie: 5/6
- Wydajność: 6/6

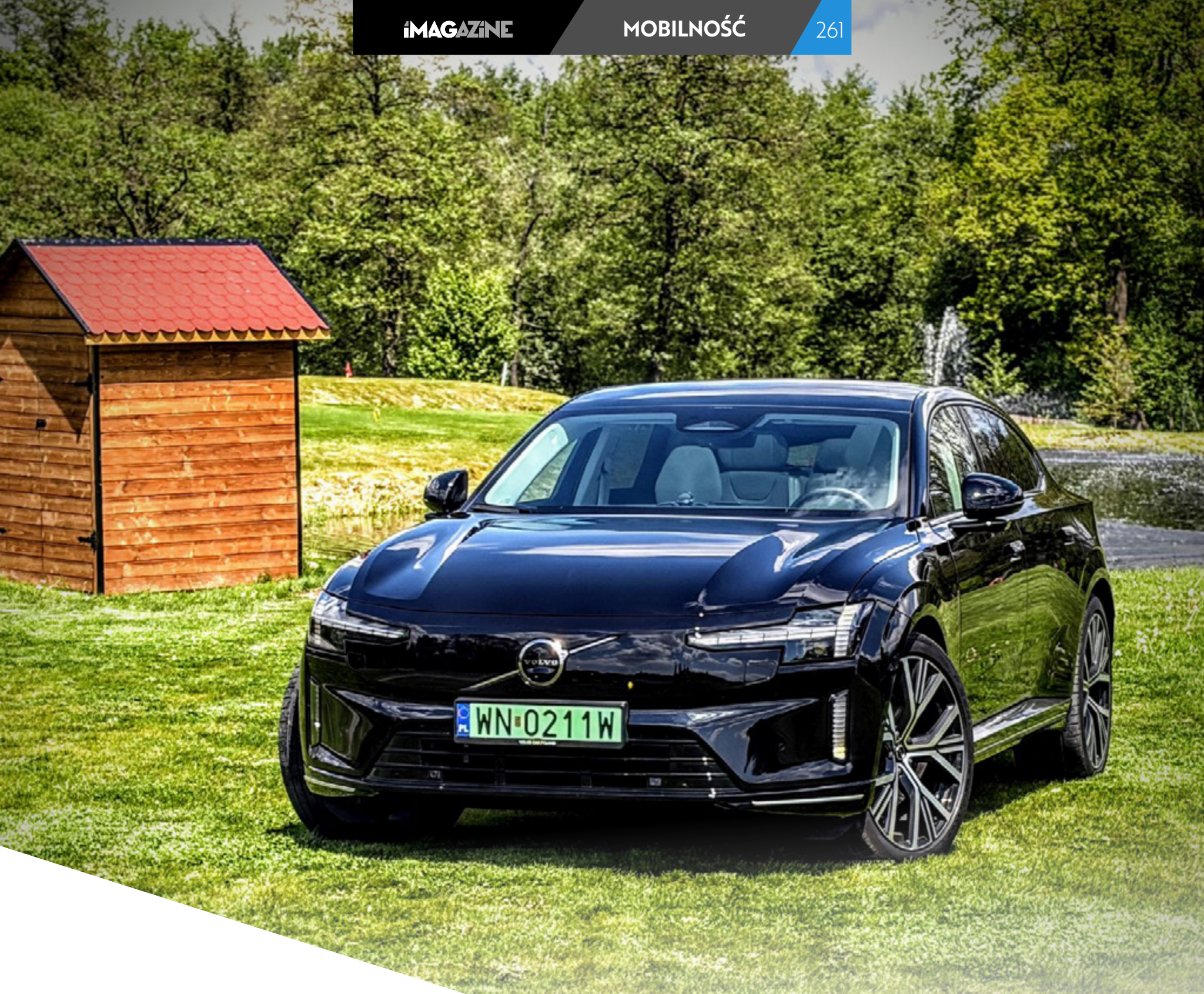
Plusy:

- Znakomite wyciszenie wnętrza izolujące od pracy silnika Diesla.
- Fotele przednie „ergocomfort" z podgrzewaniem, wentylacją i masażem sprawdzające się w najdłuższych trasach.
- Fizyczne przyciski na kierownicy – ergonomia na wysokim poziomie.
- Oszczędny i dynamiczny silnik 2.0 TDI (193 KM) zapewniający zasięgi grubo powyżej 1000 km.
- Przemyślany bagażnik (od 690 do 1920 litrów) z inteligentnym, asymetrycznym oświetleniem.
- Świetnie wycinające wiązkę reflektory matrycowe IQ.Light LED Matrix.

Minusy:

- Wysoka cena
- Ładowarka indukcyjna ładuje wolno, skupiając się głównie na podtrzymaniu baterii urządzenia.
- Suwadła pod ekranem wciąż są dotykowe, choć na szczęście w tej generacji nareszcie zyskały podświetlenie.





DARIUSZ HAŁAS
@blob_tech

Pierwsze jazdy Volvo ES90
Szwedzki azyl na jurajskich szlakach

Zapomnijcie o udawanym sportowym zacięciu. Nowe, elektryczne Volvo ES90, które sprawdzałem na krętych drogach Jury Krakowsko-Częstochowskiej, to jeżdżący manifest spokoju. Ten potężny liftback udowadnia, że we współczesnej motoryzacji najwyższą formą luksusu jest po prostu cisza i relaks, a nie blichtr i błyskotki.



Nowe Volvo ES90 to absolutnie nie jest elektryczny następca Volvo S90. Świeży flagowiec z Goeteborga jest pojazdem wyłamującym się z utartych schematów. Zamiast testować go na zatłoczonych, wielkomiejskich ulicach, miałem przyjemność sprawdzić ten wóz na pięknych, zróżnicowanych i momentami bardzo wymagających trasach Jury Krakowsko-Częstochowskiej. To nie jest typowy, klasyczny sedan, do jakiego przyzwyczaili nas producenci w segmencie aut luksusowych. To potężny liftback, który wnosi na rynek zupełnie inną filozofię podróżowania.

Powściągliwa elegancja i wzorowa aerodynamika

Z zewnątrz Volvo ES90 to po prostu kawał solidnego samochodu. Mierzy równe 5000 mm długości, szerokość z lusterkami wynosi 2120 mm, a wysokość karoserii – w zależności od tego, jak ustawi się zawieszenie pneumatyczne – waha się między 1546 a 1553 mm. Mimo tych niemal czołgowych gabarytów, sylwetka narysowana jest niezwykle miękko i aerodynamicznie. Szwedzi wykonali świetną robotę, uzyskując znakomity współczynnik oporu powietrza na poziomie 0,25.

Przód auta zdominowany jest przez innowacyjne reflektory High Definition Pixel, które dysponują rozdzielczością 20 tysięcy pikseli, co pozwala na

bezbłędne i nieograniczone dostosowanie snopu światła do warunków panujących na drodze. Z tyłu styliści postawili na zlicowane z karoserią, pionowe światła LED w kształcie litery C, które rewelacyjnie podkreślają charakter wozu. Całość wygląda dostojnie, ale bez krztyny ostentacji. Nie znajdziecie tu połaci lśniącego chromu – to design, który uspokaja, zamiast krzyczeć.

Skandynawski salon i mocna dawka technologii

Po otwarciu masywnych drzwi lądujemy w innym świecie. Volvo nie bez powodu nazywa to wnętrze „skandynawskim salonem". Rozstaw osi wynoszący imponujące 3102 mm przekłada się na królewską wręcz ilość miejsca, z czego najbardziej ucieszą się pasażerowie na tylnej kanapie.



Materiały wykończeniowe to absolutna ekstraklasa. Nabywcy mają do wyboru m.in. miękką, ekskluzywną skórę Nappa, ekologiczną tapicerkę Nordico, a także niezwykle stylową tapicerkę tekstylną Tailored Wool Blend, w której 30% stanowi ekologicznie produkowana wełna. Atmosferę dopełniają zjawiskowe, podświetlane wstawki z oryginalnego drewna z certyfikatem FSC oraz panoramiczny dach, który wpuszcza do kabiny mnóstwo światła.

Deska rozdzielcza jest ascetyczna. Centrum dowodzenia stanowi bezramkowy ekran dotykowy o przekątnej 14,5 cala, a przed kierowcą umieszczono wolnostojący, 9-calowy wyświetlacz. Cyfryzacja poszła tu naprawdę daleko – o ile fotele regulujemy wygodnym, kwadratowym joystickiem umieszczonym przy siedzisku, o tyle ustawianie lusterek i kolumny kierownicy odbywa się już z poziomu ekranu centralnego. System działa jednak bardzo sprawnie, a całość bazuje na zintegrowanym środowisku Google.

Na osobny akapit zasługuje to, co pieści nasze uszy. ES90 oferuje wyjątkowo niski poziom hałasu w kabinie. To idealne środowisko dla opcjonalnego systemu audio firmy Bowers & Wilkins, który oferuje aż 25 oddzielnych głośników, w tym kultowy Tweeter on-top, i wspiera zaawansowane przetwarzanie dźwięku przestrzennego Dolby Atmos. Łączna moc to 1810 W. Gwarantuję, że swoje ulubione utwory odkryjecie w tym aucie na nowo.

Serce systemu bije w Polsce

Zanim ruszymy w drogę, warto wspomnieć o czymś, co jako polskiego dziennikarza bardzo mnie cieszy. Ten na wskroś szwedzki samochód o globalnym zasięgu ma w sobie bardzo dużo polskiej myśli technicznej. Ogromny udział w rozwoju oprogramowania, pracy nad architekturą 800V oraz rozwijaniu komputera centralnego mieli inżynierowie z Volvo Tech Hub Kraków.

To również oni pracowali nad modułami wspierającymi kierowców w trudnych sytuacjach i systemem Safe Space. Ten ostatni to technologiczny majstersztyk, który za pomocą 7 kamer, 5 radarów i 12 czujników ultradźwiękowych zapewnia bardzo precyzyjny, 360-stopniowy obraz otoczenia w czasie rzeczywistym. Podczas przeciskania się przez węższe jurajskie wioski ten system działał absolutnie bezbłędnie.





Jak jeździ najnowszy krążownik Volvo?

Do testów na krętych drogach Małopolski i Jury otrzymałem odmianę Single Motor. Mamy tu klasyczny napęd na tylną oś (RWD), całkowita moc układu to 333 KM (245 kW), a maksymalny moment obrotowy wynosi okrągłe 480 Nm. Takie parametry oferują bardzo dobrą dynamikę (przyspieszenie od 0 do 100 km/h zajmuje ES90 Single Motor 6,6 sekundy), natomiast prędkość maksymalna nie wymaga zaglądania do specyfikacji. Każde nowe Volvo ma ustawiony na sztywno ogranicznik na wartości 180 km/h.

Jak te liczby sprawdzają się na asfalcie? Przede wszystkim Volvo ES90 udowadnia, że dynamika nie musi wiązać się z agresją. Ten samochód absolutnie nie zachęca do atakowania zakrętów z piskiem opon. Zamiast tego oferuje fenomenalny wręcz

komfort. Odpowiada za to elektronicznie sterowany system tłumienia Four-C, który monitoruje samochód, drogę i kierowcę 500 razy na sekundę. Wraz z dwukomorowym zawieszeniem pneumatycznym, które może zmieniać prześwit o kilkadziesiąt milimetrów, Volvo po prostu płynie nad nierównościami.

Zastosowana w ES90 instalacja 800V to gwarancja wydajności i błyskawicznego ładowania. Zgodnie z deklaracjami producenta, akumulator o pojemności 92 kWh można naładować od 10 do 80% na szybkiej ładowarce o mocy 350 kW w zaledwie 22 minuty, a maksymalna moc jaką może przyjąć akumulator sprawdzanej przeze mnie wersji Single Motor to 310 kW. W oficjalnym cyklu pomiarowym WLTP, średnie zużycie energii to 15,6 kWh/100 km, a szacowany zasięg sięga 664 km. Realny zasięg na górzystych i krętych drogach będzie oczywiście zależał od tego, jak ciężką macie stopę, jednak zapas energii na pokładzie pozwala zapomnieć o stresie.

Volvo ES90 to kawał świetnej, inżynieryjnej roboty. Zamiast udawać sportowca, jest mistrzem relaksu, absolutnym ukojeniem na kołach, w którym podróż sama w sobie staje się celem. Mam nadzieję, że już niebawem będę mógł się z Wami podzielić wnioskami z pełnego testu tego modelu.







WOJTEK PIETRUSIEWICZ
@morid1n

5 dni z przedprodukcyjnym Cayenne Turbo Electric

Na imprezę HelRiders Porsche wyposażyło mnie w najnowszy model Cayenne Electric w wydaniu Turbo S. To oznacza 1156 koni mechanicznych, przyspieszenie do 200 km/h szybsze niż start promu kosmicznego oraz zawieszenie, które potrafi wykonywać tango na drodze.

Moooooooooc!

Na wstępie zaznaczę, że jest to model przedprodukcyjny, więc w teorii jeszcze kilka rzeczy może się zmienić. W praktyce mój egzemplarz, poza jednym bugiem czujnika zapięcia pasów, który ustąpił po wyłączeniu auta, spisał się wzorowo. Opisu wad zatem tutaj nie znajdziecie, ale będzie kilka uwag i przemyśleń na różne tematy.

Pierwsza myśl jest prosta: taka moc jest absurdalna. Skorzystanie z funkcji Launch Control, które zapewnia przyspieszenie do 100 km/h w 2,5 s oraz 7,4 s do 200 km/h, przemieściło moje organy w kierunku pleców, dzięki czemu mam teraz bardziej płaski brzuch. Mój mózg teraz znajduje się bardziej w linii kręgosłupa, dzięki czemu mam lepiej wyważony środek ciężkości. No i skróciły mi się stopy, dzięki czemu buty mnie nie cisną tak bardzo, gdy na dworze robi się gorąco. Jak widać, zalety zdrowotne są absolutnie niepodważalne, bo na wszystko mam kwity od certyfikowanych lekarzy.





Zdecydowanie sensowniejszym wyborem jest bazowy model Cayenne lub diabelski Cayenne S. Ten ostatni ma 666 KM i 3,8 s do 100 km/h, a pierwszy rozsądne 442 KM i 4,8 s do setki. Ale Turbo ma zmodyfikowany wygląd zewnętrzny, ruchome tylne płaty wysuwające się ze zderzaka i jest lepiej wyposażony. Jest też jedna kluczowa opcja, która jest dostępna jedynie w wariancie S i Turbo, ale o niej za chwilę...

Ładowanie

Na pokładzie Cayenne Turbo Electric zrobiliśmy trasę z Warszawy do Władysławowa autostradą A2/A1 tam i 7-ką w drodze powrotnej. W tym pierwszym przypadku średnie zużycie prądu wahało się w rejonie 26–27 kWh/100 km, a na ładowanie zatrzymywaliśmy się dwukrotnie, w obu przypadkach na Ionity. Pierwszy postój trwał 5 minut, więc nawet nie zdążyliśmy porządnie udać się do WC, a drugi 4 minuty. Te 9 minut ładowania miało wystarczyć, aby w hotelu we Władysławowie mieć 20% baterii. W praktyce jednak nasze postoje były dłuższe o kilka minut w obu przypadkach (a poza nimi mieliśmy jeszcze dwa inne na nr 1). Finalnie dojechaliśmy do hotelu z 67% w „baku", więc śmiało wystarczyłby jeden lub żaden postój, ale słuchaliśmy się charging plannera pokładowego, tym bardziej, że i tak musieliśmy się zatrzymać.

Powrót był bardziej oszczędny. Mieliśmy jeden postój na lonity na 6 minut, który wydłużyliśmy do 12 minut ze względu na kolejkę do kasy i WC, a do celu dojechaliśmy z 57%. Średnie zużycie oscylowało w rejonie 22–23 kWh/100 km.

Ta klasa aut osiągnęła już ogromny poziom komfortu w podróżowaniu, pod warunkiem, że infrastruktura domaga. Z roku na roku jest coraz lepiej. Liczę na to, że już niedługo nikt nie będzie na nią narzekał. Od siebie jeszcze dodam, że krzywa ładowania w tym aucie jest niesamowita i zapewnia naprawdę wysoką moc ładowania, przekraczającą 330 kW, nawet gdy zbliżamy się do 80% ładunku w akumulatorze.

Porsche Active Ride

Dostępny jedynie w modelach S i Turbo, w absurdalnej cenie 37 906 PLN, okazał się absolutnie niesamowity. Oto jak opisuje go Porsche:

> *Wysokiej klasy podwozie Porsche Active Ride to aktywny system kontroli podwozia dla wszystkich czterech kół. Cel: zwiększenie komfortu i podniesienie osiągów. W amortyzatorach pneumatycznego zawieszenia siły*





rozciągające i ściskające mogą być generowane indywidualnie dla każdego z kół w zależności od potrzeb. Rezultat: jeszcze większa rozpiętość pomiędzy komfortem podróżowania a sportową dynamiką jazdy.

Dla zwiększenia komfortu:

– zwiększona stabilność nadwozia na nierównych drogach;

– aktywna dynamika pokonywania zakrętów: redukcja sił bocznych działających na podróżujących poprzez pochylenie nadwozia w kierunku wewnętrznej strony zakrętu;

– komfort podczas przyspieszania i hamowania: redukcja sił wzdłużnych działających na podróżujących poprzez obniżenie/podniesienie nadwozia nad przednią/tylną osią.

Dla zwiększenia osiągów:

– zwiększony poziom przyczepności dzięki kompensacji przechyłów na zakrętach i skłonności do nurkowania podczas hamowania;

– obniżenie położenia środka ciężkości poprzez obniżenie nadwozia poniżej niskiego poziomu zawieszenia pneumatycznego podczas dynamicznego pokonywania zakrętów i gwałtownego hamowania (w trybie jazdy Sport Plus);

– optymalna przyczepność w terenie dzięki selektywnej kontroli sił napędowych między kołami.

Ten opis jest zupełnie nieadekwatny do wrażeń, które to zawieszenie dostarcza. Po przestawieniu trybu auta na Comfort na pokrętle kierownicy aktywuje się ta najbardziej niesamowita funkcja, powodująca, że nasz punkt widzenia całkowicie się zmienia. Podczas hamowania tył samochodu „siada", a przód podnosi się, o (wydaje się) z 10 cm, dzięki czemu przód jest wyżej niż tył. Analogicznie, podczas mocnego przyspieszania przód opuszcza się dramatycznie, tak, że widzimy zdecydowanie więcej asfaltu, niż powinniśmy, a tył się podnosi. Samochód również o kilka stopni pochyla się w kierunku zakrętu, gdy pokonujemy go z większą prędkością. To wszystko jest tylko i wyłącznie po to, aby zminimalizować siły oddziałujące na nasze ciała i spisuje się to na medal. To zawieszenie jest oczywiście dostępne w innych Porsche (tylko modelach e-hybrid lub elektrycznych), ale dopiero w Cayenne pokazuje, co potrafi, ze względu na wysokość i wielkość auta.

Opcja droga jak cholera, ale jeśli stać was na nią, to polecam gorąco – jest niesamowita.

Wrażenia

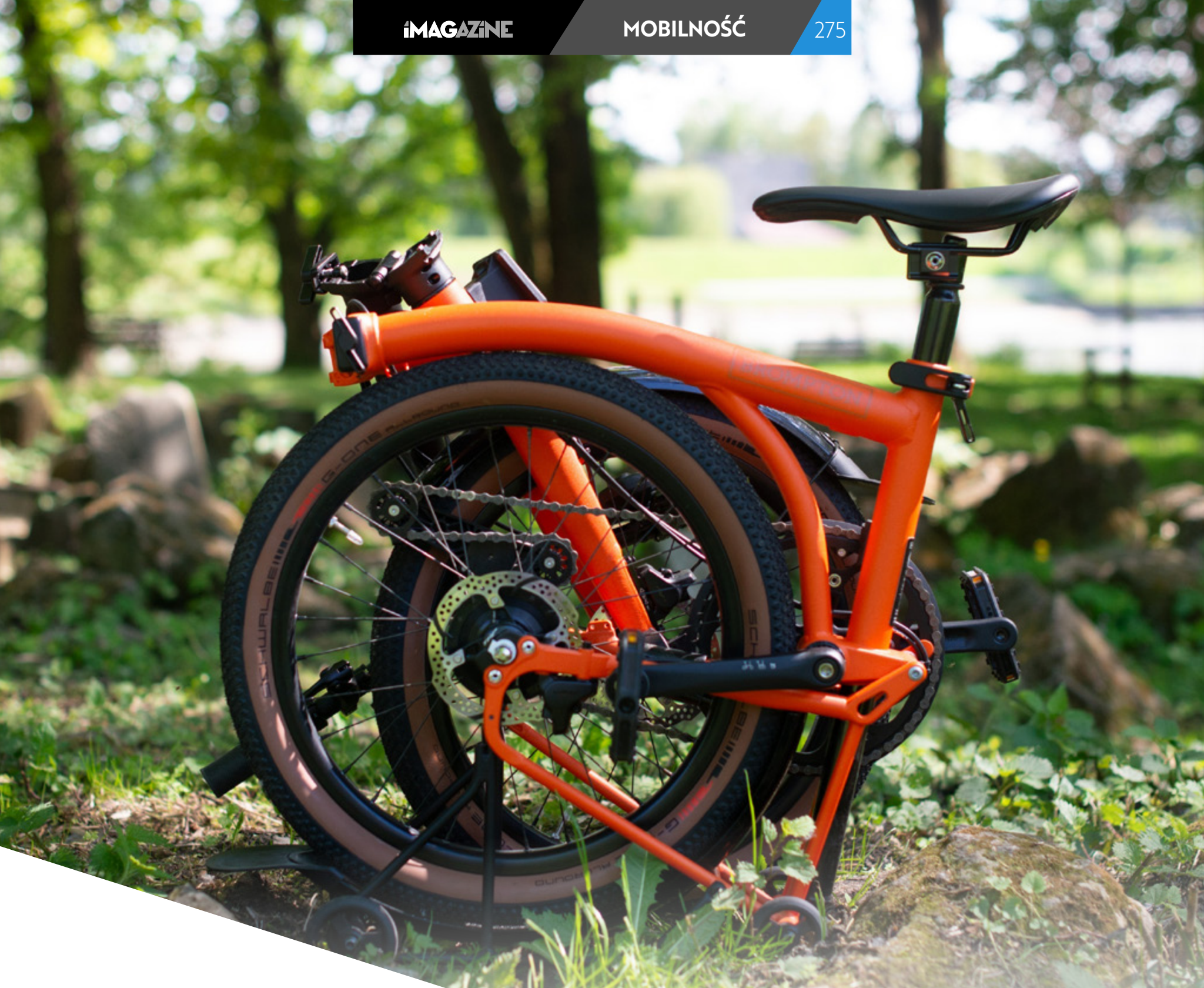
Niektórzy dziennikarze przekazywali mi spostrzeżenia na temat spadku jakości wykończenia wnętrza względem starszych modeli, ale albo nie pamiętam tych różnic, albo po prosto nie dostrzegłem niczego, co by mi przeszkadzało. Owszem, więcej opcji powinno być w standardzie, a same opcje powinny być sporo tańsze, ale moja żona podróż tym autem podsumowało następująco:

Idealne narzędzie do podróżowania w ciszy i komforcie na długich dystansach.

Od siebie dodam, że auto jest niesamowitym kameleonem – można go przełączyć w tryb komfortowy i płynąć po drogach do celu, a można go przełączyć w tryb Sport Plus, w którym zawieszenie się obniża i usztywnia, a my otrzymujemy zastrzyk adrenaliny. Zresztą to, jak to auto prowadzi się na zakrętach, pomimo swojej ogromnej masy przekraczającej 2,6 tony, jest niewyobrażalne – tylko Porsche potrafi tak zamaskować wagę auta i zapewnić osiągi przypominające zdecydowanie lżejsze i bardziej sportowe pojazdy.

A **jak chcecie podriftować**, to też się da.







NAPOLEON BRYL
@napoleonbryl

Brompton G Line
– składak, który wreszcie przestał przepraszać za to, że jest składakiem

Są rowery, które od pierwszej jazdy wydają się znajome. Wsiadasz i po kilku minutach dokładnie wiesz, czego się spodziewać. I jest Brompton.



Przez lata był zjawiskiem samym w sobie. Niewielki, błyskawicznie składany, idealny do pociągu, biura czy mieszkania w kamienicy bez windy. Jednocześnie każdy, kto spędził na klasycznym Bromptonie trochę więcej czasu, wiedział też, że jest to rower pełen kompromisów. Małe koła, specyficzne prowadzenie i ograniczenia wynikające z nadrzędnego celu, jakim była kompaktowość, ale o tym następnym razem.

Potem pojawił się Brompton G Line i nagle okazało się, że ktoś w Londynie zadał niewygodne pytanie: „A gdyby zrobić Bromptona, który przede wszystkim dobrze jeździ?".

Pierwsze wrażenie: to nie wygląda jak Brompton. Przynajmniej nie taki, do jakiego przywykliśmy. G Line jest większy. Wyraźnie większy. Zamiast charakterystycznych 16-calowych kół pojawiły się koła 20-calowe. Do tego szerokie opony Schwalbe, szersza kierownica, nowa geometria i hydrauliczne hamulce tarczowe. Całość sprawia wrażenie bardziej miniaturowego gravela niż klasycznego składaka. Kiedy pierwszy raz stawia się go obok tradycyjnego Bromptona C Line, różnica jest ogromna. To nadal składany rower, ale już nie taki, który wygląda jak sprzęt podporządkowany wyłącznie transportowi

multimodalnemu. Największa zmiana? Komfort. Przez lata największą zaletą Bromptonów było to, że można było je wnieść wszędzie. Największą wadą było natomiast to, że jechało się na niewielkich kołach i dłuższe dystanse, powiedzymy jednorazowo ponad 10 km, były dla naprawdę wytrwałych. Klasyczny Brompton jest świetny w mieście. Ale studzienki, kostka brukowa, tory tramwajowe czy kiepskiej jakości asfalt zawsze przypominały, że jedziemy rowerem o bardzo małych kołach. G Line zmienia tę historię niemal całkowicie. Większe koła, szerokie, dwucalowe opony i nowa geometria sprawiają, że rower płynie po nierównościach z zaskakującą lekkością. Dziury, krawężniki, szuter, leśne dukty czy nadwiślańskie ścieżki przestają być przeszkodą wymagającą szczególnej uwagi. To pierwszy Brompton, na którym można po prostu patrzeć przed siebie i jechać. Brzmi banalnie, ale każdy użytkownik mniejszych modeli zrozumie, o co chodzi. Wreszcie można zjechać z asfaltu. Marketing mówi o gravelowym DNA. Na szczęście nie oznacza to, że nagle mamy maszynę do wyścigów po kamieniach i błocie. G Line nie jest typowym gravelem. To nadal składany rower. Ale jest pierwszym Bromptonem, który naprawdę nie boi się szutru. Szerokie opony, większa stabilność i przewidywalne prowadzenie sprawiają, że ścieżki leśne czy drogi gruntowe stają się naturalnym środowiskiem jazdy. Dla wielu użytkowników będzie to największa zmiana. Bo nagle nie trzeba już



zastanawiać się, czy trasa na mapie przypadkiem nie kończy się odcinkiem nieutwardzonej drogi. Hamulce, które nie znają słowa „kompromis". Przez lata tarczówki były jednym z elementów, którego w Bromptonach brakowało najbardziej. W G Line wreszcie się pojawiły. Hydrauliczne hamulce tarczowe działają dokładnie tak, jak powinny działać dobre hamulce: nie zwracają na siebie uwagi. Są mocne, przewidywalne i pewne w deszczu. Przy większych kołach i wyższych prędkościach zjazdowych dodają sporo pewności siebie. Zwłaszcza osobom, które dotychczas korzystały z klasycznych składaków. Napęd dla normalnych ludzi. W podstawowej wersji G Line korzysta z piasty Shimano Alfine 8. To rozwiązanie wyjątkowo dobrze pasuje do charakteru tego roweru. Biegi zmieniają się płynnie, napęd jest mało wymagający w obsłudze, a zakres przełożeń wystarcza zarówno do miasta, jak i na weekendowe wycieczki. Nie jest to sprzęt dla osób ścigających się na średnią prędkość. To rower dla tych, którzy chcą po prostu jechać. Ale przecież ma się składać... No właśnie. I tutaj dochodzimy do największego paradoksu G Line. To prawdopodobnie najlepszy rower, jaki Brompton kiedykolwiek stworzył pod względem właściwości jezdnych. Jednocześnie jest to jeden z najmniej bromptonowych Bromptonów.





Większa rama, większe koła i większa masa oznaczają, że po złożeniu zajmuje więcej miejsca niż klasyczne modele. Waży także zauważalnie więcej. Zwłaszcza jeżeli porównamy z modelami wykorzystującymi elementy karbonowe lub tytanowe. Jeśli codziennie nosicie rower po schodach, wkładacie go pod biurko i kilka razy dziennie składacie do pociągu, tradycyjny C Line lub P Line nadal może być lepszym wyborem. G Line nie wygrywa konkurencji na najmniejszą paczkę. Wygrywa konkurencję na najlepszą jazdę.

Dla kogo jest G Line?

Moim zdaniem przede wszystkim dla osób, które zawsze chciały mieć Bromptona, ale nigdy do końca nie mogły zaakceptować jego kompromisów.

Dla mieszkańca miasta, który: dojeżdża do pracy rowerem, czasem zabiera go do

pociągu, lubi dłuższe wycieczki, nie chce zawracać przed szutrową drogą, oczekuje komfortu zbliżonego do pełnowymiarowego roweru. Szuka kompaktowego roweru, który zabierze jachtem, kamperem ze sobą na wyjazd. G Line nadal zajmuje dużo mniej miejsca niż tradycyjny rower, a nie boi się jazdy w terenie, bo nigdy nie wiadomo dokąd dojedziemy. Właśnie wtedy G Line zaczyna mieć ogromny sens.To nie jest najbardziej kompaktowy Brompton.To nie jest najlżejszy Brompton. To nie jest też najbardziej klasyczny Brompton. O klasycznym C-Line już niedługo.

Jest za to pierwszym Bromptonem, na którym momentami zapomina się, że jedzie się składakiem. A to prawdopodobnie największy komplement, jaki można mu wystawić. Po latach dopracowywania mechanizmu składania Brytyjczycy stworzyli rower, który przypomina, że składak może być nie tylko praktyczny. Może być również po prostu bardzo dobrym rowerem.

Za udostępnienie G-Line do testów dziękuje www.alerower.pl



Jaki rower wybrać, by bezpiecznie przewozić małe dziecko?

1/2



www.roweremzdzieckiem.pl



2/3
Jak przygotować rower do przewozu dzieci?

#bikewithkids

3/3
Jak jeździć z dzieckiem na rowerze?





DOMINIK ŁADA
@dominiklada

Choclift zamienia iPhone'a w dodatkowy interfejs do pracy z Makiem

Choclift to aplikacja, która pozwala używać iPhone'a jako dodatkowego panelu sterowania dla Maca. Jej twórcy opisują ją jako „trzeci interfejs" w zestawie z komputerem, obok klawiatury i gładzika. Pomysł jest prosty: najczęściej używane aplikacje, skróty Apple Shortcuts oraz strony internetowe można uruchamiać z poziomu iPhone'a jednym dotknięciem.

Aplikacje, skróty i strony pod ręką

Choclift pozwala błyskawicznie uruchamiać i przełączać aplikacje na Macu z poziomu iPhone'a. Aplikacja obsługuje również Apple Shortcuts, które można dodawać do własnego paska, oznaczać emoji i wywoływać bezpośrednio z telefonu.





Ciekawie wygląda też obsługa ostatnio otwieranych aplikacji. Zamiast klasycznego przełączania Cmd+Tab, użytkownik może wrócić do wybranej aplikacji z osi ostatnich aktywności i przypiąć ulubione pozycje na początku listy. Choclift pozwala również tworzyć do ośmiu stron roboczych, dzięki czemu osobne układy można przygotować na przykład do pracy, komunikacji, nagrywania czy automatyzacji.

Gesty i lokalne działanie

Aplikacja obsługuje gesty, między innymi do minimalizowania i maksymalizowania aplikacji, a także gest „grab and throw", który służy do kopiowania i wklejania treści do schowka. Konfiguracja ma być prosta: wystarczy pobrać aplikację na iPhone'a i Maca, a następnie wpisać na telefonie kod PIN wyświetlany na komputerze.

W polityce prywatności twórcy podkreślają, że Choclift nie zbiera ani nie przechowuje danych osobowych, nie korzysta z kont użytkowników, analityki, śledzenia ani danych lokalizacji. Komunikacja między iPhone'em i Makiem odbywa się bezpośrednio między urządzeniami, z użyciem jednorazowego kodu do parowania, bez centralnego serwera.

Choclift 2.1 jest już dostępny

Aktualna wersja aplikacji to Choclift 2.1. Program wymaga instalacji zarówno na macOS, jak i iOS. Za projekt odpowiada Phil Traut, a aplikacja została rozwinięta przy współpracy z bitglow oraz BE-DEV.

Choclift do pobrania na macOS
Choclift do pobrania na iOS





PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Mixtape

Czasem zwyczajnie potrzebuję gry, która zamiast rzucać mi wyzwanie, zaoferuje spójną, podnoszącą na duchu historię. Właśnie czymś takim jest Mixtape. To krótka, nostalgiczna podróż, w której uczucia i muzyka grają pierwsze skrzypce.



Historia opowiadana w Mixtape jest prosta, lekka, ale i dość przewidywalna. Rezonuje z naszymi wspomnieniami tym mocniej, im bliżej naszej własnej młodości do lat dziewięćdziesiątych i ówczesnej amerykańskiej popkultury. Amerykanie dobijający obecnie do czterdziestki to wręcz idealny odbiorca tej produkcji, ale bez obaw, będąc w podobnym wieku, odnalazłem w tym tytule mnóstwo motywów, które sam doskonale pamiętam ze swoich nastoletnich lat. Mixtape opowiada o trójce nastoletnich przyjaciół, których lada dzień czeka rozstanie. Główna bohaterka opowieści, Stacey, wyjeżdża z rodzinnej miejscowości do Nowego Jorku. Bohaterowie chcą spędzić ostatni wieczór na imprezie, ale to nie ona jest tu najistotniejsza. Pierwsze skrzypce grają emocje towarzyszące bohaterom w związku z nadchodzącą rozłąką. Gra obfituje w retrospekcje, pokazujące



wydarzenia kształtujące relacje między nimi. Pomimo skakania w czasie pomiędzy różnymi momentami życia bohaterów ani przez chwilę nie gubiłem wątku, nie miałem też poczucia, że któryś z elementów jest zbędny. Wręcz przeciwnie: Mixtape bardzo dobrze prowadzi narrację przez całą grę, balansując kluczowe wydarzenia z momentami wytchnienia.

Opowiadanie historii to nie jedyny mocny element Mixtape, bo zarówno muzyka, jak i oprawa graficzna zapadają w pamięć, i to z wielu przyczyn. W grze słyszymy ponad dwadzieścia licencjonowanych utworów i są one w niej mocno osadzone – Stacey opowiada o nich, nawiązują one bezpośrednio do tego, co aktualnie się dzieje. Mamy tu zarówno bardziej znaną muzykę, jak i kawałki zupełnie nierozpoznawalne,



twórcy postarali się, by nawet mocno osłuchane osoby mogły poczuć się zaskoczone. Muzyka jest też doskonale wpasowana w grę od strony technicznej, utwory, które trwają kilka minut, w Mixtape rozciągnięte są tak, by wybrzmiewać do końca sceny, nawet gdy to my decydujemy o tym, jak długo będzie trwała. Graficznie tytuł przypomina mi mocno ostatnie animowane filmy o Spider-Manie. Postacie są bardzo smukłe, a ich animacja ma zdecydowanie mniej klatek, niż otoczenie. Początkowo efekt ten może nieco przeszkadzać, ale sam nie mam z nim problemu. Uważam wręcz, że podnosi atrakcyjność wizualną tego tytułu.

Granie w Mixtape to bardziej doświadczenie niż faktyczna rozgrywka. Owszem, raz po raz przejmujemy kontrolę nad wydarzeniami, ale zazwyczaj jeździmy na deskorolce po z góry ustalonej trasie, chodzimy po niewielkich lokacjach czy oglądamy przedmioty. Równie często pojawiają się minigry, od malowania drzwi, przez udawanie kaijū, po strzelanie z procy czy latanie nad łąkami. Mixtape przemyciło też jedną z najbardziej obrazowych, wręcz anatomicznych scen pocałunku, jakie kiedykolwiek można było zobaczyć w grach. Wszystkie te mechaniki są jednorazowe, i choć żadna z nich nie

wydaje się zbyt złożona, to nie sposób nie docenić pomysłowości twórców i ich wkładu pracy w to, by każda z nich właściwie zadziałała.

W ciągu trzech godzin, jakie zajęło mi Mixtape, tytuł zdążył opowiedzieć trochę przewidywalną, ale bardzo przyjemną w odbiorze historię znacznie lepiej, niż robią to znacznie dłuższe i droższe w produkcji gry. Zmieniająca się rozgrywka, przeplatana nieskończonymi dialogami i okraszona doskonałą muzyką, tworzą połączenie będące bardziej interaktywnym filmem niż grą. To nie pierwszy tytuł, w którym rozgrywki jest stosunkowo mało, a mimo tego nie sposób się od niego oderwać. Polecam, zwłaszcza na ciepły, letni wieczór, szczególnie jeśli korzystacie z Game Passa.



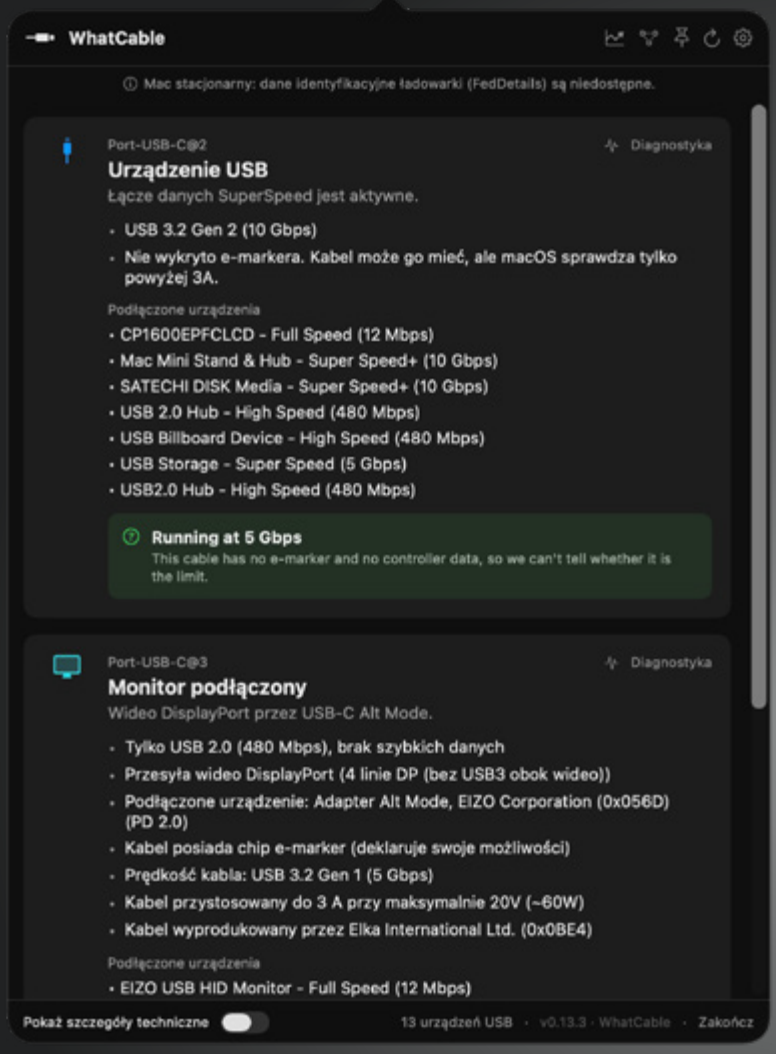
MACIEJ SKRZYPCZAK
@mskrzypczak

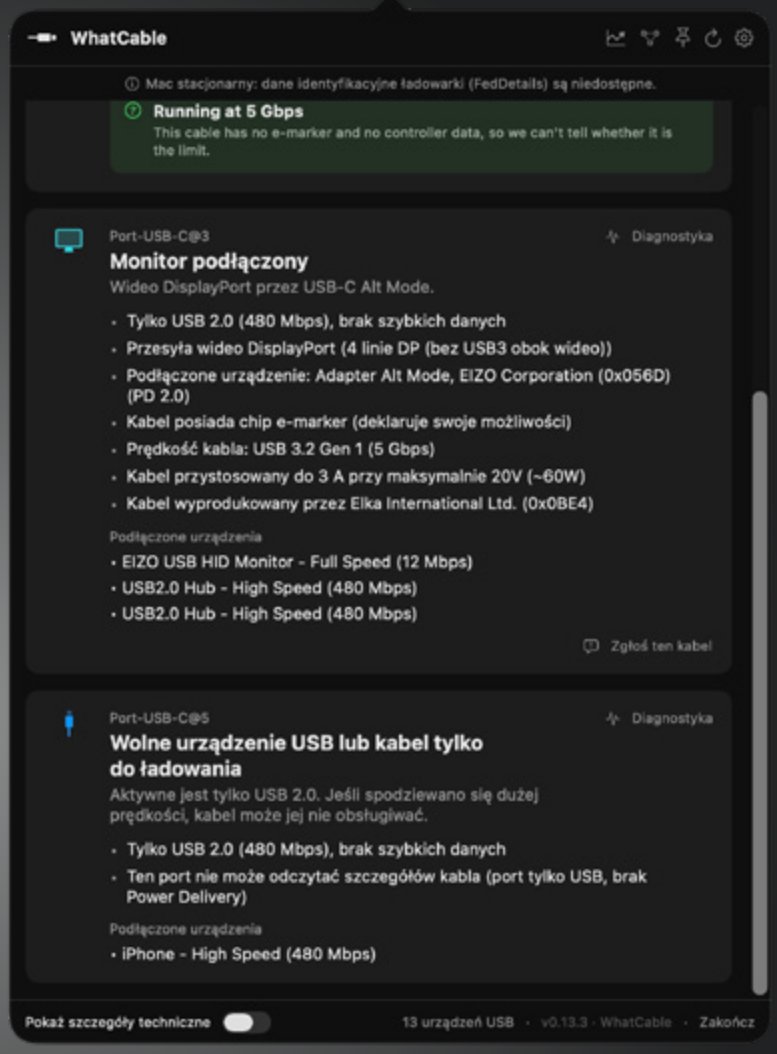
Jak ogarnąć kable USB-C

Na początku był chaos… Każde urządzenie miało swój standard kabla do przesyłania danych. Dziś mamy do tego jeden kabel – USB-C i… nadal panuje chaos. Jak sobie z nim poradzić?

W gruncie rzeczy termin USB-C wskazuje dziś w uproszczeniu na kształt wtyczki. Kabel, jaki jest, każdy widzi. Ale równie dobrze może obsługiwać standard USB2.0, USB4, Thunderbolt 4 czy jeszcze inne. Do tego może oferować możliwości ładowania z różną mocą. Jak odnaleźć się w gąszczu kabli?

Pomoc oferuje darmowe narzędzie WhatCable. Dostępne z poziomu paska menu lub Docka jest w stanie pokazać nam wszystkie niezbędne dane w przystępny sposób. Dodatkowo w przypadku MagSafe informuje nas o profilu zasilania.





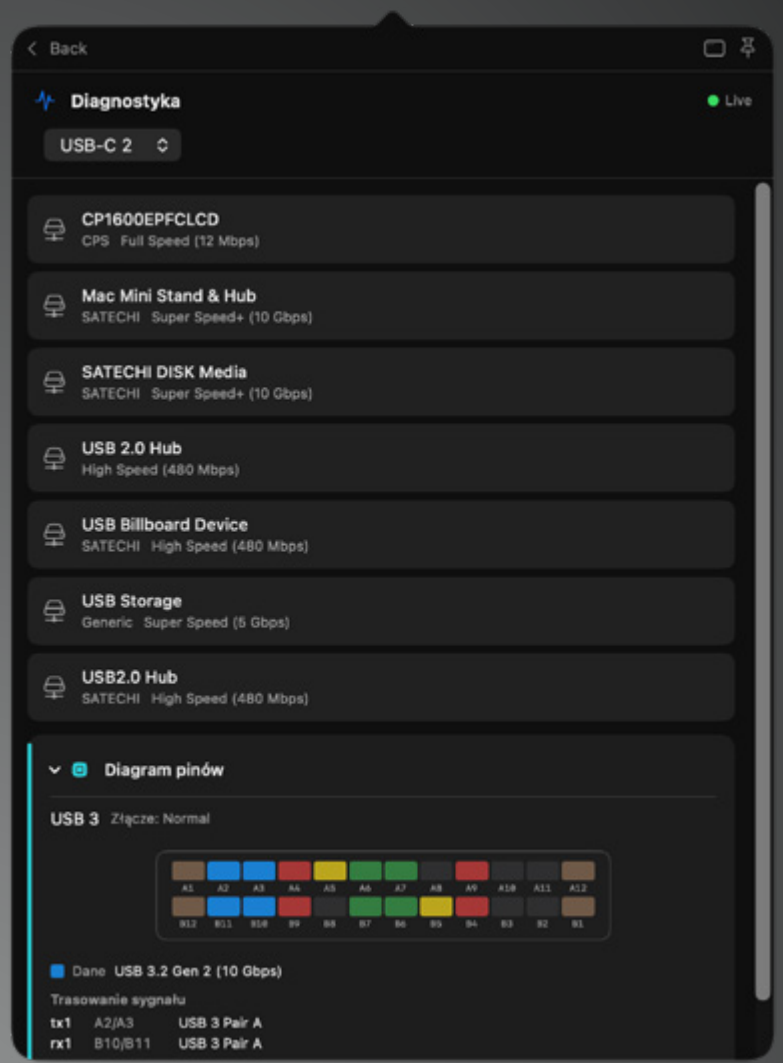
Aplikacja wskazuje również, co może być przyczyną niskiej prędkości transmisji danych – port Mac, kabel, a może urządzenie.

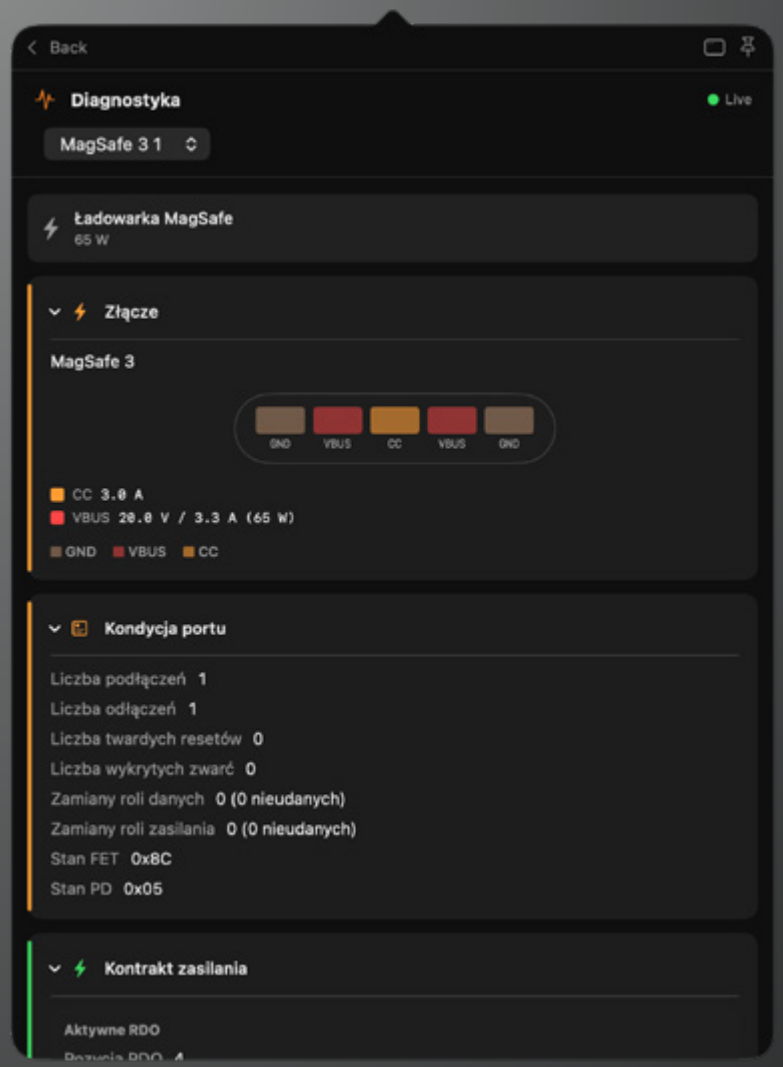
WhatCable wykrywa nawet huby wraz z podłączonymi do nich urządzeniami.

Aplikacja jest open source i można zainstalować ją albo pobierając archiwum z programem, albo przy pomocy Homebrew.

Wszystkie najprzydatniejsze informacje są dostępne w pełni za darmo. Jeśli jednak ktoś potrzebuje nieco więcej, jak choćby diagnostykę, pomiary napięcia na żywo i inne – te opcje są oferowane w wersji Pro, której zakup jest jednorazowy i kosztuje 4,99 GBP, czyli jakieś 25 złotych.

Aplikacja jest bardzo dynamicznie rozwijana. W ciągu dwóch dni, od kiedy ją zainstalowałem, pojawiło się kilka różnych aktualizacji.







BOCZEMUNIE.PL/EBOOK

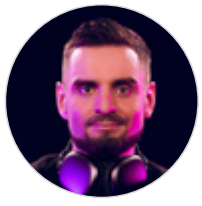
ODBIERZ E-BOOKA



REKOMENDOWANY PRZEZ:

iMAGAZiNE





KRZYSZTOF KOŁACZ
@kolaczkrzysztof

Co mówi nam pierwsza encyklika Leona XIV?

Bez względu na wyznanie, pierwszą encyklikę Leona XIV powinien przeczytać każdy, kto korzysta i żyje w świecie technologii. Dlaczego?

Czym jest ten dokument i dlaczego robi wrażenie?

25 maja 2025 roku Watykan opublikował „Magnifica Humanitas" – „Wspaniałe człowieczeństwo" – pierwszą encyklikę papieża Leona XIV. Data nie jest przypadkowa: papież podpisał ją 15 maja, dokładnie w 135. rocznicę „Rerum Novarum" Leona XIII, który odpowiadał na rewolucję przemysłową XIX wieku. Leon XIV robi to samo, tyle że wobec rewolucji cyfrowej i AI.

To encyklika bezprecedensowa z kilku powodów. Po raz pierwszy w historii papież osobiście uczestniczył w watykańskiej konferencji prasowej towarzyszącej publikacji dokumentu kościelnego. Zrobił to, stojąc obok Christophera Olacha – współzałożyciela Anthropica, firmy tworzącej Claude'a. Watykaniści są zgodni: pierwsza encyklika wyznacza priorytety całego pontyfikatu, a Leon XIV wybrał wpływ AI na człowieka.

Nie AI, lecz człowiek w epoce AI

Wbrew pozorom tytuł „Wspaniałe człowieczeństwo" mówi wszystko. Encyklika nie jest technicznym komentarzem do modeli językowych – to filozoficzny i antropologiczny manifest. Centralnym pytaniem jest:

Kim stajemy się w świecie zdominowanym przez algorytmy?

Papież nie boi się zbuntowanych maszyn z filmów science-fiction. Jego obawa jest bardziej przyziemna i przez to bardziej przerażająca: że człowiek upodobni się do maszyny – że kultura algorytmiczna sprowadzi naszą podmiotowość do danych, nawykowych reakcji i łatwych do przewidzenia zachowań, zabijając zdolność do samodzielnego myślenia, wyborów moralnych i autentycznych relacji. AI, pisze Leon, może uśpić to, co w nas najważniejsze.

Technologia: ani zło, ani zbawienie

Leon XIV nie jest „antyszczepionkowcem cyfryzacji". Papież wprost pisze, że technologia może leczyć, łączyć, wychowywać i chronić wspólny dom. Jednocześnie dodaje, że nie jest neutralna – przyjmuje oblicze tych, którzy ją projektują, finansują i regulują. Technologia jest głęboko ludzką działalnością, wpisaną w historię autonomii człowieka, ale dziś jej potęga i wszechobecność wnikają w tkankę codzienności w sposób, który wymaga twardych ram etycznych.

Technologia jest głęboko ludzką działalnością, wpisaną w historię autonomii człowieka, ale dziś jej potęga i wszechobecność wnikają w tkankę codzienności w sposób, który wymaga twardych ram etycznych.

Osią narracyjną encykliki jest biblijna metafora: albo budujemy nową wieżę Babel (technologia narzucana, dzieląca, nieprzejrzysta, służąca monopolom), albo odbudowujemy Jerozolimę – miasto zbudowane przez wspólnotę, przez konsultacje, przez małe wytrwałe akty solidarności. Wieża Babel to algorytmy mediów społecznościowych podbijające emocje. Jerozolima to współpraca w imię wspólnego celu.

Monopole, kolonializm cyfrowy i prawa pracowników

Tu papież jest naprawdę ostry – i jak komentuje publicysta Tomasz Terlikowski – to wynika wprost z jego biografii: Leon XIV większość pracy duszpasterskiej spędził w Peru i doskonale wie, jak wielkie korporacje działają w krajach Globalnego Południa.

Encyklika mówi wprost o nowych formach niewolnictwa. Własność danych nie może być powierzona wyłącznie podmiotom prywatnym. Gdy władza koncentruje się w nielicznych rękach, staje się nieprzejrzysta i wymyka spod kontroli. AI powiela i wzmacnia władzę tych, którzy już mają zasoby i dane. Obecny model to zdaniem papieża cyfrowy kolonializm – zamiast przejmowania terytoriów i ludzi, przejmuje się dane zdrowotne, profile epidemiologiczne, mapy genetyczne.

Leon wzywa też do wzmacniania związków zawodowych w erze automatyzacji, bo bez tego grozi „większe ubóstwo i większe nierówności z rzeszą wykluczonych otoczonych przez maszyny".

Broń autonomiczna: twarda granica

Kościół od 2013 roku krytykuje autonomiczne systemy bojowe i wzywa do globalnego moratorium. W encyklice Leon idzie dalej:

„Nie istnieje żaden algorytm, który mógłby uczynić wojnę moralnie dopuszczalną".

Jeśli algorytm podejmuje decyzje o życiu i śmierci, a człowiek jedynie zatwierdza je w ułamku sekundy – nie ma już mowy o podmiotowości moralnej. Ktoś stworzył system, ktoś go zatwierdził, ktoś użył: odpowiedzialność nie znika tylko dlatego, że zastąpiono człowieka kodem.

Tu pojawia się wyraźna aluzja do konfliktu Anthropica z Pentagonem – firma odmówiła dostarczania modeli do automatyzacji pola walki, podczas gdy OpenAI skwapliwie to miejsce zajął.

> „Nie istnieje żaden algorytm, który mógłby uczynić wojnę moralnie dopuszczalną".

Transhumanizm i posthumanizm: nie tędy droga

Encyklika krytykuje nurty obiecujące człowiekowi wzmocnienie technologią lub fuzję z maszyną. Z perspektywy chrześcijańskiej ból, cierpienie, starzenie się i śmierć są immanentnie wpisane w człowieczeństwo – i papież twierdzi, że próba ich eliminacji to w istocie antyhumanizm. Cielesność jest integralną częścią tego, czym jesteśmy – nie można „przerzucić człowieka na twardy dysk".

Co ciekawe, Leon powołuje się na Tolkiena – pisarza głęboko katolickiego – i przywołuje słowa Gandalfa o odpowiedzialności za swoją epokę. To celowy gest: odbiera Tolkiena z rąk środowisk technolibertariańskich (Peter Thiel, Palantir), które czyniły z jego twórczości symbol własnej ideologii.

Ekologia, dezinformacja, rodzina

Encyklika dotyka też kosztów środowiskowych AI – ogromnego zużycia energii i wody przez centra danych. Papież wzywa do „ekologii komunikacji": ochrony danych osobowych, przejrzystości algorytmów, wspierania rzetelnego dziennikarstwa i edukacji krytycznej wobec technologii. Rodzice, zauważa Leon, nie są w stanie samodzielnie opierać się modelom biznesowym żyjącym z uwagi – państwo musi ich wspierać regulacjami dostępu do usług cyfrowych.

Kto stał za encykliką?

Obok Olacha z Anthropica kluczowe role odegrali: kardynał Czerny (specjalista od globalnych nierówności), akademiczka Anna Roland z Durham University (która przekonała Watykan, że AI nie da się omawiać bez geopolityki, uchodźców i handlu ludźmi), jezuicka uczona Leo Caldilu Somombo z perspektywą postkolonialną, oraz – postać niemal filmowa – ksiądz Brendan McGuire, irlandzko-amerykański proboszcz z Kalifornii, który zanim założył sutannę był inżynierem w Dolinie Krzemowej i pomagał Anthropicowi pisać „etyczną konstytucję" dla Claude'a.

Relacje Watykanu z Doliną Krzemową trwają od 2016 roku, kiedy w San Francisco francuski dominikanin ojciec Erik Salobir spotkał się z ludźmi z branży ostrzegającymi przed „poznawczą rewolucją przemysłową". Od tej pory odbywają się comiesięczne spotkania, „Dialogi Minerwy", platformy akademickie – i nieustanny soft lobbying bigtechów w Watykanie, bo Meta, Google, Amazon, OpenAI regularnie tłumaczą watykańskim urzędnikom, jak chronią dzieci przed AI.

Na co to wszystko?

Terlikowski celnie podsumowuje: encyklika nie jest pisana po to, by nawrócić Sama Altmana. Jest narzędziem dla polityków – szczególnie tych identyfikujących się z myślą chrześcijańską lub widzących podobne zagrożenia, którzy potrzebują intelektualnej i moralnej podstawy do działania. Jeśli pod jej wpływem skuteczniej opodatkuje się globalne korporacje, zawalczy o godziwe wynagrodzenia dla pracowników platform, przywróci człowieka tam, gdzie dziś decyduje algorytm – to będzie zmiana na lepsze.

Finalne wezwanie Leona XIV to: rozbroić AI – nie zniszczyć, nie zakazać, ale wyrwać z logiki zbrojnej rywalizacji i monopoli, a uczynić ją przedmiotem debaty i sprzeciwu, przywrócić wielości ludzkich kultur.

„Rozbroić nie znaczy wyrzeknąć się panowania nad tym, co ludzkie. Znaczy wyzwolić je spod monopoli i uczynić przestrzenią przyjazną ludziom".

Warto przeczytać w całości, a jeśli szukacie przystępnego skrótu – **polecam ten odcinek podcastu Techstorie**.



Podcast

bo czemu nie?

O TECHNOLOGII I NAS SAMYCH

zaprasza: Krzysztof Kołacz

REKOMENDOWANY PRZEZ:

iMAGAZiNE



KRZYSZTOF KOŁACZ
@kolaczkrzysztof

Co dla Apple znaczy AI?

Siri AI nie będzie twoją dziewczyną. Na szczęście!

Planeta Abstrakcja

Najpierw miałem sobie odpuścić ten felieton. Po długim odcinku podcastu i jeszcze dłuższym wydaniu newslettera „Bo czemu nie?", stwierdziłem, że wszystko już skomentowałem. Przynajmniej do września, bowiem do premiery nowych iPhone'ów i zapowiedzianych podczas **WWDC 2026** systemów od Apple może jeszcze wydarzyć się całkiem sporo. Na przykład zapowiedziane przez Tima Cooka **podwyżki cen**.
A potem obejrzałem z żoną, w ramach sobotniej chwili dla siebie, nowy odcinek od załogi kanału podróżniczego „Planeta Abstrakcja".



Ola i Borys odwiedzili w Chinach fabrykę humanoidalnych robotów, które nie tylko wyglądają już jak my – ludzie, ale nawet faktura czy temperatura ich skóry potrafi się zmieniać i jest oszałamiająco podobna do ludzkiej. Polecam, choć lojalnie ostrzegam, że nie jest to łatwy seans, zwłaszcza gdy jako (zakładam) fani technologii zdajecie sobie sprawę choć z części zagrożeń związanych z galopującą obecnie rewolucją AI. Cały materiał pokazuje wprost, jak wielki postęp zrobiły w ostatnich latach Chiny względem nie tylko Europy, ale także USA. Oczywiście ten postęp okupiony jest danymi. Coraz częściej naszymi danymi, bowiem liczba chińskich produktów, która trafia także do Polski, tylko rośnie.

W tle mamy dziesięciolecia historii niczym nieposkromionego wręcz kapitału, który płynął do Państwa Środka przede wszystkim z USA. Samo tylko Apple ma większy wpływ na tworzenie miejsc pracy w Chinach niż całe Chiny na zatrudnienie w Ameryce (uwzględniając w tym problemy z łańcuchami dostaw i konfliktami geopolitycznymi). Tim Cook dosłownie

Dziś mamy ten moment w historii, w którym Chiny zaczynają odcinać kupony i przestają być wyrobnikiem, a zaczynają liderem na wielu rynkach.

wyszkolił ponad 20 milionów Chińczyków, przez co teraz szuka ucieczki i dywersyfikuje łańcuch dostaw i produkcji. Jak czytamy w książce „Apple w Chinach" Patricka McGee, wydanej niedawno w Polsce, samo „wytwarzanie iPhone'a w Państwie Środka odbywa się na 200 liniach produkcyjnych, a na każdej z nich powstaje średnio 3330 smartfonów dziennie – łącznie prawie ćwierć miliarda rocznie". Zachód dał Chinom wizję swoich inżynierów (których w absurdalnych liczbach przesiedlano na długie lata choćby do rodzącego się Shenzhen), a Chiny dały Zachodowi najdokładniejszy i najtańszy poziom masowej, powtarzalnej produkcji, przy okazji czerpiąc z wiedzy całymi garściami. Dziś mamy ten moment w historii, w którym Chiny zaczynają odcinać kupony i przestają być wyrobnikiem, a zaczynają być liderem na wielu rynkach. Elektromobilność (odsuwając na bok zagrożenia związane z prywatnością) jest tego dobitnym przykładem.

Gdy ogląda się wizję, taką jak ta, którą możecie zobaczyć w krótkim odcinku podróżniczego vloga Oli i Borysa, człowiek szybko uświadamia sobie, że nie ogląda science fiction, ale właśnie patrzy na świat tu i teraz, pomimo dzielącej Polskę od Chin odległości. Apple nie ma swojego humanoida i wątpię, aby kiedykolwiek John Ternus poszedł tą drogą, co nie wyklucza możliwości posiadania w portfolio domowego, robotycznego asystenta, o którym mówi się w plotkach od dawna. Tak czy owak już dziś, komentując zaprezentowaną podczas tegorocznego WWDC 2026 nową Siri AI, kierownictwo mówi wprost: AI ma służyć człowiekowi, a nie zastępować człowieka.

Sifi AI nie będzie twoją dziewczyną

Craig Federighi i Greg Joswiak w wywiadzie podczas WWDC jasno odcięli się od koncepcji Siri jako AI-companiona. Apple chce, by AI „znikało" w tle produktów i stawia na prywatność jako kluczową różnicę względem konkurencji. Szef inżynierii (Federighi) na pytanie, czy nowe Siri pozwoli stworzyć sobie cyfrowego partnera lub partnerkę, odpowiedział wprost:

„Absolutnie nie!".

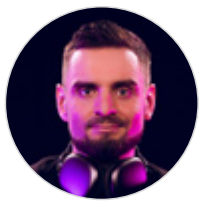
Wyjaśniając, że w przeciwieństwie do wielu istniejących chatbotów, które koncentrują się na zaangażowaniu i często wykazują tendencję do nadmiernej uległości wobec użytkownika, zachęcając go do ujawniania informacji o sobie, by na tej podstawie budować więź, Apple zaprojektowało Siri w zupełnie odwrotny sposób. Próba potraktowania Siri jako partnera romantycznego zakończy się odmową. Siri ma jasno komunikować:

„Nie jestem do tego stworzona, jestem tu, by pomóc ci coś zrobić i dowiedzieć się czegoś o świecie".

Joswiak dodał, że Apple nie robi AI dla samego AI, chodzi o to, jak sztuczna inteligencja może uczynić istniejące funkcje lepszymi, nie o efekt: „zobaczcie, my też mamy AI". Zaznaczył też, że użytkownicy nie powinni musieć stawać się „ekspertami od promptów", żeby korzystać z nowych funkcji – Apple chce wyjść im naprzeciw tam, gdzie już są. Federighi podkreślił przy tym, że podejście Apple do AI jest zorientowane na prywatność. Wskazał na istotną różnicę między tym, co wie twój iPhone, a tym, co wie Apple jako firma – dane pozostają na urządzeniu, pod kontrolą użytkownika, a Siri korzysta z nich wyłącznie dla niego. Apple nie ma do nich wglądu, co odróżnia firmę od większości graczy na rynku AI.



Najbliższa dekada pod rządami nowego CEO Johna Ternusa będzie tym czasem, w którym zarówno ja, inni komentujący świat technologii, ale przede wszystkim my wszyscy – klienci – powinniśmy wielokrotnie mówić „Sprawdzam!", rozliczając Apple z tych obietnic.



KRZYSZTOF KOŁACZ
@kolaczkrzysztof

Echo WWDC 2026

Podczas gdy chyba cały technologiczny świat skupił się na raptem dwóch wątkach, komentując tegoroczny tydzień konferencji WWDC 2026, w tym miejscu podejmę próbę zwrócenia waszej uwagi na to, co umknęło większości komentujących. Nowa Siri AI i brak porozumienia Apple z Unią Europejską skutecznie zamaskowały ostatni taniec Tima Cooka w roli CEO jednej z największych firm na świecie. To moment, po którym Apple może się zmienić – i zrobiło to już podczas WWDC 2026.

Ostatnia, czy pierwsza taka konferencja?

To, co rzuciło się w oczy już podczas oglądania Apple Event otwierającego tegoroczne święto osób programujących na platformy firmy z Cupertino, to inny format konferencji. Apple nie przedstawiało nowości w każdym z systemów operacyjnych działających w ramach portfolio ich produktów, system po systemie. Nie. Tym razem skupiono się na rozliczeniu niedowiezionej obietnicy sprzed dwóch lat, czyli Apple Intelligence w nowym wydaniu, wspartym możliwościami modeli Gemini od Google i nowej Siri AI, która dzięki temu mogła zostać w końcu zaprezentowana. Zrobiono to również inaczej, nie bojąc się dłuższego czasu oczekiwania na odpowiedź nowej wersji asystentki głosowej (choć już nie tylko głosowej!) z Cupertino, czego kompletnie nie uwzględniono w 2024 roku. Wówczas Siri na scenie, a właściwie to na filmie, który nam wyświetlono, działała w trybie sekundowym. Szybko okazało się, jak bardzo wówczas Apple rozminęło się z prawdą. Tym razem nie popełniono tego – dość oczywistego z punktu marketingowej narracji i kalkulacji ryzyka – błędu, a prezentujący Siri AI czekali na wykonanie przez nią poleceń dokładnie tyle samo czasu, co każdy beta tester nadchodzących systemów. To pierwsza, widoczna i odrobiona należycie przez załogę Tima Cooka lekcja.

Wracając do nowego sposobu prezentowania nowości, który media technologiczne zdążyły już dość ostro poddać w wątpliwość... Otóż Apple zrobiło to celowo, niejako zapowiadając to, dokąd zmierza cały ekosystem i my razem z nim. Przyszłość naznaczona jest obecnością sztucznej inteligencji, bez względu na to, kto ją dostarczy i o jakim producencie elektroniki użytkowej mówimy i piszemy. Apple już teraz wysyła do nas komunikat głoszący, że jutrzejsza wizja komputerów – bez względu na to, czy mówimy o okularach, zegarkach, telefonach smart czy klasycznych maszynach typu

Tym razem nie popełniono tego – dość oczywistego z punktu marketingowej narracji i kalkulacji ryzyka – błędu, a prezentujący Siri AI czekali na wykonanie przez nią poleceń dokładnie tyle samo czasu, co każdy beta tester nadchodzących systemów.

Mac – będzie skupiona na tym, gdzie i jak wprowadzimy w nasze życie właśnie AI. Prywatnie i zawodowo. A patrząc na to, że Apple posiada najbardziej spójny, częściowo zamknięty i zdecydowanie prywatny (co, jak wiemy, jest kością niezgody z Unią, przynajmniej według Apple.) ekosystem na świecie i ponad 2,5 miliarda aktywnych kont Apple – John Ternus zosta-

> Cook uratował Apple. Mało tego – uczynił je najlepiej zarabiającą firmą w historii konsumenckiej elektroniki użytkowej. Każdy, kto zna liczby, nie potrzebuje w tym temacie ani spektakularnych pożegnań, ani ckliwych klipów wideo.

nie CEO firmy, której fundamentem są usługi skrojone dla ekosystemu. Nie jeden produkt czy kategoria produktów. Nie jeden system, ale współzależność wszystkich systemów z Cupertino, która może być o wiele bardziej ścisła niż u jakiegokolwiek producenta elektroniki na rynku.

Poza tym Apple posiada najwierniejszą rzeszę użytkowników i nadal sporo „wyznawców", a zatem spokojnie może im oraz technologicznym mediom skupionym wokół nadgryzionych urządzeń zostawić opisanie wszystkiego tego, o czym nie da się powiedzieć w ciągu zaledwie godzinnej konferencji otwarcia WWDC. Sam naliczyłem ponad 500 nadchodzących nowości; oglądając dziesiątki sesji dla deweloperów – **nagrałem o tym 2-godzinny podcast, napisałem długie wydanie newslettera**, a to samo zrobiło sporo innych mediów z tej naszej bańki Apple. Dominik opisał swoje wrażenia po wizycie w Apple Park, gdzie na żywo testował już nadchodzące i dostępne tylko w USA nowości. Zatem naprawdę dość naturalne jest dla mnie to, że zarówno PR Apple, jak i każdy trzeźwo myślący tam pracownik, woleli postawić na zmianę wagi narracji prezentowanej światu i przygotować nas na nowe jutro. Nadal z Timem Cookiem w zarządzie, ale bez niego na pierwszym planie.

Akt pierwszy, czyli John Ternus

Nowy CEO Apple, który obejmie tę funkcję 1 września, był całkowicie niewidoczny w materiałach związanych z WWDC 2026. I tak właśnie miało być! Kompletnie nie rozumiem zdziwienia mediów tą sytuacją. To był ostatni taniec Tima Cooka, a i tak Apple potraktowało to bardzo łagodnie, bez zbędnego patosu i celebracji odchodzącego CEO, który zrobił dla tej firmy dokładnie tyle, ile mieści w sobie znaczeniowo czasownik „uratować". Cook uratował Apple. Mało tego – uczynił je najlepiej zarabiającą firmą w historii konsumenckiej elektroniki użytkowej. Każdy, kto zna liczby, nie potrzebuje w tym temacie ani spektakularnych pożegnań, ani ckliwych klipów wideo. Zarówno Dominik, jak i inne osoby, które były na miejscu w Cupertino 8 czerwca 2026 roku, potwierdzają, że łzy wzruszenia pojawiły się na twarzy Tima Cooka nie raz. To oczywiste.

Jedno jest dla mnie pewne – WWDC 2026 zamknęło pewną epokę, uchylając drzwi do kolejnej, w którą wkroczymy w pierwszych tygodniach września 2026 roku.

Tak samo jak jasny jest dla mnie fakt, że pierwsze One More Thing wypowiedziane od lat należy do Johna Ternusa i padnie zapewne we wrześniu, zapowiadając składanego iPhone'a Ultra. Czy na filmie, czy ze sceny Steve Jobs Theatre? Nie jestem pewien i wbrew temu, o czym piszą koledzy po fachu – nie zdziwię się i ciągle liczę na to, że Ternus wykorzysta swój moment w historii Apple, jeden z najważniejszych, aby przywrócić transmitowane na żywo wystąpienia sprzed pandemii. Jeżeli w ogóle kiedykolwiek Apple planuje wrócić do transmisji konferencji prowadzonych na żywo przez ich CEO i inne osoby, to jest ten jedyny, właściwy moment. Czas pokaże, czy mam rację...

Jedno jest dla mnie pewne – WWDC 2026 zamknęło pewną epokę, uchylając drzwi do kolejnej, w którą wkroczymy w pierwszych tygodniach września 2026 roku. Po 50 latach historii firmy, którą stworzyli w garażu dwaj buntownicy, pora na kolejne pół wieku?

Panie Ternus, nie zepsuj Pan tego!



DARIUSZ HAŁAS
@blob_tech

Maszyna predykcyjna i algorytm mistrza

Odrzućmy na chwilę romantyczne mity o wrodzonym talencie, boskiej iskrze i benzynie płynącej w żyłach. Kiedy obserwujemy Roberta Kubicę za kierownicą, z perspektywy nauki patrzymy na coś znacznie bardziej fascynującego niż tylko sportowy fenomen.

Wiele wskazuje na to, że układ nerwowy polskiego kierowcy pod wieloma względami działa podobnie do doskonale wytrenowanego modelu sztucznej inteligencji. Zrozumienie, jak biologia i fizyka ukształtowały ten umysł, pozwala pojąć, dlaczego rajdowy wypadek zniszczył ciało, ale nie zdołał wymazać genialnego algorytmu.

Dla przeciętnego fana motorsportu Formuła 1, 24h Le Mans, wyścigi długodystansowe (FIA WEC, ELMS) i inne, to przede wszystkim starcie inżynierów, speców od aerodynamiki i strategów, w którym kierowca jest wysoko wykwalifikowanym operatorem maszyny. W rzeczywistości kokpit bolidu to ekstremalny poligon doświadczalny dla ludzkiej neurobiologii. To środowisko, w którym czas przetwarzania danych i zdolność adaptacji do potężnych przeciążeń wyznaczają cienką granicę między mistrzostwem a rzemieślniczą przeciętnością.

Aby jednak zrozumieć, dlaczego niektórzy kierowcy potrafią dostrzec i poczuć na torze więcej, musimy na wstępie zburzyć największe złudzenie dotyczące naszego własnego organizmu. Nasz mózg nie jest wyłącznie maszyną reagującą na bodźce. Według najnowszych odkryć nauki (kognitywistyka, neuronauka obliczeniowa, neurobiologia i neurologia) w ogromnym stopniu działa jako system przewidujący to, co za chwilę się wydarzy. Gdyby było inaczej, ewolucja potknęłaby się o własne nogi już na etapie nauki chodzenia.

Życie w opóźnionej symulacji. Dlaczego mózg musi przewidywać?

Podczas jednego ze swoich publicznych wykładów profesor Marek Kaczmarzyk, uznany biolog i neurodydaktyk, zarysował koncepcję, która dosłownie wywraca do góry nogami nasze laickie postrzeganie świata. Zwrócił on uwagę na istotny fizyczny fakt: bodźce ze środowiska zewnętrznego – światło padające na siatkówkę, dźwięk uderzający w bębenki czy zmiana ciśnienia rejestrowana przez błędnik – potrzebują czasu, by dotrzeć do ośrodkowego układu nerwowego i zostać zdekodowane, przetworzone, by mózg następnie wypracował stosowny sygnał np. do układu mięśniowego (reakcję). W świecie biologii nic nie dzieje się natychmiast.

Jak celnie ujął to profesor, rzeczywistość, której świadomie doświadczamy w danej chwili, jest de facto obrazem tego, co nasz mózg zakładał,

że się wydarzy, na podstawie danych zebranych ułamek sekundy wcześniej. Gdybyśmy polegali wyłącznie na „czystym" i spóźnionym sygnale z naszych zmysłów, zwykły spacer po chodniku kończyłby się upadkiem. Zanim impuls o utracie równowagi dotarłby z błędnika do kory mózgowej, a stamtąd do mięśni korygujących postawę, leżelibyśmy już na ziemi. Właśnie dlatego ewolucja ukształtowała ludzki mózg w model maszyny predykcyjnej (predictive processing). On nie tyle biernie analizuje obecną chwilę, co nieustannie symuluje najbliższą przyszłość, na bieżąco korygując ewentualne błędy pomiarowe napływającymi danymi.

I w tym zjawisku leży klucz do zrozumienia różnicy między dobrym kierowcą a wybitnym mistrzem. Dobry zawodnik reaguje na uślizg tylnej osi, gdy ten już w sposób oczywisty się rozpocznie. Mózg mistrza – za sprawą wybitnie nastrojonej neurobiologicznej predykcji – buduje tak trafne przewidywania zachowania samochodu, że korekta następuje praktycznie natychmiast po pojawieniu się pierwszych, niezwykle subtelnych sygnałów ze strony opon.



Najbardziej paliwożerny silnik świata

Jak jednak wykalibrować taki biologiczny komputer do precyzyjnej pracy w ekstremalnych warunkach wyścigowych? Odpowiedź kryje się w procesach zachodzących u nas we wczesnym dzieciństwie.

Ludzki mózg, choć stanowi średnio zaledwie około 2 procent masy ciała dorosłego człowieka, w spoczynku pożera nawet 20 procent całkowitej energii organizmu. U małego dziecka te proporcje są jeszcze bardziej drastyczne (od ok. 43 do nawet 66% całkowitej energii spoczynkowej organizmu!). Mózg kilkulatka posiada strukturalnie hipergęste sieci połączeń synaptycznych. Każde nowe doświadczenie, każdy upadek i dźwięk tworzą w nim gąszcz nowych, biologicznych „kabli".

Profesor Kaczmarzyk wskazuje tu na fascynujący, wręcz inżynieryjny kompromis natury. Gdyby dorosły człowiek dysponował tak gęstą siecią neuronów jak małe dziecko, nie istniałby ludzki układ trawienny zdolny dostarczyć z pożywienia wystarczającej ilości kalorii do jego zasilenia. Nasze żołądki i jelita po prostu fizycznie by tego nie przetworzyły. Utrzymanie tak gigantycznej infrastruktury obliczeniowej doprowadziłoby dorosły organizm do szybkiej śmierci głodowej. Ale jakoś nie umieramy od myślenia. Dlaczego?

Czas bezlitosnych nożyc. Biologia optymalizuje koszty

Ponieważ wykształcona przez ewolucję biologia jest systemem do bólu pragmatycznym, wyposażyła nas w genialny mechanizm zwany przycinaniem synaptycznym (neural pruning). W okresie dojrzewania i intensywnego dorastania nasz organizm zaczyna przeprowadzać w układzie nerwowym potężną inwentaryzację. Organizm osłabia lub całkowicie usuwa te połączenia, które były i są wykorzystywane rzadko. Jednocześnie pozostawia i wzmacnia grubszymi osłonkami mielinowymi te ścieżki, które aktywowane są niemal bez przerwy.

To radykalna optymalizacja zużycia energii w ciele. Zostawiamy w głowie szerokie autostrady tam, gdzie realnie podróżujemy, a rzadko uczęszczane, zarośnięte ścieżki zostają zaorane. Ten proces jest momentem, w którym powstaje nasza dominująca architektura połączeń. Oczywiście neuroplastyczność mózgu towarzyszy nam przez całe życie – zawsze możemy

nauczyć się czegoś nowego – jednak to właśnie w młodości wylewa się najtwardszy, fundamentalny system operacyjny dla naszego postrzegania świata. Późniejsze modyfikacje to już w zasadzie... umysłowy facelifting.

Uczenie maszynowe interfejsu białkowego. Trening a wnioskowanie

Jeśli interesujesz się nowymi technologiami, ten proces biologicznej optymalizacji z pewnością brzmi dla Ciebie dziwnie znajomo. Analogia do nowoczesnych modeli sztucznej inteligencji (AI) nasuwa się w tym przypadku sama, dając nam doskonałe narzędzie do zrozumienia mechaniki ludzkiego uczenia. Na poziomie biologicznym, a nie społecznym oczywiście.

W świecie uczenia maszynowego powszechnie wiadomo, że proces początkowego trenowania wielkich modeli językowych (LLM) pochłania gigantyczne pokłady prądu, czasu i mocy obliczeniowej. Algorytm analizuje petabajty danych, budując wagi i połączenia w swoich potężnych, sztucznych sieciach neuronowych. Jednak gdy model jest już ukształtowany i gotowy, samo wnioskowanie (inferencja) – czyli odpowiadanie na nasze pytania na podstawie zdobytej „wiedzy" – jest wielokrotnie tańsze energetycznie i odbywa się błyskawicznie.

Bardzo podobny proces zachodzi w cyklu życia człowieka. Małe dzieci są na etapie najbardziej energochłonnego treningu. W ciągu pierwszych lat życia chłoną z otoczenia przytłaczającą ilość danych sensorycznych. Uczą się poruszać w trójwymiarowej przestrzeni, rozpoznawać zasady działania grawitacji, łapać balans i kategoryzować świat. Środowisko, jakie im dostarczymy w fazie tego wielkiego „treningu", decyduje w dużej mierze o sile i precyzji ich późniejszych algorytmów predykcyjnych.

Gokarty, przeciążenia i zabetonowana intuicja

I w tym miejscu na scenę wjeżdża zaledwie siedmioletni Robert Kubica. Chłopak, który od najmłodszych lat został w sposób absolutny zanurzony w szybkim i bezwzględnym świecie motorsportu. Ponieważ wyścigi były jego własną pasją (podobno jako czterolatek potrafił godzinami kręcić kółka w samochodziku kupionym przez jego rodziców), umysł chłonął specyfikę tego brutalnego środowiska w sposób totalny i podświadomy.



Gdy jego rówieśnicy adaptowali swoje hipergęste sieci neuronowe do nauki tabliczki mnożenia czy gier zespołowych na boisku, układ nerwowy młodego Polaka był nieustannie bombardowany przeciążeniami rzędu kilku G, wibracjami płynącymi z podwozia oraz mikrouślizgami nagrzanych opon. Gdy nastał u niego czas dojrzewania i ruszył potężny proces przycinania synaptycznego, biologia podjęła jedyną słuszną z jej perspektywy decyzję. Ścieżki nerwowe odpowiadające za integrację informacji wzrokowych, błędnikowych (odpowiedzialnych za równowagę i orientację przestrzenną) oraz propriocepcji (czucia głębokiego ułożenia własnego ciała) były u niego aktywowane na tak ekstremalnych poziomach, że układ nerwowy uznał je za krytycznie ważne. Zostały one opancerzone i zintegrowane jako absolutny priorytet.

To właśnie z tego powodu często mówi się, że Kubica nie uczył się suchej fizyki z podręczników – on w nią po prostu wrósł. Jego mózg wyrobił w sobie genialną, opartą na milionach odebranych bodźców, zdolność podświadomego przewidywania zachowania pojazdu. Jego biologiczny system predykcyjny został wręcz fabrycznie skalibrowany do pracy w środowisku o ogromnej dynamice.

Wypadek, który zniszczył ciało, ale nie ruszył kodu

Zrozumienie tego wczesnego, neurobiologicznego fundamentu rzuca zupełnie nowe, głębsze światło na tragiczne wydarzenia z 6 lutego 2011 roku. Wypadek podczas włoskiego rajdu Ronde di Andora, w którym stalowa bariera niemal doszczętnie zmiażdżyła prawą stronę ciała Polaka, brutalnie zatrzymał jego rajd po tytuł mistrza świata. Lekarze dokonali niemal cudu, ratując prawie amputowaną rękę, ale z perspektywy czystej motoryki ciało Kubicy uległo trwałej degradacji. Ograniczenia ruchowe zostały z nim na zawsze.

Z punktu widzenia neurobiologii stało się jednak coś niezwykłego. Fundament architektoniczny pozostał nietknięty. Wypadek zniszczył fizyczne „łącza" i peryferia, jednak nie zdołał wymazać zakodowanego głęboko w korze mózgowej modelu predykcyjnego. To właśnie ten perfekcyjnie ukształtowany w dzieciństwie kapitał poznawczy sprawia, że Polak do dziś dokonuje na torach rzeczy z pozoru niemożliwych. Tylko przypomnę, ustępujący innym sprawnością motoryczną kierowca wygrał morderczy 24h Le Mans w królewskiej, topowej klasie hypercarów. Jego potężny układ nerwowy wciąż błyskawicznie symuluje i przewiduje, co za moment stanie się z podwoziem samochodu. Niesamowita zdolność do kompensacji mózgowej pozwoliła mu z czasem na tyle zmodyfikować sposób prowadzenia (używając lewej ręki niemal w 80 procentach), by po prostu dostosować uszkodzony aparat ruchowy do bezbłędnych komend, które wciąż produkuje jego umysł.

Maszyna, która czuje każdą fizykę

Dla tak ukształtowanego, pracującego w trybie ciągłej predykcji umysłu nie ma większego znaczenia, za kierownicą jakiego pojazdu zasiada. Niezależnie od tego, czy jest to wysoce zoptymalizowany aerodynamicznie bolid Formuły 1, ciężki samochód rajdowy WRC, pędzący 300 km/h prototyp klasy LMP2, czy cywilne auto miejskie z wypożyczalni – surowe prawa fizyki pozostają we wszechświecie uniwersalne.

Gdy Robert Kubica zajmuje miejsce w fotelu wyścigowym, bardzo szybko adaptuje się do każdego sprzętu. Praktycznie wszyscy inżynierowie wyścigowi, którzy współpracowali z Polakiem potwierdzają jego niezwykłe wręcz zdolności adaptacji do nowego pojazdu. Wystarczy mu

naprawdę bardzo krótki czas, by przekalibrować zmienne wejściowe dla swojego genialnego równania w umyśle. Reszta dzieje się poza świadomością. Układ nerwowy automatycznie przelicza wektory sił, a maszyna zaczyna jechać dokładnie w tym ułamku milimetra, w którym kończy się przyczepność gumy, a zaczynają prawa fizyki.

I choć do dziś dla każdego fana królowej motorsportu pozostaje ogromny żal, że nie mieliśmy okazji oglądać go na najwyższym stopniu podium w czerwonym kombinezonie Ferrari, to z punktu widzenia nauki jego historia stanowi coś o wiele cenniejszego. To opowieść o tym, jak niezłomny i adaptacyjny potrafi być ludzki umysł.

Paradoks polega na tym, że dziś w ośrodkach badawczych na całym świecie próbujemy budować potężną sztuczną inteligencję, na każdym kroku inspirując się ludzkim mózgiem i sieciami neuronowymi. Tymczasem historia Roberta Kubicy pokazuje coś wręcz odwrotnego. To właśnie dzięki szybkiemu rozwojowi AI i uczenia maszynowego, my sami zaczynamy wreszcie rozumieć, jak niesamowitym, predykcyjnym algorytmem od milionów lat dysponuje natura. My sami.





DARIUSZ HAŁAS
@blob_tech

Myśliwce F-35 „nie nadają się do walki”?

Przeczytałem dziś na portalu Forsal.pl **alarmujący tekst**, sugerujący, że większość amerykańskich myśliwców F-35 uległa uziemieniu i „nie nadaje się do walki”.

Inspiracją dla autora był głośny raport amerykańskiego urzędu GAO, wytykający flocie dramatycznie niskie wskaźniki gotowości. Problem polega na tym, że wyrwane z kontekstu dane zderzyły się tu z całkowitym niezrozumieniem wojskowej logistyki. Sięgnąłem również po raport „**F-35 SUSTAINMENT. Actions Needed to Ensure Updated Strategy Improves Persistent Readiness Challenges**" (62 strony, PDF, j. angielski). I mam zgoła inne wnioski. Żadna, nawet najpotężniejsza armia na świecie (a za taką uważa się Amerykanów), nie trzyma w czasie pokoju swoich sił zbrojnych w pełnej gotowości operacyjnej.

Z perspektywy cywila czytającego nagłówki, informacja o tym, że wskaźnik pełnej gotowości dla samolotów F-35A wynosi zaledwie 28,5%, brzmi jak katastrofa i wielomiliardowa kompromitacja Pentagonu, a także Polski. Przecież my też kupiliśmy 32 egzemplarze F-35, co więcej, zgodnie z tym co ogłosił Minister Obrony Narodowej, mamy w planach zakup kolejnych 32.

Czym zatem jest to 28,5%? Z punktu widzenia lotnictwa wojskowego to statystyka, która w warunkach pokojowych ma swoje głębokie, ekonomiczne i operacyjne uzasadnienie. Aby zrozumieć ten fenomen, trzeba odłożyć na bok clickbaity i zajrzeć w podręczniki amerykańskich sił powietrznych. Wypadałoby też naprawdę przeczytać raport GAO. I go zrozumieć. Bo ten rzeczowy tekst w żadnym akapicie nie sugeruje, że F-35 to „nielot".

Aby zrozumieć ten fenomen, trzeba odłożyć na bok clickbaity i zajrzeć w podręczniki amerykańskich sił powietrznych. Wypadałoby też naprawdę przeczytać raport GAO. I go zrozumieć. Bo ten rzeczowy tekst w żadnym akapicie nie sugeruje, że F-35 to „nielot".

Magia skrótów, czyli to, czego nie wyczytasz w nagłówkach

Gdy portale informacyjne (podobne materiały opublikowały też serwisy WP czy wnp.pl) krzyczą, że większość floty „nie nadaje się do walki", opierają się na wskaźniku FMC (Full Mission Capable). Czym on jest? Wskaźnik ten określa procent czasu, w którym samolot jest w stanie wykonać absolutnie wszystkie przypisane mu zadania operacyjne (zadania, do których został zaprojektowany). Wystarczy drobna usterka jednego, wysoce specyficznego systemu zakłócania albo rysa na powłoce pochłaniającej

fale radarowe, by maszyna straciła status FMC. Czy to problem? Nie, to rzeczywistość.

Sęk w tym, że w wojsku istnieje też wskaźnik MC (Mission Capable), który określa, czy samolot jest w stanie polecieć i wykonać przynajmniej jedno ze swoich głównych zadań bojowych. Ten sam myśliwiec, który w księgowym arkuszu nie spełnia rygorystycznych wymogów FMC, wciąż może wystartować z pełnym uzbrojeniem, zrzucić bomby i wywalczyć przewagę w powietrzu, albo wykonać inne wyrafinowane zadania, mimo formalnego niespełnienia przez dany egzemplarz wskaźnika FMC.

Myśliwce piątej generacji to latające superkomputery. Utrzymywanie całej floty w stuprocentowej gotowości na każdą ewentualność w czasie pokoju byłoby logistycznym absurdem i marnotrawstwem olbrzymich pieniędzy podatników. Zamiast tego armia masowo rotuje maszynami – część lata, część szkoli, a reszta poddawana jest zaplanowanym przeglądom w depach (z ang. depot-level maintenance, czyli wyspecjalizowane, przemysłowe zakłady naprawcze).

Prawdziwy skandal kryje się w fakturach, nie w silnikach

Jeśli naprawdę wczytamy się w raport GAO, szybko zorientujemy się, o co tak naprawdę wściekają się rządowi audytorzy. Nie chodzi o wady aerodynamiczne czy to, że F-35 rzekomo „nie potrafi latać". Raport to w istocie chłodny audyt księgowości, łańcuchów dostaw i niegospodarności. Główne zarzuty to permanentny brak części zamiennych, wąskie gardła w zakładach naprawczych oraz... fatalnie skonstruowane umowy z cywilnymi wykonawcami.

Prawdziwym „skandalem" jest fakt, że Biuro Programu F-35 (JPO) wypłacało głównym wykonawcom (na czele z Lockheed Martin) wielomiliardowe prowizje i premie za rzekome osiąganie celów, podczas gdy wskaźniki gotowości wcale nie rosły. Raport bezlitośnie obnaża, że wojsko naginało swoje własne kalkulacje i arkusze kalkulacyjne, byle tylko wypłacić firmom wyższe „incentive fees" (premie motywacyjne). O to, a nie o zdolność radaru do wykrycia wroga, czy samą lotność F-35, wściekają się amerykańscy urzędnicy.

Prawdziwym „skandalem" jest fakt, że Biuro Programu F-35 (JPO) wypłacało głównym wykonawcom (na czele z Lockheed Martin) wielomiliardowe prowizje i premie za rzekome osiąganie celów, podczas gdy wskaźniki gotowości wcale nie rosły.

Miliardy na logistyczny Reset

Wspominane w clickbaitowych tekstach (dez)informacyjnych 13,7 miliarda dolarów, które rzekomo mają uratować program F-35 przed katastrofą, to nie jest budżet na wymyślanie samolotu od nowa. To kwota potrzebna na realizację programu naprawczego o nazwie „Global Support Solution (GSS) Reset". Na co pójdą te pieniądze? Prawie połowa (7,3 mld dol.) zostanie przeznaczona po prostu na zakup dodatkowych części zamiennych, a kolejne 3,1 mld dol. na rozbudowę magazynów i infrastruktury naprawczej (tzw. depot capacity).

Czy amerykańskie F-35 przechodzą obecnie trudności logistyczne?

Oczywiście, że tak. Wynika to z faktu, że produkcja tych maszyn idzie pełną parą (w samych Stanach lata ich już ponad 800), a fabryki podzespołów zwyczajnie nie nadążają z obsługą floty. Jednak robienie z uziemionych w hangarach serwisowych samolotów „nienadającego się do walki złomu" to gruba przesada.

Gdyby jutro wybuchł konflikt zbrojny, a priorytety budżetowe przestałyby mieć znaczenie, te maszyny błyskawicznie zostałyby wyciągnięte z zaplecza. Pogoń za stuprocentową gotowością w czasie pokoju to fikcja, w którą wierzą tylko cywilni księgowi i łowcy kliknięć. My nie musimy. I tu pojawia się kolejne, ważne pytanie.

Czy polskim Husarzom grozi uziemienie?

No dobrze, a co te wszystkie amerykańskie problemy oznaczają dla Polski, która właśnie odbiera swoje pierwsze F-35 „Husarz" i planuje zakup kolejnych eskadr? Czy kupiliśmy uziemiony złom? Krótko mówiąc: nie. Przeciwnie – wchodzimy do gry w najlepszym możliwym momencie, zyskując

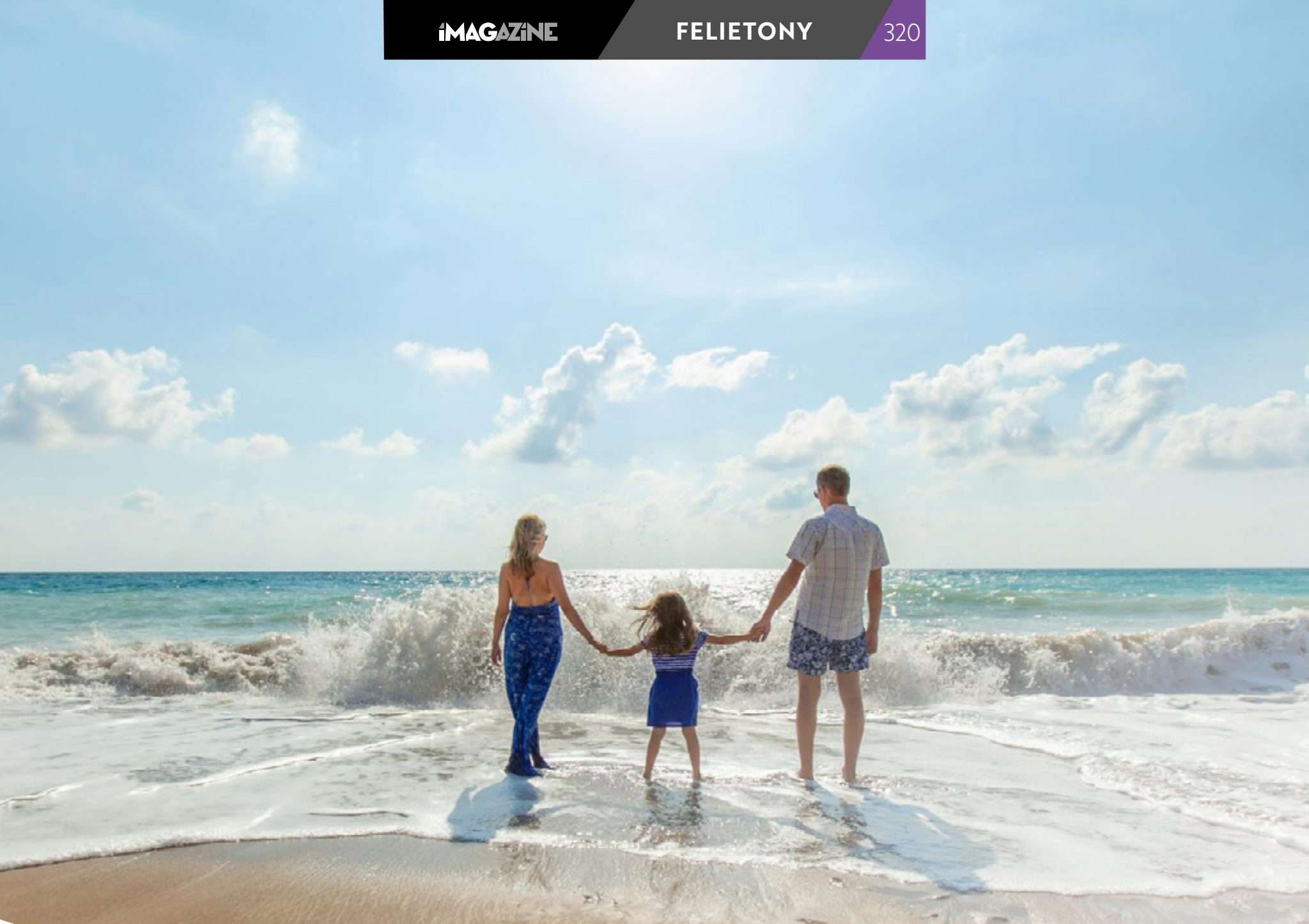
sprzęt, który daje nam nieporównywalne do czegokolwiek wcześniej możliwości operacyjne (tylko przypomnę, że Polska jest drugim – po Stanach Zjednoczonych – użytkownikiem nowoczesnego, sieciocentrycznego systemu dowodzenia obroną przeciwlotniczą i przeciwrakietową, którego F-35 stają się bardzo istotnym elementem).

Co ważniejsze, Polska nie jest w tym programie beta-testerem. Najboleśniejsze „choroby wieku dziecięcego", za które amerykański podatnik zapłacił miliardy dolarów, zostały w dużej mierze zdiagnozowane. Otrzymujemy dojrzałą platformę w nowym standardzie, a co najważniejsze – wchodzimy w już funkcjonujący, potężny europejski ekosystem wsparcia.

Otrzymujemy dojrzałą platformę w nowym standardzie, a co najważniejsze – wchodzimy w już funkcjonujący, potężny europejski ekosystem wsparcia.

Program **F-35** opiera się na koncepcji Global Support Solution (GSS), co oznacza, że państwa partnerskie i klienci współdzielą pulę części zamiennych oraz infrastrukturę szkoleniową i naprawczą. Gdy w naszym Husarzu w bazie w Łasku czy Świdwinie zepsuje się jakiś moduł, nie musimy czekać, aż fabryka w Teksasie go wyprodukuje i wyśle za ocean. Wokół nas latają już setki F-35 w barwach Wielkiej Brytanii, Włoch, Holandii czy państw nordyckich. W Europie funkcjonują regionalne zakłady naprawcze (depy) i ogromne magazyny. Amerykańska zadyszka logistyczna, którą tak punktuje GAO, wynika w dużej mierze z faktu, że to USA bierze na siebie największy ciężar operacyjny całego globu. My, jako część europejskiej układanki NATO, będziemy korzystać z regionalnej tarczy buforowej.

Oczywiście, nie oznacza to, że polskie F-35 będą bezawaryjnie latać przez 365 dni w roku. To byłby kolejny absurd, zważywszy na to, ile polskiego podatnika kosztuje godzina lotu F-35 (jakieś 130 000 – 170 000 zł). Jednak jeśli globalny łańcuch dostaw silników czy rzadkich surowców mocniej się zatnie, my również poczujemy czkawkę. Ale to ryzyko wpisane w eksploatację każdego nowoczesnego sprzętu wojskowego. Warto mieć to na uwadze, zanim przy kolejnym nagłówku o „amerykańskich nielotach" zaczniemy rwać włosy z głowy.





AGNIESZKA SERAFINOWICZ
@LifestyleAga

Wypadek na wakacjach?

Za złamaną rękę dziecka dostaniesz pieniądze z czterech różnych polis naraz

Płacimy za ubezpieczenie szkolne, dodajemy pakiet przy ubezpieczaniu domu, a do tego dorzucamy NNW dla pasażerów samochodu. Kiedy jednak podczas urlopu dochodzi do nieszczęśliwego wypadku, większość rodziców ubiega się o wypłatę tylko z jednego źródła.

To gigantyczny błąd, przez który wielu z nas w stresie rezygnuje z należnych świadczeń liczonych nawet w tysiącach złotych.

Wielu z nas żyje w błędnym przekonaniu, że po wypadku nie można otrzymać kilku odszkodowań za ten sam uraz. Mylimy tu jednak dwie zupełnie różne kategorie ubezpieczeń. O ile po stłuczce nie dostaniemy dwóch wypłat za wgnieciony zderzak z różnych polis majątkowych, o tyle zdrowie i życie człowieka podlegają zupełnie innym zasadom ubezpieczeniowym.

W polskim prawie **ubezpieczenia** Następstw Nieszczęśliwych Wypadków (NNW) mają charakter osobowy. W praktyce oznacza to, że świadczenia z różnych polis NNW co do zasady się sumują.

Jedno uderzenie, cztery niezależne przelewy na konto

Wyobraźmy sobie czarny scenariusz wakacyjny: jedziecie autem na urlop i bierzecie udział w kolizji nie z waszej winy. Wskutek uderzenia dziecko łamie rękę. Choć sytuacja jest stresująca, z finansowego punktu widzenia uruchamia się aż kilka ścieżek rekompensaty, z których każda działa niezależnie.

Skąd dokładnie rodzic może ubiegać się o pieniądze?

- Z OC sprawcy wypadku – to główne i najważniejsze źródło, które powinno pokryć pełne koszty leczenia, rehabilitacji oraz zadośćuczynienie za ból i cierpienie.
- Ze szkolnego ubezpieczenia NNW – ta polisa to nie tylko mury szkoły; większość szkolnych polis działa również poza szkołą, także podczas wakacji i podróży z rodzicami.
- Z samochodowego NNW – dodatek, o którym często zapominamy, a który chroni kierowcę i wszystkich pasażerów przebywających w pojeździe w momencie zderzenia.
- Z pakietu NNW przy ubezpieczeniu domu – standardowa klauzula „w życiu prywatnym" działa często poza miejscem zamieszkania i daje podstawę do kolejnej wypłaty.

Jak firmy wyliczają należne kwoty?

Aby otrzymać pieniądze z każdej z tych polis, musisz zgłosić szkodę do każdego ubezpieczyciela z osobna. Każde towarzystwo przeprowadzi

własny proces likwidacji i wyda orzeczenie. Dlatego warto od razu przygotować pełną dokumentację medyczną, zdjęcia urazu i kopie wszystkich rachunków, bo ten sam komplet dokumentów będzie potrzebny przy zgłoszeniu do kilku różnych ubezpieczycieli.

Wypłata zależy w głównej mierze od dwóch czynników: sumy ubezpieczenia na danej polisie oraz orzeczonego procentu trwałego uszczerbku na zdrowiu.

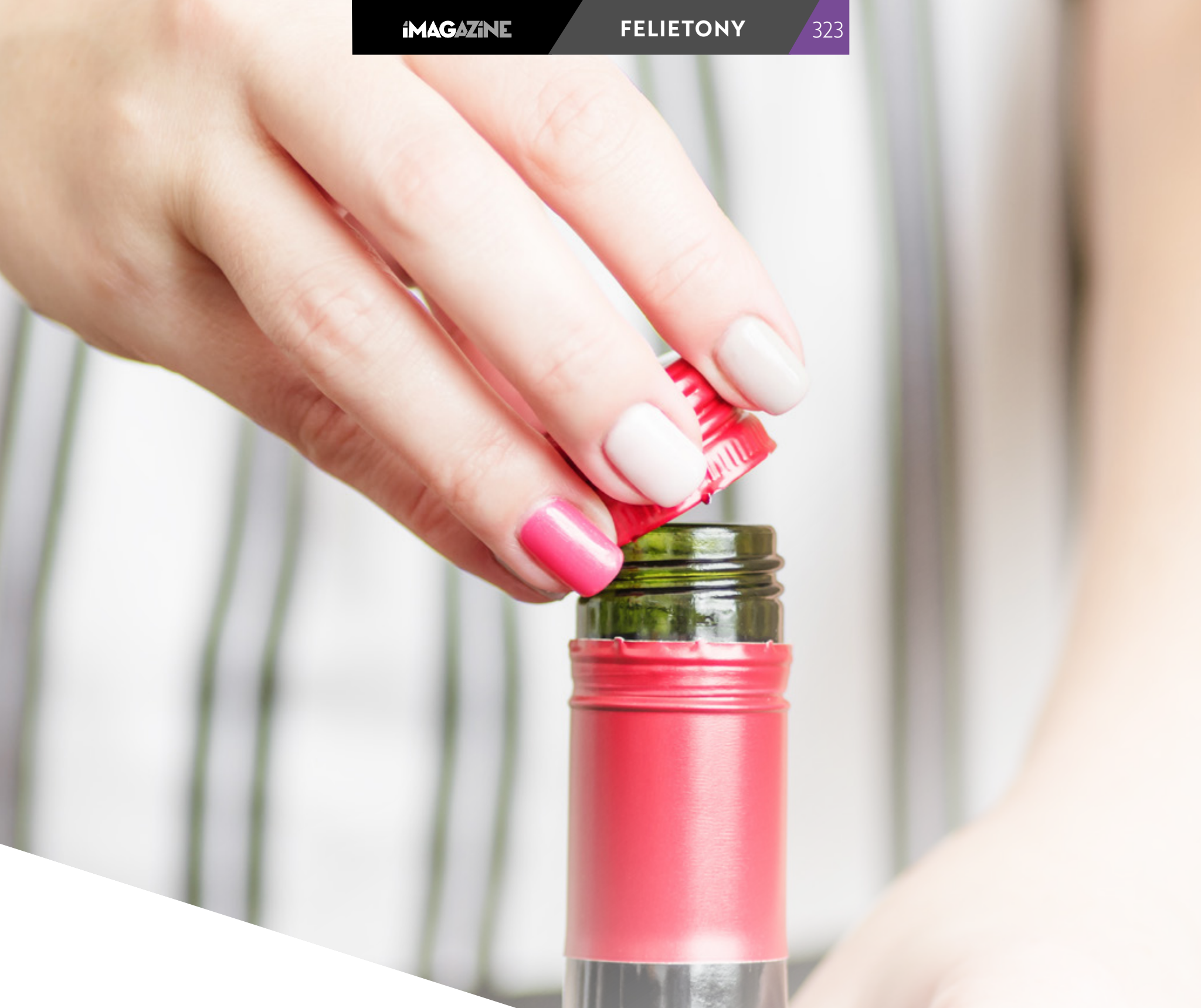
Załóżmy, że lekarz określił uszczerbek z powodu złamania ręki na 3%. Jeśli suma ubezpieczenia w szkole wynosiła 20 000 zł, dostaniesz 600 zł. Do tego dojdzie wypłata 3% sumy ubezpieczenia z polisy w aucie oraz kolejne 3% sumy ubezpieczenia z ubezpieczenia domowego w pakiecie z NNW. Łącznie może to oznaczać kilka niezależnych wypłat za ten sam uraz. Co więcej, do kwot wynikających z samych, opłaconych wcześniej polis NNW, doliczona zostanie niezależna kwota z OC sprawcy wypadku.

Jeden rachunek, jedna refundacja. Tu kończy się podwójne odszkodowanie

O ile samo świadczenie za poniesiony uszczerbek na zdrowiu z reguły się dubluje, sprawa wygląda zupełnie inaczej przy zwrocie kosztów leczenia dokonywanym na podstawie imiennych faktur (np. za zakup ortezy, leków czy prywatne wizyty u ortopedy).

Prawo nie pozwala zarabiać na tych samych rachunkach medycznych. Koszty leczenia odzyskasz tylko do wysokości faktycznie poniesionych wydatków. W praktyce wielu ekspertów rekomenduje, by w pierwszej kolejności dochodzić zwrotu kosztów leczenia z OC sprawcy, ponieważ właśnie ta polisa została stworzona do pełnej rekompensaty poniesionych wydatków. Uważajcie też na możliwe ograniczenia czasowe i terytorialne poszczególnych polis NNW (czytajcie „drobny druk”), bowiem może być taka sytuacja, że np. domowe NNW działa tylko w naszym domu. Wówczas podczas wakacyjnego wyjazdu w razie szkody (wypadku) i uszczerbku na zdrowiu, nie otrzymamy wypłaty z tak ograniczonej terytorialnie polisy.

A na koniec najważniejsze, powyższe informacje warto mieć w pamięci, ale niech wakacje będą udane i bez żadnych wypadków. Nawet najlepsza polisa nie rekompensuje udanego wyjazdu.





PIOTR WDOWIAK
@P_Wdowiak

„Pyk" czy „klik"?

O tym, jak trudno rozstać się z tradycją

Piątkowy wieczór. Na stole stoi butelka wina. Goście już są, sery pokrojone, rozmowa płynie. Sięgasz po korkociąg i nagle okazuje się, że... korkociągu nie ma. Ktoś pożyczył, ktoś schował, ktoś zostawił na działce. W tym momencie cała romantyczna opowieść o tradycji zamienia się w domowy survival. Gdyby butelka miała zakrętkę, problem nie istniałby w ogóle. A jednak dla wielu miłośników wina taki scenariusz wciąż brzmi jak herezja.

Przez lata nauczyliśmy się, że prawdziwe wino musi mieć korek. Najlepiej naturalny, wyciągany z charakterystycznym „pyk", które dla wielu jest integralną częścią doświadczenia. Wino pod zakrętką? To przecież coś tańszego, mniej ambitnego, może nawet podejrzanego. Problem polega na tym, że rzeczywistość już dawno przestała potwierdzać ten stereotyp.

Dzisiaj zakrętki spotkamy nie tylko w supermarketowych sauvignon blanc za trzydzieści złotych. Używają ich renomowani producenci z Nowej Zelandii, Australii, Austrii, Niemiec, a coraz częściej również z Francji. W Rheinhessen, Wachau czy Kamptal nikogo nie dziwi już wysokiej klasy riesling zamknięty aluminiową nakrętką. Dla wielu winiarzy nie jest to wybór ekonomiczny, lecz jakościowy.

Powód jest prosty. Korek pozostaje produktem naturalnym, a więc nieidealnym. Mimo ogromnego postępu technologicznego nadal istnieje ryzyko wystąpienia tak zwanej choroby korkowej. Szacunki różnią się w zależności od źródeł, ale problem wciąż istnieje i potrafi zrujnować nawet znakomitą butelkę. Zakrętka daje większą powtarzalność i praktycznie eliminuje ryzyko korkowego pecha. A przecież kupując wino, płacimy za jego zawartość, nie za loterię.

Co ciekawe, konsumenci zaczynają dochodzić do podobnych wniosków. Badanie na zlecenie Aluminium Closures Group, przeprowadzone w 2024 roku w sześciu krajach europejskich na grupie 6000 respondentów, pokazało, że przy identycznym winie i tej samej cenie 37% badanych wybrałoby butelkę z zakrętką, a 35% z korkiem. Po raz pierwszy przewaga znalazła się po stronie zakrętki, choć równie istotny jest inny wniosek: coraz większa grupa konsumentów deklaruje, że rodzaj zamknięcia przestaje mieć dla nich znaczenie. I właśnie tutaj zaczyna się najciekawsza część tej historii. Bo spór między korkiem a zakrętką nigdy nie dotyczył wyłącznie wina. Dotyczył emocji.

Lubimy rytuały. Lubimy, gdy rzeczy dzieją się tak jak zawsze. Nikt przecież nie twierdzi, że mechaniczny zegarek jest dokładniejszy od smartfona. Mimo to wiele osób wybiera zegarek. Nie dlatego, że jest lepszy, lecz dlatego, że coś symbolizuje. Z korkiem jest podobnie. Dźwięk wyciąganego korka, ruch ręki z korkociągiem, możliwość powąchania korka – wszystko



to buduje atmosferę. Problem w tym, że atmosfera nie zawsze idzie w parze z praktycznością.

Znam osoby, które bez mrugnięcia okiem kupią elektryczny samochód, zamówią zakupy przez aplikację i zapłacą telefonem za kawę, ale gdy zobaczą zakrętkę na butelce za sto złotych, poczują lekki dyskomfort. Jakby ktoś naruszył niewidzialny porządek świata.

Tymczasem większość win kupowanych dzisiaj trafia do kieliszka w ciągu kilku dni lub tygodni od zakupu. Nie spędzi dekady w piwnicy. Nie będzie świadkiem dojrzewania kolejnych roczników. Będzie towarzyszyć kolacji, grillowi, spotkaniu z przyjaciółmi albo zwykłemu wtorkowi po pracy. I właśnie dla takich win zakrętka wydaje się rozwiązaniem zaskakująco rozsądnym.

Czy tradycja przegrała? Chyba nie. Korek nadal pozostanie symbolem wyjątkowych okazji, wielkich win i odrobiny romantyzmu, którego w świecie pełnym wygody czasami nam brakuje. Ale przestał być jedynym słusznym wyborem.

Być może największą zmianą nie jest to, że zakrętka wygrała. Największą zmianą jest to, że wreszcie przestaliśmy oceniać książkę po okładce. A w przypadku wina – butelkę po tym, co znajduje się na jej szyjce.

Słuchaj na Spotify

Słuchaj w Apple Podcasts

rekomendowany przez iMAGAZINE

PODCAST

INNA KULTURA

Kultura to my, i to, jacy jesteśmy.





JAN URBANOWICZ
@yasiek_

Rodzina do wynajęcia

Ocena iMagazine

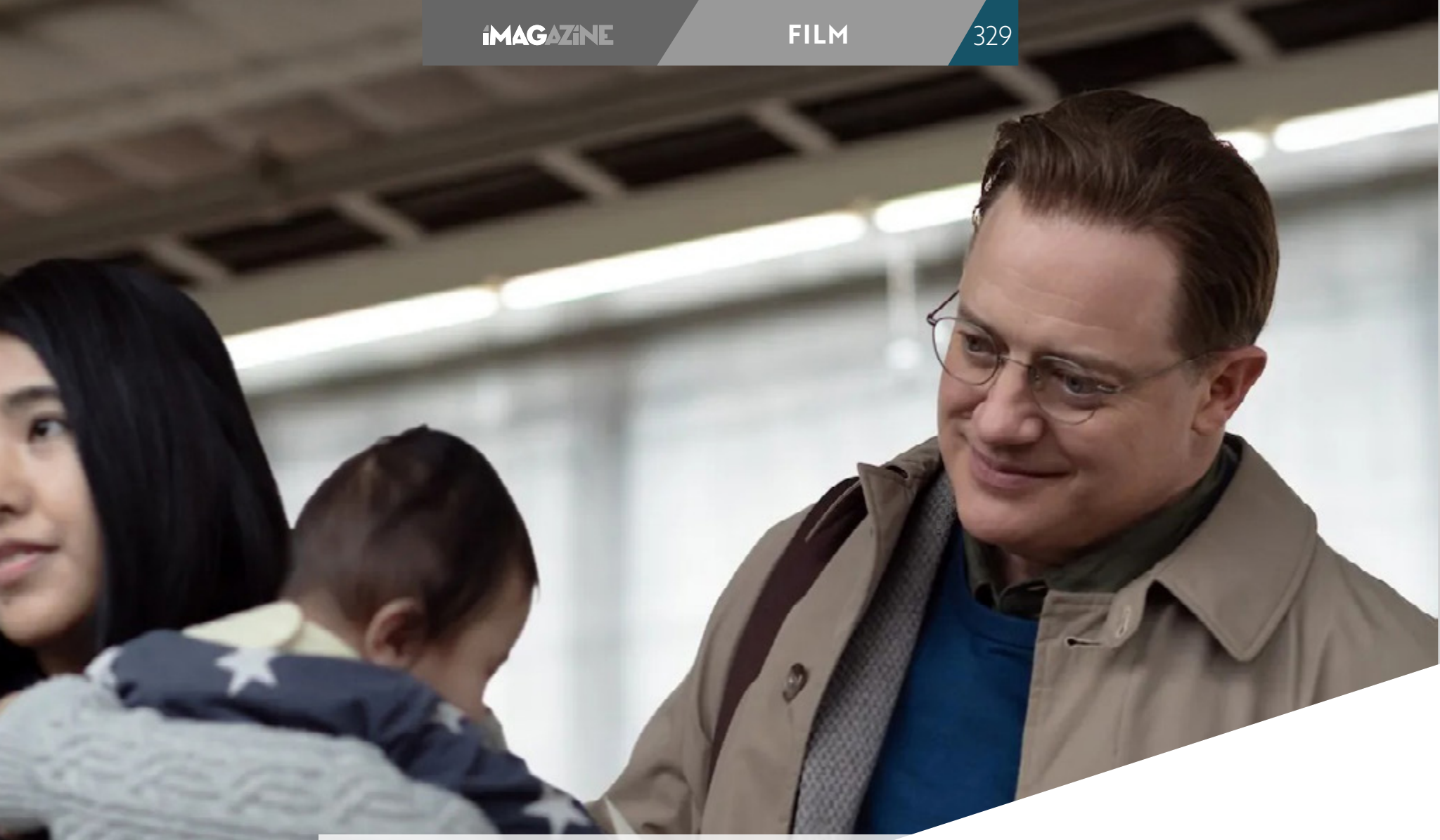
Są aktorzy, których ogląda się nie dla roli, lecz dla twarzy. Brendana Frasera znam i lubię od najmłodszych lat – od czasów, gdy biegał przez dżunglę w „George'u prosto z drzewa", czy kiedy machał mieczem w „Mumii", czyli jednym z najlepszych filmów nurtu nowej przygody przełomu XX i XXI wieku. Potem zniknął na całe lata w sposób, o którym dziś wiemy już więcej, niż chcielibyśmy wiedzieć.

I właśnie dlatego jego powrót do Hollywood – najpierw nagrodzony Oscarem za „Wieloryba", a teraz przypieczętowany „Rodziną do wynajęcia", sprawia mi tak ogromną radość.

To jeden z tych nielicznych powrotów, którym kibicuje się całym sercem, bo czuje się, że za tym uśmiechem stoi człowiek, który wiele wycierpiał i nigdy nie przestał być ciepły. Cieszę się, że znów możemy go oglądać i że dostaje role dramatyczne, w których wolno mu pokazać to, co potrafi najlepiej: wrażliwą duszę i empatię, jakiej nie da się zagrać, jeśli się jej w sobie nie ma.

Film Hikari opowiada o Phillipie, amerykańskim aktorze, który siedem lat temu przyjechał do Tokio za jedną reklamą i utknął tam na dobre, łapiąc dorywcze role i grając „tego jedynego białego" w japońskich produkcjach. Mieszka sam w ciasnym mieszkanku, wieczorami patrzy przez okno na życie sąsiadów niczym na program telewizyjny, którego sam nigdy nie będzie bohaterem. Aż pewnego dnia jego agentka wysyła go na dziwne zlecenie: ma założyć czarny garnitur i zagrać smutnego





Amerykanina. Okazuje się, że trafia na pogrzeb – całkowicie sfingowany, urządzony dla człowieka, który leży w trumnie żywy i zdrowy, bo zapragnął usłyszeć, co powiedzą o nim bliscy, zanim naprawdę odejdzie. Tak Phillip wchodzi w świat agencji wynajmującej ludzi do odgrywania ról w cudzym życiu – ojców, mężów, przyjaciół, gości weselnych, kogokolwiek, kogo komuś brakuje, na tak długo, jak długo klient jest gotów za tę obecność zapłacić.

To zjawisko istnieje w Japonii naprawdę i naprawdę kwitnie – działają tam setki firm, które wypełniają luki w ludzkim życiu na godziny. I właśnie tu tkwi cała delikatność tego filmu: Hikari mogłaby z tego materiału zrobić sensacyjną ciekawostkę w stylu „spójrzcie, jaka dziwna ta Japonia", a robi coś zupełnie innego. Pokazuje, że choć rozwiązanie jest japońskie, problem jest powszechny i nasz wspólny. Samotność nie ma narodowości. Każdy z nas zna to uczucie, gdy w mieście pełnym ludzi człowiek jest najbardziej sam, a tęsknota za kimś, kto po prostu byłby obok, potrafi ścisnąć gardło bardziej niż niejedna tragedia. Reżyserka nie ocenia, nie kpi, nie staje po żadnej stronie sporu o to, która kultura lepiej to rozumie. Trzyma się człowieka, jego potrzeby bycia zauważonym, i to czyni jej film prawdziwym.

Phillip kolejno wciela się w role coraz trudniejsze emocjonalnie. Najpierw zabawne i niewinne – udaje pana młodego na weselu kobiety, która naprawdę kocha inną kobietę, ale nie potrafi powiedzieć tego rodzicom; gra wirtualnego kumpla samotnego gracza; klaszcze komuś przy karaoke. Potem jednak dostaje zlecenia, które nie mieszczą się już w żadnej wygodnej szufladzie. Wciela się w dziennikarza, który ma przeprowadzić wywiad ze starym, na wpół zapomnianym aktorem Kikuo, tracącym powoli pamięć, by ofiarować mu ostatni łyk uwagi i poczucie, że jego życie miało wartość. I – to wątek, który zapadł mi w pamięć najmocniej – gra ojca jedenastoletniej Mii, córki samotnej matki, która chce w ten sposób zwiększyć szanse dziewczynki na przyjęcie do elitarnej szkoły. Dziewczynka nie wie, że Phillip jest tylko aktorem. Wie tylko, że nagle pojawił się tata, którego nigdy nie miała.

I tu film zaczyna boleć w sposób, jakiego się nie spodziewamy po tak ciepłej opowieści. Bo przecież to z punktu widzenia każdego rozsądnego człowieka rodzicielstwo fatalne – matka wynajmuje córce ojca, wiedząc, że za kilka tygodni kontrakt się skończy i dziewczynka znów go straci. A jednak więź, która rodzi się między Phillipem a Mią, jest tak



czysta i autentyczna, że trudno się jej opierać, choć doskonale czujemy, dokąd to wszystko zmierza. Uczucia Phillipa są prawdziwe – to człowiek, którego on odgrywa, jest fikcją. I właśnie w tym napięciu, między autentycznością emocji a sztucznością roli, leży serce tego filmu. Hikari ma odwagę przyznać, że to zlecenie jest moralnie niejednoznaczne, że może skończyć się dla małej dziewczynki okrutnie, i nie ucieka od tego pytania w tani happy end. Pyta nas wprost, czy lepiej dać komuś kilka tygodni miłości, która zniknie, czy nie dać mu jej wcale?

I – to wątek, który zapadł mi w pamięć najmocniej – gra ojca jedenastoletniej Mii, córki samotnej matki, która chce w ten sposób zwiększyć szanse dziewczynki na przyjęcie do elitarnej szkoły. Dziewczynka nie wie, że Phillip jest tylko aktorem. Wie tylko, że nagle pojawił się tata, którego nigdy nie miała.

Fraser dźwiga to wszystko z czułością, której nikt inny chyba by tak nie udźwignął. Gra cicho, oszczędnie, twarzą – a ma twarz, która nie potrafi niczego ukryć. Jego uśmiech bywa grymasem bólu, a w oczach widać żal, wyobcowanie i to dojmujące poczucie, że się nigdzie do końca nie należy. Oglądając go, nie sposób nie myśleć o tym, co sam przeszedł przez te wszystkie lata na marginesie Hollywood – i ta dodatkowa, pozaekranowa warstwa nadaje postaci głębię, której scenariusz miejscami sam nie zapewnia. To rola, w której aktor i grany przez niego człowiek zlewają się w jedno i dlatego działa tak mocno. Mówiłem o wrażliwej duszy i empatii – otóż dokładnie to Fraser tu oferuje, w każdej scenie.

Nie jest jednak w tym sam. Takehiro Hira jako szef agencji Shinji daje postać początkowo szorstką i rzeczową, która z czasem odsłania zaskakujące pokłady człowieczeństwa. Mari Yamamoto w roli koleżanki z pracy, Aiko, wnosi i humor i gorycz – to ona dostaje najbardziej bolesne zlecenia, podszywając się pod kochanki i przyjmując gniew zdradzonych żon, i to ona rzuca Phillipowi w twarz prawdę, że zawsze pozostanie tu obcy.



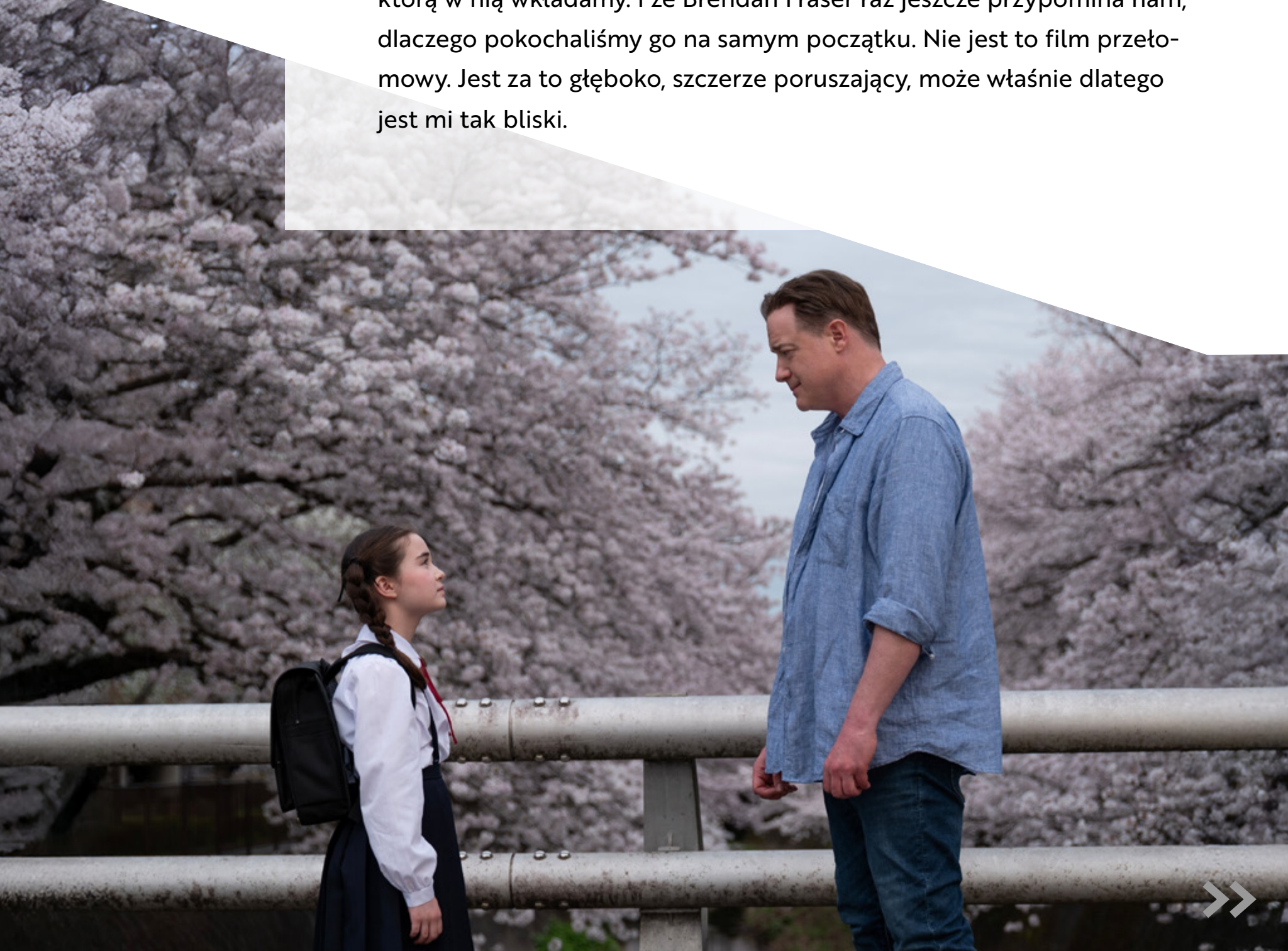
Akira Emoto jako stary aktor Kikuo mógłby zagrać banalnego zrzędliwego staruszka, a zamiast tego tworzy jedną z najbardziej wzruszających kreacji w całym filmie. A debiutująca Shannon Mahina Gorman jako Mia jest po prostu objawieniem – naturalna, szczera, bez tej irytującej dziecięcej maniery, która zwykle psuje takie role.

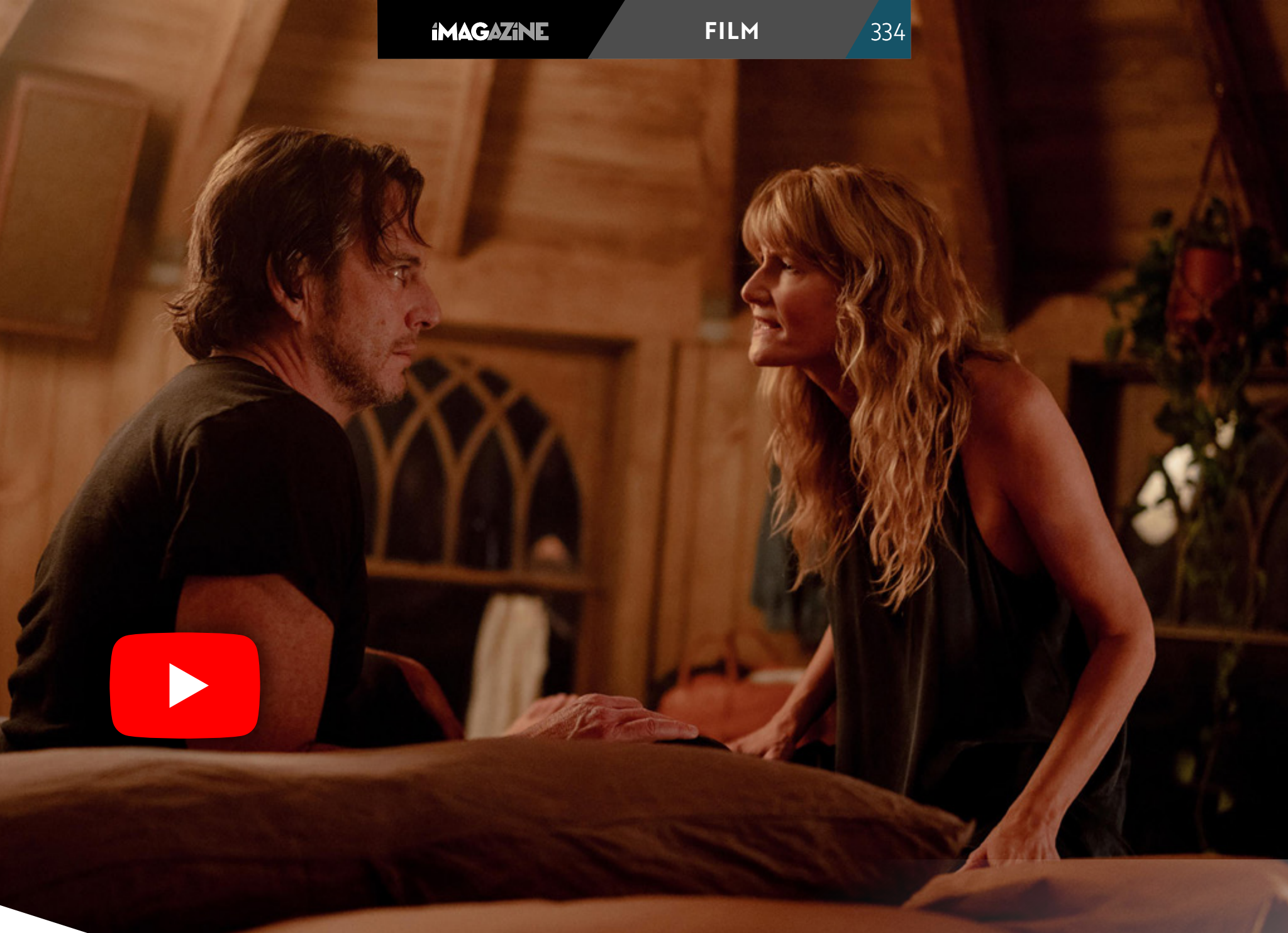
Osobny rozdział to obraz. Tokio sfilmowane przez Hikari i operatora Takurō Ishizakę jest jednym z bohaterów tego filmu. Co ciekawe, reżyserka nie poszła utartą drogą neonowej, nocnej, deszczowej metropolii – pokazuje miasto często w jasnym świetle dnia, zagląda w miejsca rzadziej oglądane na ekranie, a w kilku zdjęciach z lotu ptaka, gdzie maleńcy ludzie przesuwają się przez ogrom miasta, bez jednego słowa oddaje samotność współczesnego życia. To film, w którym niemal każdy kadr można by wydrukować jako pocztówkę, a jednocześnie ta uroda nigdy nie staje się pusta – zawsze służy emocji. Muzyka skomponowana przez Jónsiego z Sigur Rós wraz z Alexem Somersem dopełnia tej kruchej, melancholijnej atmosfery.

Pomimo zachwytów, nie powiem, że film jest doskonały, choć bardzo bym chciał. Hikari upchnęła w nim więcej wątków, niż zdołała udźwignąć: wpadamy w cudze relacje i wypadamy z nich tak szybko, jak

sam Phillip wchodzi i wychodzi z życia swoich klientów, przez co część postaci poznajemy tylko powierzchownie. Bywają momenty zbyt przewidywalne, scenariusz miejscami chętniej trzyma się utartych nut, niż drąży to, co naprawdę bolesne, i czuje się, że pod spodem czaił się film odważniejszy, gotowy spojrzeć głębiej w ciemność. Ale przyznam szczerze: w przypadku tego konkretnego filmu te niedoskonałości jakoś mi nie przeszkadzały. Bo „Rodzina do wynajęcia" robi dokładnie to, co sobie założyła – wzrusza, ogrzewa, przypomina o prostej ludzkiej potrzebie bycia z kimś – i robi to z dużą szczerością.

Zakończyłem ten seans wzruszony, z tym rzadkim uczuciem, że obejrzałem film o dobrym człowieku, zrobiony przez dobrych ludzi. To opowieść o tym, że wszyscy gramy jakieś role w cudzym życiu, że nosimy różne maski dla różnych osób, ale gdzieś w tym udawaniu kryje się ziarno prawdy, a więź, którą czujemy, potrafi być równie realna jak wiara, którą w nią wkładamy. I że Brendan Fraser raz jeszcze przypomina nam, dlaczego pokochaliśmy go na samym początku. Nie jest to film przełomowy. Jest za to głęboko, szczerze poruszający, może właśnie dlatego jest mi tak bliski.







JAN URBANOWICZ
@yasiek_

Czy mnie słychać?

Ocena iMagazine

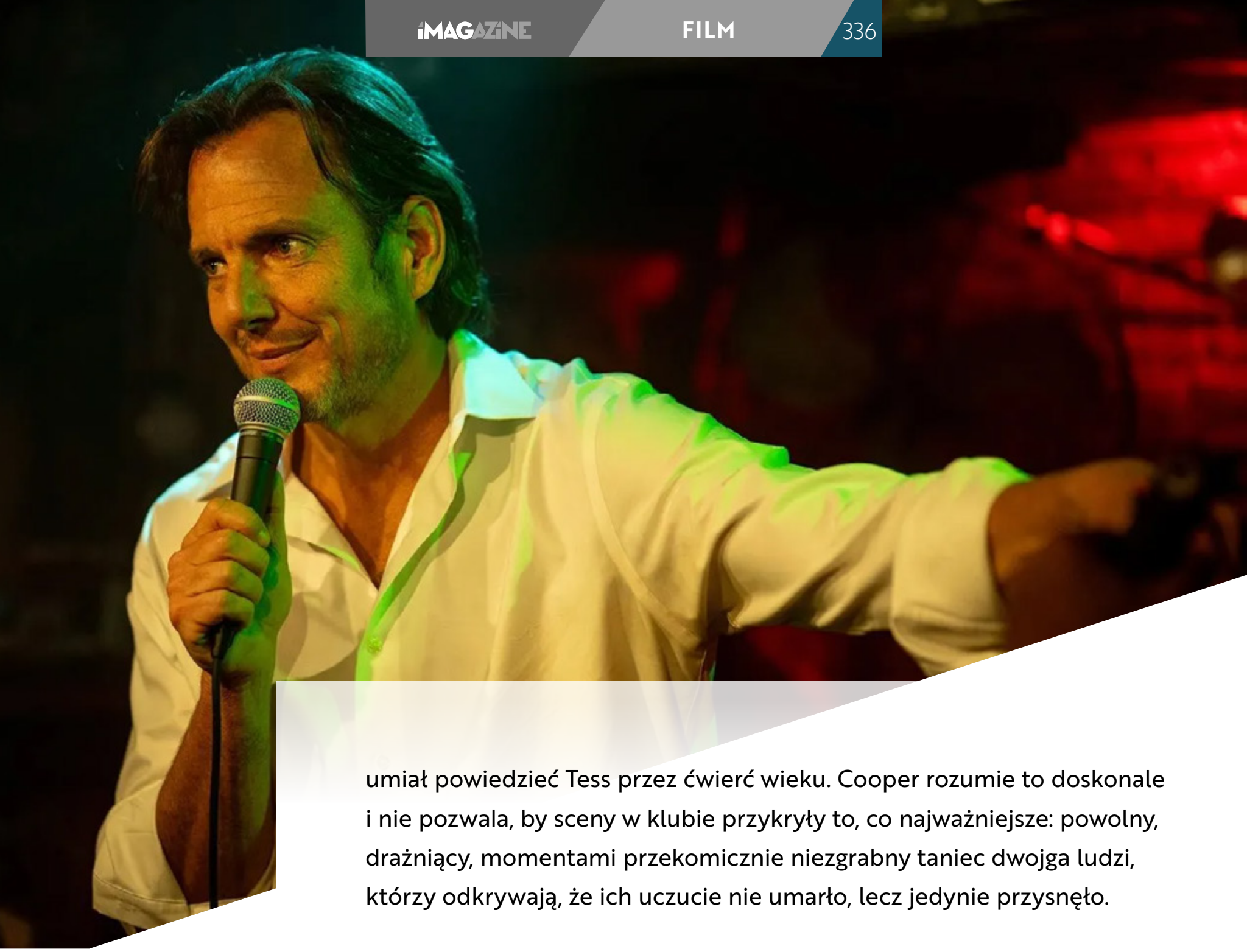
Jest taki moment w karierze niektórych aktorów, w którym przestają już tylko grać i zaczynają oglądać kino z drugiej strony kamery. Clint Eastwood przeszedł tę drogę dekady temu – od twarzy spaghetti westernów po jednego z najbardziej szanowanych reżyserów Hollywood.

Bradley Cooper, coraz mocniej jestem o tym przekonany, idzie dokładnie tym samym tropem. Zaczynał od ról, których nikt by dziś nie wspominał z czułością, potem grał coraz ciekawiej, coraz odważniej, aż w końcu sam stanął za kamerą – i w większości przypadków – wychodzi mu to znakomicie. „Czy mnie słychać?", jego trzeci pełnometrażowy film jako reżysera, tylko utwierdza mnie w tym przekonaniu.

Ten film mnie ujął. Zakończyłem go z tym ciepłym, lekko bolesnym uczuciem, które zostaje w człowieku po obcowaniu z opowieścią o sprawach naprawdę dorosłych, o miłości, która gaśnie nie z hukiem, lecz po cichu, i o tym, co robimy, gdy nagle musimy zbudować siebie od nowa po pięćdziesiątce. Jego fabuła brzmi banalnie tylko z pozoru. Alex i Tess Novak, małżeństwo z kilkunastoletnim stażem i dwoma synami, podejmują decyzję o rozstaniu. Nie ma tu trzaskania drzwiami, nie ma wielkiego dramatu w stylu „Sprawy Kramerów". Jest scena przy lustrze w łazience i kilka zdań wypowiedzianych z rezygnacją dwojga ludzi, którzy po prostu przestali do siebie pasować. To rozstanie dojrzałe, oparte na wzajemnym szacunku, co paradoksalnie czyni je jeszcze smutniejszym, bo nikt tu nie jest czarnym charakterem, a mimo to coś się skończyło.

Alex, grany przez Willa Arnetta, wyprowadza się do bezbarwnego mieszkania na Manhattanie i pewnego wieczoru, błąkając się po West Village, próbuje wejść do klubu komediowego. Nie chce zapłacić piętnastu dolarów za wstęp, więc wpisuje się na listę otwartego mikrofonu i tak, niemal przez przypadek, ląduje na scenie legendarnego Comedy Cellar. Odtąd zaczyna się jego druga, sekretna egzystencja: terapia przed mikrofonem, opowiadanie o własnym rozwodzie obcym ludziom, którzy się z tego śmieją.

Scenariusz, napisany przez Coopera wspólnie z Arnettem i Markiem Chappellem, luźno opiera się na losach brytyjskiego komika Johna Bishopa, który w podobnych okolicznościach trafił kiedyś na scenę. Ale tym, co naprawdę trzyma ten film, nie jest wątek stand-upowy. Stand-up jest tu narzędziem, nie celem i kto sięga po ten film, by przeżyć dwie godziny błyskotliwych dowcipów, ten się rozczaruje. Komedia jest dla Alexa sposobem na wykrztuszenie z siebie tego, czego nie



umiał powiedzieć Tess przez ćwierć wieku. Cooper rozumie to doskonale i nie pozwala, by sceny w klubie przykryły to, co najważniejsze: powolny, drażniący, momentami przekomicznie niezgrabny taniec dwojga ludzi, którzy odkrywają, że ich uczucie nie umarło, lecz jedynie przysnęło.

Ciężar tego filmu dźwiga Will Arnett, i to wcale nie jest dla mnie zaskoczenie. Aktor kojarzony przede wszystkim z komedii i z głosu w „BoJacku Horsemanie" okazuje się tu człowiekiem znacznie głębszym, niż mogłem przypuszczać. Jego Alex to mężczyzna w środku kryzysu wieku średniego, który dysocjuje na szkolnej akademii własnych dzieci i snuje się po Manhattanie jak chodząca chmura deszczowa. Arnett gra to bez cienia przerysowania, z melancholią, która wydaje się autentyczna i z tą szczególną bezbronnością, jaką trudno udawać. Kiedy po raz pierwszy staje na scenie i milknie na te kilka sekund o parę za długo, czuje się każdy gram jego skrępowania. To kreacja, która przypomina, że pod komediowym fasonem zawsze kryje się coś poważniejszego.

Obok niego Laura Dern, aktorka, która zamienia wodę w wino w każdej roli, jakiej się dotknie. Jej Tess to kobieta z przeszłością: dawna siatkarka reprezentacyjnej klasy, która zrezygnowała ze sportu dla domu i dzieci i od lat nosi w sobie cichą urazę o tę rezygnację, choć nigdy

nie odważyłaby się jej nazwać. Dern obdarza ją prawdziwością, która sprawia, że jej droga ku odzyskaniu siebie – poprzez powrót do trenerstwa – jest równie wciągająca jak komediowa przygoda Alexa. I tu trzeba oddać Cooperowi sprawiedliwość: nie zrobił filmu o smutnym tacie, dla którego żona jest tylko tłem. Tess dostaje własną, pełnoprawną opowieść. To historia o dwojgu ludzi, nie o jednym. Kiedy Arnett i Dern są razem na ekranie, dzieje się coś, czego nie da się wyreżyserować na siłę, iskra, jaka jest między nimi, jest niemal namacalna. Ich rozmowy o intymnych szczegółach gasnącego małżeństwa potrafią być zabawne, gorzkie i nieoczekiwanie zmysłowe w obrębie jednej sceny. To antyteza typowej komedii rozwodowej: zamiast kibicować ich rozstaniu, zaczynamy w skrytości ducha pragnąć, by jakoś do siebie wrócili. Na tym polega największy fortel tego filmu – bierze najbardziej oklepany temat świata i podaje go tak, że znów wydaje się świeży.

Wokół głównej pary Cooper rozsnuwa galerię barwnych postaci drugiego planu, a sam wciela się w Ballsa, ekscentrycznego przyjaciela Alexa, i kradnie niemal każdą scenę, w której się pojawia, począwszy od





wejścia z eksplodującym kartonem mleka owsianego. Christine Ebersole i Ciarán Hinds jako rodzice Alexa tworzą tło dla refleksji o tym, czym jest długie, znośne małżeństwo, a Andra Day, Sean Hayes i Amy Sedaris dopełniają tej kameralnej, ciepłej mozaiki. To zespół aktorski, który gra jak grono starych znajomych i tak właśnie wygląda na ekranie.

Realizacyjnie Cooper konsekwentnie idzie w stronę intymności. Operator Matthew Libatique kręci Nowy Jork w ciasnych, niemal duszących zbliżeniach, a kamera potrafi przylgnąć do twarzy bohaterów tak blisko, że czasem aż zbyt blisko. To jedyny element, wobec którego pozostaję zmieszany: rozumiem zamysł – chodzi o bliskość, o realizm, o wrażenie podglądania prawdziwego życia. Ale pisarstwo i aktorstwo robią tę robotę tak dobrze, że ta natrętna kamera bywa raczej rozpraszająca niż pogłębiająca doznania. Cooper miał już podobną skłonność wcześniej i tutaj znów chwilami przesadza z tą formalną dłonią na ramieniu widza. Mam też cichy żal, że film nie zanurza nas głębiej w to, co rozłożyło to małżeństwo. Dostajemy zapewnienia, że Alex i Tess ciągle się kłócili, ale tych kłótni właściwie nie widzimy – ani w retrospekcjach, ani w teraźniejszości. Część emocjonalnych uderzeń traci przez to nieco siły, bo trudno w pełni współodczuwać rozpad czegoś, czego nigdy nie zobaczyliśmy

w rozkwicie. To drobiazg na tle całości, ale taki, który nie pozwala mi postawić temu filmowi oceny najwyższej.

I tu dochodzimy do sedna. „Czy mnie słychać?" to film o tym, że sztuka bywa jednocześnie lustrem i kryjówką – że potrafi zmusić nas do skonfrontowania się z chaosem, który latami spychaliśmy w cień, ale też dać kształt uczuciom, których nie umieliśmy nazwać. Alex nie staje się geniuszem komedii i nie uzdrawia się jednym występem. Po prostu zaczyna powoli rozumieć, ile pustki sam wniósł do swojego małżeństwa i ostrożnie ją wypełnia. To mały, kameralny gest, ale sfilmowany z taką czułością, że ostatecznie rozbraja. Cooper rozwija się jako reżyser w sposób, który napawa mnie zazdrością i radością zarazem; jeśli utrzyma ten kurs, śmiało może kiedyś dobić do statusu, o którym wspomniałem na początku. Choć nie jest to film idealny i ma on kilka formalnych niedociągnięć, to ta lekka miękkość, ta niedopowiedziana przeszłość bohaterów, trzyma go o krok od wybitności. I to chyba najlepsza rekomendacja, jaką mogę temu filmowi przyznać.





JAN URBANOWICZ
@yasiek_

Premiery streamingowe lipiec 2026



Lucky

Lucky Armstrong to naciągaczka z prawdziwego zdarzenia – sprytna, doświadczona, gotowa zniknąć z dawnego życia. Razem z chłopakiem trafiają milion w zdrapce i wydaje się, że los wreszcie się do niej uśmiechnął. Problem w tym, że szczęśliwego losu nie da się spieniężyć bez ujawnienia tożsamości, a tożsamość Lucky jest na celowniku policji. Jeden podpis i zamiast nowego startu czeka ją cela na długie lata. Pytanie tylko, czy szczęściara naprawdę zasłużyła na swój przydomek?

Premiera: 14.07

tv

Star Trek: Nieznane nowe światy – Sezon 4

Załoga U.S.S. Enterprise znów rusza tam, gdzie nie dotarł jeszcze nikt i znów okazuje się, że największe potwory czają się w środku, nie w kosmosie. Czwarty sezon obiecuje mieszankę emocjonalnych dramatów i czystej przygody: nowe, barwne postaci, powroty znajomych twarzy i obce cywilizacje, które potrafią mrozić krew w żyłach. Mimo to bohaterowie trzymają kurs na jasną, pełną nadziei przyszłość. To wciąż „Star Trek" w najbardziej optymistycznym wydaniu.

Premiera: 24.07

skySHOWTIME





Batman. Mroczny mściciel – Sezon 2

Gotham wciąż tonie w korupcji i zbrodni, a stylistyka noir serialu dba o to, byśmy ani na chwilę nie zapomnieli, jak brudne to miasto. Drugi sezon wprowadza klasycznych przeciwników z Jokerem na czele, ale stawia nie tyle na efektowne starcia, ile na pogłębiony rysunek postaci i powolne budowanie napięcia. Twórcy splatają wątki z przeszłości i przyszłości Mrocznego Rycerza w gęstą, serialową narrację. Mitologia Batmana jeszcze nigdy nie wyglądała tak konsekwentnie.

Premiera: 31.07

prime video

Kumpele na zabój

Debbie i Judith przyjaźnią się od lat – do dnia, w którym wychodzi na jaw, że Judith nie jest żadną księgową, lecz zawodową, międzynarodową zabójczynią. Od tej chwili obie muszą uciekać, ścigane przez tajemniczą postać, a mąż Debbie okazuje się zamieszany w coś znacznie mroczniejszego, niż mogłaby przypuszczać. Podróż przez całą Europę zmienia się w wyścig z czasem, w którym prawda bywa równie groźna jak ludzie depczący im po piętach. Przyjaźń przetestowana ogniem – dosłownie.

Premiera: 15.07

prime video





PAWEŁ WINIARSKI
@northazerate

Algorytm nie ma gustu. Ma tylko dane

Smutna prawda jest taka, że dziś, aby osiągnąć sukces na scenie muzycznej, trzeba myśleć jak algorytm. O ile oczywiście tworzenie muzyki ma być czymś więcej niż tylko drogim hobby.

Algorytm to dziś nowy krytyk muzyczny. Kiedyś muzykę odkrywało się przez znajomych, prasę z recenzjami, fora internetowe. Szukało się płyt na sklepowych półkach, kupowało je w ciemno, czasem bazując jedynie na intrygującej okładce. Sam często korzystałem z płyt CD dołączanych do periodyków muzycznych. Umieszczano tam single promujące nadchodzące wydawnictwa, więc numer musiał być na tyle ciekawy i zachęcający, by efektem kilkunastu przesłuchań był zakup płyty. I to miało swój urok, szukanie sprawiało, że późniejszy odsłuch pełnego wydawnictwa był wyjątkowy.

Świat idzie jednak do przodu i widać to w praktycznie każdym aspekcie. Dziś z takich sposobów szukania nowej muzyki nie korzysta już prawie nikt, z jednej strony nie musi, z drugiej – nie ma na to czasu. Żyjemy w świecie zalewu informacji, szybkich, krótkich treści, niezrozumiałego dla mnie pędu do przyswojenia jak największej ilości danych. Danych i informacji, z których większość nie jest nam do niczego potrzebna.

W podobny sposób działają dziś algorytmy, które pod przykrywką uczenia się naszego gustu podsuwają nam pod nos takie treści, jakie chcą, a nie takie, jakie my chcemy.

Smutne jest jednak coś innego. To nie my decydujemy, jakie informacje do nas trafią. To samo dzieje się z filmami, serialami i muzyką. I nie chodzi nawet o reklamę, bo ona jest z nami od niepamiętnych czasów i wpycha nam produkty do rąk niezależnie od tego, czy ich potrzebujemy, czy nie. W podobny sposób działają dziś algorytmy, które pod przykrywką uczenia się naszego gustu podsuwają nam pod nos takie treści, jakie chcą, a nie takie, jakie my chcemy.

Streaming muzyki jest niezwykle wygodny, wyręcza nas w wielu aspektach. I nie chodzi tylko i wyłącznie o jego bardzo niską cenę, choć to przecież ona zdecydowała o tym, że większość osób przestało kupować muzykę. Jest wygodny, bo nie musimy szukać. Regularnie dostajemy toplisty, a obok nich utwory i płyty wybrane właśnie przez algorytm. Tylko tak naprawdę on ma niewiele wspólnego z naszym gustem, on po prostu z jednej strony zamyka nas w bańce i nie próbuje zachęcić do słuchania czegoś innego, z drugiej – atakuje muzyką kompletnie niezwiązaną z naszymi zainteresowaniami.

Jak to możliwe? Ano nie jest przecież trudno podrzucać przypadkowe wydawnictwa, które podczas umieszczania w usłudze zostały odpowiednio otagowane. Zdarzało się, że Spotify sugerowało mi zapoznanie się z płytą, którą znam na pamięć i słuchałem jej kilkadziesiąt razy właśnie w Spotify. Coś najwyraźniej się nie zapisało w historii odtwarzania albo płyta została na jakiś czas usunięta z usługi, algorytm o niej zapomniał i podsunął mi jako coś wartego poznania. Zdarza się, pewnie nikt nad tym nie panuje.

A skąd muzyka niezwiązana z moim gustem? No chyba nie wierzycie, że serwisy streamingowe nie współpracują z wydawcami i nie promują utworów oraz płyt, które muszą zostać wypromowane.

Nieco inaczej sytuacja wygląda w serwisach społecznościowych typu TikTok. Tam algorytm premiuje to, co dobrze działa. Premiuje szybki start, chwytliwy fragment, konkretny klimat i łatwą klasyfikację. A jak wypromuje, to fragment muzyki staje się viralem, kolejni twórcy w serwisie nagrywają pod ten fragment swoje filmy. Numer staje się hitem, bo przecież użytkownik nie będzie się zastanawiał, czy kawałek jest dobry. Najważniejsze, że jest w trendzie i wszyscy w internecie się nim ekscytują. Dziś właśnie to wystarczy, by w kilka tygodni zrobić z kogoś gwiazdę. Utwór, gdzie w refrenie pojawia się tekst „Jestem gejowskim nurkiem kosmitą...” to doskonały przykład, jak niewiele potrzeba, by stworzyć hit i jak niskich lotów są gusta muzyczne dzisiejszej młodzieży. I ja wiem, że to nie jest na poważnie, ale przykro patrzeć, jak stworzony w AI kawałek o niczym nie pozwala się wybić muzykom, którzy poświęcili swoim płytom długie miesiące. Nie pozwala, bo uwaga słuchacza jest dziś mocno ograniczona i jeśli coś staje się tak popularne, blokuje innym dostęp do słuchaczy. Bo spycha w niebyt pozostałe utwory wpuszczone do algorytmu w tym samym czasie.

Problem nie polega na tym, że algorytmy polecają nam muzykę. Problem zaczyna się wtedy, kiedy mylimy rekomendację z gustem. Bo gust wymaga

Numer staje się hitem, bo przecież użytkownik nie będzie się zastanawiał, czy kawałek jest dobry. Najważniejsze, że jest w trendzie i wszyscy w internecie się nim ekscytują.

zaangażowania, ryzyka, czasu, błądzenia i czasem kompletnego niezrozumienia. Dane z algorytmu to matematyka, z jednej strony promująca miałkość i powtarzalność, z drugiej – podsuwająca pod nos to, co akurat jest popularne. A jeśli dodatkowo zatrzymacie się na jakimś filmie opatrzonym fragmentem wspomnianego utworu o nurku, jest więcej niż pewne, że przez kolejne dni będziecie widzieć podobnych rolek więcej.

Jeszcze kilka lat temu doceniałem Radar Premier w Spotify, dziś mam go powoli dość. Kiedyś wydawał się faktycznie analizować mój gust muzyczny i cicho liczyłem, że jeśli jeszcze bardziej będę go karmił moim gustem, stanie się bardziej trafny. Tymczasem mam wrażenie, że jeśli chodzi o rekomendacje, staje się jeszcze bardziej przypadkowy. A jeśli chodzi o nowości, nie traktuje mnie w żaden sposób wyjątkowo i podsuwa wiele utworów, które po prostu muszą być wypchnięte do słuchaczy, by wypełnić jakieś zobowiązania na linii wydawcy-usługa. Między innymi dlatego znów coraz większą wagę przywiązuję do rekomendacji znajomych i zapoznawania się z nową muzyką w recenzjach. Im więcej szumu informacyjnego i klasycznej dla dzisiejszych czasów konsumpcji treści, tym więcej czasu poświęcam na bardziej klasyczne rozwiązania. Czy to w temacie szukania, czy też samego słuchania muzyki.



DOMINIK ŁADA
@dominiklada

Podcasty – wybór



Rezultaty

„Rezultaty" to podcast Michała Wrzoska, dietetyka i popularyzatora zdrowego stylu życia, który pokazuje, że dobre nawyki nie muszą oznaczać rewolucji. W rozmowach z ekspertami oraz solowych odcinkach porusza tematy związane z odżywianiem, aktywnością fizyczną, zdrowiem i psychologią zmiany. To wartościowa propozycja dla osób, które chcą zadbać o siebie w oparciu o wiedzę, a nie internetowe mody.

Kryminalne Historie

„Kryminalne Historie" to jeden z najpopularniejszych polskich podcastów true crime. Autorka przedstawia zarówno głośne, jak i mniej znane sprawy kryminalne, skupiając się nie tylko na samych zbrodniach, ale również na ich tle społecznym i psychologicznym. To podcast dla słuchaczy, którzy cenią rzetelnie przygotowane historie i wciągającą narrację.





Dwa Kilo Mózgu

„Dwa Kilo Mózgu" to podcast poświęcony psychologii, zachowaniom człowieka i mechanizmom, które kierują naszym życiem. Autorzy w przystępny sposób tłumaczą skomplikowane procesy zachodzące w ludzkim umyśle, od emocji i relacji po podejmowanie decyzji i zdrowie psychiczne. To świetny wybór dla tych, którzy chcą lepiej zrozumieć siebie i innych.

Inny Świat

„Inny Świat" Pawła Mościckiego to podcast o ideach, kulturze, filozofii i współczesnym świecie. Autor przygląda się zjawiskom społecznym i politycznym, często wychodząc poza bieżące wydarzenia, by szukać ich głębszych przyczyn i znaczeń. To audycja dla słuchaczy, którzy lubią intelektualne wyzwania i rozmowy wykraczające poza codzienny szum informacyjny.



KAWA

bo czemu nie?

PARTNER PODCASTU:

HAYB

REKOMENDOWANY PRZEZ:

iMAGAZiNE

Słuchaj w Apple Podcasts

Słuchaj w Spotify



MAŁGORZATA ŁADA

Lody o smaku szarlotki

Skład:

- 400 g musu jabłkowego (1 słoik) lub 4 duże jabłka uprażone i zblendowane na gładko
- 400 ml mocno schłodzonej śmietanki 30% lub 36%
- 150–200 g słodzonego mleka skondensowanego
- 1 płaska łyżeczka cynamonu
- opcjonalnie kilka kropel soku z cytryny

Mus jabłkowy wymieszaj z cynamonem i opcjonalnie z sokiem z cytryny. Jeśli przygotowujesz go samodzielnie, wcześniej go wystudź.

Schłodzoną śmietankę ubij na sztywno. Następnie, cały czas delikatnie mieszając, dodaj słodzone mleko skondensowane.

Do masy dodaj przygotowany mus jabłkowy i wymieszaj do uzyskania jednolitej konsystencji. Jeśli chcesz uzyskać efekt przypominający marmurkowy deser, pozostaw delikatne smugi musu.

Gotową masę przełóż do pojemnika, przykryj i wstaw do zamrażalnika na minimum 4–6 godzin. Przed podaniem pozostaw lody na kilka minut w temperaturze pokojowej, aby łatwiej nakładały się do pucharków.

Wskazówka: Aby lody jeszcze bardziej przypominały klasyczną szarlotkę, przed zamrożeniem dodaj garść pokruszonych herbatników lub maślanych ciasteczek. Dzięki temu zyskają przyjemną chrupkość i smak domowego ciasta.

Smacznego!



iMAGAZINE

DOSTĘPNY NA

nexto.PL

